P2390-E

TWÓRCZOŚĆ

U.I.C.
FEB 17 1987
LIBRARY

9

WRZESIEŃ

ROK X 1954

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK X ZESZYT 9

WARSZAWA, WRZESIEŃ 1954 ROK

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 4320/c z dnia 3.8.54 r. Nakład 4.800.
Druk ukończono w sierpniu 1954 r. 5-B-16374

KOCHAM

ZWYKLE TAK

Z miłością każdy się rodzi,
lecz na zarobku,
na urzędach,
w mrowiu biurowych godzin
twardnieje serdeczna grzęda.
Ciałem okryto serce,
koszulą — ciało.
Co dalej?
Któryś tam —
dureń! —
mankiety wymyślił na ręce
i jeszcze wam piersi krochmali.
Połapią się na starość.
Kobieta — do szminek.
Mężczyzna według Millera skręca się w młynek.
Za późno.
Fałdy już skórę marszczą.
Miłość zakwitnie,
zakwitnie —
i skuli się starczo.

MALEC

W miarę miłością byłem obdarzony.
Lecz od małego
ludzkie stworzonko
w zajęciach ćwiczą.
A ja —
uciekłem na brzegi Rionu
i tam latałem
nie zajmując się niczym.
Gniewała się mama:
„O, paskudny, a gdzie to?"
Odgrażał się tata, że pasem wygrzmoci.
A ja wzbogacony
trzyrublową fałszywą monetą
z żołnierzami w trzy karty grałem przy płocie.

Bez ciężaru koszul,
bez łapcianego ciężaru,
prażyłem się na kutaiskiej plaży,

obracałem to plecy, to brzucho
do żaru,
aż mnie słońce w dołku podsmaży.
Dziwiło się słońce:
„Ledwo go widać!
A serce
i w takiej kruszynie.
Stara się mały!
Jak my się mieścimy
w tym jednym
arszynie —
i ja,
i rzeka,
i stuwiorste skały?!"

MŁODZIENIEC

Podrośniesz — wiek fatalny.
Kretynów i kretynki gramatyki masz uczyć.
A mnie
wylano z piątej gimnazjalnej.
Po moskiewskich więzieniach zaczęli mnie włóczyć.
Nad naszym
dzielnicowym
maleńkim światem
rosną dla sypialni liryki kudłate.
Co wygmerasz w tych lirykach?!
Mnie
uczono
kochać
w Butyrkach.
Co mi tam tęsknoty po skalnej kaskadzie!
Co mi tam Buloński Lasek przy niedzieli!
Ja —
w „pogrzebowym zakładzie"
zakochałem się
w judaszu 103 celi.
Patrzą na codzienne niebo,
nosa zadarli do słońca.
„Cóż te promyczki kosztują, nie wiecie?"
A ja
za stepowego,
za żółtego zająca
oddałbym wtedy wszystko na świecie.

MÓJ UNIWERSYTET

Znacie francuski.
Dzielicie.
Mnożycie.
Odmieniacie jak po maśle.
Odmieniajcie na zdrowie!
A czy w pieśni możecie
z kamienicą
zżyć się?
A rozumiecie się na tramwajowej mowie?
Ledwie wyklują się
ludzkie pisklęta,
a już za książki,
za stos papierzysk ująć.
A ja dukałem szyldów elementarz,
stronice żelaza i blachy wertując.
Wezmą ziemię,
oskrobią,
ostrzygą z traw ją —
uczą.
I ni to globus ni klocek.
A jam się biodrem zmagał z geografią —
nie darmo żem
na ziemię
zwalał się na nocleg!
Międlą Iłowajskich czwartą część włosa:
— Rudą-li brodę miał Barbarossa?
Niech sobie ma!
Tych bzdur nie wygrzebuję z nor ja —
i znana mi w Moskwie jest każda historia!
Dobrolubowa biorą (aby zła nienawidzieć) —
nazwisko okoniem,
warczy ze szlachecka.
Ja
tłustych
zwykłem od lat nienawidzieć,
bom się za obiad
sprzedawał od dziecka.
Wyuczą się,
przycupną
w popisach przed damami,
myślątka brzęczą w pozłacanej główce.
A ja
gadałem tylko z domami.
Rurociągi to moi jedyni rozmówcy.
Oknem strychowym jak uchem przygłuchym
chwytały dachy — co wdmuchnę w słuch im.

A potem
o nocy,
o sobie na powtórkę
szwargotały
wiercąc językiem-kurkiem.

DOROSŁY

Dla dorosłych zarobki.
Kieszenie spęczniałe.
Kochać?
Prosimy!
Rubelków dwieście.
A ja —
bezdomny
w kieszeń podartą
łapy wkładałem,
z oczami na wierzchu
łaziłem po mieście.
Noc.
Ubieracie się na przyjęcia.
Ulżycie sobie na żonach, na wdowach.
A mnie —
dusiła Moskwa w objęciach
kołem swoich bezkresnych Sadowych.
Miłość partnerów w łóżku zachwyca.
W serca,
w zegarki
kochanki tik-tak.
Ja słyszę,
jak dziko tętni stolica,
ja — placem Pasji rozpięty na wznak.
Rozchełstany —
z sercem na wierzchu prawie,
słońcu i kałużom na pokaz się wystawię.
Tratujcie pasją!
Miłościami ładujcie się na nie!
Ja sercem władać już nie jestem w stanie.
Cudzego serca dobrze znam dom ja.
Gniazdo ma w piersi — któż nie wie o tem!
Przy mnie
powariowała anatomia.
Każdy cal ciała —
serca łomotem.
O, ileż was,
wiosny i wiosny,
w 20 lat władowano jak głownie!

Niezużyty ładunek stał się nieznośny.
Nie we wierszu
nieznośny,
ale dosłownie.

CO WYNIKŁO

Bardziej niż trzeba
nad możność i siłę,
jakby
maligną w śnie poetyckim nawisł,
okruch serdeczny rozrósł się w bryłę:
bryła miłość,
bryła nienawiść.
Pod ciężarem
nogi
szły chwiejnym krokiem
— ty wiesz,
że ruszam się
zgrabnie —
a jednak
naddatkiem serdecznym się wlokę
zginając bary jak grabie.
Pęcznieję mlekiem wierszy —
i nikogo nie karmię,
pierś ciągle na nowo wezbrana.
Ja — mamka świata,
cierpiąca liryczne męczarnie,
hiperbola
mamki z Maupassana.

WOŁAM

Podniosłem jak siłacz.
Poniosłem jak linoskok.
Jak zwołuje się wiec na mieście,
jak pożar
dzwonem
oznajmia się wioskom —
tak wołałem:
„Oto!
Oto serce jest —
weźcie!"
Kiedy się
machina dysząca obraca,
kurząc,
miotając

grudy,
zaspy,
dama
ode mnie
odrzucana jak raca:
„Dla nas coś mniejszego,
jakieś tango dla nas by...“
Dźwigać nie mogę —
i dźwigam swoje brzemię.
Chciałbym je zrzucić —
i wiem,
że daremnie!
Wiązania żeber nie puszczą ciężaru.
Klatka piersiowa trzeszczała z nadmiaru.

TY

Przyszłaś —
rzeczowo
przez ryk
i wzrost
spojrzawszy,
przejrzałaś jak malca.
Wzięłaś,
zabrałaś serce
i wprost
jak dziewczynka piłkę —
podrzucałaś w palcach.
I każda —
aż przeciera oczy —
tu się pani wielka,
tam się panna boczy.
„Takiego kochać?
Nabije mi sińca!
Chyba poskromicielka!
Chyba ze zwierzyńca!“
A mnie w to graj.
Gdzież —
moje brzemię?
Z radości, że mi uciekło,
skakałem,
Indianin tupiący o ziemię,
tak mi było wesoło,
było mi lekko.

NIEMOŻEBNE

Sam nie podołam,
przedźwignę się fortepianem
(tym bardziej —
nie uniósłbym kasy żelaznej).
A jeśli i kasą,
i fortepianem,
to jasne,
że byłbym się przedźwignął sercem odebranem.
Bankierzy wiedzą:
„Mamy kapitały.
Nie starczy kieszeni —
kładź do ogniotrwałej."
Miłość
w tobie,
w żelazie zawarłem,
chodzę
jak Krezus,
cieszę się skarbem.
I tylko,
jeśli zachce się bardzo,
uśmiech,
półuśmiech,
nawet nie tyle
wezmę ze skarbnicy,
z innymi pijąc
w pół nocy przepylę
piętnaście rubli lirycznej drobnicy.

ZE MNĄ TAK SAMO

Statki — i te dopływają do redy.
Pociąg — i ten zajeżdża na dworzec.
A mnie do ciebie, tak samo, jak wtedy,
— przecież cię kocham —
ciągnie o każdej porze.
Zstępuje skąpy Puszkinowski rycerz
z lubością pieścić swoją piwnicę.
Tak ja
do ciebie, kochana, spieszę.
Moje to serce,
moim się cieszę.
Do domu wracacie z radością.
Brudy
starannie ścieracie mydłem.
Tak ja

do ciebie powracam,
jak wprzódy —
bo czyż idąc do ciebie
nie do domu idę?
Dla ziemskich ziemskie oparcie.
Przed każdym meta ostateczna legnie.
Tak ja
do ciebie
ciągnę nieodparcie,
ledwieśmy się rozstali,
zaledwie.

WYWÓD

Nie zetrą miłości
ni kłótnie
ni słupy wiorstowe.
Przemyślana
doświadczona
bezmiernie.
Wznosząc uroczyście wierszopalcą strofę,
klnę się,
że kocham
niezmiennie i wiernie!

1922 *przełożył* **Adam Ważyk**

ANDRZEJ BRAUN

SZKICE EPOPEI

Noc jedenastego maja 1953 r., dziewięćset pięćdziesiąta pierwsza wojenna noc w Korei nie była ani trochę spokojniejsza od dziewięciuset pięćdziesięciu poprzedzających ją wojennych nocy. Wielki górzysty półwysep, wyciągnięty jak zaciśnięta pięść wschodniego wybrzeża Azji, zatopiony był w nieprzeniknionej czerni. Ciemnozielone, pluszowe masywy potężnych gór Korei trwały gdzieś w smolistej nocy jak powierzchnia zaćmionego księżyca w międzygwiezdnej pustce. Dopiero pochyliwszy się nad tą ziemią słyszało się gorączkowy, pośpieszny rytm jej nocnego życia, dopiero zajrzawszy w doliny i przepaście górskie widziało się migające to tu, to tam, niby robaczki świętojańskie, światła krążących z mrówczą wytrwałością samochodów. Dopiero wytężywszy mocniej słuch słyszało się triumfalny, choć ściszony ryk syren pociągu przeskakującego jak lis z tunelu do tunelu. Ale gdy za chwilę gdzieś w gwieździstej czerni nieba zajęczał ciężki, jednostajny huk motorów amerykańskich czterosilnikowych bombowców B-29, po ziemi koreańskiej, po drogach i polach, niby stuk tajemniczego telegrafu, rozsypał się trzask wystrzałów karabinowych. To czujni strażnicy chińscy ścierali swymi strzałami każdą iskierkę światła na koreańskiej mapie. Wówczas Korea zanurzała się w morze nocy i nie wiadomo było, czy w ogóle jest, czy jej nie ma. Dobrze najedzeni i podnieceni perwityną ludzie na czteromotorowych bombowcach nie próbowali nawet jej dojrzeć, nie interesowało ich, czy jest, czy jej nie ma. Wisieli w pustce podgwiezdnej, ponad zasięgiem artylerii zenitowej, a światełka na tablicy radarowej zastępowały im żywą ziemię. Niech się dyżurny John na Okinawie kłopocze, nad czym przelatują. Oni na sygnał radia otwierają klapy i tysiące pięćsetkilowych bomb spada w ciemność. Pomarańczowe błyski wskazują, że jednak jest tam pod nimi ziemia — a czy tam domy czy ludzie, to nie ich sprawa. Spełnili swoje mechaniczne zadanie i wracają, ustępując miejsca następnym. Z tępą beznamiętnością maszyny huczały fale bombowców w czarnym niebie.

Noc jedenastego maja nie była spokojniejsza od innych nocy. Tak samo pod gwiazdami huczały motory śmierci, a suche strzały wartowników chińskich zanurzały ziemię koreańską w ślepej ciemności. Tylko tam na południu front jak płonąca żyła przecinająca półwysep nie gasł i nie zasypiał ani na chwilę.

Tej nocy koło górskiej pogranicznej stacji Mampho z ziemi chińskiej na ziemię koreańską przejechał transport kolejowy złożony z kilku tysięcy skrzyń, pak i worów. Wśród przyciszonego gwaru chińskich i koreańskich rozkazów z któregoś wagonu dobiegały głosy czterech ludzi mówiących po polsku. Coś takiego na pustynnej, górskiej stacji zdarzyło się po raz pierwszy. Na skrzyniach i pakach widniały napisy w nieznanym, polskim języku. „*Pharan*" mówili do siebie koreańscy żołnierze. Niezwykły transport po wielotygodniowej, bezkresnej drodze przez syberyjskie tajgi i miasta, przez pustynie i żółte góry Mandżurii przedostał się na walczącą koreańską ziemię.

Czterej Polacy, dwaj lekarze i dwaj szoferzy, którzy przemierzyli z nim trasę Warszawa—Mampho, otarli pot z czoła, przekazując wagony koreańskim żołnierzom w sztywnych czapkach i bufiastych spodniach.

Ale tu czekała na ów transport najtrudniejsza część drogi. Rozdzielony na części, pod osłoną nocy, przerzucany był chyłkiem z tunelu do tunelu. One to od trzech lat pełniły w Korei rolę stacji kolejowych. Kręte, mrówczą pracą zbudowane szlaki kolei koreańskich w tym czasie wydawały się puste. Nigdy w świetle dziennym nie zobaczyłeś pociągu na opuszczonych torach. Za to, jeśli przyjrzałeś się uważnie wylotowi któregokolwiek z tysięcy tuneli górskich, zawsze wyciekała z niego czarna wstążka kopciu. W podziemnych hangarach parowozy oczekiwały nocy.

Rozbity na części transport z polskimi napisami przetoczono do tuneli w okolicy rozłożonego w górach miasteczka Hiczon. Dnia dwunastego maja czterej polscy konwojenci w ustronnej górskiej dolinie, nieopodal rzeki Czongczongan, spotkali się z trzema innymi towarzyszami polskimi, którzy oczekiwali ich tam od dni kilkunastu. Ustronna dolina wśród malowniczych szczytów, tak piękna, jak piękna jest tylko Korea, dziki zakątek górzystej ziemi, była miejscem przeznaczenia transportu. Tutaj, w wyniku decyzji Partii, Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i staraniem Polskiego Czerwonego Krzyża, w porozumieniu z władzami Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, uruchomiony miał zostać wojskowy szpital nr 51 z polskim personelem lekarskim i pielęgniarskim. Kompletne wyposażenie techniczne wielkiego, na tysiąc dwieście łóżek zakrojonego szpitala, od cementu i narzędzi budowlanych począwszy, a na skomplikowanych urządzeniach rentgenowskich i operacyjnych skończywszy — oto była zawartość tajemniczego transportu.

Polski szpital w Korei. Czyż można było znaleźć piękniejszy sposób przyjścia z pomocą bohaterskiemu narodowi, który od długich lat i mie-

sięcy toczył śmiertelną, heroiczną walkę z całą potęgą największej imperialistycznej machiny wojennej naszych dni, który na własnym ciele doświadczył najbrutalniejszych i najbardziej potwornych zbrodni, jakich kiedykolwiek dopuszczano się w czasie wojny? Czyż znaleźć można było piękniejszą formę pomocy temu ludowi, który zarażany bakteriami, zwęglany napalmem, rozszarpywany bombami i rozstrzeliwany za drutami Kożedo, własną piersią, odzianą w wypłowiały drelich, bronił spokojnego snu milionów ludzi pracy w Warszawie, Pekinie i Sofii, który krwią utwierdzał nadzieje wszystkich miłujących pokój ludzi na świecie, który codziennymi, wielkimi faktami pokazywał, że siły pokoju są większe od ciemnych sił śmierci i zniszczenia?

„Za waszą i naszą wolność" — czyż znaleźć można było piękniejszy wyraz realizacji tej szczytnej tradycji narodu polskiego, jak iść i obmywać krew z czoła koreańskiego żołnierza, jak przywracać życiu poparzone dzieci bojowników bohaterskiej armii, jak leczyć rany zadawane co godzina przez bandycką machinę śmierci, jak wspierać w ludzki, najpełniej humanistyczny sposób, codziennym trudem i wysiłkiem, walczący i cierpiący naród, który raz dźwignąwszy się z kolan nigdy więcej do kajdan się nie schyli. Czy istnieje piękniejsza, bardziej ludzka treść pojęcia: internacjonalizm?

W ciężkich dniach jesiennego odwrotu w 1950 roku, kiedy ważyły się losy narodu koreańskiego, młodzi robotnicy i traktorzyści Polski Ludowej pisali listy do redakcji Sztandaru Młodych, prosząc, aby im pozwolono iść ochotniczo walczyć u boku żołnierza koreańskiego za Phenian i za Warszawę. Odpowiadano im wówczas, że naszą formą wsparcia walczącej Korei jest codzienna praca nad umacnianiem zrębów potężnego obozu pokoju i postępu. Ginącym żołnierzom koreańskim przyszli z bojową pomocą ich bezpośredni sąsiedzi, sławni ochotnicy chińscy. Oni walczyli na froncie, myśmy pracowali na tyłach; każdy dzień trudu w Polsce był wsparciem dla frontu walczącego ze śmiertelnym wrogiem ludzkości.

Polscy pracownicy służby zdrowia, polscy lekarze i pielęgniarki mieli zaszczyt wspomagać front bezpośrednio, dzieląc jego trudy i jego wielkie dni.

W ciągu kilku wojennych nocy samochody, polskie „Lubliny", podjeżdżały pod gardziele tunelu. W ciągu kilku napiętych nocy spoglądając w niebo, pod osłoną ciemności rozładowywano transport i przewożono na miejsce szpitala. Drżano o każdą skrzynię, pilnowano jak szpilki każdej paczki instrumentów i lekarstw. Ta sama troska przeszywała polskie i koreańskie serca. Wszystko to było na wagę złota, wszystko

to było jak kropla krwi, wszystko przedstawiało bezcenną wartość w trudnych koreańskich pustkowiach.

Oto z czym przyszedł naród polski do Korei.

Taki był prolog koreańskiego eposu. Właściwe wspomnienia zacząć muszę z innego miejsca.

Jest noc. Od chwili zmroku chiński konduktor w granatowym drelichu z czerwoną opaską na rękawie, zaopatrzoną w oznakę kolei — przekrój szyny w kole — oznajmia nam o zaciemnieniu. Chłopcy z obsługi pociągu przesuwają się bezszelestnie w swoich miękkich pantoflach, szczelnie zakrywając okna w wagonach czarnymi zasłonami. Owe miękkie pantofle, noszone przez większość Chińczyków, to jedyna rzecz znana z burżuazyjnych filmów i powieści (one to kształtowały nasze dotychczasowe wyobrażenia o tych ludziach), która jest zgodna z rzeczywistością. Kolejarze uśmiechają się do nas, jak gdyby przepraszając za tę drobną dolegliwość podróży. Od tej pory nie wiemy, gdzie jesteśmy i dokąd przyjechaliśmy. Byliśmy ludźmi, którzy jadą w nieznany świat z zawiązanymi oczyma.

Rozglądam się po wagonie zapełnionym obitymi szafirowo ławkami. Wysoki, długi. W blasku przyćmionego światła siedzą moi towarzysze podróży, młodzi lekarze i dziewczęta-pielęgniarki. Jeszcze niewiele dni temu byliśmy wszyscy w Warszawie czy w prowincjonalnych miastach Polski. Skąd wzięliśmy się tutaj, w tym zaciemnionym chińskim wagonie, pędzącym przez góry Mandżurii ku płonącej wojną granicy Korei? Skąd wzięliśmy się — zbyt długa to opowieść, zbyt wiele faktów i spraw zdarzyło się w ciągu tych ostatnich dni, zbyt fantastycznie to wszystko wygląda. Przypuszczam, iż wielu Polaków jadących ze mną nie wierzy jeszcze, że to nie sen. Bo jakże niezwykle wyglądają ci jasnowłosi ludzie, mówiący zwykłym polskim językiem na tle tego miejsca tak nieprawdopodobnego, choć realnego w całej sile. Co czeka nas na tej ziemi legendarnej a nieznajomej, wśród wydarzeń, które tam, w Polsce, były dla nas tylko symbolem? Co czeka nas wśród tej straszliwej wojny na drugim końcu świata? O tym pewno myślała najmłodsza z naszej grupy, dziewiętnastoletnia Danusia Chylińska, i najstarsza, siwowłosa „Mama". Pawłowska, i chirurg, Mietek Cegielski, i zastępca polityczny, Stefania Seniow. Ludzie siedzieli drzemiąc, znurzeni wielodniową podróżą, pewnym niepokojem o przyszłość i nadmiarem przebytych wrażeń. Mietek Cegielski i doktor Jezierski prowadzą rozmowę z grupą ochotników chińskich. Jedzie ich wraz z nami pół wagonu. Młodzi mężczyźni w jed-

nakowych zielonych drelichach bez żadnych odznak. Wraz z nimi żony, w takichże drelichach, z czarnymi warkoczykami lub obciętymi, prostymi włosami, z grzywką. Jednakowe okrągłe czapki na głowach. Są nawet czarnookie dzieci. Jadą całymi rodzinami. Któryś z nich, śniady, z białymi, błyszczącymi zębami, mówi nieźle po rosyjsku. Polacy wypytują ich o sprawy wojny bakteriologicznej oraz epidemii w Korei. Rozmowa jest o tyle trudna, że ani oni, ani my nie zdradzamy celu naszej podróży. Celem tym jest po prostu Antung, graniczne miasto chińskie nad rzeką Jalu, będące jednocześnie ostatnią stacją na tej linii. Informacje towarzyszy chińskich są dość pocieszające: ostatnie wypadki zrzucania zakażonych bakteriami owadów, które zresztą nie wywołały szerszych epidemii, notowano w marcu bieżącego roku. Z punku widzenia militarnego i psychologicznego wojna bakteriologiczna, jaką próbowali rozpętać w Korei Amerykanie, zawiodła całkowicie.

Śniade, skośnookie twarze Chińczyków błyszczą słabo w mętnym świetle żarówek. Są wilgotne od potu. Po uszczelnieniu okien w wagonie staje się niemożliwie duszno. Przez warstwę zmęczenia słyszę ich gwałtowną, śpiewną i urywaną mowę. Uszy przywykły już do tego niezrozumiałego języka.

Około godziny 21-ej pociąg jadący i tak dość wolno zaczyna zwalniać coraz bardziej. Koła stukają na niewidzialnych skrzyżowaniach szyn. Dajemy znak, ażeby szykować się do wyjścia. Pociąg staje w głuchej ciszy. Stacja końcowa — Antung — wysiadamy. Dziwne uczucie absolutnej ślepoty, połączonej z nerwowym podnieceniem. Gdzie jesteśmy, co będzie dalej?

Nic nie widać. Wysiadamy w głuchej ciemności na pustym, bezludnym peronie. Pierwsza to stacja chińska, gdzie nie słychać głosu człowieka. Blade, zaćmione lampki tlą się pod nieskończenie długim, betonowym dachem. Ślepy, czarny rząd wagonów stoi opuszczony, nikt prawie nie wysiada poza nami. Dalej ciemność i pustka, kończy się wszystko, jak gdyby przed pociągiem rozciągało się smoliste morze. Obok majaczy gmach stacji, również odludny i martwy, widać, że to stacja końcowa. Wyładowujemy nasz transport, stosy walizek. Trochę tu niesamowicie, wokoło ciemność wojenna. Przypominają mi się niby ze złego snu lata okupacji. Jakże odwykłem od tego, zapomniałem o ciemnej, namacalnej grozie tamtych, dawno minionych dni. Nie opuszcza mnie podniecenie nerwowe. Ręce drżą. Wszystko wydaje się ożywione i niespokojne. Ludzie kłócą się, popychają w ciemności, ciągle ktoś na kogoś wpada. Trudno, jesteśmy ślepi, a walizki ciężkie. Po stopniach schodzimy do wnętrza stacji. W półmroku jakieś postacie, kolejarze

i żołnierze, milkną na nasz widok. Tylko przy okienkach kas mrugają nieznaczne światełka. W ich mżeniu skośnookie twarze wydają się zaspane. Wychodzimy na ślepy, czarny i chłodny plac przed stacją. W mroku słychać mnóstwo głosów, ruch, skrzypienie ryksz. Po krótkich, niewidocznych pertraktacjach kolumna ryksz, obsługiwana przez jakichś jazgoczących ludzi, ładuje na ślepo nasze walizy. Znikają z nimi w ciemności, jakby zapadli w wodę. Czy co nie zginie? Każdy zastanawia się z przyzwyczajenia. Zapominamy, że jesteśmy w Chinach. Miasto musi być duże sądząc po dobiegających zewsząd głosach i ruchu. Błyskając oślepiającymi reflektorami zajeżdżają przed dworzec anduński jakieś „Willisy" czy „Gaziki" i zawożą nas w kurzu i ciemności w głąb niewidocznego, a przecież rojnego miasta. Światła samochodów błyszczą jaskrawo wyjmując z czerni migawkowe postacie ludzi w granatowych drelichach, uciekających na wszystkie strony. Mkniemy do hotelu. Zimny wiatr z kurzem smaga w pędzie niewyspane oczy. W tej atmosferze po raz pierwszy od lat zaczynam spoglądać w czarne, gwieździste niebo, zdaje mi się, że coś słyszę. Raptownie niebo i czujność, wytężony aż do bólu słuch, stały się jak gdyby nowo odkrytym czwartym wymiarem, na który dotychczas nie zwracałem uwagi. Człowiek przywykł do światła i bezpieczeństwa. Zwłaszcza fakt przywiezienia nas z zamkniętymi oczyma w nowe miejsce, którego jeszcze nie widzimy, choć w nim jesteśmy, działa nieco deprymująco. Wreszcie zatrzymujemy się, wysiadamy i wchodzimy do hotelu. Jest to wielka, drewniana landara z hallem w środku i kręconymi schodami na piętro, jak u dawnych B-ci Jabłkowskich w Warszawie.

Sale po kilka łóżek. Rozkładamy na nich rzeczy i zbolałe kości. Zamiast poduszek pod głowę — woreczki twarde jak kamienie.

— Co to jest — zastanawia się głośno doktor Wrzesiński — że im dalej jedziemy na Wschód, tym twardsze rzeczy dają nam pod głowę? W Moskwie jeszcze były puchowe poduszki, w Pekinie już worki z sianem czy sieczką, w Mukdenie — ze słomą, a tu już mamy zwykłe wory z piaskiem jak dla obrony przeciwlotniczej. W Korei chyba dadzą nam pieńki drewniane czy klocki...

Nie pomylił się w swoich przewidywaniach.

Okna w hotelu, zamurowane czarnym papierem, nie istnieją. Cholera, coś jest w tym zaciemnieniu stanowiącym symbol czasów wojny! Człowiek czuje się polowo i bojowo. Torba nabiera sensu wobec walizki, podkute buty wobec „ambasadorskich" lakierków. Stąpa się nawet twardo, szorstko. Przedmioty kupowane w Pekinie bez jakiegokolwiek zrozumienia ich wartości, ot tak, teoretycznie, stają się nagle najko-

niczniejsze dla człowieka. Taka latarka elektryczna na przykład, która dotąd bezużytecznie rozpychała kieszeń wizytowego garnituru — w tych ciemnościach czym człowiek bez niej? Ślepiec bez oka i ręki. Raptem uświadomiłem sobie, że zlekceważyłem sprawę kupienia kompasu. Po prostu nie myślałem o tym i śmiałem się z innych. Teraz ten kompas opanował moje myśli, stał się jedynym, podstawowym problemem. Czy zdążę go jeszcze jutro kupić. Jak sobie poradzę bez niego? Ot, fijoł...

Schodzimy na kolację do małej salki hotelowej, podzielonej parawanikami na mniejsze gabinety. Jesteśmy w nastroju sanitarnym — nie wiem, czy sprawiła to rozmowa z ochotnikami chińskimi w pociągu, czy łopatki zbolałe od zastrzyków antydżumocholerycznych, dość że boimy się pić lemoniadę, którą nam podaje Chińczyk w białym kitlu, i nie wiemy, co zrobić z owocami. Doktor Kowalski, nasz najpoważniejszy internista, poleca stanowczo nie pić nic niegotowanego i zrezygnować z owoców. Mój Boże, gdyby wiedział, że tam, w Korei, będziemy chłeptać wodę z brudnego, przydrożnego rowu!

Wracamy do siebie — czeka nas sen na twardym, obcym łóżku. Ale nie... Ledwo zmrużyłem oczy, głośno, żałośnie zaczynają wyć syreny za zamkniętymi, czarno osłoniętymi oknami. Pierwszy raz od dziewięciu lat rozbrzmiewają napięciem i grozą. Skończyło się zwykłe, pokojowe życie, rozpoczął się okres oczekiwania i strachu. Poruszamy się niespokojnie na łóżkach, w podnieceniu czekamy na bomby. Każdy z nas zerka na sąsiada, nie chce być tym pierwszym, który nie wytrzymuje nerwowo. Udawany spokój nie pozwala nam nawet rozmawiać. Nie wiem zresztą, gdzie wyjść, gdzie jesteśmy. Łóżka skrzypią w ciemności. Głucho bije artyleria, ale gdzieś daleko. Czekamy, może ktoś przyjdzie, powie nam, co mamy robić. Przyzwyczailiśmy się do tej opieki gościnnych Chińczyków, którzy wszystko mieli zawsze zorganizowane. Ale nie — uprzytamniam sobie, że tu nikt nic mi nie pomoże — po prostu ryzykujemy jednakowo. Wojna. Szyby zaczynają dzwonić. Głuche stęknięcia ziemi, jakby ktoś uderzał w fundamenty hotelu, i potężny łomot bomb. Kilku z nas poderwało się na łóżkach, ale natychmiast, korzystając z ciemności, położyło się z powrotem. Jeszcze raz zahuczały dalekie bomby, postukała artyleria i nic ciekawego się nie działo. Spokojnie — wszyscy śpią; zasypiam i ja twardym snem. Coś mi się tam niesamowitego musiało śnić tej nocy...

Mieliśmy wyjechać zaraz rano, skoro tylko ze strony koreańskiej nadejdą samochody zorganizowane przez poselstwo. Po tej ciemności, w jakiej przyjechaliśmy tutaj, dzień jest upalny, słoneczny, oślepiający ko-

lorami i blaskami. Nie pomagają telefony, wozy nie przychodzą. Trudno się temu dziwić, tu już nie obowiązuje rozkład jazdy — po drugiej stronie granicy jest wojna. Młody i uśmiechnięty major koreański, Czen, jest zwiastunem tamtego świata. Wysoki, zgrabny, w mundurze przypominającym uniformy radzieckie, uspokaja nas, udziela cierpliwie wyjaśnień. Jest to pierwszy wojskowy z pasem, z naramiennikami, z gwiazdkami, po tych chińskich drelichach. Zasypujemy go pytaniami, jak jest po tamtej stronie, jaka droga, jak długo będziemy jechać. Odpowiada z uśmiechem, ale dość zdawkowo. Jak gdyby chciał dać do zrozumienia — pojedziemy zaraz, sami zobaczycie, nic takiego. Koreański major Czen ma nas eskortować aż do samego szpitala.

Na razie nie pozostaje nic innego, tylko czekać cierpliwie. A może samochody nasze zostały zbombardowane?

— *Doroga płochaja... maszina isporciłas'!...* — stwierdza uśmiechnięty major.

Aby zabić czas, włóczę się po okolicznych ulicach i sklepach. Jeszcze ostatnie zakupy: jakieś drelichowe spodnie, czapka, przysłowiowy kompas. Potem już nic nie będzie można kupić. Miasto Antung jest nieduże, parterowe domki zapełniają gęsto ulice, sklepik przy sklepiku, a właściwie są to raczej otwarte bazary i pracownie rzemieślnicze, gdzie bezpośrednio, na oczach przechodnia, produkuje się i sprzedaje wyroby. Wrzask, gwar, tłum — jak to w Chinach. Typowe, prowincjonalne, hałaśliwe miasteczko chińskie w pełnym blasku słońca i kolorów. Za domkami, z daleka i z bliska, wznoszą się trawiaste góry. Z drugiej strony miasto obniża się: Jalu.

Nareszcie nasz frontowy nastrój osiągnął szczyt. Zbieramy się. O drugiej popołudniu nadjechały z tamtej strony granicy dwa ciężarowe samochody ZIS, zakurzone i straszliwie rozklekotane, a na nich nasz konwój: kilku żołnierzy koreańskich w bufiastych spodniach i rondelkowatych czapkach. Przyjechał też „Gazik" ambasady z szoferem Li Ha Gionem. Jak wnioskuję z rozmów, samochody trafiły na bombardowanie i musiały czekać, ale towarzysze koreańscy utrzymali to w tajemnicy, ażeby nie peszyć Polaków.

Ogarnia nas wzruszenie — oto przekraczamy granicę pokojowego świata. Zaczyna się pierwszy rozdział naszych koreańskich perypetii.

Siadam na zakurzony „Gazik", otulając się szczelnie peleryną, i ruszamy pierwsi. Za nami ciężarówki wyładowane bagażem i ludźmi. Dojeżdżamy do dworca, potem skręcamy w bok, równolegle do torów. Granatowy tłum przechodniów obrzuca nas obojętnym spojrzeniem. Tych anduńskich Chińczyków nic nie może zdziwić.

Wkrótce widać już ogromny, poniszczony, ale nie przerwany most kolejowo-drogowy na Jaluczianie. Gęsta siatka krat przypomina trochę nasz dawny most Kierbedzia w Warszawie. Odprawa paszportów w budce chińskiej i Koreańczyk ze straży pogranicznej siada na nasz wóz.

Popatrzyłem na czarne ubrania Polaków, stłoczonych z tyłu na samochodach. Oto pierwsze grupy polskich lekarzy, pielęgniarek i felczerów przekraczają granicę koreańską — skrwawione fale rzeki Amnokgan, po chińsku zwanej Jaluczian. Z pewnością nie wszyscy z nas, którzy zgłosiliśmy się na ochotnika, ludzi różnych, młodych i starszych, wykształconych na uniwersytetach i wprost od warsztatu, uczonych, docentów, wybitnych specjalistów i szoferów czy kucharzy, naukowców-inteligentów i prostych, sumiennych pracowników fizycznych, partyjnych i bezpartyjnych, romantycznych entuzjastów i solidnych prozaików — na pewno nie wszyscy zdawaliśmy sobie całkowicie sprawę z tego, co nas czeka. Bo jakże często nie w pełni uświadamiamy sobie wielkość wydarzeń, w których bierzemy udział. Ale pamięć przebytej drogi, dwunastu tysięcy kilometrów lotu nad ogromnymi przestrzeniami Syberii i mongolskich pustyń, świadomość wstępowania na odległą, płonącą ziemię, tkwiła mocno w każdym przekraczającym poszarpany most na Jaluczianie. Dzień był pogodny, słoneczny, cichy. Miałem w pamięci jeszcze wczorajszy alarm lotniczy. Toteż mimo pozornego spokoju ziemię koreańską witaliśmy z oczyma wzniesionymi niespokojnie ku niebu.

Trudno oprzeć się wzruszeniu, jakie budzi most graniczny na Jalu. Wielokrotnie bombardowany i natychmiast zszywany z powrotem, stał się symbolem nierozerwalnej więzi Korei ze światem pokoju i braterstwa. Tym mostem przeszły na ziemię koreańską pierwsze oddziały ochotników chińskich. Tym mostem przejeżdżaliśmy teraz my. Wyrażał on więź silniejszą niż jakikolwiek sojusz w historii.

Przypuszczałem, że będzie bardziej zniszczony — przecież to główna żyła zaopatrzeniowa Korei. Żołnierze chińscy dłubią w nim, stukają młotami, widać świeże i stare rany, wyrwy w żelazie, ale trzyma się znośnie.

Pod nami ogromna, rozlana żółto rzeka, rozszerzająca się na południu — gdzie na tle sinej mgły błękitnieją żagle dżonek rybackich — w lejkowate ujście do morza. W górę rzeka prowadzi między odległe, siwe szczyty.

Oto minąłem granicę pokojowego świata, wjeżdżam w świat wojny. Co mnie czeka? Jak to wygląda wszystko z bliska? Czuję podniecenie — tu już wolno im do mnie strzelać.

Dwa wojskowe ciężarowe ZIS-y, poprzedzane polowym „Gazikiem", wyjeżdżają z okratowań mostu. Pierwsze wrażenie z tamtej strony to zrujnowane mury, leje, gruzy — Sinidżu. Wśród rozbitych budynków zaraz za mostem widać grupę ludności czekającą na nas. Ciasnym półkręgiem stoi około kilkuset osób. Uprzedzano nas, że czekają od rana. Widać nad nimi jakieś plamy, jakby sztandarów. Ludzie tu zupełnie inni niż w Chinach. Nie myślałem, że granica może tak ściśle oddzielić dwa różne narody. Przywykliśmy już do Chińczyków, ubranych w drelichy i spodnie. Tutaj znów wszyscy ubrani są zupełnie inaczej: białe, płócienne spodnie i czarne powłóczyste spódnice kobiet. Nareszcie kobiety w spódnicach. Różni je to ogromnie od Chinek, choć twarze i rysy prawie takie same. Stajemy przed delegacją ludności ustawionej półkolem. Klaszczą. Dopiero teraz widzę straszliwą nędzę, zniszczone, wiejskie stroje kobiet, bose nogi, zmęczone twarze, brudną odzież mężczyzn. Sztandary — polskie i koreańskie — z pofarbowanych szmat czy resztek pościeli. Kwiaty. Koreańczycy z towarzyszeniem prymitywnej orkiestry próbują pod kierunkiem jakiejś dziewczyny wymachującej energicznie rękami zaśpiewać polską pieśń. Poznaję melodię: „Rozszumiały się wierzby płaczące...", słów nie rozumiem. Biedny, lecz dumny lud Korei wyraża swą przyjaźń i wdzięczność, wita nas na progu zburzonego domu.

Wysiadamy. Nasz kierownik polityczny, Stefa Seniow, wyskakując z samochodu zwichnęła nogę w kolanie. Idzie wspierając się na ramionach towarzyszy. Jest blada, usta ma zaciśnięte z bólu. Przemawia z wysiłkiem, ale i z wielkim, prawdziwym wzruszeniem. Naokoło stoi grupa ludzi w obcych, czarnych szynelach, ze znaczkami czerwonego krzyża w klapach.

Zaskoczyło mnie to powitanie na pierwszym skrawku ziemi koreańskiej. Oglądam wymalowany z trudem, egzotyczny sztandar polski. I wtedy rozbrzmiewa pieśń śpiewana w dwóch wzajemnie niezrozumiałych językach. Pieśń, która jak prąd elektryczny przenika i spaja ludzi z dwóch krańców świata: „Wyklęty powstań ludu ziemi..." Wywołuje ona wstrząsające wrażenie. Po raz tysiączny ta pieśń nabiera konkretnego, prawdziwego i rzeczywistego sensu. Jest oczywistością, faktem, nie słowem. Tutaj każde jej zdanie brzmiało jak przysięga. Jeszcze raz najsilniej przeżyliśmy jej treść:

Bój to jest nasz ostatni,
krwawy skończy się trud,
gdy związek nasz bratni
ogarnie ludzki ród...

Błyszczące, surowe oczy. Uścisk chropowatych, brunatnych dłoni. Naprzód! Śpieszymy się. Musimy ich żegnać i odjeżdżać, bo pora już późna. Klaszcząc wracamy do samochodów. Za nami długi czas widnieje grupa ludzi śpiewających coś pośpiesznie. Nie więcej jak sto pięćdziesiąt osób razem. Znikają.

— *Li tomu* — powiedziałem sadowiąc się obok niego w sfatygowanym już trudami wojennymi, ambasadzkim „Gaziku" — *Nada smatrit' kak samoloty... Ponimajesz, u mienia nikakowo opyta niet...*

— *Charaszo!* — kiwnął szofer i zaśmiał się swoim dziecinnym, przekomicznym śmiechem, jak gdyby co najmniej usłyszał dobry dowcip. Coś tam jeszcze usiłował wytłumaczyć mi na migi, z czego miało wynikać, że moje obawy są przesadne i droga zapowiada się raczej spokojnie.

Li w okrągłej chińskiej czapce, „dobrowolce", z cudacznie zadartym daszkiem i w chińskich drelichach przypominał karykaturalnego Japończyka z pism satyrycznych. Młoda, dziecinna jego fizjonomia pomarszczona była tak dziwacznie w szelmowskim uśmiechu, który nie schodził z niej ani na chwilę, że trudno było zapomnieć ją wśród twarzy tysięcy koreańskich żołnierzy, szoferów i przechodniów.

Jedną miał wadę Li jako towarzysz podróży — rozmawiać z nim było nadzwyczaj trudno. W odpowiedzi na każdą uwagę chichotał pociesznie i bełkotał okropną ruszczyzną coś w rodzaju: „*moja... w armii... czadongcza* (samochód)... wszystko bardzo dobrze" — poczynając sobie z językiem Puszkina podobnie bezceremonialnie jak wyspiarze południowi w opowieściach Londona z piękną mową Szekspira. A ponieważ mój czynny kontakt z językiem rosyjskim datował się mniej więcej od miesiąca, to jest od chwili, kiedy przekroczyłem granice Związku Radzieckiego, nie trudno wyobrazić sobie, że rozmowy nasze z Li były obustronnie męczące. Zrezygnowałem więc z dalszych nalegań na ostrożną jazdę.

Jak się przekonałem później, Li miał jeszcze jedną wadę jako szofer, mianowicie beztrosko mylił drogi. O tym jednak wiedział tylko on, bowiem on tylko znał cały labirynt górskich, wojennych dróg Korei.

Uwaga moja, rzucona w chwili siadania do wozu, była zresztą o tyle retoryczna, że uważać na samoloty mogłem tylko ja — szofer jest absolutnie zajęty prowadzeniem wozu na krętych, przepaścistych drogach górskich, a warkot motoru zagłusza i tak wszelkie dźwięki z zewnątrz. Na bluzie Li widniała mała, przybrudzona baretka orderowa. Była to pamiątka z frontu. W ciężkich dniach odwrotu z południa Li pod stałą groźbą odcięcia przez posuwające się ze wszystkich stron desan-

towe jednostki amerykańskie wywoził rannych do prowizorycznych lazaretów w górach północy. Ryzykował podwójnie — sam pochodził z południa i wpadnięcie w ręce lisynmanowców groziło mu w najlepszym wypadku natychmiastowym wcieleniem do ich szeregów. Ślady tamtych dni pozostały tylko w postaci przybrudzonej wstążeczki orderowej na szoferskim drelichu i może w kilku zmarszczkach na figlarnej, gutaperkowej twarza chłopaka.

Było późne popołudnie, gdy opuszczaliśmy nadgraniczne „miasto" Sinidżu. „Gazik" mknie naprzód. Kręta, ubita, pełna kurzu i wybojów droga między jakimiś zburzonymi, glinianymi ściankami żółtoszarego koloru jak cała tutejsza ziemia. Miejscowości koreańskie mają tę właściwość, że istnieją tylko na mapie i w mowie potocznej mieszkańców.

W powietrzu panowała duszna martwota, a jednocześnie szybki pęd samochodu i dławiące oddech tumany pyłu zgrzytającego w zębach, osiadającego szarą warstwą na okularach, zmuszały do szczelniejszego owinięcia się gumową peleryną.

Z całego miasta Sinidżu pozostała właściwie tylko plątanina dróg, krzyżujących się, zataczających łuki, omijających jakieś nieistniejące budowle. Szosa była wąskim, glinianym klepiskiem, wybitym kołami samochodów, poprzerzynanym poprzecznymi żyłami podeszczowych, wyschłych strumieni. Spojrzałem przed siebie. Równina wypełniona falistymi pagórkami i żółtymi kopcami gliny, w których czernieją otwory ziemianek, sterczą szczątki desek i blachy, gruzu i resztek dachówki, wielkie pole zaśmiecone szczątkami drewna czy poczerniałych kamieni, upstrzone suszącą się bielizną i grupami białych ubrań ludzkich, tymi śladami koczującego człowieka, które zawsze szpecą przyrodę — coś, jak gdyby rozwiane ogromnym wiatrem po polach i wzgórzach cmentarzysko — oto było miasto, przez które przejeżdżaliśmy, pragnąc jak najszybciej wydostać się na swobodną przestrzeń.

Przeskok z bogatych, radosnych Chin w zakurzone pustkowia Korei jest szokujący. Tam były miasta, sklepy, ruch i gwar — tu, po drugiej stronie rzeki, nagie plątaniny dróg wśród śmietniska i glinianych rumowisk. I tylko w kurzu drogi koczujące gromady wynędzniałych, półnagich kobiet z odkrytymi piersiami, dźwigających na plecach niemowlęta, a na głowie ciężary. W głuchym milczeniu, w tumanie pyłu jedziemy przez te widma wiosek. Co za niezwykłe mrowie ludzi na tym pustkowiu! Wszyscy chodzą w białych, płóciennych ubraniach, w gumowych kaloszach na bosych nogach. Kucają w glinie przydrożnej z rozłożonymi przed sobą nędznymi garściami towaru. Jakiś brunatny starzec z odkrytą, pomarszczoną skórą na piersiach, z bródką jak pęk ko-

nopi, łata skrawkami opony samochodowej gumowe kalosze chłopów. Cały jego warsztat — to dwie ręce i kamień w kształcie kopyta. Miejsce pracy — rów przy drodze. Setki dzieci z czarnymi grzywkami lub łebkami ogolonymi na pałę. Nędza, nędza po Chinach tak straszna, że wierzyć się nie chce.

Oto wojna, którą zobaczyłem. Nie czołgi, armie, samoloty, lecz śmietnisko wsi i miast, i tłum nędznych, półnagich ludzi, koczujących na ziemi i w ziemi. Nie ma normalnych miejscowości, tylko pola ryżowe i zaśmiecona ziemia.

Czekamy na ciągnące za nami ciężarówki. Konwojujący oficerowie koreańscy patrzą w niebo. Siostry nasze, jadące na obu samochodach, pozasłaniały sobie chusteczkami głowy i twarze.

— To od kurzu — powiada Marysia Duwe, widząc, że przyglądam się jej uważnie.

Ale na szafirowej żorżecie cieniutkiej apaszki, którą zakryła oczy, wyraźnie odcinają się ciemne, mokre plamy. To samo Jadzia Binkiewicz. Na próżno starają się za wszelką cenę uśmiechnąć. Nasze kobiety płaczą zetknąwszy się po raz pierwszy twarzą w twarz z Koreą.

Jedziemy już dłuższy czas, a ciężarówek naszych ciągle nie widać. Stale psują się i zostają w tyle. Czuję, że będziemy mieli kłopot w drodze, ażeby zachować łączność i nie pogubić się. Tym bardziej że noc już blisko. Gołe wzgórza za Sinidżu ustępują miejsca łagodnie pofałdowanym polom ryżowym. Z daleka wyglądają one jak wielkie okna szklane, porozkładane w nizinach. Pędy różowe, jasnoszmaragdowe i rzadkie jeszcze, zaledwe wystają nad powierzchnię wody, toteż doliny szklą się w słońcu wśród świeżej zieleni trawiastych grobli.

Samochód rzuca gwałtownie na wyboistej, gruntowej drodze. Jestem już cały żółty od pyłu — za nimi ciągnie się na setki metrów siwy warkocz kurzu, opadający zwolna na ziemię. Raz po raz przecieram szkła okularów, w zębach zgrzyta gliniany ił. Zakręcamy na jakichś skrzyżowaniach, jeden Li może połapie się w tej plątaninie dróg. Łyse pagórki nie opuszczają drogi. Mijamy kilka chałup. Są szare jak ziemia, pokryte kożuchem ryżowej strzechy. Okna i drzwi powyłamywane zioną czernią pustki. Za każdą chałupą sterczy w odległości metra niezdarnie sklecony z desek lub wypróchniałego pnia komin jak od prowizorycznej cegielni. Chaty są opustoszałe, nikt w nich nie mieszka. Jedynie na wysokim progu, ciągnącym się wzdłuż frontowej ściany, siedzi kilku wędrujących żołnierzy, zmieniających i poprawiających onuce. Twarze ich czarne, dziobate od ospy, zmęczone. Dalej, na polach,

widnieją białe plamy grzebiących w błocie chłopów. Co kilka kilometrów mijamy przy drodze niski bunkier, ulepiony z brył ubitej gliny i darni. Z frontu wał osłony, niski otwór, nieraz podstemplowany belkami. W otworze nawleczony na drucie wisi naszyjnik pustych, przedziurawionych gilz od naboi karabinowych. Gdzieniegdzie zawieszona łuska pocisku armatniego, służąca jako sygnał alarmowy. Opuszczone ślady żołnierskiego, koczowniczego postoju.

Li objaśnia mnie, że nocą dyżurują tu posterunki ochrony przeciwlotniczej, strzegąc dróg i ostrzegając przejeżdżające samochody przed samolotami. Teraz jeszcze widno, słońce zniża się — nikt nas nie ostrzeże, chyba chłopi na polach lub przechodnie.

— Spójrzcie, ile było alarmów w ciągu jednego dyżuru — wskazuje Li na różaniec pocisków u wejścia mijanego bunkra.

Pędzimy dalej. Słońce zniża się, staje się bardziej żółte. Cienie na zieleni granatowieją, wydłużają się coraz bardziej.

Cały czas wzrok mam wlepiony w niebo. W pewnej chwili Li rzuca znad kierownicy:

— *Piengi* (samoloty).

Jak to się stało, że on, nie patrząc w niebo, dostrzegł je pierwszy, a ja, mimo czuwania, przegapiłem — nie wiem. Ludzie na polach i przechodzący drogą nie okazują żadnego poruszenia. Jak gdyby nic się nie stało albo jak gdyby nie widzieli. Już chciałem ostrzec ich, lecz oni pierwsi rzucali spokojnie to magiczne słowo:

— *Piengi!*

Teraz dostrzegłem. Szły wysoko, może na trzy tysiące metrów, dwa srebrne krzyżyki wlokące za sobą białe krechy spalin. Nieprzerwany huk przelewał się nad polami. Li nie zwalniał, mimo że kurzyliśmy wyraźnie.

W tej chwili dostrzegłem czarny, a srebrny w słońcu przedmiot, jak oderwał się i ukośnym lotem szybował ku ziemi. Zacisnąłem rękę na ramieniu szofera. Li zwolnił na zakręcie drogi obok żółtego, gliniastego urwiska. Stały tam jakieś dwie zrujnowane chałupy. W tej samej chwili srebrny przedmiot runął tuż przed nami i wznosząc kurz ześliznął się ze zbocza poprzez szosę. Utknął w rowie na skraju ryżowego pola.

Zahamowaliśmy gwałtownie, aż uderzyłem głową o szybę.

— Bomba! — wyrwało mi się z ust.

Drogą ucieka wieśniak w białych, szerokich portkach. Jednocześnie widzę, że z pola biegnie jakiś żołnierz, krzycząc coś i machając rękami. Patrzę, co to jest. Bomba? Nie. Pomyślałem o zbiorniku z zakażo-

nymi owadami. A zresztą czy ja wiem, co oni zrzucają? W tej chwili nadbiega żołnierz, mokry, dając znaki, abyśmy nie zbliżali się do leżącego przedmiotu. Jest to półtorametrowej długości srebrne cygaro z aluminiowej blachy, kształtem przypominające bombę lotniczą. Wysiadam z Li i podchodzimy wraz z żołnierzem do rowu. Tłumaczą mi, że jest to po prostu pusty bak po benzynie. Odrzutowce amerykańskie typu „Sabre" mają na końcach skrzydeł dwa zapasowe baki z benzyną, co nadaje im charakterystyczny kształt. Po wyczerpaniu paliwa z tych zewnętrznych zbiorników wyrzucają je po prostu a korzystają z głównych. Pusty bak waży około 40 kg. Dosłownie krok, a zostalibyśmy zmiażdżeni aluminiowym cygarem. Podobno takich wypadków jest dużo na polach i drogach Korei.

Przy pomocy chłopów żołnierz zarzuca słomiane powrósła i winduje zbiornik na plecy. Na metalu angielskie litery. Żołnierz ugina się pod ciężarem. Blacha aluminiowa — to bezcenny materiał.

Tymczasem spoza chałup przynoszą drugi, znaleziony wyżej, na zboczu góry. Uff! Ależ głupia śmierć spotkałaby nas zaraz na wstępie.

Czekamy na ciężarówki z ludźmi, ale jakoś nie widać ich za nami. Znów się coś zepsuło czy pojechali inną drogą? Li też niespokojny, mieliśmy przecież jechać drogą na Kuson. Wreszcie obrzydło nam to ciągłe wyczekiwanie i ruszamy naprzód sami...

Jeszcze jedno skrzyżowanie, przy którym Li skrobie się mocno po głowie, i płaska dotychczas dolina kończy się, idą góry. Szosa wije się teraz serpentynami przez pierwsze zbocza i szczyty. Z zielonych dolin na prawo i lewo wyrastają kopulaste „sopki" okryte kożuchem ciemnej zieleni. Sprawia to takie wrażenie, jakby ktoś porozsypywał zielone wyspy na płaskim morzu. Góry te wyglądają jak obciągnięte zielonym pluszem. Roślinność porastająca je jest gęsto skędzierzawiona niby karakuły. Zamiast świerków, jak u nas, same drzewa liściaste: akacje, dęby, buki, jest trochę modrzewi. Gdzieniegdzie karłowate japońskie sosenki, znane ze wschodnich ilustracji i przypominające parasole.

Wspinamy się coraz wyżej. Pierwsze wrażenie napięcia wojennego i myśli o samolotach ustępują niepostrzeżenie miejsca zachwytowi nad pięknem tych gór. „Gazik" wyje na pierwszym biegu i szarpie ciągnąc ostro pod górę. Zaczyna się seria coraz krótszych i coraz bardziej ostrych zakrętów. Góry nie robią wrażenia skalistych, wydaje się, że ulepione są z miękkiej, żółtej gliny, jakby wypłukane przez wodę. Pokrywa je bujna i przepyszna zieleń, niby w jakimś zdziczałym i zapuszczonym ogrodzie. Z jednej strony wysoki stok zwisa nad drogą

ciężkimi od liści i kwiatów gałęziami, z drugiej — otwiera się pofałdowana, głęboka przepaść zieleni. Pasmo nie jest zbyt wysokie, toteż gąszcz porasta je aż do samych szczytów. Zygzaki są ostre, droga wiuduje się coraz wyżej. Coraz piękniejszy wydaje się zielony ocean, rozlany kilkaset metrów poniżej, gdzieś w głębi dolina rozszerza się, migoce meandrem potoku, który odbija czerwień zachodzącego słońca, przechodzi w tafle ryżowych pól, ginących w sinoszmaragdowej wieczornej mgle. Odległe doliny parują szarawym tumanem. Powietrze ochłodziło się lekko, wpada do płuc świeżym, upajającym kryształem wyżyn.

Szosa staje się wąska, jakby wykrojona w stromym zboczu. Szerokimi łukami objeżdża boczne zagłębienia i odnogi dolin, przeskakuje przez rynny szumiących w tej wysokogórskiej ciszy, poniklowanych potoków. Ale ani na chwilę nie traci na wysokości, mozolnie, cierpliwie wspina się nieomal prostopadle wzwyż. Jeszcze do niedawna wśród gąszczu trafiały się małe półka uczepione kamienistych grobli, rzadkie łaty zoranej ziemi, z których wystrzelały młode, niskie jeszcze kity kukurydzy. Teraz już wszystko to zostało w dole pochłonięte przez żarłoczną dżunglę kolczastych, splątanych, nie do przebycia krzewów. Wieczór zarzucał coraz gęstsze, coraz bardziej fioletowe mgły na ten zapadnięty w przepaście dywan; okoliczne góry czerniały, stawały się granatowe. Byliśmy już w zupełnie bezludnych rejonach. „Gazik" wdziera się okrężnie na trawiasty szczyt góry i przed nami otwiera się druga dolina, zarośnięta ciemnym borem, przecięta pośrodku srebrną błyskawicą spienionego górskiego potoku, którego szum wypełniał całą głębię między szczytami. Równiny i pola ryżowe, z których wyrwaliśmy się, zniknęły za łańcuchem. Zachodnie stoki dolin pogrążone już były w czarnym cieniu. Pogoda bezwietrzna, wieczorna, cicha. Zdawało się, że gdyby krzyknąć, usłyszeliby w Antungu. Piękno dzikiego, górskiego krajobrazu tak mnie pochłania, że zapominam z kolei o czujności i ciągłym niebezpieczeństwie. Gdzież tu wojna wśród takiej majestatycznej, urzekającej swym odwiecznym przepychem przyrody?

A jednak nie jest pusto. Poprzez szum potoków i otchłani dolatuje ciężkie rzężenie ciężarowych samochodów. Pod nami, na kilku równolegle biegnących odcinkach serpentyny spoza zarośli przebłyskują złote druty samochodowych reflektorów. Kilka ciężkich GAZ-ów podąża w przeciwną stronę. Światła ich łażą ospale po zboczach wśród niezgasłego jeszcze dnia. Widziało się taki samochód gdzieś blisko w dole i potem przez długie kwadranse ginął, to znów błyskał za zakrętami i wirażami szosy, która opasywała pętlicami okoliczne zbocza

wreszcie niespodziewanie oślepiał gwiazdami reflektorów wyłażąc na prost, zza najbliższego występu. Samochody te wyglądały jak ludzie czapką nasuniętą na same oczy. Szoferki nakryte były wystającym aszkiem z płótna, który za dnia chronił od upału. Poza tym całe ich ielska umajone były tak gęsto gałęziami pierzastych akacji, że przy-ominały z daleka sunące kępy drzew. Zamaskowane, szare od kurzu, ilczące i załadowane skrzyniami z amunicją, przebywać musiały długą rogę z frontu na dalekie zaplecza. Za kierownicą — czarni, senni hińczycy.

Takie mijanki bywały niebezpieczne. Ciężarówka pojawiała się nie-podziewanie zza występu najbliższej skały, nieraz w punkcie, gdzie zerokość drogi nie przekraczała szerokości samochodu. Hamowaliśmy gwałtownie, często trzeba się było cofać o kilkadziesiąt metrów. Droga łabo ubita kołami jadących pochylała się ku przepaści, nie było żad-nych ubezpieczeń czy barier, często ziemia obsuwała się na krawędzi pod ciężarem wozu.

Oto mija nas kolumna kilkunastu zamaskowanych GAZ-ów. Świa-ła ich wędrują po całym zboczu pod nami. Znów trzeba czekać.

Zapalamy i my reflektory. Słaba ich żółtość pełza po zakosach gliny zieleni. Jestem trochę wystraszony. Pytam Li, dlaczego jeżdżą ze światłami, kiedy obowiązuje zaciemnienie. Chłopak śmieje się.

— Po górach jeździć bez świateł niesposób — tłumaczy. — Zakręty, co krok przepaść. Dawniej, na początku wojny był rozkaz, żeby nie palić świateł. Jeżeli nie kończyło się to śmiercią w dole, to zderzeniem i kraksą. Więcej maszyn tracono od wypadków niż od samolotów. W Korei jeździć po ciemku jest niemożliwe.

On sam — dodaje — jeździł bez świateł parę miesiący na froncie, to wie, co to znaczy.

— No, a jak w takim razie nadlecą nocne samoloty, to jak poznacie? — pytam speszony — Przecież ich nie widać ani nie słychać. A świecący samochód jest wyraźnym celem.

— Chińczycy pilnują — oświadczył z przekonaniem.

Nie wiedziałem jeszcze, na czym to polega. Owi Chińczycy byli dla mnie czymś magicznym.

Kolumna minęła nas — ruszamy dalej. Samochód leci na zgaszonym motorze. Bezustanne, gwałtowne zakręty rzucają nas w prawo i w lewo. Li zwija się przy kierownicy, ma niezłą gimnastykę. Co chwila siła hamowania pcha mnie do przodu. Co chwila chciałoby się krzyknąć — już, już wpadniemy w przepaść. Już, już droga kończy się ślepym urwiskiem i w ostatniej chwili — nagły zakręt za skałą. Przepyszna,

fantastyczna droga, zawieszona między pionowymi, kudłatymi od zielska ścianami. Im niżej zjeżdżamy w dół, tym gęstszy mrok. Tym silniej błyszczą samochodowe światła. W pewnej chwili, oglądając się na kolumnę, którą dopiero co minęliśmy, i widząc prawie wszystkie maszyny na prostym odcinku drogi, zauważyłem, jak światła ich kolejno gasną. Równo, jak nożem uciął, jedno za drugim. Wyglądało to tak jakby ktoś gasił kolejno lampy na ulicy. Li zgasił również. Stanęliśmy.

— *Piengi.*

Jak je usłyszał — nie wiem. Patrzył przecież przed siebie. Ogarnął nas od razu szarozielony mrok. Zaszumiały głośniej potoki. Wysiadłem z samochodu. Niebo nad szczytami było jasne jeszcze od wieczornej zorzy.

Przeniknął mnie nagły dreszcz, czy od chłodu wieczornego i wilgotnych oparów górskiej doliny, czy też z podniecenia. Ręce mi drżały. Głuchy huk toczył się po niebie. Li Ha Gion wskazał mi je ręką. Leciały ledwie widoczne w półmroku, wyjątkowo niezbyt wysoko tym razem. Wypłynęły spoza grani, wypełniając groźnym wibrowaniem dolinę. Było ich chyba ze dwanaście reaktywnych „Jetów". Nagle poczęły kolejno zniżać się nad nami, wzmagając przeciągły grzmot. Czułem, jak ręce mi wilgotnieją, jak drżą zaciśnięte zęby. Chciałem coś powiedzieć do Li Ha Giona, ale nie mogłem otworzyć ust.

W tej samej chwili trysnęły na kolorowym niebie nie mniej różnobarwne strugi światełek i ze wszystkich stron zaterkotała artyleria zenitowa. Byłem zdumiony. Nikt by nie przypuszczał, że te puste i pozornie bezludne góry obstawione są działami przeciwlotniczymi.

Klucze samolotów zniknęły za najbliższym szczytem, ale huk ich nie ustawał w cichym, wieczornym powietrzu. Krążyły gdzieś. Trzeba było jeszcze czekać. Mijały minuty, wypełnione monotonnym łoskotem nieba. Kolumna ciężarówek gdzieś przyczaiła się na zboczach, nasz „Gazik" również zjechał na brzeg szosy pod zarośla. Czekaliśmy, aż się jakoś uspokoi. Nagle wycie motorów zaczęło gwałtownie narastać. Nic nie mogłem zobaczyć, ale instynktownie kuliłem się pod krzaki, gdzie mrok był najgęstszy. I nagle góry wybuchły złowieszczym, donośnym stukotem, jak gdyby ktoś potężnym prętem przejeżdżał po sztachetach: „Pok!... pok!... pok!..." Załomotała seria z działka lotniczego, Li zrobił dziwną minę. Na jego charakterystycznej twarzy pojawiło się obrzydzenie, zdawało się, że nadepnął na żmiję.

— Bije — mruknął. — Taki jak bije, to już trafi.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie i miałem uczucie, jak gdybym był świadkiem czegoś nikczemnego i obrzydliwego zarazem. Przypomnia-

m sobie: takiego dziwnego pomieszania uczuć doznawałem w cza-
e wojny, kiedy byłem świadkiem cynicznego zastrzelenia człowieka.
oto teraz też byliśmy obecni, nie widząc wprawdzie, ale słysząc i wy-
rażając sobie dokładnie, przy jakiejś śmierci, jakimś morderstwie,
cichy wieczór, wśród najbardziej malowniczych na świecie gór.
dzieś na wstędze wyżynnej drogi pirat powietrzny przyłapał samochód
zasypał gradem ciężkich, radarem kierowanych pocisków. Gdzieś
mgnieniu sekundy w tym pustkowiu rozegrała się tragedia. Słyszeliś-
y jej bliskie echo jak jęk konającego. I oto po raz pierwszy od wielu
t poczułem zimną, namacalną bliskość śmierci i dreszcz nieprzyjemne-
lęku przebiegł mi po plecach. Uświadomiłem sobie z całą ostrością,
to samo mogło nas spotkać, że niebezpieczeństwo jest cały czas obok
as, czai się tylko i czyha. Był to jak gdyby chrzest bojowy. Od tego
omentu nie zapomniałem już ani na chwilę, gdzie jestem.
Samoloty znów zaryczały głuchym echem w dolinie. Gęstniejąca sza-
wka nie pozwalała ich widzieć. Wycofaliśmy się znowu pod krzaki.
mponował mi spokój Li Ha Giona. Kiedy ja wsłuchiwałem się w na-
ęciu w falujące dźwiękami niebo, on, lekko osłaniając dłońmi, za-
lał spokojnie papierosa. Oczywiście człowiek wystraszony przesadza.
ydawało mi się, że chce nas zgubić. Ale spojrzawszy na jego spokojną,
runatną i pomarszczoną twarz, pomyślałem, że kpi ze mnie i odpali-
m od jego chińskiej zapałki, którą potarł o kawałek skały.
Niepokój nie ustawał. Artyleria pukała, ale już gdzieś dalej. Tam
dzieś, za górami, musiało być lotnisko, jak zapewniał Li. Potem
szystko stopniowo ucichło, głuchy szum kaskady górskiej w dole znowu
ybijał się na pierwszy plan. Gdzieś wysoko zarzęziły i zawarczały sa-
ochody. Li zapalał już „Gazika". Denerwowały mnie jaskrawe światła,
óre znów zaczynały obmacywać żółtą glinę, albowiem przekonany
yłem, że jeszcze niezupełnie ucichło na niebie. Ale czas leciał. Prze-
koczywszy potok po drewnianym mostku, przerzuciliśmy bieg i „Gazik"
nów zaczął z wysiłkiem windować się na przełęcz.
Mimo iż przyroda otwierała przed nami coraz piękniejsze dekoracje
perspektywy, czułem ciągle bicie serca i zamęt w myślach. Co z na-
ymi ludźmi? Gdzie utknęły obie ciężarówki? Czy to czasem nie oni
ali się celem niespodziewanego ataku? Byłem zdenerwowany i pod-
econy do najwyższych granic, a jednocześnie wściekły na siebie, bo
rzecież zdawałem sobie sprawę, że to tylko moje nowicjuszostwo
brak obycia wyolbrzymiają wszystkie, tutaj tak codzienne sprawy.
Zmęczony i wyczerpany tym natłokiem wrażeń nie zauważyłem pra-
ie, jak minęła niemal godzina, a samochód nasz wspinał się po pochy-

łym, wyniosłym grzbiecie. Oto pierwszy dzień podróży przez płonącą nieznaną jeszcze a tak piękną ziemię dobiegał końca. Co czują nasi towarzysze, gdzie są? — nie wychodziło mi z głowy. Na chwilę po myślałem o Warszawie, o kolegach ze Związku Literatów. Uświadomiłem sobie, że tam jest teraz dopiero południe, pełne, słoneczne, letnie południe. Dzieli nas różnica ośmiu godzin czasu i dwunastu tysięcy kilometrów. Czy który z nich wyobraża sobie, gdzie ja w tej chwili jestem co robię? Dziwne uczucie ogarnia przy takich rozważaniach. Jakże bogate, nieoczekiwane i obfitujące w niespodzianki jest życie, rzeczywistość, świat, na którym żyjemy. Nie wiem czemu, ale ten przerzut myśli do Związku Literatów wydał mi się tak komiczny, że parsknąłem głośnym śmiechem. Li spojrzał na mnie z sympatią, odwracając na sekundę wzrok od kierownicy. To była zrozumiała dla niego reakcja. Korei reańczycy też na wszystko wybuchają śmiechem.

Zatrzymaliśmy się pod samą przełęczą.

— Zaczekamy trochę, *Li tomu* — mówię — może ciężarówki nas dogonią. Przecież i tak już noc.

Z tyłu za nami góry opadały w szafirowym mroku, faliście, coraz głębiej. Staliśmy jakby na krawędzi pochyłej ziemi. Tam w dole zbity gąszcz zieleni rozmazywał się w jednolitą, z każdą chwilą słabiej oświetloną szarość. Gdzieś tam zygzakami biegła biaława nitka szosy, gdzieniekępkami pierzastych sosenek, niby pojedynczymi szypułkami trawy, jeżyły się bardziej urwiste stoki. Szczyty miały charakterystyczne, kopulaste kształty, jakby stłoczone rumowisko nakrył ktoś zielonosiny obrusem. Na wyżynach cisza, migocą okruchami złota rzadko rozsypane gwiazdy — te same gwiazdy, co nad Polską. Gdzieś bardzo nisko, na stoku zbocza, wśród gąszczy gaolianowych łodyg mignęły jakieś światełka, echo jakichś rozmów czy głosów: człowiek. Z drugiej strony przełęczy, zza opustoszałego, gliniastego bunkra ziemia jak gdyby urywała się i w czerni nadciągającej stamtąd nocy ciągnęły się granatowe, bujną podzwrotnikową roślinnością porośnięte góry, kopulaste, łańcuch łańcuchem, jak nieskończone, zastygłe morze pochylonych szczytów. Morze to rozciągało się dziesiątki i setki kilometrów, nieprzeliczone aż po drugi kraniec półwyspu. Tak musiała wyglądać Korea z samolotu.

Tutaj cisza. I znów zapomina się o wojnie. Znów triumfuje wszechwładna, zasypiająca przyroda. W krzakach nad nami odezwał się znajomy, jakby polski głos: „Kuku!... kuku!...“

Zadarliśmy głowy. Li strząsnął dym z papierosa i otarłszy dłoń o granatowy drelich zrobił z nich trąbkę naokoło ust.

— Puku!... puku!... — naśladował do złudzenia jej głos.

Tłumaczył mi, co oznacza po koreańsku nazwa tego ptaszka i jego zawołania, ale niestety nie mogłem nic z tego zrozumieć. Zaczął nucić półgłosem smętną melodię „Ariran" o starożytnej przełęczy tejże nazwy, po której idzie zakochana. Gdzieś zniknęła groza samolotów i wyczerpanie nerwowe, niebezpieczne zygzaki szosy i męcząca, pełna napięcia jazda, została cicha słodycz pierwszego majowego wieczoru na tej jeszcze nieznanej, a tak swojskiej ziemi.

Jak gdyby odświeżeni wracaliśmy do samochodu. Była już ślepa ciemność, gdy spuszczaliśmy się na zgaszonym motorze w następną z kolei dolinę. Jakaś głośno szumiąca woda, drewniany most. Zdaje się, że miejsce zamieszkałe. Li zjechał na skraj szosy i stanął.

— Zaczekamy tu na samochody z ludźmi i zjemy kolację — oświadczył.

Idę prowadzony przez niego, nie widząc nic na krok. Pniemy się po stopniach z płaskich kamieni ułożonych na zboczu. Przede mną ciemna ściana chałupy. Krótkie pukanie i niezrozumiała wymiana słów. Papierowe drzwi uchylają się, aby wpuścić nas do korytarzyka. Przez szparę z wewnętrznej izby pada smuga światła. Jestem nieco zaskoczony i oszołomiony dotychczasową ciemnością. Nie widzę, kto kręci się koło nas. Głos kobiecy. Li wchodzi pierwszy do izby, ja za nim. Jestem zakurzony, w ciężkim płaszczu i pelerynie.

W pierwszej chwili przybyłego z ciemności światło oślepia zupełnie. Pod sufitem płonie jaskrawa elektryczna żarówka. Zanim przejrzałem na zmrużone oczy, Li zdjął już buty i stąpał w skarpetkach w głąb. Izba była nieduża, poza szparą przy progu glinianą podłogę miała nieco wzniesioną i całą pokrytą czystą, ładnie utkaną z żółtej słomy matą. Ściany gliniane, nie bielone. Sufitu nie było, tylko skosy i belkowania dachu również szczelnie obmazane gliną. W zakamarkach krokwi wisiały pęki suszonego pieprzu i jakichś strączkowych roślin, bodajże bobu.

W głębi izby, na macie siedziały dwie kobiety zajęte łuskaniem do wysuszonej połówki tykwy takich samych strączków, jakie wisiały pod sufitem. Ubrane były jednakowo, w białe, krótkie, bawełniane kaftany, zawiązane na kokardę po jednej stronie, i czarne lśniące spódnice do kostek z brudnego i podniszczonego jedwabiu. Spod spódnic wystawały ściągnięte w kostce nogawki szerokich wschodnich szarawarów z drelichu. Bose stopy, popękane i zrogowaciałe od pracy w wodzie, obute miały w płytkie, czarne, gumowe kalosze z zadartymi nosami. Jedna była młodsza, przystojna, z pękiem prostych, czarnych włosów, obciętych równo i związanych na plecach kawałkiem sznurka w kitę niby

koński ogon; druga — starsza, o pełnej twarzy i włosach związanych w ciasny kok, zapięty drewnianą szpilką. W jaskrawym świetle elektrycznym na twarzach obu malowała się nieco żartobliwa obojętność, spod przykrywki której rzucały kokieteryjne i zaciekawione spojrzenia, zwłaszcza na mnie. Starały się jednak zajmować swoją robotą, jak gdyby nasza nocna wizyta była czymś zupełnie naturalnym. Na tym polegały koreańska gościnność i grzeczność.

Opisuję je tak dokładnie, ponieważ tak je ujrzałem w nagłym świetle, wyszedłszy z nocnych ciemności, żywe, konkretne, realne, bliskie. I ciągle wydawało mi się to wszystko snem. Oto jestem w pierwszym koreańskim domu, widzę żywych, tak egzotycznych, a dotykalnych ludzi. Wydaje mi się, że jestem gdzieś w latach okupacji na polskiej wsi. Wyszedłszy z oddziałem partyzanckim z lasów miechowskich, odpoczywam w bezpiecznej ciszy wiejskiej chałupy. Tak tu spokojnie, po wiejsku i romantycznie. Te kobiety łuskające bób, nucące półgłosem smętną wiejską piosenkę, zaciekawione pojawieniem się obcych mężczyzn. Nagle gdzieś zginęły trudy i napięcie nocnej podróży, huk samolotów i terkot wystrzałów, świetliste pociski artylerii i dławiące dech w piersiach oczekiwanie na powietrzny atak, świadomość śmierci, wojny, strachu, to, czym żyłem przez ostatnich kilka godzin. I oto w środku tej ziemi, wypalonej, zrujnowanej i bezludnej, wśród groźnej pustyni gruzów i pożarów, ten domek w zieleni gór, ten spokój, kobiety, domowość. W samym sercu tego piekła ujrzałem, jak zwycięskie, wieczne życie triumfuje nad śmiercią i zniszczeniem niby niezłomne prawo przyrody.

Trudno mi zapomnieć tych pierwszych odwiedzin w koreańskim domu. Tyle że piosenka ma obcą, charakterystyczną melodię, jej słowa są dziwacznie niezrozumiałe, oczy kobiet wąskie, o ściągniętych w szparki powiekach. Tak, to już naprawdę Korea, kraj znany tylko z atlasów geograficznych.

Zdejmuję buty i w skarpetkach włażę na matę. Mimo że noc jest ciepła, gliniasta podłoga grzeje jak posłanie, widocznie niedawno gotowano w kuchni wieczerzę. Li droczy się z kobietami, rzuca jakieś dowcipy i chichocze. Starsza odpowiada półsłówkami, młodsza milczy skromnie.

Pytam Li Ha Giona, gdzie jesteśmy. Odpowiada: w kopalni złota. To mnie zatkało do reszty. Czysta fantastyka — a jednak tutaj to fakty. Kobiety znów mówią coś do Li szybkim, gardłowym, pełnym wybuchowych spółgłosek językiem. Słyszę słowo: *Pharan* (Polak) — to jedno rozumiem.

— Kobiety pytają, czemu ten młodszy nic nie mówi — tłumaczy mi Li dosłownie.

Ten „młodszy" to ja. Próbuję usprawiedliwić się, że nie znam języka.

— A jakim językiem mówi z Li? — nalegają gospodynie.

— Rosyjskim.

Trudno mi wytłumaczyć, że nie jestem *sorion saram* — radziecki człowiek. Li wyjaśnia te zawiłości. Jest przecież pracownikiem *pharan te sakuan* (polskiej ambasady).

Rozciągamy wygodnie zmęczone kości na ciepłym *kanie* (piecu). Ogarnia mnie rozkoszne rozleniwienie w tym nagłym, błogim i usypiającym spokoju. Wyjmujemy nasze zapasy żywności, bułki, wędliny, pomidory, zupełnie europejski wikt, i przyrządzamy kolację. Zaczynamy częstować obie kobiety. Wzbraniają się początkowo, po chwili jednak głód decyduje i dają się skusić. Nawiązaliśmy już pełną komitywę. Zadaję przez Li pytania naszym gospodyniom.

— Same mieszkacie tutaj? — pytam — A gdzie reszta rodziny?

Starsza mówi spokojnym, rzeczowym tonem o swym życiu, tak jakby to były zwykłe sprawy.

Zostały teraz tylko one dwie z małymi dziećmi. Ten dom stanowi własność młodszej, ona jest jej cioteczną siostrą. Nazywa się Sun An, a ta młodsza Kan Czen Hwa. Obie pracują w kopalni złota, która mieści się na terenie tej doliny. Mąż Kan Czen Hwa służy w armii i nie widziała go już przeszło dwa lata. Możliwe, że dostał się do niewoli. Ma dwoje małych dzieci, z którymi chodzi do pracy, na „płuczki". Sun An jest wdową. Jej syn pracuje w Phenianie w drukarni gazety partyjnej. Tu u nich jest spokojnie, samoloty zaglądają z rzadka. Kopalnia jest stara i niewielka. Pracowali w niej jeszcze ich rodzice za czasów niewoli japońskiej. Roboty mają dużo, bo poza kopalnią jeszcze kawałek pola w górach, który musi je obie wraz z dziećmi wyżywić, a pracować na polu nie ma kiedy. Zorganizowano tutaj pomoc sąsiedzką, a ponieważ większość mieszkańców okolicznych to samotne kobiety lub starcy, pomagają sobie wspólnie uprawiać pola w godzinach wolnych od pracy. Tutaj są góry, ziemia licha, ryżu uprawiać się nie da, bo to zbyt trudne, przeważnie bób, gaolian, kukurydza. Poza tym w całej wiosce nie ma ani jednego wołu i pracują tylko motykami, ręcznie. Dużo pomagają im ochotnicy chińscy, którzy stacjonują niedaleko i pilnują dróg.

Próbuję zrewanżować się im i opowiedzieć coś o Polsce. Słuchają grzecznie, ale bez większego zainteresowania. Mam wrażenie, jak gdybym opowiadał o gwiazdach. Kobiety są konkretne. Pierwsze pytanie,

zresztą typowe dla wszystkich Koreańczyków, którzy widocznie mają duże trudności z określeniem wieku „białych ludzi", brzmi:

— *Mesari?* (ile mam lat)

Następne:

— *Irum?* (jak się nazywam)

I wreszcie:

— *Madam isymnika?* (czy mam żonę)

Śmieszy mnie to słowo *madam* w ustach koreańskich wieśniaczek. To jakieś międzynarodowe pojęcie. Po pół godzinie jesteśmy już w dobrej komitywie, mimo że ciągle jeszcze zaskoczony jestem niezwykłością miejsca, w którym się znalazłem i stale mam świadomość swej obcości. Ale wydało mi się, że poznałem Koreę głębiej, jej istotę, życie normalnych ludzi pod powierzchnią wojennych, egzotycznych scenerii. Ta pierwsza kolacja w koreańskiej chacie, ten cichy wieczór i oświetlona izba upewniły mnie, że w tym kraju mimo straszliwej wojny toczy się zwykłe, twarde i silniejsze od wszystkiego życie.

Li Ha Gion pierwszy, jak kot, posłyszał w trakcie rozmowy warkot ciężarówek na szosie.

— Nasi jadą — oświadczył z przekonaniem. Jego szoferskie ucho rozróżniało warkot każdego samochodu — ZIS-y.

Pożegnaliśmy Sun An i Kan Czen Hwa. Ciemność na dworze wydawała się jeszcze gęstsza. W blasku latarki kieszonkowej zobaczyłem w dole po drugiej stronie szosy jakieś szopy i szyny wąskotorowej kolejki, urywające się ślepo. Rzeczywiście kopalnia złota...

Rzężenie sfatygowanych samochodów na wirażach górskich rosło i za chwilę w blasku latarń pojawiły się jeden za drugim nasze wozy. Ciemne sylwetki otulonych w peleryny dziewcząt, zaspanych, zakurzonych, wyglądały jak wrony.

— No, nareszcie, znaleźliście się! — wołam — Co z wami było? My już tu ze dwie godziny czekamy.

— Samochody ciągle się psuły, to jakieś straszne graty! Ale nie wyrywajcie się naprzód, jedźcie za nami.

— Dobrze. No więc jazda! Trzymamy się razem!

Zaczyna się wielogodzinna jazda przez góry. Ciągłe zakręty i wiraże, doliny i szczyty, serpentyny i przepaście. Noc ciepła. Niebo całe w gwiazdach. Niestety ciemność absolutna, słychać tylko szum potoków górskich. Podobno góry tutaj i droga niezwykle piękna. Szkoda że nic nie można dostrzec. Tylko kręgi żółtego światła wędrujące to tu, to tam, raz wyżej, raz niżej, po zboczach, znaczące ruch naszych samochodów, oświetlające fragmenty skał, to znów ginące w sieci czarnych

zarośli, pozwalają wnioskować o urozmaiceniu trasy. Ciągle mijają nas nastroszone krzakami ZIS-y i GAZ-y Chińczyków. Pasy blasku snują się w chłodnej i szumiącej ciemności gór nad, przed i za nami. Motory rzężą i wyją na pierwszym biegu.

Co kilka kilometrów w oknie reflektorów pojawia się trochę wystający na szosę bunkier z gliny i szare sylwetki stojących przed nim lub ukrytych w otworze chińskich żołnierzy. Twarze ich, ujrzane w błysku świateł, wydają się zaspane, martwe. Gwizdek długi i krótki świdruje w uszach. Machnięcie blado majaczącej chorągiewki: droga wolna.

To dodaje poczucia bezpieczeństwa. Okazuje się, że ta ciemność górska nie jest bezludna. Są ludzie, którzy troszczą się o nas. Za to, jeśli trafiamy na dłuższy odcinek bez strażnika, natychmiast przestaję myśleć o nocy i bezsenności, wydaje mi się, że Li zajęty kierownicą zapomniał o samolotach, lekceważy niebezpieczeństwo, że od tego przecież ja jestem, żeby nie gapić się, nie myśleć o niebieskich migdałach, tylko czuwać. I natychmiast jakbym obudził się, wytężam słuch aż do bólu, wbijam wzrok w czarne gwiaździste niebo i podwójnie niepokoi mnie ta cisza: jest tam ktoś w tej chwili w podgwiezdnej czerni czy nie ma? Czemu tyle czasu trwa już spokój? Gdzie te samoloty? A tyle opowiadali o wojnie na Korei...

Nosens. Śmieję się z samego siebie. Mimo to podniecenie nie ustępuje. Cały czas czekam na niespodziewane kule z góry, na ten suchy stukot, który słyszeliśmy wtedy.

Godziny mijają. Senność klei oczy. „Gazik" jedzie równo, nie za szybko. Ciężarówki przed nami straszliwie się wloką, tarasują nam drogę. Pod lada pretekstem robią postój. Zaspane postacie zeskakują ze sterty walizek i prostując zdrętwiałe nogi rozbiegają się w krzaki. Blado świecą tylne czerwone ich szkiełka w błysku naszych reflektorów.

Wreszcie Li nie wytrzymał i na którymś wirażu wyminął ZIS-y wysuwając się znowu do przodu. Kilka zapylonych samochodów ciągnie za sobą przyczepne działka przeciwpancerne w pokrowcach. Żołnierze siedzą na wierzchu w białych maseczkach gazowych na nosie i ustach. Zwykły to widok u Chińczyków. Dopiero teraz rozumiem, od czego to chroni. W zębach mi zgrzyta. Dopóki nie wyminiemy jadącego przed nami wozu — wydaje się, że człowiek udusi się w tym tumanie. Droga wyschła na proch. Z ciemnego bunkra, który wydawał się pusty, wychyla się jak z nory Chińczyk, machając chorągiewką; tak dzieci machają za przejeżdżającym pociągiem.

Stopniowo szosa schodzi w dół. W mroku słyszę ochrypłą, żałosną syrenę parowozu. Li niepokoi się.

— *Kicza* (pociąg) — oznajmia. — Już niedaleko do Kusonu...

Udziela mi się jego lęk. Pociąg gdzieś niedaleko sypie iskrami, gna, nurkuje w tunele. Zwykle na ogonie siedzi mu samolot. Swoją drogą nie wierzyłem, że tu pociągi naprawdę kursują.

Krótkie, suche puknięcie przedziera się przez jednostajny szum samochodu. Wystrzał karabinowy.

— Samoloty!...

Gasimy światła. Wszystko jak nożem uciął znika sprzed naszych oczu. Ślepo. Próbujemy dalej jechać po ciemku, staje się to jednak zbyt niebezpieczne. Droga jest kręta — z jednej strony przepaść. Trzeba stanąć i czekać. Natychmiast, jak tylko cichnie motor, odzywa się z czarnego nieba monotonny i groźny łoskot ciężkich maszyn. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że póki motor warczał, nic nie słyszeliśmy, choć lecą przecież gdzieś nad nami. Cóż by to było, gdyby nie ci strażnicy?

Stoję drżąc z niewyspania w ślepej ciemności drogi i wytężam w napięciu słuch. Gwiaździste niebo burczy, jakby kręciła się tam jakaś potężna karuzela. Nie wiadomo, czy bombowce krążą w kółko, czy też przepływają coraz nowe ich fale. Myślę o pociągu, który jest tu gdzieś blisko. Jeśli go dostrzegą, to koniec z nami — samolotów musi być masa. Noc potęguje grozę tego czającego się na niebie łoskotu. Mijają minuty; wszystko powoli cichnie — poszli gdzie indziej. Jedziemy.

Wreszcie koło pierwszej obniża się droga, jakieś skrzyżowania szos, przejazdy przez tory. W ciemności majaczą rozwalone i martwe budynki. Kuson. W miasteczku jest podwójnie niebezpiecznie. Znów słychać żałosną syrenę parowozu. Auta zatrzymują się teraz razem. Błądzimy znów na jakimś nowym rozwidleniu dróg. Zatrzymujemy się — szoferzy idą pytać Chińczyków w najbliższym bunkrze. Słyszę, jak strażnicy tłumaczą im coś kobieco piskliwymi i gardłowymi głosami. Wjechaliśmy nie na tę drogę. Trzeba wracać prawie do samego miasteczka i potem w pola, na prawo. Tam jest bułgarski szpital, w którym mamy przenocować.

Jeszcze raz ta sama droga, potem mniejsza, polna, przez jakieś zarośla, wzgórza i wertepy. Wreszcie stajemy w czarnym polu wśród pagórków. Nasz „Gazik" jest ostatni, ciężarówki już przyjechały przed paroma minutami. Stoją teraz puste, ukryte pod drzewami. Wysiadam z Li idziemy do ciemnej chałupy wśród krzaków.

Otwieram drzwi i mrużę oczy. W środku, przy długim stole nakrytym

białym papierem palą się świece, gorąco, zaduch, tłum ludzi. Nasi bez płaszczy, zaczerwienieni, piją gorącą herbatę. W progu ściska mi rękę mężczyzna czarny, rosły, mówiący po rosyjsku. Krzątają się grzecznie wokół naszych, wszyscy wielcy, czarni, brodaci, wyglądają przy nas, cywilach, jakoś frontowo, jak gromada partyzantów czy siedmiu zbójców. Wszyscy ubrani praktycznie, w zielonych wojskowych koszulach i czapkach — „kitajkach". Są serdeczni, troskliwi. Gwar, głośne okrzyki. Czujemy się jak na strażnicy wojskowej i trochę śmieszy nasz wygląd, taki cywilizowany, miejski. Rozgrzewamy się, ożywiamy, policzki nam płoną. Piję gorącą herbatę i jem jakieś keksy. Cały, długo hamowany potok wymowy i nagromadzonych wrażeń wylewa się w rozgwarze krzyżujących się pytań i odpowiedzi. Czujemy się, jak wśród rodaków i znajomych po długim pobycie za granicą.

W tej chwili z daleka dolatują suche strzały. Gwar milknie. Bułgarzy nadsłuchują. Ostrzegawcze uwagi półgłosem, gospodarze gaszą świece i uszczelniają okna. Zalega cisza. Na odkrytym polu, w tym głuchym domku z zamurowanymi oknami czujemy się jak w beczce; ciężki warkot motorów. Jesteśmy stłoczeni w ciemności, gdzieś tam mignął po stole biały krąg latarki.

— Nie świecić! Zgasić światło! — padają spłoszone okrzyki. W zdenerwowaniu przesadzamy, jak zwykle nowicjusze.

Bułgarzy nadsłuchując dzielą się krótkimi uwagami:

— To „B-29" idą na cel.

Są spokojni, nie ruszają się z izby. Warkot z zewnątrz rośnie, faluje. Wszystko słychać przez papierowe okna chaty. Któryś z nich wszedł z dworu uchylając drzwi. Wydało nam się, że na zewnątrz jest jaśniej, warkot wdarł się głośniej do wnętrza. Przybyły Bułgar mówił coś cicho, czego nie zrozumiałem. W pewnej chwili siedzący naprzeciwko zauważył:

— *Zbrosił...*

W tej chwili posłyszałem charakterystyczny szelest, jak gdyby ktoś strzepywał ręką arkusz gazety. Ziemia zadrżała, zadzwoniły naczynia. Silna detonacja i łoskot bomby. I zaraz druga, głośniej, bliżej. I trzecia, czwarta, jeszcze bliżej. Nasi ludzie kręcą się niespokojnie. Chwila ciszy, i znów, coraz bliżej. Serca biją gorączkowo. Ziemia i chałupy drżą. Bułgarzy mówią, że lepiej, abyśmy wyszli na dwór. Jest nas duża gromada, a skryć się nie ma gdzie, schronów żadnych.

Ale zawsze lepiej na otwartym powietrzu. Czujemy, że sytuacja jest groźna, choć Bułgarzy uspokajają nas. Tak u nich zwykle. Takie miejsce — lotnisko niedaleko. Na dworze ciemna, wilgotna noc. Nic nie

widać. Potykamy się i przewracamy na jakichś wybojach. Łoskot bomb narasta, widać żółtawe, szybkie błyski wybuchów.

Dziewczęta robią zamęt i panikę. Błądzą po polu, gubiąc rzeczy; wymyślania, krzyki. Musimy wobec Bułgarów wyglądać jak durnie. Trudno się dziwić, kobiety są wyczerpane nerwowo, wstrząśnięte nędzą, którą widziały dzisiaj po drodze, rozstrojone. Teraz się boją.

Przelatują nowe samoloty i znów walą, ale dość daleko na szczęście. Powoli uspokaja się, wracamy do chałupki.

— U nas tak często — mówi wysoki Bułgar. — Dwie noce temu przejeżdżała i nocowała u nas pierwsza grupa waszych towarzyszy polskich i też trafili na nalot.

Dopijamy wystygłą herbatę. Ale senność zabija. Jest już druga w nocy. Idziemy spać na jeden z oddziałów bułgarskiego szpitala, prowadzeni przez Koreańczyków. Tutaj w chałupie wszyscy się nie pomieścimy. Samochody znów podwożą nas kilometr przez pole, potem maszerujemy jeszcze kawał jakąś miedzą. Wśród łodyg kukurydzy ciemne, wiejskie chaty. Wewnątrz śpią koreańskie siostry. Noc była znowu cicha i ciepła, ledwie gdzieś na wschodzie poczynało lekko błękitnieć. Z ciemności, z izby, na progu której zatrzymałem się, buchało gorąco i dusznota, unosił się kurz roztartej słomy. Wydawało nam się, że będzie niemożliwością zasnąć tam, a sen walił nas z nóg. Postanowiliśmy przenocować na świeżym powietrzu. Pokładliśmy się na ławkach i na ziemi pod ścianą obórki, podłożywszy peleryny pod głowę. W ciemnościach oficer-tłumacz nalegał, żebyśmy poszli do chaty. Uparliśmy się. Byłem tak senny, że przestałem w ogóle reagować na namowy, zapadając w drzemkę.

Wstawał przedranny chłód. Już na wpół śpiąc, czuję w ciemności, jak czyjeś ręce otulają mnie przyniesioną z izby kołdrą, troskliwie owijają kocem. To koreańskie dziewczęta. Wiedzą, że *Pharan kuni* i *Pharan kanon* przyjechali z odległej Polski, że jadą ratować ich braci, leczyć rannych żołnierzy. Pomagać. Wdzięczność i serdeczność okazują milczącym gestem. Nie widzę tej dziewczyny, która mnie okrywa, nie potrafię przemówić do niej ani jednego zrozumiałego słowa, a jednak ten wzruszający akt troskliwości sprawia, że nagle czuję całą bliskość tych ludzi. Zginął dystans dwunastu tysięcy kilometrów, obcość i egzotyka pierwszego dnia w Korei. Pod tym wszystkim objawił się człowiek.

Zasnęliśmy dopiero o czwartej, obudziliśmy się już o siódmej. Trzeba jechać dalej. Za dnia wszystko wygląda swojsko; te pola jak jasnozielony szczypiorek, samotne górki wyrastające z rzadka z równiny, ko-

reański gliniany domek z wygiętym dachem z czarnej dachówki, snopki słomy ryżowej, na których śpimy. Idziemy spiesznie do ciężarówki stojącej za miedzą. Koreańskie siostrzyczki o twarzach okrągłych jak małe kotki tworzą malowniczą grupę, wymachując dłońmi na pożegnanie. Podjeżdżamy do domku — świetlicy Bułgarów, gdzie nocowała część naszych, ażeby zjeść śniadanie. Gościnni gospodarze wszystko przygotowali.

— *Zdrawstwujcie! Kak, oddychnuli niemnożko?...* — pytają troskliwie. Jest między nimi kilka kobiet starszych i tęgich. Wszystko to wygląda jak na jakimś letnisku czy „daczy".

Wyjazd jednak opóźnia się.

Stefa wychodzi oparta na lasce, sycząc z bólu. Noga w ciągu nocy spuchła. W kolanie utworzył się wylew. Doktor Jezierski stwierdza:

— Trzeba założyć gips, inaczej nie wolno ci się ruszać.

Chirurg bułgarski i politruk mówią to samo. Pod ich opieką Stefa kuśtyka do drugiej chałupy, gdzie będą robić opatrunek.

— Oto nasza pierwsza ofiara wojenna — mówimy półżartem.

Mamy parę godzin czekania. Niedobrze, bo przed południem, w niebezpieczny czas będziemy musieli przebyć odkryty odcinek drogi, zanim nie wjedziemy w góry.

Ale czas nam się nie dłuży. W czworoboku podwórka, zabudowanym ze wszystkich stron podcieniami i werandą zagrody, typową dla koreańskiej wioski, w ostrych blaskach porannego słońca stoi na kamiennym progu walizkowy patefon i obracająca się z niezmąconym spokojem płyta chrypi cienko fokstrotta. Ten zagubiony w przestrzeni angielski głosik brzmi tutaj szczególnie śmiesznie. Na glinianym klepisku grubi Bułgarzy w rozpiętych koszulach tańczą z powagą z naszymi jasnowłosymi dziewczętami w gabardinowych mundurkach. Wygląda to na majówkę podmiejską, a nie scenę z wojennego dnia Korei. Bułgarzy są szarmanccy, godni, tańczą, jak gdyby nie schodzili z dancingowego parkietu. Obok hasają, już bardziej skocznie, pyzate *kanonki* w wypiętych portkach i nasz wytworny major Czen ze złoconymi naramiennikami i koalicyjką. Którejś z dziewcząt koreańskich wychodzi spod czapki grzywka czarnych włosów, a na pasie majta się w takt fokstrotta wielki pistolet w ceratowej kaburze.

Szoferzy z umazanymi oliwą, czarnymi łapami szczerzą zęby. Z tyłu zielona korona gór jak łagodne przęsła dalekiego mostu. Czy widział kto oryginalniejsze *dancing party*?

Około dziesiątej przyprowadzają Stefę z białą, grubą, gipsową nogą. Gips jest jeszcze mokry, trzeba, żeby zaraz siadła i nie ruszała się z sa-

mochodu. Ponieważ nie może drapać się na wysoką ciężarówkę, przesiada do Li Ha Giona, na „Gazika". Ja natomiast przenoszę się na stertę walizek, między dziewczęta.

— Do widzenia! — żegnamy przyjaciół Bułgarów. — Oczekujemy was u siebie, jak tylko zainstalujemy się w Hiczonie.

— Owocnej pracy!... *Da zdrawstwujet mir!...*

— Niech żyje pokój!...

Jeszcze raz za dnia spoglądamy na „szpital" bułgarski: kilka chłopskich chałup na otwartym polu. Jak oni mogą pracować i żyć w takich warunkach, bez żadnej osłony...

Po raz drugi przejeżdżamy przez Kuson. Dzień jest słoneczny, pora największego ruchu w „rozkładzie jazdy", trzeba patrzeć na niebo. Znów oglądam to, co się nazywa w Korei „miastem". Widać, że nie są to uprawne pola, że były tu jakieś zabudowania i żyli ludzie. Droga kręci się wśród pól zasypanych gruzami. Zarośnięte zielsko na przemian z okopconą gliną. U nas na pogorzeliskach sterczą chociaż kominy, tutaj kominy też są drewniane. Mam wrażenie, iż jest to dzielnica jakiegoś miasta, w której przeprowadzono rozbiórkę. Ale znów te leje jak ogromne oka podeszłe wodą... Mija nas parę dwukołowych arb ciągnionych przez byki. Wiozą belki drzewa — czyżby na budowę?

Nad pogorzeliskiem góruje tylko zawalony pordzewiałym żelastwem wysoki nasyp kolejowy. Major Czen patrzy w niebo. Pierwsza część drogi do Jongbion jest szczególnie niebezpieczna. Szosy wijące się gęsto, wszystko odkryte, nawet nie zarośnięte drzewami, miasteczko, koleje, mosty... Potem będą już góry. Oby najszybciej przeskoczyć tę trasę. Szoferzy pędzą, jak tylko mogą. Kurz. Gorąco. Jesteśmy białoszarzy od pyłu. Z opatrunków polowych, które każdy ma przy sobie, robimy gazowe maseczki na nos i usta, wzorując się na mądrych Chińczykach. Ale niewiele to pomaga. Wiatr bije w oczy. Przestajemy zwracać uwagę na nasz coraz bardziej żałosny i coraz mniej cywilizowany wygląd. Tak jak nasze walizki, które stopniowo gniotą się pod butami jak papierowe torby, tak i nasz stosunek do wielu spraw, łącznie z własną powierzchownością, zaczyna ulegać deformacji. Trudno — taki tu świat i trzeba się doń przystosować.

Zaczynają się długie godziny podniecenia. Dzień pogodny i słoneczny, niebo błękitne, bez chmurki i na odkrytej, prawie bezdrzewnej równinie trzy samochody załadowane ludźmi, wlokące za sobą białe tumany pyłu widocznego na tym tle na kilometry. I nic — cisza, spokój wiejski. Ciągłe wyczekiwanie zaczyna przechodzić w pewną formę zniecierpliwienia. Tyle słyszałem, tyle mówiło się o tych samolotach, a tu wa-

runki jak nigdy i idealny spokój w powietrzu. Jestem niemal rozczarowany. Raz po raz łapię się na tym, że zapatrzony w mijane krajobrazy czy zagadany z kolegami, zapominam o czujności i wtedy znów przez kilka minut widzę tylko głęboki, czysty błękit nad głową. Ciekaw jestem, jakbyśmy zdążyli wyskoczyć z tych wysokich, zatłoczonych ciężarówek.

Droga jest na razie niezbyt ciekawa — długie, proste odcinki wśród zielonkawych, szklistych, niekończących się pól ryżowych. Rozgrzane powietrze drga nad nimi jak nad podmokłymi łąkami u nas na Mazurach, układając się w przedziwne, kleiste miraże. Od czasu do czasu mijamy wioski z kilkoma szarymi od kurzu, glinianymi domkami ze strzechą. Wyglądają jakby nakryto je jednym pokosem słomy, opadającym ciężko i niezdarnie z obu końców. Czasem wygięty dach z japońską czarną dachówką, potłuczoną i poobsuwaną z krokwi. Chaty te z bliska okazują się nadszarpnięte wybuchami, wypatroszone, bezludne, puste. Czasem tylko gnieździ się w nich grupa ochotników chińskich. Szosa, którą jedziemy, jest jakaś boczna, wąska, prawie żadnych samochodów nie mijamy w drodze. Tutaj chyba strażnicy nie stoją nawet w nocy.

Ciągłe wpatrywanie się w niebo nuży wzrok. Coraz piękniejsza okolica przyciąga uwagę, a spokój stopniowo usypia dotychczasowe napięcie nerwów. Gorące, nieruchome południe. Z płaskiej jak deska równiny znów zaczynają wyrastać garbate, jakąś kosówką z tui porośnięte wzgórza. Droga kluczy między nimi pętlicami. Mijamy idące gęsiego skrajem szosy grupki żołnierzy. Białe ręczniki zarzucone na kark i czoło wystają spod czapek. Ocierają nimi pot. Każdy żołnierz ma przerzuconą przez ramię długą kiszkę z zielonego płótna, pełną prażonego ryżu. Ta kiszka z ryżem to żelazna porcja żołnierska.

Droga dogania jakąś dolinkę, w której wije się zielonkawa rzeczka podmywając pionowe, szare skały na nagłych zakrętach. Jedziemy przez dłuższy czas wzdłuż połyskliwej wody na parapecie skalnym. Rzeka coraz szersza i skałki nie opuszczają już nas. Betonowy most, cudem nie rozbity. Jedziemy dalej wzdłuż drugiego brzegu na takim samym skalnym podmurowaniu. Upał coraz straszliwszy. Zatrzymujemy się, ukrywszy samochody pod drzewami, i podążamy zjeść obiad nad rzeką. Politruka trzeba nieść na plecach — nie może się ruszać z tą swoją zagipsowaną nogą.

— No, teraz dopiero odczułem wagę spraw polityczno-wychowawczych w naszym zespole — żartuje Mietek Cegielski.

Wśród krzaków wikliny nad rzeką rozbijamy puszki konserw.

Szczególnie smakują chińskie kompoty z ananasów i jakichś nieznanych owoców, które idealnie gaszą pragnienie.

— Ta nasza „kiszka z ryżem" jest na szczęście dość urozmaicona — zauważam, osuszając ostatnią puszkę.

Humory, jak to u Polaków, poprawiły się. Nasza podróż zaczyna przypominać przyjemny wakacyjny piknik. Gdzież ta wojenna groza? Jadzia Binkiewicz, siedząc nad samym brzegiem wody, rozplata i rozczesuje długie, złote warkocze. Żołnierze z eskorty przyglądają się „dziewczynie o białych włosach". Doktor Kowalski recytuje Heinego balladę o Lorelei.

Ruszamy dalej. Droga kręta, przylepiona do urwiska, skały nad pieniącą się coraz bardziej górską rzeką, przypomina przełom Dunajca w Pieninach. Wreszcie jeszcze jedna bezludna wioska, trochę pól ryżowych i przed nami staje ściana gór. Stłoczone majestatyczne szczyty, sięgające dwóch tysięcy metrów, granatowosine, choć do samych wierzchołków zarośnięte zielenią. Nie widać ich zresztą, bo wyżej toną w oponie chmur niby w brudnych mydlinach. Często też chmury warstwami przecinają je poniżej, gdzieś w połowie ich wysokości, dając miarę niezwykłego ogromu.

Żółta droga wspina się prawie pionową serpentyną na sam szczyt olbrzymiej przełęczy. Auta, rzężąc na pierwszych biegach, windują się nieskończonymi zakosami wciąż wyżej i wyżej. Pod nami, jak z samolotu, nisko, widok bezkresnej, błękitniejącej w oddali doliny, szyby pól ryżowych. Srebrne kolano rzeki u stóp tysiącmetrowej skały. Piętro po piętrze, wyżej i wyżej. Wreszcie grzywka japońskich sosenek na urwisku, strażnica wojskowa z wydeptaną ścieżką i siodłata przełęcz. Wdrapaliśmy się na mur. Z drugiej strony zielona, ze wszystkich stron obmurowana trawiastymi szczytami dolina. I znów zygzaki w górę, jeszcze raz to samo. Na podniebnych ścieżkach grupki żołnierzy wędrujących z pękami gałęzi na czapkach.

Nareszcie z drugiej strony otwiera się wspaniały wysokogórski wąwóz dużej, lśniącej jak zakrzywiona szabla, szafirowo-tęczowej w środku, śnieżnej od piany po obu stronach rzeki Czongczonganu. Czegoś równie pięknego jak ten olbrzymi kanion nie widziałem nigdy w życiu. Bladym porównaniem może być droga z Żegiestowa do Krynicy. Ta była sto, tysiąc razy dziksza i piękniejsza. Z jednej strony nad samą rzeką wykuty w skale i nurkujący w czarnych tunelach tor kolejowy, z drugiej jaskółczo przylepiona do zwisającej nad głową płyty kamiennej szosa. Przez rzekę przerzucone od czasu do czasu wysokie, białe betonowe mosty, przeważnie zerwane bombami. Obok każdego wyso-

ciego i zniszczonego mostu, niżej, prawie na wodzie pomocniczy objazd. Nieraz po trzy równolegle obok siebie. Gdy zniszczą jeden, ruch trwa na drugim. Tuż obok, na brzegu, leżą przygotowane przez Chińczyków całe gotowe segmenty zapasowe, zmontowane z szynami i podkładami, zamaskowane zielenią. Czekają, aby je w ciągu dwóch, trzech godzin ustawić na odpowiednim miejscu. Oto mijamy grupę żołnierzy chińskich w żółtych koszulach gimnastycznych z czerwonymi hieroglifami na piersiach i plecach. Zakasawszy nogawki przesuwają nad samą wodą jedno przęsło takiego prefabrykowanego mostu po drewnianych klocach. Od magazynów w grotach skalnych odprowadzają prowizoryczną bocznicę. Nosowo, śpiewnie pokrzykują do taktu.

Jedziemy tym przełomem przy wtórze coraz nowych okrzyków zachwytu, jakie wyrywają się z naszych piersi. Coraz piękniejszy zakręt potężnej rzeki, coraz dziksze urwiska, progi skalne i zielone góry, jak gigantyczne kopce zagradzające nurt wody, zmuszające kapryśny Czongczongan do pętlic i gwałtownych zakrętów. Woda w cieniu gór szafirowostalowa, w słońcu seledynowa jak szmaragd, osrebrzona na głazach jak białko ubite na pianę. Raz po raz samochody wspinają się na górę, a płyta rzeki ucieka w bok, omijając górskie przylądki i cyple. Tor kolejowy to ginie przewiercając na wylot skały, to rdzawi się na betonowym skosie. I takiej drogi mamy do przebycia około 50 kilometrów. Pięćdziesiąt kilometrów tego cudownego przełomu, mozolnej wspinaczki po serpentynach i zakosach przepaścistych, zielonosrebrzystych gór, coraz nowych fragmentów krętej, barwnej jak pawi ogon rzeki.

Mijały godziny. Jęczały motory starych ciężarówek, denerwowali się Koreańczycy z konwoju. Wieźć taką grupę w biały dzień samochodami — niezbyt to bezpiecznie. A każdego z tych ludzi trzeba za wszelką cenę dowieźć w całości — toć to lekarze i siostry, którzy przyjechali w ślad za lekarzami radzieckimi i chińskimi, węgierskimi i bułgarskimi, rumuńskimi i czeskimi leczyć żołnierzy. Pomagać. Ci ludzie są potrzebni — ranni czekają.

Ręce szoferów przez długie godziny nie wypuszczały kierownicy. Bezustanne napięcie, ciasne wiraże górskie, mijanie jadących naprzeciw samochodów, wlewało w oczy zmęczenie. A tu jeszcze upał i ten straszliwy huk. Wytrzymałość szoferów koreańskich jest godna podziwu.

W pewnej chwili przejeżdżaliśmy obok szczeliny, w której srebrzyła się czysta, źródlana woda. Szofer zatrzymał wóz na sekundę. Mokry, czarny skoczył do rowu i zanurzywszy dłoń zwilżył chłodem twarz. Nie próbował nawet pić czy myć się. Wiedział — tych ludzi musi dowieźć

jak najprędzej. Na ich ręce czekają ranni bracia. Trwało to jak mogło najkrócej. Pędziliśmy dalej.

Jest już późne popołudnie, a Czongczongan coraz bardziej zwęża się i zwija. Wreszcie dolina pęcznieje. Potężne, szeroko rozsiadłe szczyty cofają się w głąb, wieńcząc czoła w wacie niesfornych obłoków. Dolina rozszerza się i traci swoją dzikość. Rzeka zakręca — z prawej strony wpada do niej spory dopływ. Przed oczyma naszymi ukazują się jakieś zburzone i podparte belkami mosty. Tu i ówdzie rumowiska domów i ślady bombardowań. Znajomy widok — charakterystyczne, zaśmiecone wzgórza, jak gdyby ślad po jakimś trzęsieniu ziemi, przez które biegnie kilka przecinających się dróg. Oto teren miasta Hiczonu. Za kilkoma wyludnionymi domkami widać pagórek, a na nim nienaruszony jakimś dziwnym trafem pomnik-obelisk z gwiazdą u szczytu, wzniesiony w 1945 r. na cześć żołnierzy-bohaterów Armii Radzieckiej. Poniżej zniszczone rampy kolejowe, zakopcony tunel, w którym przepada reszta nasypu. Widać, że kiedyś był tu kolejowo-drogowy węzeł komunikacyjny, w samym sercu tych gór, widać, że i miasteczko musiało być niebrzydkie. Nieprzypadkowo zrównano je z ziemią tak dokładnie i precyzyjnie.

A więc nie jesteśmy w takiej głuszy, jak nam się początkowo wydawało. Oto stacja i linia kolejowa, po której nasze wagony, nasz transport szpitalny przyjechały prosto z Polski. Doprawdy wierzyć się nie chce, że tymi szynami zajechać można do Warszawy. Między chałupkami — kilku gapiących się na nas cywilów. I w tej chwili, kiedy zakurzony, zgrzany rozglądam się naokoło, zza rogu z kawaleryjskim fasonem wyskakuje nasz „Willis". Hamulce piszczą, staje jak wryty, cofa się dziarsko, niby na popisie. Za kierownicą Mietek Magiera, blondynek o niebieskich oczach. Z wozu wybiegają dyrektor szpitala, Wiechno, i docent Barcikowski. Obustronny wrzask radości i wymachiwanie rękami. Czekali na nas. Pierwsi to Polacy, jakich spotykamy w Korei. A więc jesteśmy w domu. Zeskakujemy, prostując zesztywniałe nogi. Grupa żołnierzy koreańskich siedząc na progu patrzy na nasze powitanie. Błyskają białymi zębami.

— Jak przeszła droga? Bezpiecznie było? — pyta Barcikowski.

— Jak tu cudownie! Wierzyć nam się nie chce, że w takiej okolicy będziemy mieszkali! — padają okrzyki zachwytu. Trzeba podzielić się z kimś swoimi uczuciami, wyrzucić z siebie natłok wrażeń.

Wszyscy mówią naraz. Przestaliśmy czuć się obco, jesteśmy u siebie, w domu. Wiechno i Barcikowski, którzy przyjechali z trójką kwatermistrzowską jeszcze przed pierwszą grupą z Polski, opowiadają, że tran-

port nasz przyszedł w dobrym stanie. Przeprowadzono ich z Mandżurii prosto linią kolejową na Mampho i stąd do samego Hiczonu. Tak więc szpital nasz przyjechał koleją z Warszawy aż tu, w samo serce gór, niemal na samo miejsce. Koreańczycy zorganizowali wszystko świetnie — zdaliśmy wspólnie trudny egzamin. I gdzież ta przewaga amerykańskiego lotnictwa, gdzież ten zerwany transport? Nabieramy wszyscy otuchy. Jak dotąd, udało się najtrudniejsze. Jesteśmy pomimo zmęczenia w doskonałych humorach.

— Powiedz, czy Szwajcaria może równać się z Koreą? — pytam Stefy Seniow, która siedziała w Alpach przez kilka lat.

Urok przebytej drogi nie wychodzi mi z pamięci.

Dyrektor Wiechno opowiada nam o czekających nas kwaterach. Podobno jak na warunki koreańskie wybudowano nam pomieszczenia luksusowe. Trzeba jednak ruszać dalej. Do miejsca szpitala jest jeszcze około 16 kilometrów. „Willis" dyrekcji jedzie przodem. Aha, jeszcze jedna wiadomość — o sześć kilometrów od nas jest szpital czeski.

Za Hiczonem wysoka, mozolna przełęcz i znów otwiera się zielona dolina Czongczonganu. Szosa wije się tuż pod skałą nad wodną kipielą. Na fali pnie drzewne i tratwy. Malowniczość dzikiego ogrodu. Jesteśmy zaskoczeni tak niezwykłym, a zupełnie nieznanym pięknem tego kraju. O bombach, o bakteriach, o zburzonych miastach wiedzieliśmy jeszcze w Polsce, o pięknie tego kraju nic. Czemu o tym nie pisano? Kiedyś będą tu przyjeżdżać chyba turyści z całego świata.

Rzeka zakręca — wokół niebotyczne szczyty, coraz mniej splątanej roślinności, coraz więcej skał. Cudem nie rozbity most. I znów jaskółcza czy raczej kozia szosa nad wodnym pluskiem. Jakiż soczysty szafir tej wody! A tuż obok czarna, wisząca wypukło nad głową, chropawa ściana skalna, jak potężne, betonowe skarpy spadająca w wodę. Szerokość drogi równa osiom samochodu. Nie ma widoków na mijanki. W każdej chwili można ześliznąć się w niczym nie zabezpieczoną przepaść.

Wreszcie odjeżdżamy od Czongczonganu w jedną z bocznych dolin. Jedziemy żwirowatym dnem potoku. Naokoło na zboczach — półka gaolianu. Wreszcie okrzyki:

— O! O!...

W zacisznej kotlince między górami widać przylepione do zboczy i zamaskowane gałęziami domki z kamienia, zielone namioty, stosy żółtych skrzyń. Oto obóz szpitalny, nasza baza na długi szereg miesięcy. Z nieopisanym wrzaskiem radości nadbiegają chłopcy i dziewczęta w szafiro-

wych sportowych dressach. To koledzy z pierwszej grupy, którzy przyjechali parę dni przed nami. Przywitania i pozdrowienia nie mają końca. Nareszcie wszyscy jesteśmy w kupie i na miejscu.

Wchodzimy do wnętrza domków ciągnąc bagaż. Domki są naprawdę piękne, pachną świeżym drzewem ścian i sufitów. Wszędzie wygodnie, łóżka już stoją. Trochę wstyd mi tego luksusu i komfortu po tym wszystkim, co widzieliśmy jadąc przez Koreę. Dlaczego my mamy żyć w takich uprzywilejowanych warunkach?

Myjemy się w lodowatym potoku, który bełkocze pod oknem, przebieramy w lekkie ubrania i na kolację do sali świetlicowej... Jakie tu wszystko niskie mimo wygody! Jakie chłodne, górskie powietrze!... Przyjechaliśmy wreszcie. Od jutra zaczynamy pracę.

Sytuacja, w jakiej znaleźliśmy się na miejscu, przekraczała najśmielsze marzenia. Przygotowani byliśmy na najgorsze. Że przyjedziemy na gołą ziemię, że wszystko będziemy robić sami. Tymczasem przyjechaliśmy zasadniczo na teren istniejącego już szpitala, obliczonego na kilkaset łóżek. Zamieszkaliśmy w gotowych, czyściutkich ziemiankach. Żołnierze kończyli układać z kamieni ściany ziemianek operacyjnych. Weszliśmy do istniejącego wojskowego szpitala koreańskiego, chodzi tylko o to, ażeby w ciągu możliwie najkrótszego czasu przejąć go, przekształcić i rozszerzyć do rozmiarów planowanych przez nas w kraju. Tak wygląda sytuacja formalnie. Praktycznie trzeba było na bazie istniejącego zbudować jak gdyby nowy. Mówiąc szpital, mamy przed oczyma szereg jasnych pawilonów w zieleni, biało lakierowane ściany, błyszczące czystością linolea. Mimo wysiłków władz koreańskich, mimo rosnącej pomocy krajów demokracji ludowej, szpitale walczącej Korei to ciemne, podziemne nory, gdzie na ściśniętych pryczach leżą pokotem ranni i chorzy, gdzie przez zgniły, słomiany dach leje się woda w czasie straszliwych ulew, gdzie między pryczami grzęźnie się w miękkim błocie, gdzie operacji dokonuje się w ciemnej, ciasnej klitce chłopskiej, glinianej chałupy. Gdzie w nielicznych, ocalałych chatach wśród gór gnieżdżą się, czekając dniami na lekarstwa, gorączkujący chorzy. Gdzie oddział od oddziału, ziemianka od ziemianki oddzielone są bezdrożami, potokami nie do przebycia, kilometrami gór. Zawieszony w błękicie lotnik nie może widzieć zgrupowania baraków, może widzieć tylko zieleń zamaskowanych, pustynnych dolin.

W pokoju naszym razem z nami mieszka dwóch oficerów koreańskich, podporucznik Lim Ho i kapitan Pek Kuan Jon, obaj są tłumaczami na rosyjski. Poza tym prócz mnie kucharz Jaś Grzybowski

KBW i Marek Sznajderman, lekarz. Z sąsiadów koreańskich cieszę ię, będę miał źródła informacji. Ta półpodziemna izba i mundury ko- eańskie oraz pasy wiszące na gwoździu w ścianie uświadamiają mi, że aprawdę jestem na wojnie w Korei, bo ciągle jeszcze trudno mi w to wierzyć...

Po śniadaniu, podzieleni na brygady i grupy, idziemy na stanowiska v dolinach, gdzie leży zwieziony transport. Upalne słońce koreańskie ›raży jak rozpalona blacha. Półnagi, w lekkich, chińskich drelichach, ›rzystaję co parę minut i ręcznikiem ścieram strumienie potu, które eją się po plecach i piersiach, ściekają jak w kąpieli z uszu i nosa.

Bezwładność i zmęczenie ogarniają organizm, osłabiony nadmiernym wydzielaniem potu. Całe ręce pokryte są zadziorami i zadrapaniami, ›alce starte do krwi. Ciągle ktoś, sycząc, wyciąga drzazgę. Na białym, ›ezchmurnym niebie rysują się soczystymi konturami kopulaste, wyso- ie, choć okrągłe i pokryte ogrodową zielenią, góry. Korea. Obok nas ia setki kilometrów ciągną się łańcuchy takich samych szczytów, prze- omy pienistych rzek, rzadkie drogi żółtymi serpentynami wiszące nad ›rzepaścią. W dostępniejszych dolinach błyszczą oszklone tafle ryżo- wych pól jak okna wielkich inspektów w zielonych ramach. Na zbo- :ach pryskając iskrami migocą srebrne nitki potoków.

Wzdłuż doliny Pharanganu (tak nazwaliśmy bezimienną rzeczkę) w zaciszu odgałęziających się od niej kotlin błyszczą złoto w słońcu ›zrzucone na pięciu stanowiskach stosy skrzyń. Słabo zamaskowane ielenią, mogą łatwo stać się pastwą samolotów. Nie po to transporto- wano je z narażaniem życia tak daleko, aby zniszczone miały zostać ia miejscu przeznaczenia. Poza tym te skrzynie — to szpital; trzeba je ak najprędzej rozładować i roztransportować do właściwych ziemianek. Tak więc od paru dni trwa ciężka, pośpieszna praca przy sortowaniu ›zrzuconego w chwilach zwózki transportu i rozładowaniu pięciu sta- nowisk. Kilka tysięcy skrzyń — to nie żarty. Zwłaszcza gdy nie ma ładnych pomocniczych narzędzi prócz rąk i grzbietów.

Barbara Warda, przyszły kierownik sali operacyjnej, kieruje jedną grupą, Eugenia Sigalin, kierowniczka apteki szpitalnej — drugą grupą. Na jedno stanowisko grupa Wardy zwozi sprzęt medyczny, na drugie grupa Sigalin — leki. Osobno pracuje grupa Borunia, kwa- termistrza szpitala, magazynując sprzęt gospodarczy, osobno grupa Fiszera organizując bazę techniczną i warsztaty. Co chwila zajeżdżają samochody, nasze poczciwe „Lubliny", tłukąc się niemiłosiernie po wer- tepach i kamienistych potokach. Gromady półnagich ludzi wytaczają spod maskującej jedliny i dźwigają na platformy ciężkie, pięćdziesięcio-

i stukilowe skrzynie. Prężą się nie przywykłe do dźwigania grzbiety, trzeszczą ryżowe powrósła. Jasnowłose głowy Polaków schylają się obok smolistych czupryn koreańskich. Szafirowe dressy przeplatają się z zielonymi drelichami żołnierzy. Przy tej robocie zmieszali się wszyscy. Doktorzy zapomnieli, że są doktorami, chirurdzy — chirurgami, pielęgniarki — pielęgniarkami. Na ten czas wszyscy przestali być tym, czym byli dotychczas, wszyscy przemienili się w robotników fizycznych.

Oto delikatna Jadzia z rozwianym, złotym warkoczem, z zaczerwienioną od wysiłku twarzą dźwiga skrzynie konserw, oto okrągła internistka, Kuźmińska, zgina się pod belą materaców szpitalnych. Obok naczelnego chirurga dźwiga stolnicę do ciasta kierownik interny, filozofujący doktor Kowalski, pokpiwając dobrodusznie ze swego utytułowanego kolegi od skrzyń.

Załadowane auta odjeżdżają, podjeżdżają nowe, góra skrzyń nie topnieje. Niektóre paki rozwala się na miejscu, rozdzielając zawartość, inne dźwiga po kilku w takt koreańskiej, rytmicznej pieśni roboczej, z głośnym: *eja-eja!...*, monotonnie i na przemian. Na zboczach górskich wyrastają rozpięte namioty, kopie się doły, buduje latryny i mosty.

Brygada z ZOM-u, złożona z bezrobotnych internistów pod kierunkiem Jurka Fernera, oczyszcza i zbroi teren.

Ciężka praca trwa od kilku dni. Nikt nie stroni od najbardziej końskiego wysiłku. *Pali, pali* (prędzej, prędzej) to było hasło na codzień.

Wątłe dziewczęta i szpakowate panie zawstydzają młodych felczerów. Kobiety dźwigają na równi z mężczyznami, dyrektor z magazynierem. Szczególnie niezmordowane i ofiarne są: laborantka Sonia i przewodnicząca organizacji ZMP, Hania Kałużyńska. Pucołowate, czerwone siostrzyczki koreańskie taskają jak mrówki ciężary. Wąskie czarne — i wesołe niebieskie oczy spoglądają na siebie; skóra jest jednako brunatna i spalona od słońca. Któż tam bzdurzył o skórze „białej" i „żółtej"?

Późnym wieczorem orzeźwiająca struga lodowatej wody z potoku, głód i znużenie, ociężałe znużenie w kościach. Poczucie zdrowia, siły i dumy. Nocą te same brylantowe gwiazdy, co nad Warszawą, wielkie, zielone świętojańskie lampki i świerszcze, jak chińska opera, dzwoniące przenikliwie w miedziane blachy.

Czasem w dzień na błękicie nieba punkciki odrzutowców amerykańskich kreśliły białe smugi przelotów, czasem w nocy wystrzał wartownika wyrywał z mroku ciężki, dudniący i przenikający chłodem serca huk B-29 idących na cel. Byliśmy prymitywni i swobodni jak przy-

roda, byliśmy silni i zaciekli jak koreański żołnierz. Tylko ręce twardniały i serca. Zrastaliśmy się z ziemią koreańską w bezpośrednim dotknięciu dłoni i łopat. Nie wstydziliśmy się pionierki, nie narzekaliśmy, ale chcieliśmy ją jak najprędzej skończyć, aby przejść do swej właściwej pracy. Tego dnia nie mogliśmy się doczekać.

Początek czerwca zlewał z nieba roztopioną lawę. Potoki górskie błękitniały jak butelkowe szkło, a zieleń liści na zboczach pęczniała niby puszysty aksamit. Góry pokrywał pomarszczony, ciężki dywan. Kamienistą ścieżką, skrzypiąc ogromnymi kołami, toczyła się drewniana arba, ciągnięta przez leniwego wołu z kółkiem w nosie. Za wozem idzie stateczny brodaty *abaj* w czarnej, włosianej czapeczce na znak, że ukończył lat 60. Dziadek napycha tytoń do małej, mosiężnej fajeczki na długim, trzcinowym cybuchu. Obok drogi stoi namiot z odwiniętymi skrzydłami, a kilku półnagich, rosłych *Pharan*'ów ładuje aż po dach sterty skrzyń. Inni rozbijają je przed namiotem, wyjmując ubrania, płótno, stosy jakichś dziwnych naczyń. Dużo, bardzo dużo wszelakiego dobra przywieźli tu w góry ci ludzie. Całe stosy skrzyń stały zamaskowane zielenią, ukryte w grotach. To wszystko przywieźli dla Korei, dla rannych.

Dziadek wie o tym. Idąc przez dolinę widzi kamienne domki, do połowy wkopane w ziemię. W mrocznych wnętrzach rozpinają na ścianach białe płótno, ustawiają lśniące metalowe łóżka, jakieś potężne lampy. Do izb i białych namiotów opatrunkowych wnoszą lakierowane, dziwne stoły i potężne lampy. Za szklanymi szybami metalowych szaf rozkładają pieczołowicie rzędy lśniących niklem nożyc i szczypców. Szoferzy w granatowych kombinezonach trzęsą z łoskotem ciężarowe samochody po wybojach, inni *Pharan* rozpinają druty, montują maszyny. Za dziadkiem idzie doliną spalona przez słońce wieśniaczka z obnażonymi piersiami i czarnogłowym dzieckiem na plecach. I ona widzi to samo.

Od kilku dni coś się zmieniło u przyjezdnych. Dziadek pojął: oto dziewczęta i mężczyźni, którzy nie rozumieją koreańskiego języka, przeobrazili się nagle. Dokonała się cudowna przemiana — ludzie ci włożyli na siebie białe, śnieżne kitle. Stali się wszechmądrymi, dobrymi, potężnymi istotami. Lekarze ratują od śmierci, zdejmują cierpienia z ludzi. Dziadek jest wzruszony. Nareszcie jasno przeniknął prosty i piękny sens tego wszytkiego. Oni przyjechali pomagać, tak jak w roku 1945 pomagali *Sorion* — ludzie radzieccy, jak pomagali *Czunguo* — uśmiechnięci ochotnicy chińscy, jak pomagali w sąsiedniej wiosce Czesi.

a gdzie indziej Bułgarzy i Węgrzy. To wszystko, co przywieźli, jest dla Koreańczyków, dla żołnierzy, dla ludzi w wioskach.

Dziadek poruszył sznurkowatą bródką i zaśmiał się w głos. Potem schylił się i podniósłszy z ziemi walającą się blaszaną puszkę oddał ją pieczołowicie w ręce cudzoziemców z namiotu. Coś tam głośno powiedział skrzeczącym, starczym głosem, czego oni oczywiście nie zrozumieli. A może i zrozumieli? Przecież to takie proste.

O tym dniu mówiło się jak o wielkim święcie. Wszystko, co było przedtem, wydawało się mało ważnym wstępem. Wszystko to traktowano jako konieczność, której cały sens polegał na tym, że przybliżała ów dzień. Bo przecież to jedno było celem naszego przyjazdu, a nie najbardziej nawet bohaterska praca przy skrzyniach. Poprzedniego dnia odwiedzili nas sąsiedzi — towarzysze z pobliskiego szpitala czeskiego. Kiedyśmy oświadczyli im z dumą, że już jutro, ze szczerym wzruszeniem ściskali nam ręce i składali gratulacje. To było nasze wspólne zwycięstwo — zwycięstwo Bułgarów, Węgrów, Rumunów, Czechów, a przede wszystkim Korei. Jeszcze jeden szpital wojskowy zaczyna normalną pracę, Jeszcze jeden odcinek humanitarnego frontu rozpocznie bój o przyszłość Korei.

Było to wspólne zwycięstwo różnojęzycznych lekarzy, zwycięstwo internacjonalizmu i solidarności międzynarodowej.

Ósmego czerwca, o godzinie dziesiątej rano, odświętna cisza otaczała niski, kamienny domek u podnóża góry. Tylko agregat monotonnym terkotem dawał znać, że tu odbywa się praca. We wnętrzu domku, w dwu niskich salach operacyjnych płonęły wielkie lampy oświetlając białe stoły. Na stołach leżeli uśpieni chorzy. Nad otwartymi ranami pochylały się zamaskowane, białe, podobne do milczących duchów postacie chirurgów. Wokół stołów jak rada czarodziejów skupiali się owinięci aż po oczy w biel instrumentariuszki, asystenci, pielęgniarki.

Zwinne ręce w gumowych rękawiczkach zagłębiają się w ranę, chwytają lśniące lancety, nożyce, szczypce, podawane bez słów przez drugą parę gumowych rękawic. Czasem pada krótka, przyciszona uwaga, czasem tylko czujne pary oczu w otworach gazowych masek wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, oczy niebieskie Polaka i wąskie, skośne oczy koreańskiego chirurga. Operowanego żołnierza nie widać. Białe, skrwawione prześcieradła odsłaniają tylko czerwoną jamę rany. Pucołowata, koreańska *kanon* trzyma jego głowę w swoich uspokajających dłoniach. Jest w tym coś macierzyńskiego.

Operowany w tej chwili żołnierz leżał od wielu tygodni w czarnej,

wilgotnej ziemiance. Wypadek jego był stosunkowo prosty, wymagał krótkiej operacji. Przebył długi bojowy szlak na południe. Szedł nocami przez piarżyste, żmudne ścieżki górskie, pędził samochodami i wyskakując z nich w blasku bomb chował się w gliniastym rowie. Przebywał po kilkanaście razy dziennie lodowate rzeki, wijące się meandrem w poprzek drogi, brnąc po szyję w wodzie. Przystrojony gałęziami dębiny i akacji biegł do ataku z pieśnią o Kim Ir Senie na ustach i z okrzykiem: *manse!* wpadał w nieprzyjacielskie bunkry. Brnął, padając ze zmęczenia, przez śnieżyste zawieje na przełęczach Pektusanu w czasie ciężkiej ofensywy zimowej na północy. A może bronił poszarpanych, fantastycznych grot w Górach Diamentowych?... Nie wiem tego. Nie wiedzieli również pochyleni nad nim w skupionym świetle chirurdzy. W każdym razie leżałby unieruchomiony w prymitywnym szpitaliku przez długie tygodnie, butwiejąc niby porzucony pień drzewa i czekając na możliwość operacji. A tam front płonął nieustannym zmaganiem, a tam ojczyzna wołała o każdego zdolnego do noszenia broni.

Tam za oknem sali operacyjnej była Korea. Tam za oknem była wojna, która mogła runąć w każdej sekundzie świstem bomb na cichą dolinę górską. W tej wojnie nie było miejsca neutralnego, w tej wojnie łamano wszelkie prawa. Puszki z czerwoną farbą, w jakie zaopatrzony był szpital, aby malować na dachach wielkie, czerwone krzyże, wysychały i poniewierały się bezczynnie w magazynie. W kraju niezupełnie orientowano się, czym jest koreańska wojna.

Wielka, wytężona, piękna praca rozwijała się z godziny na godzinę. Z zewnątrz niski, kamienny, podłużny domek sprawiał wrażenie pokoju i pustki. Nie dolatywały żadne odgłosy, poza warkotem agregatu przypominającym terkot starego młyna. Czasem na progu domku pojawiał się człowiek w białym kitlu, podchodził do parujących autoklawów lub spoglądając na słoneczną ciszę zaciągał się krótkimi, pośpiesznymi haustami papierosa. Rzucał napoczęty munsztuk i znikał we wnętrzu. Co jakiś czas przed domkiem pojawiały się nosze i dwie krępe siostry w żołnierskich, bufiastych spodniach i okrągłych beretach dźwigały biały ciężar do ziemianek. Oto inna siostra przenosi na plecach przez rwący potok rannego żołnierza z zagipsowaną nogą. Silne, pracowite, uparte *kanon*. Tak już wyglądała *susulkua* (oddział operacyjny) od pierwszego dnia pracy szpitala.

Tego pierwszego dnia na dwóch salach operacyjnych zoperowano pięciu chorych. Przy pełnym przebiegu pracy powinno się osiągnąć do piętnastu operacji dziennie.

Obok chirurgów polskich asystowało dwóch lekarzy koreańskich.

Personel pomocniczy, instrumentariuszki, pielęgniarki i felczerzy — to dziwna mieszanina polsko-koreańska. Więcej tu znaczą gesty rękoma i cierpliwy uśmiech niż niezrozumiałe słowa. Jeszcze doktorzy wolą robić raczej sami niż tłumaczyć czarnowłosej *czuni*. Ale tak dalej nie można. Trzeba przełamać mur niezrozumiałej, gardłowej mowy, trzeba przedrzeć się do jasnych umysłów koreańskich dziewcząt, trzeba uczyć cierpliwie i pogodnie.

Przyjęcia, jakie gotowali nam Koreańczycy na każdym kroku, miały zawsze w sobie taki ładunek uczuć i treści politycznej, tak niezwykle i w jedyny sposób ze sobą związanej, że stawały się czymś nowym i niezwykłym w życiu każdego z nas. Tak jak miejsce i moment dziejowy był jedyny i niepowtarzalny. Zastanawiałem się nieraz, w jakim stopniu były one wzruszające same przez się, a jaką rolę odgrywało nasze nastawienie psychiczne, z którym przyjechaliśmy do Korei. Ale rozdzielić te rzeczy trudno. Jedno i drugie składało się wespół na ową gorącą atmosferę, w jakiej przebiegały spotkania.

Koreańczycy na człowieku obcym i chłodnym, który przyjechałby w tym okresie na teren ich walczącej ojczyzny, mogliby na pierwszy rzut oka robić wrażenie ludzi biednych, szarych. Byli biedni, byli wyniszczeni, byli nieefektowni. Ich mundury — nędzne, obdarte i brudne; ich dziewczęta — nie wymalowane i nie wystrojone, ich kwiaty — ze sztucznego papieru. Ich „bankiety" — dosyć głodowe i nie do przełknięcia, ich wódka — „bimbrowata". Ich chorągiewki wycięte były ze strzępów gazet, pomazanych farbą na czerwono i niebiesko. Ich transparenty były również z gazet, popstrzonych znakami smarowanymi atramentem, przyklejone klajstrem z zimnego ryżu.

Ale ci biedni, obdarci i szarzy ludzie opierali się skutecznie całej potędze bogactwa, cywilizacji, techniki. Zwyciężali miliony różnojęzycznych żołnierzy, którzy jeździli tylko samochodami i helikopterami, którzy mieli buty lśniące od brązowej pasty, mundury z najlepszej gabardiny, koszule z czystej wełny. Oni oparli się wielkiej Ameryce i wszystkim potęgom imperialistycznego świata, pancernikom i lotniskowcom, latającym twierdzom i zmotoryzowanym jak nigdy na świecie dywizjom kawalerii, radarom i pociskom rakietowym, desantom i napalmowi. Ale na tych brudnych drelichach błyszczały gwiazdy bohaterów, jakich tylko pod Stalingradem mógłbyś spotkać.

Ale te dziewczęta, gdy uśmiechnęły się, były piękne jak wiosna. 17-letnie, zadartonose dzieci w bufiastych spodniach i ze śmiesznym warkoczykiem, związanym kawałkiem kabla czy gumki, zaciskając

białe ząbki dźwigały na swych wątłych barkach rannego żołnierza, kilometrami gór i bezdroży, wśród jęku kul i gradu pocisków.

Ale te chorągiewki wycięte były z p a r t y j n e j gazety i pomalowane na kolor c z e r w o n y. I ściskały je ręce starców i kobiet, chłopów i żołnierzy, nauczycieli i dzieci. Bo partyjna gazeta była jedynym papierem, jaki mieli. A słowa na transparentach głosiły najwyższą mądrość i prawdę ludzkości.

Przy tych pozorach szarzyzny i prostactwa ci sami Koreańczycy zaskakiwali nas ciągle swą kulturą i wewnętrznym bogactwem, swą inteligencją i delikatnością uczuć. Ta brzydka, odziana w łachmany dziewczyna otwierała usta i śpiewała cudownym, artystycznie wyszkolonym głosem przepiękne pieśni o bogatej kolorystyce, trudne technicznie, o urzekającym, głębokim wyrazie. Ten pucołowaty sierżant z grzywką stawał i recytował wiersz, którego treści nie rozumieliśmy, ale słuchaliśmy jak zafascynowani; takiej siły i żaru głosu, takiej przemiany całego człowieka, takiego blasku w oczach i wymowy każdego gestu, nie widziałem u najlepszych aktorów świata. Tak czystych głosów i tak pięknych chórów mogłaby pozazdrościć niejedna filharmonia kuli ziemskiej. A przecież byli to tylko prości amatorzy, żołnierze, lud.

Zabrzmiała melodia ludowej pieśni i oto z niepozornymi dziewczętami staje się coś dziwnego. Jakaś czarodziejska przemiana prześwietla te szare postaci na kształt pochodni. Ręce unoszą się ponad głowę, na twarzy uśmiech. Twarde i szorstkie od trudu dłonie miękną, stają się delikatne jak kielichy kwiatu. I już płyną, falują, są żywe, samodzielne, piękne. Jakaż gra tych rąk, jaka subtelność i wdzięk! A jednocześnie stopy bose czy obute w zniszczone kalosze ożywiają się, wspinają na palce, zaczynają dreptać, płynąć z iście niewypowiedzianą, książęcą gracją i artyzmem. Na twarzy uśmiech, słodycz, piękno. I oto szara, ociężała poczwarka przemienia się w motyla — to zupełnie ktoś inny, fascynująca wyrazistością każdego gestu kobieta, tancerka, artystka. Trzy tysiące lat liczącej kultury nie przysłoni żaden łachman.

Koreańczycy różnią się pod wieloma względami od Chińczyków, a z drugiej strony posiadają wiele cech zbliżonych do Polaków czy Rosjan. Nie mają tej pogodnej pracowitości, tej skromności i wytrwałego opanowania. Mają natomiast dużo więcej temperamentu, żywotności, są bardziej bezpośredni i wylewni, kochają nade wszystko wolność i swobodę. Kochają pieśń, zabawę i taniec. Lubią popić.

Mają i swoje wady. Wady te ukształtowała historia ich narodu, warunki ekonomiczne i społeczne, w jakich przez lata żyli. Pozostało w nich wiele z owej bierności i powolności, jaką burżuazyjni rasiści mieli zwy-

czaj określać mianem „wschodniej". Nie mieli poczucia czasu. Bywali i leniwi. Denerwowało to nas początkowo, choć uświadamialiśmy sobie, że w tym częściowo tkwiła ich wytrzymałość, ich niewiarygodna siła oporu. Nie mieli często zbyt gruntownego poczucia odpowiedzialności, byli dziecinnie pogodni i beztroscy. Jeśli często coś się nie udało, reakcją z reguły stawał się śmiech. Zaśmiewali się w tych sytuacjach, w których Polak raczej bywa wściekły.

Wreszcie przekonaliśmy się, w jak małym jeszcze stopniu mają oni wpojone poczucie wartości wspólnej, społecznej, poszanowanie dla sprzętu, przedmiotów delikatnych i społecznego dobra. Złożył się na to i zbyt krótki okres wzrastania socjalistycznej świadomości, i demoralizujący wpływ wojny, w której wszystko ulega bez przerwy niszczeniu, a zaopatrzenie bywa odgórne. Obok tego pokutuje w nich jeszcze wiele przeżytków kolonialnego niewolnictwa czy feudalizmu, tak stosunkowo niedawnego w Korei.

Nowy, silny przełom w ustroju i życiu każdego Koreańczyka zrodził i nowe ułomności, będące jednak chorobami nagłego i gwałtownego wzrostu. To pewien neofityzm organizacyjny, nadmierna skłonność do gadulstwa czy pewien w drażliwych wypadkach nieludzki nieraz biurokratyzm. Jest to naród odrabiający wieloletnie zapóźnienia, uczący się, naród gorliwych uczniów, chłonny niezwykle i jak to często bywa, w szkoleniu nieraz przesadny.

Myliłby się jednak i popełniał fatalny błąd, kto by poprzez te zewnętrzne, drobne wady nie dostrzegał prawdziwego charakteru i cech Koreańczyków. Tej niezwykłej pogody i wiary w życie, w prawdę i dobroć. Tej pogody, która w okresie wieloletnich, najstraszliwszych klęsk i nieszczęść, wyczerpania i nędzy pozwoliła im zachować ten sam entuzjazm, świeżość i młodość, która była ich hartem i ogniem. Tej ogromnej inteligencji wrodzonej, nieugaszonej ciekawości świata i jego spraw, aktywnego stosunku do życia, ambicji i dużej wyobraźni. Tej zdolności uczenia się, opanowywania w lot najbardziej skomplikowanych i nieznanych sobie problemów. Uzdolnień i talentów artystycznych oraz kulturalnych we wszystkich dziedzinach sztuki, techniki, zdolności językowych, zadziwiającej wprost inteligencji i lotności umysłu, głębokiego poczucia dumy narodowej, patriotyzmu, ukochania własnych obyczajów, tradycji czy folkloru. Zdolności do nieograniczonych poświęceń. Wreszcie tej wewnętrznej kultury, subtelności i delikatności uczuć, jaka cechuje tylko bardzo stary naród. Ta właśnie szlachetność, ta dobroć i taktowność nie do pomyślenia u przeciętnego, kulturalnego „Europejczyka", zrodziła najpiękniejsze objawy miłości, przyjaźni

i przywiązania, z jakim spotykaliśmy się zawsze w Korei. Dzięki temu tak bardzo pokochaliśmy ten dobry, gościnny, sprawiedliwy, pamiętający dobro i zło lud, jak pokocha go każdy, kto żyje z nim i pracuje budując lepszą przyszłość ludzkości.

Toteż długo po nocach śniły nam się koreańskie towarzyszki śpiewające swe czarodziejskie pieśni, a serdeczne powitania, jakie zgotowali nam koreańscy bracia w dzikich górach Hiczonu, stały się gorącym, niezłomnym fundamentem naszej współpracy i naszego dalszego życia.

W niskiej sali stołówki, w mrugającym, elektrycznym świetle agregatu siwa mgła dymu tytoniowego, śmiechy, różnojęzyczny gwar. Bielą się letnie siatkowe koszule Polaków, migocą czerwone i złote naramienniki na koreańskich mundurach. Gorąca atmosfera zabawy huczy, wibruje, zagłusza i oślepia; zdaje się rozsadzać kamienne ściany z łupanego głazu, wkopane do połowy w ziemię i zamaskowane jedliną, wypychać wąskie okienka zaciemnione szczelnie brezentem. Jest duszno, gwarno, jaskrawo. Zwłaszcza jeśli wejdzie się tutaj z otaczającej nocy, ślepej i milczącej, nieoświetlonej żadnym ognikiem. W tej nocy ziemianka ukryta na dnie gór wydaje się jakąś bajkową jaskinią, zakopaną w głębi ciepłej ziemi.

Naokoło aksamitna górska noc. Ciemność jest aż dotykalna, lepka. Księżyc w pełnym nowiu. Skrzypią kamienie pod butami wartowników. Śpią niewidzialne, zastygłe cielska samochodów. Warczy jedynie agregat — na niebie cisza. Wśród głazów łka lodowaty strumyczek.

Jeden z tych samochodów, stłoczonych na ścieżce w spadzistym wąwozie, tuż przed ową kuchnią przypominającą pękaty bunkier ze szparami czarnych okien, wśród takich samych bunkrowatych domków mieszkalnych wznoszących się tarasami na zboczu gór — jeden z tych samochodów, gdyby obejrzeć go w świetle latarki, nosił na sobie ślady długiej drogi, szarą warstwę kurzu, zeschnięte bryzgi błota. Przejechał dwieście kilometrów gór — do przebycia miał jeszcze przeszło czterysta. Samochodem tym przyjechało siedmiu lekarzy bułgarskich, zatrzymując się u nas na nocleg. Bułgarzy jechali ze swego dotychczasowego, tyłowego szpitala pod Kusonem na front. W przyfrontowych lazaretach brak było chirurgów.

W stołówce podejmowaliśmy kolacją koreański personel, lekarzy i pielęgniarki, tych, z którymi rozpoczęliśmy dziś pracę i z którymi pracować będziemy przez nadchodzące miesiące. Zza stołów wstawali i przedstawiali się kolejno wszyscy polscy i koreańscy towarzysze. Oto doktor Czo, „naczmed", chirurg, podpułkownik o dobrym, spokojnym

i nieco smutnym spojrzeniu. Oto doktor Li, mały, czarnooki człowieczek w stopniu majora, również chirurg. Doktor Ju... A potem nasi.

Wstał właśnie Edek Selecki, młody chirurg z Wrocławia, były lotnik i trochę dziennikarz. Zmrużył lekko oczy prostując swą potężną postać. Robionym uśmieszkiem próbował za wszelką cenę opanować narastające w nim wzruszenie. Mój Boże, któż z nas, młodych, nie próbował się jeszcze wówczas bronić przed porywającym co chwila patosem?

Może tylko jeden Marek Sznajdermann, internista, niedawno po dyplomie, żarliwy chłopak, były więzień obozów koncentracyjnych, przeżywający Koreę jak drugą Hiszpanię. Wstawał właśnie spomiędzy wieńca czarnych głów koreańskich dziewcząt, odgarniając z czoła bujne włosy, które czyniły go podobnym do Majakowskiego z plakatów.

Między nami i Koreańczykami siedzieli Bułgarzy, starzy nasi przyjaciele i gospodarze z pierwszego noclegu na tutejszej ziemi. Wspaniali są ci Bułgarzy. Najlepsza to ekipa ze wszystkich szpitali europejskich. Czarni, zarośnięci, ogromni, w zielonych, półwojskowych drelichach wyglądali jak oddział partyzantów z gór Rodopy. Żarliwi komuniści i prawdziwi ludzie. Żyją już blisko dwa lata w niewiarygodnie ciężkich warunkach na Korei. Najgorzej zaopatrywani, największe położyli, obok Węgrów, zasługi. Szczególnie piękną postacią jest dyrektor ich szpitala, stary wybitny działacz komunistyczny, żołnierz z wojny domowej w Hiszpanii, towarzysz Miczew. Siwy jak gołąb, o brązowej, dobrej twarzy robociarza, miał w samych swoich rysach, w powierzchowności coś ze sztychów Dürera niemal. Człowiek ten tu, w Korei, cieszy się wysokim poważaniem i jest chyba najlepszym ambasadorem Bułgarii (własnego przedstawicielstwa Bułgarska Republika Ludowa nie posiada).

Był to prawdziwy wieczór internacjonalizmu i braterstwa. Różnojęzyczna pieśń krążyła jak szklanka wina od stołu do stołu, z rąk do rąk. Krępe siostrzyczki koreańskie, obejmując serdecznie polskie koleżanki, towarzyszki pracy z tych samych oddziałów, zwracają ku sobie rozognione twarze i podejmują czystymi, świeżymi, doskonale zharmonizowanymi głosami chóralną pieśń sanitariuszek:

Uri na i kkoc kaydi dzorm Ko dzorm yn yne
pu sam pią uri pul ro omoni rane.
I go ja pu kkria yon jadan i nan ne,
jadan inan ne.
Si czip do an kan uri si czip do an kan uri,
omoni rane...

Piękny, czarny Armando Michajłow silnym barytonem śpiewa bułgarską pieśń partyzantów. Potem na skrzypcach taniec ludowy „Hora"— i już stoły składamy pod ścianami robiąc miejsce dla pierwszych par.

Wymykam się po cichu na dwór. Czarne, rozgwieżdżone niebo. Niewidoczni strażnicy pokrzykują. Któryś strzelił. Słyszymy głuchy pomruk przelatujących na północ samolotów. Gdzieś za górami błyski zapalają niebo. To chyba w stronie Hiczonu. W ciemności napotykam sylwetkę Marka z rozwianymi włosami i Edka Seleckiego, jak opukują samochód Bułgarów.

Trzeba iść spać. Późno, a jutro praca. Tym bardziej że i gości czeka daleka droga.

O czwartej, po ciemku jeszcze, Bułgarzy wyjechali dalej. Zastępca do spraw politycznych naszej grupy, Stefania, opowiadała mi następnego ranka, że zgłosiło się do niej dwóch naszych towarzyszy, aby również jechać z Bułgarami na front.

— No, zgadnijcie, którzy to byli? — zapytała.

— Marek i Edek Selecki — stwierdziłem bez wahania.

Skinęła rozbawiona głową. To jedno ich obydwu charakteryzowało najlepiej.

Normalny rozkład dnia. Rano myjemy się w lodowatym potoku. Ranek jest kolorowy, jaskrawy, zapowiada upał. Straszliwa spiekota trwa już od wielu dni. Nawet jeśli spadnie krótki, choć gwałtowny deszcz, rozpalona ziemia wchłania go natychmiast bez śladu. Bujna, podzwrotnikowa niemal roślinność, pokrywająca splątanym gąszczem góry i pola, które upodabniają się raczej do zagajników, zdaje się kipieć bogactwem zieleni i rosnąć w oczach. Gałęzie jedliny i tui, którymi wczoraj pokryliśmy dachy i zamaskowaliśmy namioty, dziś rano są już żółte jak zeschła słoma. Zamiast ukryć, zdradzają raczej miejsca naszych obiektów. W namiotach magazynowych konserwy psują się na potęgę. Puszki pęcznieją jak bomby. Nie posiadamy żadnych podziemnych schronów.

Z zepsutymi konserwami mamy prawdziwy kłopot. Nie wiadomo co z nimi zrobić. Trzykrotnie zakopywaliśmy je do ziemi i za każdym razem okoliczna ludność wykopywała je ukradkiem. Rozumiemy, co znaczy głód, ale nie możemy dopuścić, aby potruli się ludzie.

Po śniadaniu grupy rozchodzą się do swoich oddziałów. Stroje nasze są dość niezwykłe. Dziewczęta w zawiniętych powyżej kolan drelichowych, chińskich spodniach, w koszulach czy bluzkach wypuszczonych luźno na wierzch. Pot. Straszliwy pot. Wszystko lepi się do ciała. Na nogach trampki wojskowe lub gumowe buty do kolan (zależy, przez jaką

wodę trzeba przejść). Mężczyźni przeważnie półnago. Na głowach okrągłe wojskowe czapki — „dobrowolki". Ci, co idą dalej, prowadzą rowery, ci co bliżej — pieszo.

Najbliżej mają koledzy z operacyjnego. Ziemianki tego głównego działu szpitala wojskowego rozciągają się na zboczu, po drugiej stronie doliny Pharanganu (Polskiej rzeki). Wystarczy przejść przez potok. Pomiędzy ziemiankami: przedoperacyjną, *susulkua* (operacyjną) i pooperacyjnymi, kręci się kilku *chanza* (chorych), żołnierzy w czystych, białych polskich koszulach oraz zielonych wojskowych spodniach i czapkach koreańskich. Przedziwnie weseli to i pogodni chłopcy. Niezrozumiała wydaje się ich dziecięca pogoda wobec obecnych cierpień, poprzednich trzyletnich straszliwych przeżyć wojennych, wreszcie nieludzkich warunków transportu, w jakich dostali się tutaj.

W płytkiej strudze Pharanganu siostry koreańskie w fartuchach i beretach oraz wieśniaczki w białych, ludowych sukniach, pod komendą głównej siostry gospodarczej, wesołej Kim Nan Suk, piorą zakrwawione bandaże i bieliznę rannych. Pozdrawiamy ją wesoło: — Oho, armia Kim Nan Suk już przy pracy!

Kim Nan Suk dzielnie sekunduje mikroskopijny sierżant z warkoczykami, „Maleńka Madam", jak sama się określa.

Po drugiej stronie potoku siedzi w kuczki na kamieniach gromadka koreańskich sanitariuszek i słucha pilnie pyzatej *kanondzan* (siostry starszej), która kucnęła pośrodku grupki. Scenę taką można zobaczyć już o piątej rano. Odbywa się codzienne szkolenie ideologiczne. Czasu jest mało, dzień cały zawalony pracą. Towarzysze koreańscy uczą się bez przerwy. W pierwszych dniach pracy lekarze nasi narzekali na tę „zebraniową manię". Stale odbywało się jakiej *hej* (zebranie), stale brakowało po kilka sióstr czy felczerów. A tu nawał pracy, natłok chorych ogromny. Nawet w tych warunkach towarzysze koreańscy nie zrezygnowali z nauki. Przenieśli tylko czas zebrań na godziny świtu.

Kiedy zbliżyliśmy się do nich, dziewczęta raptem poderwały się na nogi i wymachując przyjaźnie dłońmi zaśpiewały chóralnie skoczną piosenkę, tzw. *Kanon nore* (piosenkę sióstr), zakończoną radosnym zbiorowym śmiechem. Podszedłem do zdetonowanej wykładowczyni zaglądając do książki, którą trzymała w ręku. Na tylnej, tytułowej okładce wytłoczone były znajome znaki. Był to „Krótki kurs WKP(b)" w tłumaczeniu koreańskim. *Kanondzan* zarumieniła się, zmieszana nie wiadomo czemu. Ja byłem zaskoczony o wiele bardziej. Jedyne to w swoim rodzaju szkolenie partyjne, w kucki, o świcie, nad dzikim górskim potokiem.

Chirurdzy myją ręce do operacji. Dziś ma być ich „tylko" pięć. Ale za to same ciężkie, kostne przypadki. Trzeba będzie sztukować, wbijać „kinczery", byle tylko nie amputować, byle tylko nie zrobić z żołnierza kaleki. W salach operacyjnych i na dworze przygotowują wszystko nasi wojskowi — najmłodsi felczerzy. Rękami ubielonymi jak w cieście preparują gips.

Przede wszystkim jednak Ri Miong Su. Wszyscy zaczynali kochać się w niej na zabój. Nie wiem, kto zrobił jej taką sławę. Z długimi, czarnymi warkoczami i zawsze promienną twarzą, była rzeczywiście niezwykle ładna. Była studentką drugiego roku medycyny na Uniwersytecie Kim Ir Sena w Phenianie, od wybuchu wojny służyła w armii. Twarda, frontowa praktyka to były studia większości młodych medyków koreańskich, którzy z reguły wypełniać musieli obowiązki o głowę przerastające ich możliwości. Porucznik Ri Miong Su tutaj musiała już być chirurgiem.

Najpiękniejszą mimo wszystko postacią na *susulkua* była Bombka. Nie wiem nawet, jak się rzeczywiście nazywała. Sama o sobie mówiła „Bombka", zawsze w trzeciej osobie. Przypominała całkowicie bombkę choinkową. Grubasek, w śmiesznie opiętym drelichu czy białym fartuchu. Spod maski z gazy wyglądała tylko jej pyzata twarz, zawsze zaczerwieniona z pośpiechu, z gorąca i z dziecinnego zażenowania, i te dobre, rzewne, wilgotne oczy, które spuszczała natychmiast, kiedy się kto do niej zbliżył. Bombka pracowała z największą ofiarnością od świtu do nocy. Zlana potem nie schodziła z sali operacyjnej kręcąc się jak mrówka, chwytając w lot każde spojrzenie lekarza — taka w niej była żarliwość, taki głód opanowania wiedzy, osiągnięcia wprawy w trudnym zawodzie instrumentariuszki.

— Moja Bombka kochana — mówiła Basia, udzielna księżna na operacyjnej sali, całując ją głośno w zaczerwienione czoło. — Co my byśmy bez niej robili?

Bombka uczyła się z godziny na godzinę, a zdolności jej do języka były wprost niewiarygodne. Jedna z pierwszych sióstr koreańskich — już po kilku dniach rozumiała po polsku prawie wszystko, co było w pracy potrzebne. Więcej, sama zaczynała mówić. Wruszający i prześmieszny był język małej Bombki.

Oto ciągnie doktora za rękaw z nieśmiałą prośbą:

— *Nie chcesz pokaż gibus charaszo?* (Możesz zobaczyć, czy gips jest w porządku?)

A kiedy wybuchamy śmiechem, cofa się spłoniona jak mak.

— *Bombka śmieszna gawari niecharaszo?*

Kochana, śmieszna Bombka. Kiedy jeszcze ten cudaczny żargon pol-

sko-rosyjsko-koreański panował powszechnie na oddziałach, kiedy my łamiąc język, dukaliśmy poszczególne słowa koreańskie, Bombka mówiła już poprawnymi, pełnymi zdaniami po polsku.

Biedny Staś, nasz wewnętrzny kierowca szpitalny, miał ciężkie dni. Przede wszystkim na początku bał się. Nie rozbierał się do dwunastej, udawał sen. Czekał. Około północy zaczynał działać „rozkład jazdy". Co noc prawie, regularnie o tej porze, płynęła pierwsza fala bombowców B-29 lecących nad wyznaczony cel. Głuchy łoskot rozlegał się nad górami, na czarnym, wygwieżdżonym niebie. W dolinach powiew nocny przynosił suche puknięcia pojedynczych strzałów straży przeciwlotniczej. Obracaliśmy się na posłaniach, sprawdzaliśmy, czy światło gdzieś nie prześwieca, ale choć nie mogliśmy zasnąć, nie było sensu wstawać. Gdzie pójść? Schronów i tak nie ma. Wyjść na dwór i bać się stokroć bardziej? Strach — rzecz ludzka, któż z nas nie zna takich chwil, kiedy ręce zaczynają latać, usta drżeć, kiedy mówi się nerwowo, szybko i niepotrzebnie dużo. Ale Stasio nie umiał się powstrzymać. Wstawał, ubrany wychodził na dwór i siedział przed ziemianką po parę godzin, dopóki wszystko nie ucichło. Wkrótce po przejściu samolotów gdzieś za górami przewalały się przyciszone odległością wybuchy. Czasem żółtawy odblask pełgał po chmurach, odcinając wyraźniej czarne kontury szczytów. Koło 3-ej, kiedy sen był najtwardszy, leciały przeważnie z powrotem.

Staś wybrał złą metodę — za dnia był zmęczony. Mówiliśmy: przyjdzie cięższa robota, trochę silniejszych wrażeń, przyzwyczai się, przestanie zwracać uwagę. Staś jednak nie odbywał żadnych bohaterskich kursów. Obsługiwał, jak sam to określił, „autobus". Krążył między oddziałami, tłukąc swój „Lublin" po pierwotnych, kamienistych drogach. Niezupełnie rozumiał sens ten nudnej pracy. Zaraz po śniadaniu odzywał się klakson jego samochodu. Z miskami, termosami, ceratą, sprzętem gospodarczym, który stale dostarczano na oddziały, z plecakami pełnymi czekolady i skondensowanego mleka przeznaczonymi na dożywianie chorych, ładowali się na platformę lekarze z drugiego oddziału chirurgicznego i z interny. Interniści obładowani byli jeszcze zapasem żywności na cały dzień — jechali zbyt daleko, aby wracać na obiad.

Samochód ruszał nurzając się na przemian w potoku, to znów podskakując na kamienistym dnie doliny. Przesuwały się do tyłu wysokie, porośnięte kolczastymi krzakami zbocza, nędzne półka chłopskie, obłożone kamiennymi groblami dla zatrzymania osypującej się, spłukiwanej wodą ziemi. Młode kity kukurydzy pięły się aż prawie po sam szczyt. Zostawał za nami oddział operacyjny i kuchnia koreańska dla chorych,

dzie na otwartym powietrzu w wielkich kotłach prażono ryż. Na lewo a wzgórzu stały namioty opatrunkowe i namiot, w którym mieszkali ołnierze-wartownicy.

Potem pierwszy postój pod apteką. Mieściła się ona w starej chałupie iejskiej i zawsze brakowało w niej lekarstw. A przecież codziennie, tak ak i dziś, wynoszono i ładowano całe paki pudełek, flakonów, proszków. hoć apteka zżerała większość naszego budżetu, leków zawsze było brak.

Wkrótce obładowany „Lublin" ruszał dalej. Znów z boku mijaliśmy ylot płytkiej, odgałęziającej się doliny. Tam, w głęboko wkopanych, linianych szałasach mieścił się oddział chirurgiczny pierwszy. Perso- el *punkua* dojeżdżał rowerami lub wędrował w upale piechotą. Da- ej mijaliśmy magazyny koreańskie i zagłębialiśmy się między wzgó- za porośnięte mizerną bawełną czy łanami świeżej czumizy. Wreszcie olina Pharanganu dochodziła do szosy. Tutaj szerokim łukiem zakrę- ał malowniczy i dziki Czongczongan. Nawet w okresie największej uszy prąd miał bystry i wodę krystaliczną jak szmaragd. „Lublin" pę- ził najpierw na prawo, w dół rzeki, i po chwili przemykał się już pod zarną, wilgotną, niebotyczną ścianą skalną. Na drodze tej mieścił się ylko jeden samochód. Wisiała przylepiona na zrębach ostrej skały, tuż ad pienistą i dziką kipielą. Tak zresztą biegła przez większą część trasy o Hiczonu i dalej. Jeszcze parę zakrętów i wpadaliśmy pośrodku pól yżowych w zabudowania wioski.

Większość chałup po obu stronach drogi i na wzgórzu zajęta była rzez rannych i chorych z drugiego oddziału, *ilkua*. Tutaj wysiadł or- ynator, doktorzy i siostry — „Mama" Pawłowska, Stasia Przybysz oraz ierozłączna para: twarda, męska, zahartowana przez życie dziewczyna, aga, i spokojny, małomówny felczer, Bronek Zachara. Nie przeczuwa- iśmy zrazu, że tam się coś święci. Wiadomo było tylko: gdziekolwiek jawi się Jaga, tam w minutę później wyrośnie jak spod ziemi i Bronek. okuczaliśmy dziewczynie, gdziekolwiek przyszła:

— A cóż to, Jaga, Bronka nie widać?

Zanim zdążyła zrobić minę, że niby nie wie, o co chodzi — Bronek ył. Pokpiwałem sobie z niej: „Ta biedna Jaga taka od świtu do nocy a h a r o w a n a".

A jednak piękna była ta ich miłość — prosta i silna, taka, jaką może yć tylko miłość dwojga młodych, dobrych i dzielnych ludzi naszego zasu.

Ona w ziemiance nad łóżkiem miała przypiętą fotografię Jacka ondona — on na zaczepki kolegów zacinał usta, a jednak chodząc azem trzymali się za ręce jak dzieci.

— *Ilkua*, wysiadać!

Staś trąbił po konduktorsku i leciał opuszczać klapę.

W przydrożnej chacie siedzieli na progu żołnierze w brudnych, prze siąkniętych krwią i ropą bandażach. Dopiero przywieziono ich. Zerwal się, aby pomagać przy wyładowywaniu z samochodu paki lekarstw. Al już ubiegły ich czarnowłose *czuni* i *kanon*. Dostało się im jeszcze, sądzą po szybkich, gwałtownych słowach, w których wybuchowe spółgłoski *phhh!!!... khhh!!!...* i *thhh!!!...* syczały jak węże.

Żołnierze cofają się z zakłopotanym uśmiechem, a dzielne „kanonki" już dźwigają pod górę ciężkie paki. Sekundują im Polacy.

Potem doktorzy zaczynają przegląd chorych, a siostry wkładają biał fartuchy do zabiegów, przygotowują namiot opatrunkowy, panujący nad oddziałem na centralnym wzgórzu.

Chirurdzy wędrują od chałupy do chałupy, od ziemianki do ziemian ki. Chorzy żołnierze są w strasznym stanie. Zaniedbani, wycieńczeni wychudli, z zastarzałymi ranami, wymagają natychmiastowych opa trunków, operacji. Głupstwo z opatrunkiem — namiot czeka, ale sal operacyjne są zawalone. Dwa stoły chirurgiczne — to bardzo mało Trzeba by dzień i noc nie wychodzić z sali. Kiedy przejrzeć, przeba dać kilkuset chorych na oddziale, zajrzeć do operowanych, posortowa nowoprzybyłych, zmieniać gipsy i opatrunki? A jeśli przyjdą dalsz transporty rannych? Doktorzy nieznużenie obchodzą chaty, odwijaj bandaże, zapisują do rentgena, oglądają rany, segregują chorych. Cza do obiadu zlatuje jak z bicza. Cóż tam zresztą obiad? Ale po południ cztery operacje i nie można już być na oddziale.

Królestwo „Mamy" — *priom*, czyli Izba Przyjęć, to szczególny punk całego szpitala. Mała zagroda chłopska wśród pól gaolianu, czworobo podwórka zamkniętego glinianymi ścianami zabudowań. Przed każdym wysoki próg, a raczej podcienia. Papierowe, rozsuwane drzwi, zawieszo ne białymi prześcieradłami. Tędy przejść musi każdy nowy chory. T poddany zostanie wstępnym badaniom, segregacji, tu jak w soczewce sku piają się wszystkie tragedie ludzkie, drobny wycinek koreańskiej epope

Ciasne podwórko Izby Przyjęć zatłoczone jest żołnierzami w zakurzo nych, spłowiałych mundurach; silniejsi z wojskowymi workami na ple cach. Głowy ogolone do skóry, twarze spalone słońcem na brąz, nie które chorobliwie żółte, z wątrobianymi plamami na policzkach. Popod wiązywane prowizorycznie ręce, poranione nogi w grubych, przez wiel dni niezmienianych opatrunkach, opuchnięte, podobne do kończyn słon na które z trudem wciśnięto białe brezentowe obuwie na gumowej po

deszwie czy też chińskie zielone trampki. Od bandaży zalatuje zaduchem ropy, ktoś tam jęczy pod ścianą:

— *Aj go cziketa! Aj go cziketa!...* (Ja umieram! Ja umieram...) — I zwiesił nisko głowę.

Atmosfera nerwowa, zgorączkowana. Między tłumem chorych przeciskają się koreańskie siostry, roznosząc w miseczkach wrzątek i ryż. Twarze z wypiekami, posępne. Na czołach siostrzyczek perli się pot. Zamieszanie, hałas. *Kanondzan* odczytuje z listy nazwiska, spierają się, syczą podnieconym szeptem. Koreańscy oficerowie-lekarze przywołują żołnierzy do porządku.

Oto zawinięty w żółty koc leży w skrawku cienia, rzucanego przez wygięty dach chałupy, gruby żołnierz w ciężkim ataku malarii. Sapie ciężko, wstrząsają nim konwulsyjne dreszcze. Chce coś powiedzieć siostrze, ale zęby szczękają mu tylko. Emaliowany kubek dzwoni w jego ustach. Między drelichami żołnierzy ciemnieją granatowe plamy mundurów marynarzy.

„Mama" — wraz z koreańską siostrą i przygodnym żołnierzem-tłumaczem, który zna trochę rosyjski język — kręci się w tłumie zapełniającym podwórze. Rozpytuje, notuje, wydaje polecenia i lekarstwa. Siwe jej włosy i biały fartuch oślepiają w rozpalonym, czerwcowym słońcu.

Przeciskam się przez bramę na zewnątrz. Wokoło zagrody pełno tych, dla których nie starczyło miejsca w środku i którzy czekają na swoją kolejkę. Na ścieżce wspinającej się w górę do ziemianek, w cieniu kukurydzianego gąszczu kucają ranni żołnierze, grają w karty, niektórzy z cicha nucą smętne, ludowe piosenki koreańskie.

Zbiegam na dół do szosy, gdzie w przydrożnych chałupkach siedzą czekając na swoją kolej dalsi „chanzacy" z tego samego transportu. Wszyscy przyjechali w ciągu ostatnich dni z punktu rozdzielczego, z Hiczonu.

Staś nie ma czasu czekać. Wyładowawszy personel i leki na *ilkua*, zawraca swoim „Lublinem" w powrotną drogę. Wiezie jeszcze internistów na *sankua*.

Znów ta sama szosa nad przepaścią, wylot doliny Pharanganu i dalej szosą w górę rzeki, w przeciwną stronę. Wjeżdżamy w pierwsze zabudowania wioski Tongsin. Chałupy opustoszałe i bezludne. Wioska rozciągająca się tuż obok szpitala, jak tysiące innych wiosek przy wojennych drogach Korei, robi wrażenie zupełnego cmentarza. Mijamy jeden po drugim rzędy glinianych chałup. Nie widać żadnych mieszkańców. Jeśli nawet chałupy nie są rozbite, to zapuszczenie nadaje ich cechy ruin. Czarne jamy wyłamanych okien i drzwi. Z tyłu za budynkami wystygłe

kominy z wypróchniałych pni drzewnych. Z żadnego nie snuje się dym. A jednak wiemy, że mieszkają tu ludzie. Siedzą gdzieś w górach, w wykopanych u podnóży ziemiankach. Przy drodze niebezpiecznie.

Mijają nas pojedyncze grupy przechodzących żołnierzy. Z białym ręcznikiem zarzuconym na kark pod czapkę, którym ocierają spływające potem czoło, z zielonymi gałęziami akacji pozatykanymi na pętelki na mundurze i czapce, podobni z daleka do ruchomych krzaków, zakurzeni, zmęczeni, czarni wędrują tak dziesiątki kilometrów przez góry, pojedynczo czy małymi grupkami, aby nie zwracać na siebie uwagi samolotów. Wędrują w dzień i w nocy, przegrupowują się całe jednostki, idą z tyłów na front i z frontu na tyły. Pieszy, górski marsz — oto podstawa transportu Korei. Samochodów jest mało, pociągi nie wożą ludzi.

Nasz „Lublin" mija Tongsin i znów wydostaje się nad brzeg Czongczonganu, którego woda nabiera tutaj w cieniu ciasnych skał barwy ciemnego, stężonego, turkusowego atramentu. Staś pędzi śmiało po ogromnych głazach, stanowiących jak gdyby wąską podmurówkę pomiędzy ścianą czarnego bazaltu a wodą. Wozem rzuca niesamowicie, trzymamy się kurczowo żelaznych pałąków. Wreszcie po kilku kilometrach tego skalnego parapetu zatrzymujemy się u wylotu bocznej doliny, wpadającej z przeciwległej strony. Wpływa nią do Czongczonganu spora górska rzeka.

Jesteśmy w sercu najdzikszych gór. Dominuje i króluje wokoło przecudowna pierwotna przyroda. Otwierająca się z drugiej strony rzeki dolina — to jeden z najpiękniejszych zakątków okolicznych. Przepych barw, majestat górski, podzwrotnikowa niemal bujność przyrody — wszystko to sprawiało, że dolina *sankua* była dla nas prawdziwą doliną raju.

Staś trąbi niecierpliwie.

— Interna, wysiadać!

Doktorzy oraz pielęgniarki wyładowują się z samochodu, taszcząc lekarstwa, garnki i żywność. Prowadzą ze sobą rowery — czeka ich jeszcze długa droga.

Na sygnał samochodu nadpływa z drugiej strony prom. Stary przewoźnik w płóciennych portkach i pelerynie z ryżowej słomy wygląda jak ul. Woda sinozielona i tak czysta, że widać każdą drobinę piasku na dnie, tutaj, ściśnięta między skałami, ma dużą głębokość i wartki prąd. Ściana kamienna oddala się, za chwilę samochód jest już tylko małym pudełkiem wśród głazów. Na promie wraz z nami przeprawiają się leniwe woły z kółkiem w nozdrzach, z prymitywnymi saniami załadowanymi drzewem. Wieśniaczki w białych bawełnianych sukniach,

z odsłoniętymi piersiami, dźwigają na plecach niemowlęta zawiązane w zapaskę. Raz po raz czarny łepek dziecka daje nura pod matczyną pachę ssąc pierś i mrużąc oczy od słońca. Stopy kobiet obute w łapcie z łyka, niektóre mają drewniane trepy na wysokich poprzecznych listwach, przypominających japońskie koturny z ilustracji. W każdym razie nie ma na nich rzeczy, która by nie była wykonana własnymi rękami. Ściągamy z pleców resztę okrycia, słońce na wodzie piecze, jesteśmy do pasa nadzy.

Sto metrów niżej drewniany most zerwany jest w kilku miejscach. Prom stanowi jedyny środek łączności z *sankua*.

Dziewczęta mrużą oczy, wystawiają twarze do słońca. Na chwilę zapominamy, gdzie jesteśmy, zapominamy o wojnie, o szpitalu, o czekającej drodze i rannych. Wydaje nam się, że jesteśmy na cudownych wakacjach nad Dunajcem czy w Tatrach.

Ale złudzenie pryska natychmiast. Dziecko na plecach starej chłopki zaczyna piszczeć cienko. Ciężko łapie oddech spieczonymi ustami. Kobieta stara się je uspokoić wpychając mu wyschłą pierś do otwartych warg. Nie pomaga. Wreszcie zwraca się ze zgryzotą w twarzy do którejś z naszych dziewcząt.

— *Tangsinyn pharan kuni? Egi apa... chanza...* (Ty jesteś polski lekarz? Dziecko boli... chore...).

Natychmiast koło maleństwa odbywa się konsylium. Dzieciak zostaje wyjęty z płachty. Niewiele można stwierdzić na poczekaniu. Tłumaczymy matce, ażeby przyszła z nim na oddział.

— *Sankua* — pokazujemy na migi, gdzie może nas znaleźć — *Egi many jol isymida... pali kapsida!...* (Oddział wewnętrzny. Dziecko ma gorączkę... Przyjdźcie szybko!...)

Kobieta tłumaczy, że nie może. Pracuje w polu cały dzień. Jest sama.

— *Abadzi obsymnida... czoson kunde...* (ojca nie ma... jest w armii...)

Niewiele myśląc jedna z sióstr bierze dziecko na ręce:

— Przyjdźcie po pracy, wieczorem. *Sankua.* — Kobieta uśmiecha się ze wzruszeniem. Kiwa głową na zgodę.

Na piaszczystym, przeciwnym brzegu Czongczonganu zaczynają się nowe kłopoty. Gromada dzieciaków gapi się na wysiadających z promu Polaków. Nie widać natomiast naszego środka transportowego, „kazionnego" wołu z saneczkami, zwanego przez nas po prostu „oksem". Bagażu jest masa. O tym, żeby przydźwigać wszystko na własnych plecach na *Sankua*, mowy być nie może. Przywleklibyśmy się tam chyba dopiero po południu. A tu czeka cały dzień pracy i powrót do obozu. Próbujemy wytłumaczyć malcom, żeby przywołali „oksa" i woźnicę. Nie

wiemy, jak brzmi po koreańsku słowo: wół. Pokazujemy na migi — wszystko na próżno. Trudności językowe dają się nam coraz bardziej we znaki. Wreszcie doktor Kowalski, poważny, uczony doktor Kowalski staje na czworakach, ryczy, pokazuje na rogi i udaje wołu. Pokładamy się ze śmiechu, dzieciarnia także. Ale już któryś zrozumiał, o co nam chodzi i puszcza się biegiem między grupę chałup ukrytych w bujnym zielsku. Po kilkunastu minutach wół z saneczkami nadjeżdża. Woźnica dziwi się trochę naszemu pośpiechowi. *Mamandi* (powoli) — to hasło życiowe wielu chłopów koreańskich. Któż by się śpieszył na taki upał? Wreszcie ładujemy sanie i ruszamy wyciągniętym marszem. Penar i kilku niecierpliwszych pędzi naprzód na rowerach.

Droga jest malownicza. Prosta jak strzała dolina otaczająca z obu stron kopcowate góry, pokryte aż do szczytów bujnym gąszczem niskich i krzaczastych buków, grabów, akacji, tui, dąbków i modrzewi. Przepyszna, ciemna zieleń w głębi przechodzi w granat. Za falistym łańcuchem gór drugi łańcuch, trzeci, dziesiąty. Na horyzoncie, w przeciwnym końcu doliny masyw szczytów zamyka niebo. Wśród nich góruje ostrym szpicem Soltebon. Widać w błękitnym i czystym powietrzu, jak dolina zwęża się i podnosi ku jego stopom, jak wśród zieleni, niby wśród kudłatego mchu, migocą iskry krętych potoków i wodospadów. Jak bielą się, niby bryły soli, wypłukane górską rzeką kamienie. Na dnie doliny pola ryżowe i świeże, młode, soczyste kępki rozsady. Łukowate groble biegną przedziwną plątaniną, zachowując równy poziom poszczególnych poletek na pofałdowanym bądź co bądź gruncie. Wąskie kanaliki odprowadzają wodę z rzeki, bulgocącej w szerokim rozsypisku kamieni, i chwilami można przysiąc, że woda ta płynie pod górę. Z każdego rozprażonego zagonu dolatuje cichy bulgot i szmerek. Niewidoczne świerszcze tną dziką, wschodnią kapelą blaszanych gongów.

Pot zalewa czoło, skóra pali, ciało omdlewa. Rzemienie ciężkich plecaków wpijają się w nagie ramiona. W połowie drogi mały odpoczynek pośród cienia rozłożystych jak parasolki, dziwacznie pokurczonych japońskich sosen. Obok nas wlecze się przez pola drut telefoniczny. Na otwartym miejscu przy drodze, pod słomianym daszkiem siedzi przy stoliku koreański strażnik. Czyta książkę.

Sankua. Za rzeką, wysoko na zboczu, wprost na ziemi dwa długie słomiane dachy. To ziemianki Farnera. W każdej w glinianym mroku leży ciasno po sześćdziesięciu przeszło żołnierzy. Jurek z Marysią skręcają przez wodę do swoich chorych. Reszta, wlokąc się za obładowanymi saniami, mija strumień wypływający z gorących źródeł i wkrótce do-

ciera do szkoły będącej zasadniczym oddziałem interny. Wyładowanie bagażu w namiotach — i do chorych.

Mijają godziny. Sasza Penar, góral z Sącza, nie może nadążyć z badaniem chorych. Odgarniając zwichrzone blond włosy ze spoconego czoła, wędruje od posłania do posłania. Towarzyszy mu jeden z chorych, znający trochę język rosyjski. Ale Saszy nie potrzeba tłumaczy. Szybko dowiaduje się tego, czego chce. Koreańska siostra zapisuje polecenia.

Samo badanie wymaga nie lada wysiłku. Żołnierze leżą gęsto jeden przy drugim. Prycze są piętrowe. Między dwoma rzędami posłań — wąskie przejście. Oto kapitan Pak Dzon Su, żółty, obrzękły, nieruchomy. Mocz z krwią — coś z nerkami. Żołnierz nie może się ruszyć. Doktor Penar wpełza na pryczę, kładzie się obok chorego i przykłada ucho do jego pleców. Następny — ciężka malaria. Porucznik Pak Son Jon był szefem grupy zwiadowców. W maju, w czasie walk na wschodnim wybrzeżu przeleżał trzy noce w błocie. Sasza bada go na leżąco. Wpełza na następną pryczę. Potem drapie się na piętro.

I tak godzina za godziną, czołgając się na brzuchu, ostukuje i opukuje chorych. Upał, dusznota, wyziewy schorowanych ciał. Kości bolą, w głowie się kręci, ani krztyny wiatru.

Ci, co lepiej się czują, siedzą wsparci na łokciach. Kierownik sali, wychudły żołnierz w mundurze bez naramienników, powoli, monotonnym głosem czyta gazetę wojskową, Inmingun Sinmun, sprzed tygodnia. Wszyscy słuchają, nawet ci z zamkniętymi oczami. 8 czerwca podpisano w Panmundżonie porozumienie w sprawie jeńców wojennych. Czyżby wojna zbliżała się wreszcie ku końcowi?

Izby szkolne nie mają okien. Białe prześcieradła zasłaniają od promieni słonecznych. A jednak jest tak straszliwie gorąco — taka dusznota w cieniu.

O drugiej znużony, półprzytomny Sasza wychodzi na powietrze. Płucze twarz w zimnym potoku. Joasia przygotowała prowizoryczny obiad. Siedzimy na progu koreańskiej chatki i posilamy się. Wszyscy tak zmęczeni, że nawet jeść się nie chce. Sasza niepokoi się. Mało prawdopodobne, aby zdążył przebadać przewidzianą ilość chorych do wieczora.

— O szóstej odmarsz! — zarządza doktor Kowalski. — Nie zapominajcie, że po kolacji w obozie mamy szkolenie.

— Dzisiaj? Jakie szkolenie? — drapie się w głowę Sasza.

— Ogólne szkolenie dla wszystkich. Dalszy ciąg historii Chin.

Sasza zaciska wargi. Twarz jego robi się surowa, zawzięta.

— Trudno, doktorze, jak nie przebadam wszystkich, to zostanę.

— Tak nie wolno — opiera się ordynator. — Trzeba inaczej zorganizować pracę. Nie możemy się odrywać, musimy brać udział w życiu całej grupy.

— Kiedy to niemożliwe. Sam pan wie, doktorze, że to niemożliwe. Ile raptem tych godzin zostało dla chorych? Przecież my prawie cały dzień tracimy na marsze tam i z powrotem.

Penar wylicza na palcach, ile godzin efektywnie pracuje na oddziale. Nawet pobieżnie nie zdąży wszystkich przebadać; a badania laboratoryjne, a rentgen? Są chorzy, którzy leżą już od paru dni na oddziale i lekarz jeszcze ani razu do nich nie zajrzał. To fatalnie wpływa na samopoczucie żołnierza. Są dwa wypadki poważne...

To niemożliwe w ten sposób pracować. A jednak trzeba. Wojna. Szpital rozsypany w górach. A co będzie, kiedy przyjdą roztopy czy zima?

Słońce zniżyło się. Drzewa i góry rzucają długie, kolorowe cienie. Kapela świerszczy wzmaga się, wszystko drży od ich egzotycznego śpiewu.

Ludzie zgrzani, zmęczeni, szykują się do powrotu. Znowu sześć kilometrów pieszo do przeprawy. Staś powinien czekać z samochodem.

Sasza zostaje. Ma rower, spróbuje dogonić przed nocą.

Jutro przyjdzie rentgenolog, który obsługiwać będzie stary japoński aparat, umieszczony w małej chałupce obok *sankua*. Trzeba przygotować listę do prześwietleń.

Staś nie czeka. Odwiózłszy internistów na *sankua* wraca swoim „Lublinem" po raz drugi na *ilkua*. Na szosie mijają go ciężkie, zakurzone ZIS-y Chińczyków, zamaskowane gałęziami, z płóciennym daszkiem nad szoferką. Szoferzy chińscy szczerzą zęby, śmieją się jak dzieci na widok każdego Polaka. Ręką robią na powitanie znajomy gest: kciuk do góry.

— *Tin hou!* (Bardzo dobrze!) — oto ich powitanie.

Palec w górę oznacza wszystko: Jest dobrze. I to, że samolotów nie ma — w górze spokojnie. I to, że „górą nasi". I to, że oni, ochotnicy chińscy, spotkali innych ochotników — Polaków. I to, że pomimo wszystko dobre i piękne jest życie, poświęcone walce o słuszną sprawę, poświęcone pracy dla wspólnego zwycięstwa, dla pokoju. I to wreszcie, że Staś jest „długonosy", taki inny niż oni, a jednak swój, brat.

Stasio rozumie to również, dodaje gazu, trąbi na przywitanie.

Na „dwójce" przy szosie czekają już chorzy do rentgena. Jest ich cała gromada. Z trudem mieszczą się w samochodzie. Niektórzy nie mogą sami wejść, trzeba ich podsadzić. Uśmiechają się z zażenowaniem, przepraszają, jakby to była ich wina, że mają ręce na szynach.

Z tym niezwykłym ładunkiem Stasio rusza na powrót do obozu.

Wspomniał na chwilę o głuchym jęczeniu bombowców amerykańskich, przez które nie mógł zasnąć, których nienawidził. O żonie i bliźniakach, które przyszły na świat już po jego wyjeździe na Koreę. Tęsknota za domem opadła go jak atak malarii. I zaczynał pojmować nagle cały sens swojej pozornie monotonnej i głupiej pracy.

Ostrożnie i delikatnie zajechał pod rentgen.

Rentgen to wielkie słowo. Można wyobrazić sobie wspaniałe, precyzyjnie urządzone sale z tysiącem kabli, przewodów, guzików i zegarów, promieniochronne ciemnie, czerwone lampki sygnalizacyjne, poczekalnie z fotelami, ot chociażby jak u Tomasza Manna w „Czarodziejskiej górze". A tutaj co? Waląca się chałupina o zmurszałych ścianach, prześwitująca dziurami. Ciasnota taka, że pracować można tylko z pochyloną głową, zgarbioną postacią. Mały, polowy „Picker" amerykański, który psuje się ciągle z powodu braku prądu. Elektryczność z sieci jest fikcją — ledwo rozżarza słabe żarówki. I tak cud, że skądsiś tam jeszcze płynie energia, że jakaś elektrownia, nie zbombardowana, pracuje choć kilka godzin na dobę. Reszta z agregatów porozstawianych na oddziałach, kaszlących, plujących, zżerających cenną benzynę. Niech taki sukinsyn nawali w czasie operacji!... A na tym małym „Pickerze" trzeba robić wszystko: i klatki, i kości, i czaszki, i żołądki, prześwietlenia i zdjęcia, dopóki nie ruszy wielka „Megameta", instalowana w osobnej ziemiance. Kiedy to będzie — jeden Bóg wie.

W ciasnej ruderze męczy się od świtu do nocy Sonia. Schylona, żeby nie zawadzać głową o sufit co chwila, wychodzi przed chałupę na zalane jaskrawym słońcem podwórze, wyszukuje z listy kolejnego pacjenta spośród gromady koczujących wokół żołnierzy, wprowadza go troskliwie do ciemnej izby, układa z macierzyńską pieczołowitością na stole, który zajmuje dwie trzecie pomieszczenia. Zasłania kocami dopływ światła, mierzy, robi zdjęcia. Pozbawiona jakiejkolwiek męskiej pomocy, daje sobie doskonale radę. Z kasetami błon przemierza podwórze i znika za małym przepierzeniem sąsiedniej rudery. Tutaj, w klatce obetkanej kocami wywołuje zdjęcia, znaczy, zapisuje, przesyła do lekarza. I następny, i dalej, przez długie godziny.

Kolejka czekających cierpliwie żołnierzy rośnie. Oto z samochodu wyładowują ostrożnie na noszach kaprala z ciężką kontuzją czaszki. Kierowca. W czasie bombardowania wyrzuciło go na szosie z samochodu. Staś podchodzi z respektem do kolegi. Pomaga zanieść go na podwórze. Ranni rozstępują się robiąc przejście. Żołnierz jest nieprzytomny, od czasu do czasu jęczy ciężko: *Aj go... aj go!... Apumnida!...* (ojej,

ojej, boli). Pęknięcie podstawy czaszki. Sonia denerwuje się, ręce jej drżą. Przeżywa cierpienie każdego chorego. Ale i każdą radość.

Oto przychodzi „starszyna", Kim Phiol An, młody, piękny chłopak. Twarz smagła, energiczna, oczy z długimi, czarnymi rzęsami, zęby białe jak wapno. Idzie wsparty na kuli z sękatego drzewa owiniętego bandażami. Koło jego pełnych, czerwonych ust wyryte bruzdy cierpienia. Sonia jest w rozpaczy. Kim był już dwukrotnie operowany — raz w siódmym szpitalu koreańskim pod Hiczonem, raz u Węgrów. Kość udowa potrzaskana, rany nie goją się, a odłamka nie odnaleziono. Chirurdzy przeorali mu całe udo, a złośliwego kawałka metalu jak nie ma, tak nie ma. Sonia zaciska zęby. Ten ładny, młody chłopak może zostać kaleką na całe życie. Dźwigając niemal na własnych barkach dziewczyna prowadzi go do izdebki.

— *Andzsipsio, tomu* (usiądźcie, towarzyszu).

Pod zgruchotaną nogę podkłada kliszę. Aparat szumi w ciemności.

— Jeszcze jedno zdjęcie. I w tę stronę. O tak, dobrze. I w tę... — Żołnierz cierpliwie podporządkowuje się poleceniom. Nie wierzy, żeby to mogło coś pomóc jego sprawie. Skoro chirurdzy nic nie poradzili...

Sonia w czarnym, gumowym fartuchu z zakasanymi rękawami odgarnia kosmyk włosów z czoła i biegnie do ciemni. Za chwilę rozlega się stamtąd radosny pisk. Z rękami mokrymi do łokci, z wilgotną kliszą w dłoni wybiega na podwórko. Głową palnęła o belkę niskich drzwi, ale nie zważa na to i leci do Kima, który siedzi na progu ze znieruchomiałą twarzą.

— *Kim tomu, Kim tomu!* Jest! Jest!... Jest odłamek! — Pokazuje mu na matowej kliszy jego nogę z podłużnymi słojami kości, jak u kościotrupa. U dołu uda, nieco powyżej stawu kolanowego widać było wyraźnie czarną plamkę przypominającą pestkę od śliwki.

— Jest, znaleźliśmy! — cieszyła się Sonia wobec oszołomionego żołnierza. — Teraz pójdziesz na operację!... *Susulkua, ponimajesz?* Wyjmą odłamek. To stąd musiała iść infekcja. Wszystko zagoi się. Będziesz jeszcze grał footboll!... — I w porywie nagłej radości uściskała i ucałowała żołnierza.

Staś zrobił szelmowską minę.

— No, *tomu*... pół litra leci... *sul* (wódka) — zauważył śmiejąc się. Twarza miał sparzoną słońcem jak rak.

I znów siada do kierownicy i zawraca samochód, podjeżdżając tak, żeby ranni mogli jak najwygodniej wsiadać. Nociska klakson. Na płytce sygnału wydrapane były trzy kółka, połączone krzywą linią. Przy kółkach napisy: Gdańsk — Warszawa — Korea.

Tego dnia byłem zmęczony jak pies. Mieliśmy duże kłopoty z magazynem. Przede wszystkim część skrzyń pozostawionych tymczasowo na tzw. „piątym stanowisku" okazała się niedostatecznie zabezpieczona i kiedy wczoraj lunął nagły, gorący deszcz, dach z gałęzi i papy poprzesiąkał i skrzynie zamokły. Wobec tego trzeba było galopem likwidować „piąte stanowisko", rozbijać skrzynie i przenosić wszystko do namiotu. Ten namiot, to również mało pewne schronienie — wszystko w nim psuje się na potęgę, ale w warunkach polowych nie ma wyboru. Tak więc całe dwa dni przenosiliśmy kożuchy, watowane kurtki i spodnie oraz filcowe buty o kilkaset metrów do drugiej doliny, gdzie ukrywa się magazyn. Komiczny i bezużyteczny wydaje się ten polarny ekwipunek w tym słońcu, parnym deszczu i upale. Uprzytomnia mi to jednak, że mamy na Korei przesiedzieć przeszło pół roku, że kto wie, czy nie będziemy tu jeszcze zimować. Mrozy... ach, choćby trochę chłodu w tej łaźni.

W namiocie żywność psuje się coraz więcej, coraz więcej konserw staje się niezdatnych do użytku. Postanowiliśmy w innym miejscu pobudować nowy magazyn na żywność. Po drugiej stronie Pharanganu, w cieniu zbocza wydało nam się miejsce najodpowiedniejsze. Jest nas trzech ludzi nie zatrudnionych na oddziałach, a „po linii gospodarczej": ja, Marian — „żywnościowy" i Józek — intendent, z którego pomocy możemy tak długo korzystać, dopóki nie ruszy na swój kolejny, regularny kurs — trzysta kilometrów przez góry i bomby do Chin po zaopatrzenie. A wydaje się, że będzie musiał wyruszyć niedługo. Żywność psuje się, leków brak, a tu nadchodzi pora deszczowa, kiedy zaczną się potopy i przerwą wszelką łączność górskimi drogami z Antungiem. Musimy zaopatrzyć się we wszystko przed nastaniem ulewy. A jednocześnie musimy mieć to gdzie przechowywać.

Na szoferów nie ma co liczyć. Mają i tak dość roboty na miejscu z dowozem rannych.

Tak więc zostało nas tylko trzech. Posiadamy sporo drzewa z rozbitych skrzyń. Z tych desek robi się u nas wszystko. Trzeba rozkopać całą urwistą skarpę nad potokiem i przygotować plac pod budowę. Cały dzień ciężka, ziemna robota. Ziemia przerośnięta jest skałą, pełna kamieni i korzeni drzew. Pracujemy łopatami na sposób chiński: dwóch ciągnie za słomiane powrósła, przywiązane do trzonka nad okuciem, trzeci kieruje drzewcem łopaty i nabiera ziemię. Śpiewamy do taktu roboczą piosenkę koreańską: *Eja, eja... e-e-ja!...* Co chwila trzeba odrzucać łopatę, a chwytać za oskardy i łom. Ręce i grzbiet pękają od bólu i wysiłku. Po deszczu upał znów niesamowity. Pot leje się ciurkiem

po nosie i uszach, skóra czernieje. Co chwila trzeba się zanurzać w potoku.

Nasza piosenka zwabiła tylko kilku wartowników z terenu, którzy odłożywszy wbrew przepisom karabiny, usiłowali pomóc nam w budowie. Po południu przyszło jeszcze kilku chorych z zagipsowanymi rękoma lub nogami. Rwali się do pomocy, niemało mieliśmy kłopotu, aby ich wreszcie odpędzić.

Późnym wieczorem, około jedenastej, chciałem trochę popisać. Agregat kichał i kasłał, światło filowało. Nie chcąc budzić śpiących towarzyszy koreańskich i Marka — poszedłem do stołówki. W tym czasie agregat jak na złość zgasł. Dzienna racja benzyny skończyła się.

W sali stołówki niezwykły widok. Przekonany byłem, że wszyscy śpią o tej porze, a oto wokół stołu, w romantycznym blasku świec, krąg głów dziewcząt koreańskich w mundurach i żołnierskich, okrągłych beretach. Skupione, z przymrużonymi szparkami wąskich oczu, pod kierunkiem Hani, przewodniczącego organizacji zetempowskiej szpitala, śpiewają czystymi, silnymi głosami. Słucham i zdaje mi się, że to sen. A potem wzruszenie ściska za gardło i robi się ciepło...

Dziewczęta śpiewają po polsku, nie rozumiejąc słów ani treści piosenki, a jednak poprawnie, melodyjnie, pięknie: „Płynie Wisła, płynie po polskiej krainie..." Piosenka prosta, słowa nieskomplikowane: „Zobaczyła Kraków, wnet go pokochała, wnet go pokochała..."

Dziewczęta przerywają. Otwierają zmrużone oczy. Na twarzach uśmiechy. Zupełnie jak dzieci zasłuchane przy blasku kominka, śpiewające nieznaną bajkę. Stoję w cieniu na palcach i patrzę na ten wianuszek głów wokół świecy, dziecinne dołki na policzkach, czarne warkoczyki lub grzywki i te słowa śmiesznie zmiękczane, polskie — a nie polskie.

Hania była po dziesięciu godzinach ciężkiej pracy na stacji transfuzji i krwiodawstwa.

Andrzej Braun

(Dalszy ciąg nastąpi)

DO SIEBIE SAMEGO

Po cóż zanosić w czczy obłok na niebie
Życzenia łukiem, który tylko łudzi,
I żem konsulem, senatem dla siebie
Głosić wśród ludzi?

Idźcie daleko, wy troski przeklęte,
Bo mnie już wzywa Helikon wspaniały,
Szumiące cicho laurów gaje święte,
Focydy skały.

Gdzież jest Helikon zielenią pokryty?
Gdzie Cydnus, gdzie są skał tespijskich stoki,
Gdzie umajone fiołkiem ich szczyty?
Pindu potoki?

Któryż Akwilo was znajdzie w oddali,
Lub który Zefir w rydwanie się wzbije,
Aby mnie zanieść, gdzie chłód Cyrry fali
Źródłami bije?

Z frygijskiej skały niebosiężne mury
I Rzym potężny mi przypominacie,
I awentyńskiej, kapitolskiej góry
Skalne połacie.

Tutaj, gdzie młody mech cicho się chowa
Pod wód zwierciadłem, gdzie czysta kaskada
Klitumnu gwarzy, fala kryształowa
Almonu spada,

Tu z hipokreńskich przybyły strumieni
Źródła pegaskie i tutaj szczęśliwy
Śpiew Aganippid i tutaj się mieni
Potok wśród niwy.

Tu drugi Ufens i tu Lirys druga,
Drugi Trazymen swym kryształem bije
Tocząc bursztyny, tu złocista struga —
Plawe się wije.

Tutaj nad brzegiem zielonym Ezary,
Tutaj przy gaju empuskim igrają
Podmuchy z kwiatem i ciche pogwary
Wśród wód wzniecają.

Tu czar, wiosenna tu pora szczęśliwa,
Pogodne niebo, jasny blask dokoła,
Ze wszystkich brzegów obficie wypływa
Radość wesoła.

Wszyscy się żartom oddają z rozkoszą,
Śmiechom, dowcipom, a w ozdobnych szykach
Chodzą przybrane Gracje i roznoszą
Kwiaty w koszykach.

Tutaj Romula siedem wzgórz się śmieje
Do mnie serdeczniej i tu powiew wiosny
Tyburu zamek zmarznięty owieje
Tchnieniem radosnym.

Ozdobo wzgórków, o boże wspaniały,
Którego pieśni wśród Muz greckich słyną!
Febie, jeżeli Cyntu strome skały
Kroki twe miną,

Przyjdź tu, o świadku, wywczasu mojego!
Ty, Fusku, przynieś me umiłowane
(Bo któż mi wzbroni) pieśni Horacego —
Gdzieś są schowane.

POCHWAŁA BUGU

Mnie nie pociąga ni Salmacis zdradnej
Nurt porywisty, ni fala, co płynie
W kraju Etolów. Nie chcę chwalić żadnej
Rzeki płynącej po perskiej krainie.

O nich ma lutnia, co lekko kołysze
Melodie trackie, piosnki nie zaśpiewa.
Paktolom, Cydnom nakazuję ciszę,
Tybrowi, który lęk wkoło rozsiewa.

Będę opiewał Bugu czyste wody.
On chroni Wyszków od skwarnego lata,
Od mgieł osłania i od niepogody,
Gdy Auster deszczem firmament oplata.

Bugu, co źródła cię święte wydały!
Któraż boginka z Pierri pozwoli,
Abym zaczerpnął twoich wód kryształy,
Napił się fali płynącej powoli,

Chwycił za rogi długim mchem pokryte,
Wyniósł wysoko ponad szkliste wody,
Bym chwytał dłonią strumienie obfite
Żwawo ciekące z twej kosmatej brody?

Bugu jaśniejszy niż zwierciadło lśniące!
Tobie ni gałąź nie zmąci spokoju,
Ani kryształów twych bydło bodące
Nie zbrudzi idąc zmęczone do poju.

Niech cię nie dręczy skwarem Notus suchy,
Niechaj Boreasz burz na cię nie zsyła,
Lecz niech cię letnie powietrza podmuchy
Owioną lekko, gdy ci będą miłe.

Póki bogata Cerera się chowa
W kołach od wód twych w ruchu pogrążonych
I póki plony żyznego Wyszkowa
Mielesz ciężarem twoich fal wzburzonych,

Wypieścisz wieszcza miłymi szmerami.
A teraz popłyń przed siebie, daleko,
Zmieszaj swe wody wraz z Narwi nurtami
I tak opowiedz mazowieckim rzekom:

Jeśli Apollo słowa prawdy wróży
Swoim poetom — to wierzcie potomni!
Łańcuch stuleci już całkiem nieduży
Urodzi wieszcza, który nie zapomni

Po miastach sławić wód wszystkich strumieni,
Tak godnych przecież z naszych ust pochwały:
Zalet ich cicha lira nie wymieni,
Lecz oddźwięk głośnej gitary wspaniały.

DO KRYSPA LEWIŃSKIEGO
BY ZBYTNIO NIE UFAŁ MŁODOŚCI

Niech cię nie nęci twa młodość wesoła,
Kryspie Lewiński, bo szybkie miesiące
Biegną, gdy wszechświat obraca dokoła
Planet tysiące.

Choćby się złota koło ciebie lśniły,
Choćby twe szaty pas klejnotów pełny
Ściągał i choćby twą szyję stroiły
Tyryjskie wełny —

Jednak błyszczący na twoim szyszaku
Drogi pióropusz niepewnie się chwieje
I złoto także, w którego orszaku
Kroczysz, zblednieje.

Co ci godzina prawą ręką dała,
To ręką lewą ci wyrwie zdradziecko,
Tak jakby matka z synka żartowała
Zwodząc swe dziecko.

Zmienne, niepewne wypadki wszechrzeczy
Królestwem życia władają ludzkiego;
Żywot zaś stale pospiesza człowieczy
Do kresu swego.

Wolniej na wodach adriatyckich płynie
Łódź, choć ją pędzą wiosła zanurzone
I choć ją gnają po wielkiej głębinie
Wiatry szalone.

Wszystkim krążącym w przestworzu godzinom
Przypina lekkie skrzydła władca świata.
Niektóre w gnieździe drzemią i wypłyną
W następne lata.

DO EGNATA NOLIUSZA

ŻE WOBEC NIESTAŁOŚCI LOSÓW NALEŻY ZACHOWAĆ RÓWNOWAGĘ UMYSŁU

Czy cię łagodny podmuch owieje,
Czy groźne fale tobą miotają,
Śmiej się, gdyż losy różne koleje
Życia zsyłają.

Z powagą witaj los roześmiany.
Zapłacze? Oddaj mu uśmiech miły.
W każdym momencie bądź tylko zdany
Na własne siły.

Tak, jako cesarz państwem dowodzi,
Ty sobą kieruj, kiedy wyruszy
Troska ku tobie i gdy ugodzi
Twierdzę twej duszy.

Przyjdą przykrości do twojej chaty —
Wyjdź im naprzeciw; tą samą drogą
Spokój i szczęście twoje penaty
Nawiedzić mogą.

Złem, co nadpływa z pomyślnym losem,
Jest miękkość, która serca powleka.
Los niepomyślny przed każdym ciosem
Chroni człowieka.

Choć cię gnębiły smutki szalone,
Już złagodniały; zatem myśl zawsze,
Że łatwo losy znieść uprzykrzone —
Będą łaskawsze.

przełożył **Jan Sękowski**

LUCJAN WOLANOWSKI

CICHY FRONT

Winien jestem na wstępie kilka uwag czytelnikowi. Reportaż ten opowiada o dziejach zlikwidowania przez władze bezpieczeństwa w 1953 r. jednej z siatek adenauerowskiego wywiadu, działającego przeciw Polsce. Fakty tu opisane są prawdziwe. Pozmieniane są oczywiście nazwiska oficerów służby bezpieczeństwa oraz kobiety, która świadomie naprowadziła agenta ODT-738 na zasadzkę na granicy. Wszystkie inne nazwiska, włącznie z personaliami szeregowców WOP-u, są prawdziwe. Nie jest moim zadaniem relacjonowanie przebiegu rozprawy sądowej. Moją opowieść o tym fragmencie walki, toczącej się bezustannie na cichym froncie zmagań służby bezpieczeństwa z wrogim wywiadem, doprowadzę tylko do momentu, gdy na sali sądowej w Szczecinie powstał prokurator, ppłk. Golczewski, i w imieniu narodu polskiego powiedział: „Oskarżam!"

30 stycznia 1954 roku szosą wiodącą z Warszawy na zachód pędziła szara „Warszawa". Kierowca włączył ogrzewanie wozu i mimo zimowego poranku we wnętrzu samochodu było tak ciepło, że dwaj siedzący w tyle mężczyźni pozdejmowali płaszcze. „Jak myślisz — powiedział jeden z nich do towarzysza podróży — zastaniemy go teraz w domu?"

„Chyba nie — odpowiedział zagadnięty — ale zacznijmy od domu, jeżeli nawet poszedł już do pracy, to możemy zawsze tam pojechać. A zresztą, może pracował dziś na nocnej zmianie?"

Samochód minął Błonie i Sochaczew, szybko przejechał przez Łowicz i wypadł na prostą drogę, wiodącą do Kutna. Wyprzedzając ciężarówki i wozy zaprzężone w konie, „Warszawa" przemknęła przez Kutno i zatrzymała się wreszcie w małej wsi Pacyna w powiecie krośniewickim. Jeden z podróżnych wysiadł i przez chwilę rozmawiał z sołtysem, po czym wrócił do wozu i — kiedy kierowca zapuszczał silnik — powiedział mu: „Jedziemy do Kutna, do Powszechnej Spółdzielni Spożywców..."

Po kilku minutach obaj wysiedli przed jednym z domów tego tak przez wojnę dotkniętego miasteczka. Weszli do gabinetu kierownika. „Chcielibyśmy się zobaczyć z Marianem Woźniakiem. Pracuje u was, prawda? Byliśmy u niego w domu, ale nam powiedziano, że poszedł już do roboty. Czy możecie go tu poprosić?"

Rozmawiali półgłosem w oczekiwaniu na człowieka, którego kierownik miał sprowadzić. Po chwili wszedł do pokoju młody, może 25-letni mężczyzna w roboczym kitlu, o który wycierał zabrudzone przy pracy dłonie. Obaj mężczyźni powstali.

— Czy Edward Woźniak?

— Tak. To ja.

— Jesteśmy z Warszawy, z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego...

W ten właśnie sposób zakończył się jeden z rozdziałów tej wielkiej sprawy, o której chciałbym tu teraz opowiedzieć. Sprawa ta nie jest jeszcze zakończona i nie należy się łudzić, by zamknięta została w najbliższym czasie. Wielka gra toczy się bez przerwy — w dzień i w nocy — rozgrywana na szachownicy historii przez polskie organa bezpieczeństwa, krzyżujące plany wrogich wywiadów.

CÓ KAŻDY POLAK O GENERALE GEHLENIE WIEDZIEĆ POWINIEN?

Cała ta sprawa zaczęła się właściwie bardzo, bardzo dawno temu. Było to — otwieramy krakowską edycję biblii ks. Wujka z roku 1599 — tak: „Posłał tedy Jozue, syn Nun z Setym, dwu mężów-szpiegów potajemnie i rzekł im: Idźcie a wypatrujcie ziemię i miasto Jerycho. Którzy wyszedłszy weszli w dom niewiasty wszetecznej imieniem Rahab i stanęli u niej."

Jest to — jak sądzę — pierwsza szpiegowska historia na świecie, pierwsza opowieść o ludziach, którzy „szpiegowie są i wszystką ziemię wypatrywać przyszli". Lata minęły od owej chwili, kiedy to wywiad Jozuego ustalił, jak dalece mury Jerycha są wrażliwe na dźwięki trąb i tym samym umożliwił wojskom Izraela zdobycie miasta — ale założenie szpiegostwa pozostało nadal to samo: „wypatrywać ziemię".

W tym reportażu będzie więc mowa i o „mężach-szpiegach" wysłanych przez Adenauera i o „wszetecznych niewiastach", u których znaleźli schronienie. O ile jednak kontrwywiad króla Jerycho dał się wyprowadzić w pole Rahab, która ukryła izraelskich szpiegów w altanie pod lnianymi paździerzami, i ścigał ich dalej po fałszywym tropie aż do brodu Jordanu — to najnowsze wydanie tej starej historii rozgrywa się nieco inaczej w Polsce w 1953 roku. Nie wiedzieliśmy wtedy wcale, że — kiedy my pracujemy i właśnie po to, byśmy mogli pracować — polskie władze bezpieczeństwa rozegrały na cichym froncie, froncie, z którego rzadko tylko dobiegają nas odgłosy wystrzałów, kolejną bitwę z ludźmi, wysłanymi przez Adenauera do Polski, aby „wypatrywali ziemie" naszą.

Ludźmi tymi dowodził — jak dowodzi nadal ich następcami, którzy, nie miejmy żadnych złudzeń, zjawiać się jeszcze u nas będą — pewien generał z dawnej armii Hitlera. Pozwólcie, że go przedstawię: nazywa się Reinhard Gehlen. Ma obecnie około 50 lat, jest szczupłym blondynem średniego wzrostu, noszącym szczotkowate wąsiki. Ten pan najchętniej występuje jako „dr Schneider", a wtajemniczeni znają go pod umowną cyfrą „30".

Już przed 10 laty znany był jako jeden z najzdolniejszych oficerów sztabu Hitlera. Jego ówczesny oficjalny tytuł brzmiał: „Szef Wydziału Obcych Armii — Wschód". Za tym dość nieprzejrzystym tytułem kryła się bardzo niedwuznaczna funkcja: wywiad przeciw ZSRR. Gdy Adolf Hitler i jego Tysiącletnia Rzesza przeminęły po 12 latach z historią — generał Gehlen zbiegł na Zachód wraz z tajnymi aktami swego wydziału. Wywiózł on mianowicie ściśle tajne listy agentów hitlerowskiego wywiadu, działających w ZSRR, w Polsce i Czechosłowacji. Gehlen posiadał klucz do siatki szpiegowskiej admirała Canarisa i Himmlera.

To, że Amerykanie wzięli go do niewoli — było przykrym nieporozumieniem, którego trudno było uniknąć w tych niespokojnych czasach. W każdym razie, tak jak wielu innych hitlerowskich generałów, którzy za III Rzeszy przekrzykiwali się nawzajem w głoszeniu haseł wierności, honoru i przysięgi żołnierskiej, a rzucili się w ramiona Amerykanów niby tanie prostytutki — tak i Gehlen oddał chłopcom zza oceanu siebie i swoje archiwum. Ono to zwłaszcza zadziwiło fachowców wywiadu, którym Wall Street zleciła właśnie podjęcie przygotowań do działań przeciw ZSRR. Któż mógł przy tym lepiej pomóc niż generał Gehlen, który był w stanie w każdej chwili podjąć się naprawiania misternej hitlerowskiej siatki wywiadowczej, rozciągającej się nad całą wschodnią Europą? Toteż w

tym samym czasie, kiedy rząd USA wypowiadał się głośno na temat zlikwidowania hitlerowskiego sztabu generalnego, a generałowie amerykańscy zapewniali radzieckiego sprzymierzeńca o solidarności w walce z niedobitkami hitleryzmu — generał Gehlen podjął na nowo urzędowanie w małym, ale dobranym gronie współpracowników. Rekrutują się oni z szeregów wybitnych fachowców, zasłużonych w walce z ludzkością. Przed dziesięciu laty pracowali bowiem jako tak zwani oficerowie I-c (czyli wywiadu) w sztabie Wehrmachtu, w Abwehrze, Gestapo i RSHA, czyli „Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy".

Uwili sobie oni ciche gniazdko pod osłoną amerykańskiego wywiadu i ubolewają w duchu nad losem swych bardziej pechowych kolegów, którym sądy wymierzały sprawiedliwość za zbrodnie, popełnione od Calais aż po Stalingrad i od Narwiku aż po Palermo.

Już pierwsze raporty, opracowane przez Gehlena w 1946 roku, utwierdziły Amerykanów w przekonaniu, że sumy inwestowane w tę firmę bardzo się opłacą. Powędrowały do Waszyngtonu radosne sprawozdania rezydentów wywiadu USA w Niemczech, które w konsekwencji spowodowały stałe zwiększanie szpiegowskiego żołdu dla Gehlena i jego 400 współpracowników sztabowych oraz ponad 2.000 agentów. Kredyty te już w 1952 roku osiągnęły zawrotną sumę 3,5 miliona dolarów rocznie. W zeszłym roku zostały nieznacznie obcięte „za karę": za straszliwe cięgi, jakie Gehlen zebrał, m. in. za wsypę w Polsce, o której za chwilę dokładnie opowiem. W każdym razie Amerykanie domagają się ostatnio finansowania siatki Gehlena przez rząd Adenauera — nie rezygnując jednak ze współkierownictwa całym aparatem.

„AKCJA CWANIAK"

Główna kwatera Gehlena mieści się w zajmowanej wyłącznie przez Amerykanów osadzie Pullach — 16 km na południe od Monachium, w Bawarii, w gmachu opatrzonym niewinną tabliczką „Sueddeutsche Industrieverwertung". Sam Gehlen często przebywa w luksusowej willi nad Jeziorem Starnberskim koło Monachium.

Pod nazwami firm handlowych czynne są poszczególne działy wielkiego aparatu szpiegowskiego. Nazwy te od czasu do czasu się zmieniają. Tak np. centrala szpiegowska występowała pod szyldem: „Georg Gottschalk und Co. Asphalt und Teer", ale od 15 listopada 1953 roku przybrała nową nazwę: „Gerhard Edelmann K. G. Baugeschaeft". „Abwehra" w Karlsruhe nosi szyld: „Ernst Meissner und Co, Grob- und Feinkeramik".

Dowództwo organizacji Gehlena, czyli „GD" („Generalna Dyrekcja"), dzieli się na trzy główne wydziały a mianowicie: I. Wywiad. II. Sabotaż. III. Abwehra, czyli kontrwywiad. Te znowu podzielone są na różne grupy i działy, specjalizujące się w poszczególnych gałęziach wywiadu, jak np. szpiegostwo wojskowe, gospodarcze czy polityczne. Poza tymi głównymi wydziałami czynne są jeszcze w „Generalnej Dyrekcji" różne działy operacyjne i administracyjne, jak np. personalny, szkoleniowy, kurierski, kartoteka ND (Nachrichtendienst), centrum łączności radiowej oraz dział finansowy i gospodarczy.

„Generalnej Dyrekcji" podlegają osobne „Generalne Przedstawicielstwa" — w ogóle tu kupiecka terminologia doskonale pasuje do tych handlarzy śmiercią. A więc dalej — tworzone są „przedstawicielstwa okręgowe" i „pod-przedstawicielstwa", którym znowu podlegają „filie".

Swych szpiegów generał Gehlen fachowo podzielił na kilka kategorii:

1. „Pewniaki" — ludzie mieszkający w zachodnim Berlinie lub zachodnich Niemczech, przeważnie tzw. „uchodźcy polityczni", wskazujący organizacji Gehlena tych mieszkańców Polski, którzy mogliby być zwerbowani do wywiadu, a także tych mieszkańców NRD, którzy mogą być zwerbowani do montowania dróg przerzutowych do Polski.

2. „Badacze" — osoby mające na miejscu kontrolować, czy wskazani przez „pewniaków" ludzie istotnie mogą być zwerbowani. „Badacze" są oczywiście rutynowanymi agentami, posiadającymi pełne zaufanie wywiadu.

3. „Naprowadzacze" — agenci, którzy „zbadane" osoby przerzucają do zachodniego Berlina.

4. „Kurierzy" — są to agenci obarczeni zadaniem opróżniania tzw. „martwych skrzynek pocztowych" (znaczenie tego fachowego terminu wyjaśnię później) i dostarczanie zebranego w ten sposób materiału szpiegowskiego do zachodniego Berlina.

5. „Źródła". Te znowu Gehlen dzieli na grupy: a) „P" — agenci zajmujący się penetracją. Są to często tzw. „agenci perspektywiczni", czyli osoby, którym wywiad zlecił wślizgnięcie się na różne kluczowe stanowiska w życiu politycznym czy gospodarczym. Przez całe lata agenci ci nie mają żadnych kontaktów wywiadowczych ani też nie otrzymują żadnych zadań szpiegowskich do wykonania. Dopiero kiedy taki agent dojdzie do stanowiska, które daje mu wgląd w istotnie tajne sprawy, wtedy zaczyna swoją działalność. b) „U" — agenci mieszkający nieopodal ważnych obiektów lub w nich zatrudnieni, którzy mogą bieżąco dostarczać informacji o tych obiektach. c) „R" — agenci, którzy z racji swej pracy zawodowej odbywają częste podróże i przy tym zbierają informacje. d) „III" — agenci uplasowani w wojsku czy MO. e) „S" — agenci „specjalizujący się" w nawiązywaniu kontaktów szpiegowskich w Polsce i innych krajach demokracji ludowej.

6. „Radiowcy" — osoby wyszkolone w obsłudze radiostacji i przekazujące drogą iskrową materiały szpiegowskie do centrali.

Organizacja Gehlena jest szeroko rozgałęzioną i przebiegle zamaskowaną organizacją wywiadowczą, która posługuje się najnowocześniejszym sprzętem łączności — przeważnie amerykańskiego pochodzenia. Organizacja ta nastawiona jest szczególnie na działanie przeciw Polsce i Czechosłowacji. Zajmuje się tym specjalny wydział kryjący się za kryptonimem „Głębia i Badanie". Działania mające na celu wywiad przeciw PRL i ČSR noszą w organizacji Gehlena kryptonimy „Akcji Hermes" (greckie imię Merkurego, rzymskiego boga kupców i złodziei) i „Akcji Cwaniak".

Schemat ten nie jest jednak wcale sztywny. Szczególnie w tych formacjach Gehlenowskiego wywiadu, które działają bezpośrednio przeciw Polsce, istnieją „filie" kierowane przez „Generalną Dyrekcję" z ominięciem ogniw pośrednich.

Adenauerowscy „mężowie-szpiedzy" maskują się co prawda bardzo starannie, ale jednak...

Czy chcesz mówić z oficerem Gestapo, który dziś pracuje dla generała Gehlena? Połącz się telefonicznie z numerem 80936 w Monachium (strefa USA) i poproś do telefonu Maxa Preussera. Jest to pseudonim 50-letniego gestapowca Maxa Staudingera, który ze swego mieszkania pod numerem 24 przy Lichtingerstrasse na przedmieściu Monachium-Pasing, kieruje jedną z siatek wywiadu generała Gehlena. Jeżeli jednak wolałbyś rozmawiać z oficerem

SS, to poproś telefonistkę, aby cię połączyła z numerem 554403 w Hamburgu, w strefie brytyjskiej, gdzie niezawodnie do aparatu podejdzie *Herr* Somann *alias* Lange, kapitan SS, kierujący teraz agentami Gehlena w Hamburgu.

Prawdziwym gniazdem szpiegowskim jest zachodni Berlin, a mianowicie brytyjski, amerykański i francuski sektor dawnej stolicy Rzeszy, którą obecnie propaganda adenauerowska reklamuje szeroko jako „frontowe miasto". Zachodni Berlin ma tę samą walutę i rządzi się zasadniczo tymi samymi prawami, co zachodnio-niemiecka Republika Związkowa, ale nie należy do niej. Od utworzenia w roku 1948 separatystycznej administracji miasta, która odcięła zachodnią część Berlina od otoczenia, panuje tam trwały kryzys gospodarczy, sztucznie zwalczany jałmużną z Bonn. Władze zachodniego Berlina — tak jak cały reżim Adenauera — popierają ruchy odwetowe i prześladują wszelkie ruchy postępowe. W zachodnim Berlinie żyje ok. 2 milionów ludzi. W zachodnim Berlinie — uwaga, uwaga! — działają 52 (!!!) organizacje szpiegowskie i terrorystyczne, wysyłające agentów i dywersantów zarówno przeciwko NRD, jak i przeciw naszemu krajowi.

Wsiądźmy sobie do S-Bahnu czy U-Bahnu i dzięki temu taniemu środkowi komunikacji miejskiej zwiedźmy kilka godnych uwagi placówek zachodniego Berlina. Wysiadamy więc np. na stacji „Podbielski Allee", skąd mamy blisko do domu nr 10 przy Rohlstrasse, gdzie mieści się ekspozytura amerykańskiego wywiadu marynarki wojennej. Możemy portierowi zaproponować, aby poprosił do nas na rozmowę *Herr* Oskara Stebela, który swe „kwalifikacje" do objęcia tej posady zdobył w hitlerowskim wywiadzie — ale trudno przewidzieć, czy będzie on usposobiony do rozmowy z nami. Dalej — wysiadamy na stacji kolejki podziemnej „Hollendorf Platz" i zaglądamy do garażu przy Bendlerstrasse 14. Garaż ten służy za przykrywkę prawdziwej działalności majora Karla Edmunda Gartenfelda. Podczas minionej wojny spisywał się on doskonale, dokonywując przerzutów hitlerowskich agentów na Wyspy Brytyjskie — obecnie pracuje dla znanego już nam generała Gehlena.

Gdyby ten czy inny adres stracił tymczasem aktualność — będziemy musieli podjechać do stacji kolejki podziemnej „Oskar Helene Heim" i zadzwonić do domu nr 170 przy alei Clay'a, gdzie pułkownik wywiadu USA — Conger *alias* Gartner będzie znał niezawodnie adresy bieżące. W domu tym mieści się bowiem ekspozytura berlińska amerykańskiej „Centralnej Agencji Wywiadowczej" (CIA), która koordynuje działalność różnych grup szpiegowskich i terrorystycznych. Na jej czele stoi — jak wiadomo — mr Allen Dulles, rodzony brat Johna Fostera Dullesa, ministra spraw zagranicznych USA.

Ale przerwijmy nasze zwiedzanie! Przecież ci dwaj panowie, jadący teraz małym samochodem „Volkswagen" przez ulice sektora francuskiego — to właśnie bardzo ważne „osobistości" naszego reportażu. Psssst!!! Cicho, cicho!!! Nie spłoszmy ich tylko, a zobaczymy pierwszą potyczkę, wygraną na cichym froncie przez organizację generała Gehlena.

BERLIN, GODZINA 18-ta

Samochód jedzie teraz przez dzielnicę Wedding, wjeżdża na Gerichtstrasse i zatrzymuje się przed domem nr 25. Obaj panowie wysiadają, jeden z nich starannie zamyka drzwiczki na klucz. Nim wejdziemy wraz z nimi — spójrzmy na kalendarz. Jest 3.III.1953 roku.

Dopiero minęła godzina 18-ta. Obaj mężczyźni dzwonią do drzwi opatrzonych metalową tabliczką „Heinz Landvoigt". Otwiera im jakaś młoda kobieta. Usłyszawszy, że chcą mówić z Heinzem Landvoigtem, zaprasza ich do małego pokoju, a sama idzie po męża, młodego barczystego blondyna.

— Chcielibyśmy z panem przez kwadrans pomówić na osobności — mówi jeden z przybyłych.

— Bardzo proszę. Jesteśmy sami. Czy panowie macie do mnie jakiś interes?

— Można to i tak nazwać. Ale to słowo nie oddaje należycie celu naszej wizyty. Nas sprowadza s p r a w a.

Heinz Landvoigt dopiero teraz przygląda się uważnie swym rozmówcom. Ton, sposób mówienia przypomina mu czasy, kiedy służył w marynarce wojennej. Ale nie ma teraz czasu na wspomnienia. Dwaj mężczyźni patrzą na niego zimnym, spokojnym spojrzeniem ludzi przyzwyczajonych do rozkazywania. Heinz Langvoigt zdawkowo pyta:

— Czy panom chodzi może o lekarstwa? Niestety, tym się już właściwie nie zajmuję. Te kilkanaście ampułek belgijskiej penicyliny czy amerykańskiej streptomecyny, jakie mam w domu, zostawiłem dla siebie.

— Zupełnie słusznie, podziwiamy pańską przezorność. Ale my nie interesujemy się lekarstwami. Wiemy, że medykamentami już pan nie handluje. Przecież sklep kolonialny, prowadzony przez szanowną małżonkę pana, doskonale idzie, a pańska koncesja na wydobywanie złomu ze szlaków wodnych daje niezłe dochody. Tak, tak — czterech pracowników i interes idzie, teraz tylko małe przedsiębiorstwa mają rację bytu. Właściciel dogląda sam roboty, wie dobrze, kogo może darzyć zaufaniem. A zaufanie — to wielka rzecz. Pan się może zdziwi, panie Landvoigt, ale my mamy do pana wielkie zaufanie...

— Dziękuję bardzo. Czym zasłużyłem...

— Pan o nas nic nie wie, panie Landvoigt, ale my o panu wiele wiemy. Podkreślam — wiemy wiele dobrego. Świat jest w gruncie rzeczy bardzo mały, panie Landvoigt. Znamy ludzi, którzy pana znają, i tak się jakoś przyjemnie zgadało. Pan przecież służył pod rozkazami wiceadmirała von Haye, prawda? Tego, który tak zaszczytnie wyróżnił się przy wyzwalaniu Wybrzeża Bałtyckiego w 1939 roku. Otóż pański dawny dowódca, wiceadmirał Helmuth Guido Aleksander von Haye, jest posłem do Bundestagu z ramienia CDU, rzeczoznawcą do spraw wojskowych i członkiem Komisji Bundestagu do spraw „armii europejskiej". Mieszka w Bremie. Wreszcie w Republice Związkowej doszli do głosu prawdziwi niemieccy patrioci.

— A więc panów skierował do mnie któryś z kolegów z floty wojennej. To od niego się panowie dowiedzieli, że...

— Wiemy o panu znacznie, znacznie więcej, panie Landvoigt. Właśnie na tym budujemy nasze zaufanie. Wiemy, że pański ojciec był przedsiębiorcą wodnym na Odrze i że pochłonęły go fale tej rzeki w 1927 roku, kiedy miał pan zaledwie 4 lata. Wiemy, że wychowywał się pan u matki, która miała 12-hektarowe gospodarstwo rolne pod Kożlem — na tej pięknej, niemieckiej ziemi, która teraz jest — wierzymy w to głęboko — tylko pod przejściową administracją polską. Wiemy, że miał pan 14 lat, kiedy idąc w ślady ojca wstąpił pan na pokład odrzańskiej barki. Wiemy, że w 1941 roku, gdy nasza ojczyzna bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała dzielnych ludzi — wstąpił pan ochotniczo do marynarki wojennej. Wiemy, że w trzy lata później ukończył pan szkołę podoficerską

marynarki wojennej i został pan przydzielony do flotylli poszukiwaczy min jako radiotelegrafista. Wiemy i to także, panie Landvoigt, że Adolf Hitler nagrodził pana za gorliwą i wierną służbę „Żelaznym Krzyżem" I i II klasy oraz „Wojennym Krzyżem Zasługi" I i II klasy...

Heinz Landvoigt słuchał w milczeniu. Było już dlań jasne, że nie chodzi tu o zwykłą transakcję handlową. Z kolei zabrał głos drugi z przybyłych:

— Przez rok był pan w bolszewickiej niewoli, panie Landvoigt. Potem pływał pan jako kapitan parowca na trasie z Gliwic przez Wrocław do Szczecina, zanim wiosną 1947 roku przybył pan do Berlina. Tu — chcemy panu pogratulować wyboru — ożenił się pan ze swą kuzynką, Hildą Landvoigt. Ale wiadomo, nie można żyć samą miłością — więc pływał pan na barkach kursujących między Szczecinem a portami rejonu berlińskiego. Pensja nie była wysoka — ale przecież przedsiębiorczy człowiek zawsze sobie da radę, prawda, panie Landvoigt?

— Nie bardzo rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć?

— Między nami nie ma chyba co ukrywać. Przecież to właśnie panu wielu ludzi zawdzięcza przybycie do naszego miasta z ominięciem, he-he-he, kłopotliwej procedury paszportowo-wizowej. Oni w ten sposób wiali z Polski, a pan miał na boczku niezły dochód. Brał pan za to po kilkadziesiąt tysięcy tych dawnych polskich złotych — nieprawdaż?

— Brałem po 30 tysięcy.

— No, no, młody człowieku, po co ta skromność? Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy dali panu i po sto tysięcy. Wiadomo, pan ryzykował głową — Rosjanie i Polacy nie znają się na żartach w tych sprawach. Ale tylko śmiałym sprzyja szczęście — dla nich pieniądze leżą na ulicy!

— Lub w ogrodzie — dodał znacząco drugi.

— Słusznie, zupełnie słusznie. Lub w ogrodzie. Więc do rzeczy, panie Landvoigt. Szkoda czasu na długie rozmowy. Nazywam się Kaiser — a to jest pan Torgler. Nasze nazwiska nic panu nie powiedzą — ale propozycja, jaką chcemy panu uczynić, to gratka. Chcemy panu zaproponować... ale jeszcze jedno, panie Landvoigt. Może pan na naszą propozycję przystać lub nie — to jest pana sprawa. Ale proszę pana w każdym razie o dyskrecję. Otóż mój stryj, Gerhard Kaiser, służył w SS. To był bardzo dzielny człowiek. I bardzo obrotny. Krótko mówiąc, kiedy został odkomenderowany do obozu w Oświęcimiu, zdołał tam sobie uciułać maleńki majątek. Stryj pracował w tak zwanej „kanadzie". Pewnie, nie było przyjemne to stałe patrzenie na tych Polaków, Żydów, Francuzów, ale bez pracy — nie ma kołaczy. Niestety na zabranie walizki z kosztownościami zabrakło stryjowi w ostatniej chwili odwagi. Zostawił ją zakopaną w ogrodzie przy jednej willi koło Koźla. Adres dokładny i szczegółowy plan ukrycia tej walizki damy panu, kiedy pan się zgodzi...

— Na co mam się zgodzić?

— Niech pan nie przerywa. W walizce jest 14 złotych zegarków. Mechanizmy może trzeba będzie wymienić, bo od 1945 roku wilgoć robi swoje, ale kopertom to nie zaszkodzi. Dalej — 23 pierścionki z brylantami. Trudno określić ich wartość — ale szmelc to na pewno nie jest. Bransoletek złotych i złotego złomu, złotych zębów i złotych kolczyków jest koło sześciu kilogramów. Stryj miał tego tyle, że ważył na zwykłej wadze. Chodzi o to, aby pan, panie Landvoigt, przedostał się do Polski i odkopał tę walizkę. Doprawdy — to złoty interes. Pan zna język, zna pan tamte strony, ma pan tam znajomych

i kolegów. Ryzyko małe, a w zamian za to zapewnione dostatnie życie dla pana i rodziny. Niech pan doceni nasze zaufanie: przecież mógłby się pan tu z tą walizką w ogóle nie pokazać! Ale my panu wierzymy...

— Nie, nie, panowie. Bardzo jestem wdzięczny za zaufanie, ale ja na to nie pójdę. Ja panów nie znam. Kto wie, kto panów przysłał? Proszę się na mnie nie obrazić, ale tak już nieraz było, że kogoś namówiono na wyjazd w tym czy innym celu przez zieloną granicę i ślad po nim zaginął. Ja nie chcę gnić u Polaków w więzieniu.

— Doprawdy, pan nam się coraz więcej podoba, panie Landvoigt. Z taką roztropnością i takim sprytem pan daleko zajedzie. Istotnie nie ma pan żadnych podstaw, aby nam wierzyć na słowo. Niech pan więc przejdzie się jutro do komendy policji przy Friesenstrasse 15 i tam porozmawia z kierownikiem oddziału V — pan wie — to jest oddział polityczny. Tam się pan dowie o nas. Jutro znów do pana przyjdziemy. Może o tej samej porze? Będzie pan miał czas się namyśleć. Jak mówią Francuzi — noc przynosi dobrą radę. Zgodzi się pan na naszą propozycję — to majątek tak jakby w kieszeni. Nie przystanie pan na nasze warunki — to przecież i tak rozstaniemy się w zgodzie. Pan nam się podoba i chcielibyśmy się z panem dogadać, ale ostatecznie w Berlinie jest więcej młodych, dzielnych i chcących dobrze zarobić ludzi... Do jutra!

TRZECI PAPIEROS

Nie wchodźmy z Heinzem Landvoigtem do gmachu prezydium zachodnio-niemieckiej policji. Moglibyśmy co prawda dostać się tam bez trudu; wystarczyłoby, gdybyśmy stanęli w Berlinie zachodnim na rogu ulicy i krzyknęli głośno „Niech żyje pokój!" lub „Precz z następcami Hitlera!" — zaraz by nas tam przewieziono. Przejdźmy się może przez ten czas spacerkiem do ratusza zachodnio-berlińskiego, gdzie urzęduje przewodniczący „Wolnej Partii Demokratycznej", czyli jednego ze stronnictw koalicji rządowej zachodniego Berlina, nazwiskiem Carl Hubert Schwennicke. Mógłby nam wiele ciekawych rzeczy opowiedzieć o sprawach wywiadu, gdyż za Hitlera nosił piękny tytuł „Abwehrbeauftragter der Geheimen Staatspolizei", czyli był pełnomocnikiem Gestapo do spraw kontrwywiadu. Wątpliwe, czy będzie chciał z nami rozmawiać — a tu na ratuszowym zegarze czas szybko leci. Trzeba wracać do sektora francuskiego, gdzie dziś ma być podjęta zaczęta wczoraj rozmowa.

Widzimy, jak pani Hilda Landvoigt krząta się nakrywając stół śnieżnobiałym obrusem i stawiając na nim trzy kieliszki oraz butelkę koniaku z trzema gwiazdkami. Jej mąż nie ma — jak wczoraj — rannych pantofli na nogach i rozchełstanej koszuli. Ubrany jest w nowy garnitur a jego włosy, gładko przyczesane, noszą widoczne ślady świeżej bytności u fryzjera. Niemal równocześnie z sygnałem czasu, obwieszczającym z otwartego radioodbiornika godzinę 18-tą — rozlega się dzwonek u drzwi wejściowych. Heinz Landvoigt przekręca gałkę, przerywając płynne czytanie ostatnich wiadomości rozpoczęte przez spikera „RIAS" (rozgłośnia w sektorze amerykańskim), i śpieszy, aby powitać wczorajszych znajomych. Pada kilka zdawkowych zdań. Dźwięczą kieliszki, zderzające się lekko przy głośnym „prosit!" trzech mężczyzn. Heinz Landvoigt raz jeszcze upewnia się, czy nikt pod drzwiami nie podsłuchuje ich rozmowy, po czym podaje obu przybyszom wyniki

swej rozmowy w prezydium policji. Słuchają z uśmieszkiem.

— Tak, moi panowie. Oficer oddziału V powiedział mi, że mam do czynienia z przyzwoitymi ludźmi, a nie z jakimiś podejrzanymi agentami. Ja zresztą od razu miałem do panów wiele zaufania — ale panowie sami rozumieją, w tych sprawach nigdy nie jest się zbyt ostrożnym. A tu już się koło mnie różni kręcili... Anglicy, Francuzi — a najwięcej Amerykanie.

— Wiemy o tym. Amerykanie kupili od pana kilka nazwisk barkarzy pływających do Polski, którzy byli w SS czy SA i nie są obarczeni żadnymi przesądami.

— Istotnie dałem kilka nazwisk znajomych wodniaków. To chyba żadne przestępstwo?

— Amerykanie znajdą dla nich odpowiednie zajęcie. Chyba nie wziął pan tych kilkuset marek za wskazanie kogoś niepewnego?

— A jeśli się nie zgodzą?

— Pan, panie Landvoigt, jest trochę naiwnym człowiekiem. Ci, którzy nie przystają na takie konkretne propozycje — zazwyczaj dziwnie kończą. Jeden pośliznie się w nocy na pokładzie barki i utonie, drugiego może na pustej jezdni przejechać samochód. Wypadki chodzą po ludziach. Amerykanie to ludzie bez zasad moralnych. Niemiecka krew niewiele ich kosztuje. Ale nadchodzą dni, kiedy weźmiemy znowu w nasze ręce walkę o zjednoczenie Europy, kiedy poprowadzimy narody przeciwko bolszewizmowi, wypędzimy Polaków z pana rodzinnych stron, panie Landvoigt. Dobrze pan zrobił nie wplątując się z nimi w bliższą współpracę. Nadejdzie dzień, kiedy rozprawimy się z tymi, którzy zaprzedali się obcym wywiadom. Amerykanie są nam potrzebni — ale do czasu. My, Niemcy, już wkrótce będziemy mieć 12 dywizji. To dopiero początek. No, napijmy się... Za niemiecki nowy ład w Europie! *Prosit!*

Trzej mężczyźni stuknęli się kieliszkami. Nad Berlinem kładła się gęsta mgła. W mieszkaniu przy Gerichtstrasse było ciepło i przytulnie. Koniak wlewał się w żyły rozmawiających, jutro przedstawiało się w różowych barwach. Landvoigt otworzył srebrną szkatułkę i poczęstował Kaisera i Torglera papierosami. Wzięli obaj — on zapalił zapałkę i podał ogień swym gościom. Miał właśnie tę samą zapałkę przytknąć do swego papierosa, kiedy Kaiser bezceremonialnie zdmuchnął płomyk.

— Niech pan tego nigdy nie robi, panie Landvoigt. Człowiek, który nawojował się w życiu tyle, co ja, staje się przesądny. Pan może o tym nie wie, ale nie należy nigdy zapalać trzeciego papierosa tą samą zapałką.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Datuje się to jeszcze od I wojny światowej. Nasi żołnierze tkwili wtedy miesiącami we Flandrii w okopach. To był „sitzkrieg", a nie „blitzkrieg"... Otóż, młody człowieku, naprzeciwko nas w angielskich okopach Tommies ustawili swoich strzelców wyborowych. Jest noc. Wypatruje taki Anglik w ciemności i widzi błysk zapałki. Jeden z naszych zapala sobie od niej papierosa — podaje drugiemu. Jeszcze dwie sekundy i dostaje ją trzeci — którego strzelec ma już na muszce i któremu pakuje porcję ołowiu prosto w głowę. Heinz, młody człowieku, niech pan to sobie dobrze zapamięta: po ogień trzeba w życiu zawsze iść jako pierwszy...

— Nie bardzo pana rozumiem...

— Może nie wszystko pan od razu zrozumie, panie Landvoigt. To nie są proste sprawy. Ale zaraz to panu bliżej wyjaśnię. Czy składał pan przysięgę na wierność Wielkoniemieckiej Rzeszy?

— Oczywiście.

— A więc pan jest dalej członkiem naszych sił zbrojnych i z dniem dzi-

siejszym pan, *Funkmat* Heinz Landvoigt, zostaje powołany znowu do czynnej służby. Nie, niech się pan nie boi — tym razem nie będzie pan mył pokładu jakiejś pływającej balii ani też skrobał kartofli czy nastawiał karku pod pociski z „organów Stalina". Myśmy się, panie Landvoigt, dość już nawojowali na froncie — teraz, w tej III wojnie światowej, niech inni, młodsi od nas idą na front. Ci, którzy już teraz zaczną ofiarną i zaszczytną służbę dla naszej sprawy, spędzą wojnę w zacisznym biurze lub może nawet w ciepłym domku przy miłej żoneczce.

— Więc ten skarb w ogródku, to..

— Niech pan nie przerywa. Czy w marynarce nie nauczyli pana tego, że nie przerywa się przełożonym? Ach, racja, przecież pan miał nawet pewne kłopoty z żandarmerią polową o niesubordynację... Ej, młodość, młodość! Co prawda, to było 9 lat temu, czas leci i uczy ludzi rozumu. W tym ogródku nie ma nic, panie Landvoigt. Myśmy chcieli tylko zobaczyć, jak się pan zachowa. Ale niech pan się nie martwi. Złoto jest tu, w Berlinie. Po co taszczyć ciężką walizkę aż spod Koźla? Nie darmo nazywam się „cesarz", umiem po cesarsku wynagradzać tych, którzy na to zasłużą. A przy tym spełnia pan obowiązek Europejczyka i Niemca.

— Hilda mówi, że nie ma po co wracać na Śląsk. Czy tu nam jest źle?

— Pan słucha głupiej baby? Kobieta niemiecka nie powinna wtrącać się do męskich spraw. Tak, to racja, że źle wam tu może nie jest. Ale może być lepiej.

— Wróćmy do rzeczy. Jaką czynną służbę panowie dla mnie przewidują?

— My jesteśmy z „Urzędu Ochrony Konstytucji". Pan już wiele razy przewoził ludzi z Polski do Berlina. Teraz ma pan możność przewożenia ich w odwrotnym kierunku — z Berlina do Polski. Dla ojczyzny... No i nie za darmo!

— Ależ panowie, przecież ja nie mam teraz barki.

— Są inne sposoby. My przerzucamy ludzi nie tylko o te kilkadziesiąt kilometrów stąd, ale poprzez Ural aż do Chin! Czymże jest wobec tego przewożenie ludzi przez Odrę? Pan powiedział wczoraj — dobrze to pamiętamy — że nie chce pan zgnić w polskim więzieniu. Nie mamy o to do pana pretensji. Nikt nie chce siedzieć w więzieniu. Ale nawet gdyby się panu noga powinęła, mamy sposoby na wyciągnięcie ludzi z opałów. Pan sam zresztą nie będzie się bez celu kręcił po Polsce. Do tego mamy innych. Pan tylko ich będzie przewoził. Za każdym razem — w pana kartotece wojskowej przybędzie jeszcze jedna pochlebna adnotacja, a w kieszeni 500 marek. Ile godzin musi pan stać za ladą, aby zarobić 500 marek? Ile złomu trzeba wydobyć ze Szprewy, aby dostać 500 marek? I to tylko na początek — potem będziemy płacić więcej.

„LUDZIE SZCZURY" O „LUDZIACH ŻABACH"

W godzinę później Kaiser i Torgler jechali samochodem w stronę sektora amerykańskiego. Byli wyraźnie w dobrych humorach.

I tak Heinz Landvoigt wstąpił na służbę generała Gehlena. Do Bawarii poszedł raport zawiadamiający o zwerbowaniu agenta „ODT-745". Wywiad boński usidłał jeszcze jednego agenta do roboty przeciw Polsce.

Landvoigt z kolei poznał swych nowych chlebodawców z obywatelami NRD, Vogelsaengerem i Kupschem, właścicielem przedsiębiorstwa taksówkowego, który ma prawo jeżdżenia po całym NRD. Torglerowi przedstawił

Edgara Sommerfelda, właściciela tartaku w Kienitz nad Odrą, gdzie zorganizowany został punkt przerzutowy do Polski. Przy ich udziale powstał nowy kanał przerzutowy do Polski dla agentów generała Gehlena.

Landvoigt jeździł przez NRD zaopatrzony przez siatkę Gehlena w fałszywe dokumenty na nazwisko Heinz Sternberg. Z Kaiserem i Torglerem spotykał się w zachodnio-berlińskich knajpach. Nie żałowali sobie ani wyszukanych potraw, ani najdroższych trunków. Na tle nędzy 300 tysięcy bezrobotnych wegetujących na terenie zachodniego Berlina zawodowi handlarze śmiercią, pracownicy ekspozytur wywiadowczych, i ich narzędzia żyją wprost wspaniale.

We wrześniu 1953 roku Kaiser i Torgler sprowadzili Landvoigta na spotkanie z pewnym pułkownikiem, przybyłym z centrali monachijskiej. Pułkownik najpierw wypytywał przejętego ważnością chwili Landvoigta o jego umiejętności radiotelegraficzne, by z kolei przejść do sprawy przerzutów do Polski. „Widzicie — powiedział — coraz trudniej jest przerzucać ludzi przez Odrę. Ale my już mamy inne plany. Wyście przez kilka lat pływali po Odrze, prawda?"

— *Jawohl, Herr Oberst.*

— Znacie prądy wodne na tej rzece?

— Tak jest.

— Słyszeliście kiedy o „ludziach-żabach"?

— Nie, panie pułkowniku.

— „Ludzie-żaby" dokonali podczas minionej wojny wielu śmiałych akcji. Włosi na przykład zatopili dzięki nim pewne okręty brytyjskie w ich bazach śródziemnomorskich. „Ludzie-żaby" noszą lekkie maski z tlenotwórczymi substancjami chemicznymi lub ze zbiornikiem tlenu, obliczonym na określony czas. Tacy ludzie mogliby przechodzić dnem Odry do Polski. Pozostaje tylko sprawa ustalenia, jak dalece zniesie ich prąd.

— Nad tym trzeba się zastanowić.

— Z tym jest jeszcze czas. Nadchodzą teraz długie jesienne noce. Ale na wiosnę sprawa stanie się aktualna. Będziemy robić morskie desanty. Podpłynie łódź podwodna. Przy brzegu polskim spuści się gumowy ponton. Dwaj marynarze do wiosłowania i jeden nasz agent. Z powrotem — też można. Łódź podwodna nie wynurza się, ale wysyła nad powierzchnię sygnały widzialne przez załogę pontonu dzięki specjalnym okularom z odległości około 0,5 kilometra. Gdy już odpowiednio nastawiony ponton podpłynie blisko — wtedy dopiero łódź się wynurza i w kilka minut zabiera agenta na pokład. To kwestia ćwiczeń. Ale to wszystko sprawy dalsze. Teraz — co innego jest ważne. Wy, *Funkmat* Landvoigt, moglibyście awansować w naszej służbie.

— Posłusznie dziękuję, panie pułkowniku.

— Moglibyście pracować przy opróżnianiu martwych skrzynek przedmiotowych lub też w trójkątach operacyjnych. Nie wiecie, co to jest? A więc nasi ludzie w Polsce wybierają ustronne miejsce, na przykład ruiny, wyjmują kilka cegieł i tworzą coś w rodzaju wnęki, do której wrzucają zebrane materiały. Każdy z nich działa oddzielnie — nawzajem się nie znają. To bardzo ważne — gdy jednego złapią, nie może wydać innych. Na drzewie czy słupie telegraficznym o kilkadziesiąt metrów od tej skrzynki wbija się duże pluskiewki. Jeżeli — to sprawa umowna — są one wbite blisko siebie, to znaczy, że skrzynka jest pusta. Jeżeli ktoś tam wrzuci materiał, to rozstawia pluskiewki i wtedy trzeba tę pełną skrzynkę opróżnić. Materiały trzeba nam jak najszybciej przekazać. To, co dziś jest rewelacją — jutro może być

odpadkiem. Może *Funkmat* Landvoigt opróżniałby taką jedną skrzynkę? W trójkącie operacyjnym zasada jest podobna, tyle tylko, że materiały z martwej skrzynki wybiera radiotelegrafista, który szyfrem nadaje je do naszej centrali.

— Zastanowię się nad tym, panie pułkowniku. Jutro mam znowu jechać do Polski. Ważny przerzut.

— Dobrze. Wypocznijcie sobie przed jutrem. Możecie już odejść.

ODT-738

Kim był człowiek, który miał nazajutrz stanąć na polskiej ziemi przy pomocy Landvoigta?

Właśnie teraz wojskowy samolot amerykański z „Transport Command" ląduje na berlińskim lotnisku Tempelhof. Mały „Jeep" amerykańskiej żandarmerii polowej podjeżdża pod drzwiczki kabiny wielkiej, czteromotorowej maszyny. Z samolotu wysiadają amerykańscy oficerowie, wracający z urlopu spędzonego w Nadrenii lub „wesołym" Paryżu do berlińskiego garnizonu. Wysiada kilku kurierów wojskowych, wiozących wyładowane papierami, hermetycznie zamknięte teczki. Wysiada wreszcie dwóch mężczyzn w cywilu, którzy wskazują na „Jeepa" czekającego koło samolotu. Po chwili są już w hallu dworca lotniczego. Tam podchodzi do nich trzeci mężczyzna — przecież to nasz znajomy, *Herr* Kaiser! Zabiera ich do swego samochodu i wszyscy trzej jadą do hotelu na Ingeburger Platz. Portier w liberii przypomina sobie: tak jest, pokój jest oczywiście zarezerwowany dla pana Alberta Mohra i pana Jansena, proszę tylko wypełnić kartę meldunkową.

Dwadzieścia dwa lata życia ma dopiero za sobą — ale czym je wypełnił? Nie, nie — tego pan Albert Mohr nie pisze. Aby czegoś więcej się o nim dowiedzieć, musielibyśmy mieć w ręku także i dokumenty pana Artura Machnika i pana Antona Morawca. Jakkolwiek ci trzej są w gruncie rzeczy jednym człowiekiem — ale i to też nam nie da jeszcze wszystkich informacji o naszym nowym znajomym, który naprawdę nazywa się Adolf Machura. Znajomość tego faktu ułatwia reporterowi pracę — pod tymi czterema nazwiskami kryje się tylko jeden przestępca.

Widzimy go teraz, jak w pokoju hotelowym przyczesuje sobie włosy. Jeszcze chwila i wraz z panem Jansenem wyrusza na ulice Berlina. Albert Mohr rozgląda się po ulicach wielkiego miasta — nie jest tu po raz pierwszy.

Jest Ślązakiem — pochodzi ze Straduni, gmina Krapkowice, w powiecie Opole. Matka jego wywodzi się ze starej, znanej na Opolszczyźnie rodziny Wiechaczków. On sam już w ostatnim okresie wojny należał do „Hitlerjugend" — tej freblówki zbrodni. Później przez jakiś czas pracował u okolicznych chłopów a następnie — był to już kwiecień 1950 roku — został zatrudniony przez „Czechosłowacką Żeglugę na Odrze" w Koźlu. Dosłużył się na holownikach na trasie Koźle—Szczecin stopnia bosmana. Dalsze jego życie płynąć mogło czystym i spokojnym — jak nurt Odry — szlakiem wodniaków. Jednak Machura chciał wprowadzić w życie zasadę: najwięcej otrzymać — najmniej dać. Jego koledzy, marynarze, wspominają go po dziś dzień, dając w jednym słowie krótką charakterystykę: złodziej. Kradł różne przedmioty osobistego użytku. Kilka razy, kiedy doszło do awantur z kolegami, Machurę brał w obronę jego kompan, Jerzy Kotsik. Kiedy wreszcie poszkodowani zażądali interwencji milicji — w nocy z 7 na 8 listopada 1952 roku Machura, Kotsik

i żona tego ostatniego, Teresa, zbiegli przez granicę w rejonie Słubic do Berlina.

BURZLIWE ŻYCIE ADOLFA MACHURY

W Berlinię zachodnim Machura zjawił się u swej ciotki, Marianny von Guelich, która przy Nussbaumallee w dzielnicy Charlottenburg ma hotel i restaurację. Nazajutrz Machura idzie do komisariatu zachodnio-berlińskiej policji, aby się zameldować. Gdy w rubryce „Skąd przybywa?" wpisuje wieś na Opolszczyźnie, urzędnik policji zawiadamia placówkę wywiadu amerykańskiego przy Manteuffelstrasse, która natychmiast wzywa Machurę do siebie. Przez wiele, wiele godzin pracownicy CIC poddają go indagacji. Którędy zbiegł? Jaką drogą jechał przez NRD? Co widział po drodze? Jaki jest obecnie ruch statków na Odrze? Co wożą barki odrzańskie?

Kiedy wreszcie wymaglowano już zeń wszystko, co mogło mieć jakąkolwiek wartość informacyjną, wywiad amerykański zaproponował Machurze stałą współpracę.

Nie, nie — po co mam się angażować, kiedy ciotka zapewnia mi wygodne życie? Adolf Machura zdecydowanie odmawia i wraca do hotelu na Nussbaumallee. Nie myślał o szukaniu pracy. Widywano go za to stale w różnych nocnych lokalach. Ciotka Marianna nie pochwalała tych nocnych wycieczek — wiedziała, że chłopak zwąchał się z różnymi szumowinami i że łatwo może zaplątać się w jakąś kryminalną aferę, która by — o zgrozo — mogła pośrednio narazić na szwank i jej szanowne nazwisko.

O jakieś sto metrów od placu Poczdamskiego — za bramą Branderburską, ale już w sektorze zachodnim, pokazują dziś jeszcze miejsce, gdzie niegdyś stał dom „Marszałka Rzeszy" — grubego Hermanna Goeringa. Na wprost tego miejsca — stoją dwie kamieniczki, z których jedna mieści w swym prowizorycznie odbudowanym parterze piwiarnię. Tu, w lokalu czynnym przez całą dobę, można dostać piwo, wódkę i gorące zakąski. Tu spotykają się różne męty, a zwłaszcza szmuglerzy, szykujący się do przejścia do sektora demokratycznego. Pewnej nocy tam właśnie upił się Adolf Machura. Gdy nad ranem wrócił do hotelu na Nussbaumallee — wybuchła burza.

Awantura z ciotką wpłynęła na szybszą decyzję Machury. Postanowił się usamodzielnić. Ale w zachodnim Berlinie szanse były bardzo niewielkie. O znalezieniu dobrze płatnej pracy nie mógł nawet marzyć — a tylko taka go interesowała. Łatwiej jest już o pracę w uprzemysłowionych okręgach zachodnich Niemiec — ale jak się tam dostać? Machura po rozstaniu z ciotką udał się po przepustkę do domu nr 31 przy Manteuffelstrasse. Sprawa jednak wyglądała dość beznadziejnie, póki nie znalazł się usłużny i wielce ustosunkowany pan Nentwich. Pan Nentwich w kilku rozmowach postawił sprawę jasno: albo Machura chce klepać biedę nadal w Berlinie i żyć na łaskawym chlebie w którymś z obozów dla „uchodźców", albo też...

Adolf Machura wybrał tę drugą ewentualność.

Pan Nentwich — podajemy dla informacji — reprezentuje wywiad generała Gehlena i jest płatny od sztuki. Oczywiście, do niego należy tylko dostarczanie surowca do obróbki. Gotowy fabrykat do szpiegowskiej roboty powstaje dopiero w Niemczech zachodnich.

Nowy chlebodawca Machury ulokował go w hotelu i — na dowód zaufania — wypłacił mu z góry 80 marek

wtułem diety za 10 dni. Kilka dni upłynęło naprawdę bardzo przyjemnie i beztrosko.

Pewnego ranka pojawił się Nentwich w pokoju hotelowym z pięknymi, nowymi dokumentami. Od tego dnia Adolf Machura nazywa się już Artur Machnik. Zauważcie, że wszystkie jego cztery nazwiska i imiona mają ten sam monogram — to bardzo upraszcza sprawę ewentualnych monogramów na bieliźnie czy ubraniu. Nentwich zawiózł Machurę taksówką na jedną z bocznych uliczek. Przeczekał aż taksówkarz odjedzie, po czym przeszli kilkadziesiąt metrów dalej do pięknej limuzyny, za której kierownicą siedział wysoki oficer w amerykańskim mundurze. Nie zamienili z nim ani słowa. Był to komendant lotniska Tempelhof; było jasne, że żaden wartownik amerykański nie będzie kontrolował dowodów jadących z nim ludzi.

Zaopatrzony w „Airlift-Order", czyli rozkaz wyjazdu amerykańskim samolotem wojskowym, Machura jeszcze tegoż dnia wylądował we Frankfurcie nad Menem, gdzie czekał już na niego Rudolf Roeder.

ODT-738

Pan Rudolf Roeder zna dobrze Polskę, jej język i obyczaje. Wielki majątek, jaki posiadał na terenie województwa olsztyńskiego, dziś należy do zespołu Państwowych Gospodarstw Rolnych i pan Roeder, który ma za sobą doświadczenie wielu lat pracy w hitlerowskiej Abwehrze oraz rangę pułkownika SS, nie szczędzi starań, aby wrócić znowu do swych włości.

Z Frankfurtu nad Menem rusza wraz ze swym nowym pupilem do Bawarii. Przepięknie położone jest miasteczko Diessen, drzemiące nad szmaragdowymi falami Ammersee. Jego mieszkańcy ciągną niezłe zyski z przemysłu turystycznego i nikogo nie zdziwił przybysz z dalekiego świata, młody Artur Machnik, który przyjechał, aby spędzić tu urlop. Zamieszkał w „Alte Post", małym hoteliku o ośmiu zaledwie łóżkach. Codziennie chodził na plażę, nie zaniedbał również zwiedzić pięknego kościoła w stylu bawarskiego rokoko, w którym przyjezdni podziwiają piękny ołtarz — dzieło François Cuvillès. Widział stary kościółek w St. Alban, pewnego zaś dnia wybrał się na czterogodzinną przechadzkę do ukrytego wśród sadów i ogrodów kwiatowych Schondorfu, skąd — po obejrzeniu romańskiego kościoła z XII wieku — powrócił parostatkiem do Diessen.

Jednak wywiad generała Gehlena nie z pobudek filantropijnych podwyższył Machurze dzienne diety do 10 marek. To dla nich już tylko ODT-738 — nowy agent w mozolnie montowanej siatce wywiadowczej, która ma być rozciągnięta nad Polską. Agent ODT-738 ukończył tylko pięć klas szkoły. Wyszkolenia wywiadowczego nie ma żadnego, nie służył nigdy w wojsku i nie potrafiłby nawet rozróżnić działa przeciwlotniczego od haubicy. Luki te trzeba uzupełnić. Dwa razy w tygodniu przyjeżdża doń do zacisznego hotelu „Alte Post" Rudolf Roeder, który uczy go tajnego pisma. Machura poznaje różne metody a w szczególności sposób, przy pomocy którego ma pisać listy z Polski na umówiony adres w Berlinie zachodnim. Pułkownik SS, Rudolf Roeder, poucza swego pupila: „Weźmiesz papier zmoczony w wodzie i położysz na szkle, później..."

Dziewczęta z klasztornej pensji w Diessen, idąc parami na przechadzkę, spotykają niekiedy nad brzegiem jeziora dwóch mężczyzn. Mistrz i uczeń przeprowadzali wtedy ćwiczenia w rysowaniu szkiców i w topografii. Orientacji w terenie poświęcał Roeder wiele

uwagi. „Ucz się posługiwania kompasem — bez tego nie dasz sobie rady na granicy. Gdy posiądziesz tę sztukę — będziesz po Polsce spacerował jak po berlińskim Kurfuerstendammie" — mawiał stary wyga wywiadu.

— Tak, tak, Machura, kompas to bardzo, bardzo ważny instrument...

W inne dni zjawiał się w Diessen wspomniany już *Herr* Jansen. Jego powierzchowność mocno ucierpiała w ostatniej wojnie wskutek poparzeń, jakie odniósł w płonącym samolocie. Wykłada on Machurze trudną sztukę rozpoznawania różnych typów samolotów oraz lotnisk. Machura wkuwa prócz tego teorię montowania siatek szpiegowskich oraz ich technikę zakładania martwych skrzynek przedmiotowych. Profesorem tego przedmiotu jest pan Bauer, specjalizujący się skądinąd w wyrabianiu fałszywych dokumentów. Wielki to fachowiec. Fabrykuje on nie tylko fałszywe dowody, ale i fałszywe życiorysy, których trzeba nauczyć się na pamięć, aby stawić czoło wszelkim pytaniom, jakie mogą paść podczas ewentualnej kontroli dowodów w Polsce. Tymczasem jednak, nad szmaragdowymi wodami Ammersee Polska wydaje się jakimś niezmiernie odległym krajem. Niemniej jednak konspiracja przestrzegana jest i tu całkowicie, tak jak dbano o nią w Berlinie.

Takie indywidualne szkolenie jest oczywiście bardziej kosztowne — ale za to daje gwarancję, iż poszczególni agenci nawzajem się nie znają. Znane są wypadki, kiedy wywiad generała Gehlena szkolił w jednej okolicy w tym samym czasie dwóch agentów jednej siatki i obaj nie znali się wzajemnie. Poznali się dopiero na ławie oskarżonych polskiego sądu.

Machura zostaje pouczony, że pod żadnym pozorem nie wolno mu ujawnić przed zachodnio-niemiecką policją swego numeru rozpoznawczego, nie wolno mu ujawnić prawdziwego celu pobytu w Diessen ani też prawdziwego nazwiska. Gdyby doszło do jakichś komplikacji — ma żądać odprowadzenia go przed oblicze oficerów z CIC i im podać swój numer: ODT-738.

Szkolenie było już na ukończeniu, gdy w hotelu „Alte Post" zjawili się policjanci, którym nie podobały się papiery osobiste agenta, przedstawione przy zameldowaniu. Machura odmówił rozmawiania z nimi i zażądał widzenia z oficerami amerykańskiego wywiadu CIC. Zabrano go więc do Monachium, gdzie — do wyjaśnienia — osadzony został w areszcie. Po dwóch dniach zjawił się tam po niego Kaiser, który pochwalił pojętnego ucznia. Adolf Machura nie domyślał się nawet, że całe to jego aresztowanie było tylko prymitywnym egzaminem, zaaranżowanym przez wywiad generała Gehlena celem (dość naiwnego) skontrolowania zachowania świeżo wyszkolonego agenta.

Przed więzieniem czekał już mały „Volkswagen", którym przewieziono Machurę do pięknego miasta Landsberg nad rzeką Lech.

To ośmiotysięczne, pełne zieleni miasteczko znalazło się na kartach historii z dwóch powodów. Przede wszystkim — w miejscowym więzieniu, przerobionym ze starego budynku klasztornego, odsiadywał w roku 1923 swój wyrok po nieudanym puczu monachijskim imiennik Adolfa Machury — Hitler. Tu właśnie powstał M e i n K a m p f — ten podręcznik podbojów i masowej zagłady. Po drugie — tu władze amerykańskie trzymały po wojnie z górą pięciuset hitlerowskich zbrodniarzy wojennych różnego kalibru, skazanych w 12 kolejnych procesach w Norymberdze. Tu zawisł na szubienicy kat milionów — Phol i osławiony mordami na Ukrainie — Ohlendorf. Tu mieści się też hotel „Goggl" zwany również „Witwen-Hotel" („Hotel Wdów"), gdyż

ieszkały w nim żony tych hitlerow-w, którzy nie doczekali lepszych (dla szyzmu) czasów i zostali powieszeni.

LANDSBERSKA EDUKACJA

Obecnie ogromna większość zbrod-iarzy została wypuszczona na swobo-ę. Nieliczni pozostali żyją niemal po rólewsku. W więziennej bibliotece jest nacznie więcej książek i czasopism niż na miejscowa młodzież szkolna. W ce-, w której Hitler tworzył swe „głębo-ie dzieło", Amerykanie urządzili ka-licę dla swych hitlerowskich podo-iecznych.

Kiedy w tej kaplicy odbywało się — ak co dzień — nawracanie ostatnich ensjonariuszy, wznoszącymi się stro-no uliczkami starego bawarskiego niasta piął się wśród kolorowych dom-ów „Volkswagen", który zatrzymał się rzed hotelem „Glocke". Tu zamieszkał Machura, któremu Kaiser powiedział, ż w Diessen jest skompromitowany resztowaniem i nie może tam po-vrócić. Wierny Bauer wymyślał dlań owy życiorys i sporządzał nowe pa-iery. Machura — na polecenie Baue-a — zrobił sobie dwie fotografie, każdą u innego fotografa i w innym ubraniu.

Spacerując nad rzeką Lech dawny wodniak odrzański wbijał sobie w gło-wę, że na terenie Niemieckiej Republi-ki Demokratycznej nazywa się Albert Mohr, urodzony w 1931 roku w Gli-wicach, zaś po przerzucie do Polski występować będzie jako Anton Mora-wiec, urodzony 12 lutego 1927 roku we Wrocławiu. Bauer nie dawał mu spo-koju.

— Albert Mohr, co robiłeś w 1946 roku?

— W 1946 roku, w 1946 roku, eee, to ja wtedy...

— Szybciej, durniu, policja ludowa nie lubi takich, którzy się namyślają nad własnym życiorysem! Anton Mo-rawiec! Co robiłeś w 1946 roku?

— Wróciłem z niewoli radzieckiej i jak tylu innych przystąpiłem do pra-cy nad odbudową Polski Ludowej.

— Doskonale. Tylko tak śmiało ga-daj, a żadna milicja nie jest w Polsce dla ciebie groźna.

Polska... Polska... Ten kraj z dnia na dzień stawał się bliższy dla agenta ODT-738. Z wykładów szpiegowskiego fachu znikały coraz częściej fikcyjne nazwy miast czy wsi, a coraz częściej pojawiały się polskie osady, gdzie lu-dzie mieszkali i pracowali spokojnie.

Lato miało się już ku końcowi, mi-jały ostatnie dni słonecznego sierpnia 1953 roku, kiedy w hotelu „Glocke" po-jawił się olbrzymi Roeder. „No, chłopcze, czas nam będzie niedługo w drogę... Umiesz już chyba wszystko, co my, żoł-nierze walki z bolszewizmem, umieć powinniśmy" — powiedział Machurze. „Wszystko to, czego cię tu nauczyliśmy, jest ostatnim słowem techniki wywia-dowczej. Masz, mój chłopcze, dobre przygotowanie. Teraz wszystko zależy już tylko od ciebie, od twojej dziel-ności."

Roeder odczekał chwilę i mówił da-lej: „Pójdziesz absolutnie pewną drogą przerzutową — szczegóły powiem ci w ostatniej chwili w Berlinie. O to niech cię głowa nie boli. Właściwie tak jakbyś już był w Polsce. Teraz dalej. Jedziesz do Ustki, gdzie jest jesz-cze sezon w pełni i tam poznajesz dziewczynę. Nie muszę ci chyba wy-jaśniać, co mam na myśli przez słowo „poznajesz" — jesteś przystojny chłop i nie powinieneś mieć z tym trudności... Chodzisz z nią na zabawy, dajesz jej różne prezenty, które przygotujemy ci na drogę. Ta dziewczyna musi świata poza tobą nie widzieć. Najlepiej, aby to był ktoś miejscowy, kto ma mieszkanie i gdzie mógłbyś zamieszkać niemel-dowany. Masz z nią chodzić na dłuższe

spacery, masz ją zabierać na wyjazdy, najlepiej na trasę Ustka-Łeba. Uważaj tylko, chłopie, co się dzieje wokoło! Gdzie są strażnice WOP-u, gdzie są posterunki milicji. Uczyłeś się sporządzania szkiców? Teraz ci się to przyda. Musisz stale sporządzać szkice tych odcinków wybrzeża, gdzie dałoby się urządzić desant. Zobaczysz jeszcze nasze gumowe pontony: małe, poręczne — kiedy z nich wypuścisz powietrze, to można je nosić choćby w teczce... U nas wszystko gra, wszystko się przewidziało! Jak się praktycznie przygotowuje desant? Tego się w bawarskich górach przestudiować nie da. Jutro jedziemy więc pośpiesznym pociągiem do Itzwoerden pod Hamburgiem. Tam ci pokażę, jakie miejsca nadają się najlepiej do wysadzenia desantu wywiadowczego i jak je należy opisać. Tylko uwaga! Do pociągu wsiadamy osobno, jedziemy każdy w innym przedziale i wobec innych podróżnych — wcale się nie znamy...“

OSTATNIE WCIELENIE ADOLFA MACHURY

W nadmorskiej miejscowości pod Hamburgiem byli przez dwa dni. Machura miał już wtedy przed oczyma Ustkę... „O, w tym kierunku płyną statki żeglugi przybrzeżnej do Szczecina, a tam, gdzie w Itzwoerden jest knajpa — tam stoi w Ustce strażnica WOP-u.“

Do Landsberga już nie powrócili. Przybyli prosto do Frankfurtu nad Menem, gdzie czekał już na nich Jansen z walizką Machury, przywiezioną z hotelu „Glocke“, oraz Nentwich. Cała czwórka pojechała zaraz na lotnisko wojskowe amerykańskich sił powietrznych. Kiedy Nentwich z Machurą poszli do kantyny po papierosy, Roeder wziął na bok Jansena: „Uważaj teraz na niego, aby nam jakiegoś kawału w ostatniej chwili nie zrobił! Pamiętasz tego drania, cośmy się nad nim przez kilka miesięcy męczyli a potem zwiał nam w Berlinie tuż przed przerzutem? Ten znowu nie jest taki mądry — ale kto go tam zna? Pamiętaj, gdyby nam prysnął, cała forsa za niego wyskakuje nam z kieszeni a „Generalna Dyrekcja“ szybko nam tego nie zapomni... Delikatnie, w rękawiczkach, ale trzymaj go mocno, nim go nie damy na przerzut! Jemu się wydaje, iż wyskoczy tylko na chwilę do tej Polski i zaraz wróci do berlińskich dziewuch...“

Niedługo po tej rozmowie samolot wystartował na wschód, do Berlina, i jeszcze tegoż dnia w hotelu na Ingeborger Platz w Berlinie zameldował się niejaki Albert Mohr, urodzony (pamiętacie?) w roku 1931 w Gliwicach.

I tak nasz reportaż wrócił do Berlina. Znamy już — aby dokonać małego podsumowania — kilku speców wywiadowczych z siatki Gehlena, przygotowujących kolejny fragment „Aktion Pfifikus“ — „Akcji Cwaniak“. Znamy też już Heinza Landvoigta, który specjalizuje się w przerzutach przez teren NRD i przez Odrę do Polski. Znamy też już jego pasażera o czterech nazwiskach, który ma ruszyć w drogę do naszego kraju. Najwyższy więc czas, aby obaj nawzajem się poznali!

Tego samego zdania byli widać panowie pozostający na służbie generała Gehlena. Do hotelu, gdzie zatrzymał się Machura i pilnujący go Jansen, przybył Heinz Landvoigt i jakiś pan, który po ostatniej wojnie ma pamiątkę w postaci sztywnej ręki i zniekształconej dłoni. Przyjrzyjmy mu się bliżej! Przecież to nasz znajomy, *Herr* Torgler, który towarzyszy swemu wychowankowi. *Herr* Torgler sprawuje nader odpowiedzialną funkcję zastępcy Kaisera do spraw organizowania kanałów

przerzutowych drogą lądową do Polski.

Ponieważ jednak formy towarzyskie w wywiadzie są odmienne od normalnie przyjętych, Machura poznaje Torglera tylko jako „Heinza", prawdziwego zaś Heinza Landvoigta zna wyłącznie pod imieniem „Hans".

Wszyscy trzej — Landvoigt, Machura i Torgler udają się nad jeden z berlińskich stawów, by tam wypróbować nośność pontonu gumowego, który przywiózł ze sobą Landvoigt. Podczas próby Torgler stał przezornie na brzegu i było wiele śmiechu, gdy wywrotna łódź gumowa wysypała do wody szpiega i szpiegowskiego przewoźnika. Szybko zmienili przemoczone ubrania i we trzech pojechali do knajpy na obficie podlewany koniakiem obiad. Rachunek płacił oczywiście Torgler, który jednak — porządek musi być — zażądał od Machury pokwitowania rachunku restauracyjnego.

Piątego dnia pobytu Machury w Berlinie Jansen zawiózł go do prywatnego mieszkania Kaisera, który udzielił swemu wychowankowi ostatniego błogosławieństwa na drogę do Polski. „Uważaj, Adolf, do tej wioski przewiezie cię „Hans". Przerzut nastąpi w rejonie Kienitz. Tu masz kompas, a tu — pistolet..."

— Tego wolałbym nie brać do Polski. Zatrzymają z tym, zrewidują — koniec. Zabiorę tylko nóż — to mniej groźne... Nie znajdą nic przy mnie — mam dobre papiery, jadę dalej...

— Oczywiście. Jak chcesz. Teraz już sam decydujesz o sobie. Więc idźmy dalej. Po przekroczeniu granicy pójdziesz do Boleszkowic i tam wsiądziesz w pociąg, aby jechać do Stargardu Szczecińskiego. Linia kolejowa jest równoległa do nurtu Odry. Piszesz nam listy na adres Anny Paterek w Berlinie-Friedenau. Tu masz dokładny adres — nauczysz się go i zaraz zniszczysz tę kartkę. Ten adres przekażesz do naszego tajnego ośrodka. Tam list odczytają i będziemy mieli wiadomość od ciebie. Nie muszę ci dodawać, że bardzo się tu wszyscy będziemy interesowali twoją misją, drogi chłopcze... Będziemy czekać na wiadomości od ciebie i przyjdziemy ci zawsze z pomocą."

„Pisz te listy jawnie — treść może być zupełnie obojętna. Pamiętaj tylko, że pochodzą one od dziewczyny — musisz nie zapominać o rodzaju przy pisaniu czasowników. Ot po prostu — jakaś dziewczyna z Polski pisze list do starej ciotki w Berlinie. Tajnym pismem podajesz tylko bardzo zwięzłe wiadomości o sobie. I teraz najważniejsze: jeżeli otrzymujemy od ciebie list z nagłówkiem „Najukochańsza Anno!", to wiemy, że jesteś zdrów i że wszystko idzie pomyślnie. Mam nadzieję, że tylko takie listy będziemy od ciebie otrzymywać. Ale my, ludzie wywiadu, musimy liczyć się ze wszystkimi ewentualnościami. Może się zdarzyć, że noga ci się powinie. Nic jeszcze wtedy straconego, pamiętaj, że na wszystko mamy sposoby.

Czekamy więc na listy z Ustki lub Łeby... No, ruszaj w drogę — a gdy wrócisz znowu do Berlina, to opowiesz nam wszystko, jak było. Szyfrem podajesz tylko wiadomości szybko się psujące..."

Tegoż dnia Machura otrzymał w hotelu porcję damskich chustek na głowę z nylonu i pończoch oraz 6.200 złotych. Na przejazd przez NRD Kaiser wręczył mu 120 marek NRD. Podarował mu też męski zegarek na rękę marki „Doxa". Ekwipunek uzupełniał kompas, latarka kieszonkowa i różne drobiazgi do użytku osobistego. Otrzymanie ich Machura pokwitował swoim podpisem.

Żegnając się z agentem ODT-738, Kaiser wręczył mu scyzoryk. „Masz to, Machura, i oddaj „Hansowi" przy pożegnaniu."

— Przecież mogę mu to dać tu, w Berlinie?

— Słuchaj się mnie zawsze, mój chłopcze. Ja wiem, co mówię. „Hansowi" płacimy sowicie za twój przerzut. Ale musimy mieć gwarancję, żeś szczęśliwie i cało dostał się do Polski. Dlatego też dasz to „Hansowi" dopiero na prawym brzegu Odry, że to niby mój scyzoryk, który przez pomyłkę zabrałeś z Berlina. Odda mi ten scyzoryk — będę spokojny o ciebie... Masz tu także krawat w prążki. Ładny, prawda? Ale daję ci go nie po to, abyś nim zadawał szyku w Ustce. Spójrz uważnie na jego podszewkę! Ta cyfra — to numer słupa granicznego, przy którym „Hans" będzie czekał na ciebie w drodze powrotnej. My wszystko przewidzieliśmy, mój chłopcze, pracujesz dla najlepszego wywiadu świata, pamiętaj, że agenta wywiadu niemieckiego jeszcze po wojnie w Polsce nie złapano.

11 września 1953 roku Machura ze swym aniołem-stróżem, Jansenem, wsiada do taksówki i razem podjeżdżają do stacji kolei elektrycznej w Berlinie zachodnim. Na peronie czekają już na nich Landvoigt i Torgler. Cała czwórka idzie na obiad. W restauracji gra świetny skrzypek. Chodzi po sali i przystaje grając przed poszczególnymi stolikami. „Tajemnica jego sukcesu — mówi przymilnie kelner, zgięty w pół przed czterema klientami, zamawiającymi najdroższe trunki i potrawy — polega na tym, że kiedy gra na swych skrzypcach, to każda kobieta na sali myśli, że on gra właśnie dla niej..."

— Zagraj nam coś ładnego — mówi do skrzypka Torgler i wyciąga swą sztywną rękę, kładąc straszliwie zniekształconą dłonią banknot do kieszeni grajka.

— Co panowie sobie życzą?

— Zagraj nam o dalekiej drodze i o przyjaźni — ale coś takiego, aby brało za serce...

Nadszedł czas pożegnania. Landvoigt z Machurą wsiedli do kolejki elektrycznej i przejechali do demokratycznego sektora Berlina. Weszli do wielkiego sklepu „Handelsorganisation" i Machura kupił termos, wielką butlę rumu, wędlinę i konserwy na drogę. Dalsza droga wiodła znowu kolejką elektryczną aż do ostatniej stacji na wschód od Berlina — w Erkner. Przejazd przez NRD nie jest bynajmniej spacerem. W Erkner obaj agenci przechodzą przez kontrolę dokumentów policji ludowej. W masie podróżnych ich fałszywe papiery nie zwróciły uwagi kontrolujących. Wychodzą teraz z dworca i idą około stu metrów ulicą. Landvoigt zatrzymuje się przed wystawą sklepową i ostrożnie rozgląda się, czy aby nie są śledzeni. Wtedy dopiero daje umowny znak i podjeżdża ku nim stojąca nieopodal taksówka „Opel", kierowana przez Kupscha. Jadą teraz do Kienitz. Po drodze Landvoigt pyta Kupscha o „bagaż", czyli o dokumenty agenta ODT-738, które mają mu służyć na terytorium PRL. Dowiaduje się, że „bagaż" został wysłany do Kienitz przez specjalnego kuriera, gdyż przenoszenie go przez samych agentów, zwiększałoby ryzyko ich przejazdu przez NRD.

W małym lasku, nie dojeżdżając do Kienitz, Kupsch przyhamowuje. Granica jest tuż, tuż — boi się dalej jechać. Landvoigt i Machura wysiadają. Przewoźnik zostawia pod stogiem siana swego przyszłego pasażera, by nie widział, gdzie w Kienitz mają ludzie Gehlena swój punkt kontaktowy, a sam idzie do właściciela tartaku, Edgara Sommerfelda, i odbiera fałszywe dokumenty oraz polskie pieniądze, dostarczone tam uprzednio na użytek agenta Machury.

Landvoigt powraca do Machury. Razem wsiadają w małą łódkę i pod osłoną ciemnej, dżdżystej nocy przeprawiają się na polski brzeg. Gdy dno

łódki otarło się o piach nadodrzańskiej plaży — Machura spojrzał na świecące wskazówki „Doxy" otrzymanej od Kaisera. Była dokładnie godzina 22.

„Hans" oddał swojemu pasażerowi jego polskie pieniądze i dokumenty. Od tej chwili pasażer ten nazywał się już Anton Morawiec. Było to ostatnie wcielenie Adolfa Machury, który żegnając się z Landvoigtem wręczył mu mały scyzoryk i powiedział w niedbały sposób: „Ach, byłbym zupełnie zapomniał — zabrałem przez pomyłkę ten nożyk Kaisera, oddaj mu go w Berlinie..."

Plusk wody pod energicznymi pchnięciami wioseł. „Tak, on mnie tu zostawia i sam wraca... Za kilka godzin będzie już w Berlinie. A ja?" Adolf Machura jest teraz sam. Sam w kraju, który opuścił przed niecałym rokiem. Teraz już nie ma odwrotu. Za nim jest tylko głęboka rzeka; przed nim — Polska.

ODT-738 rusza na wschód. Idzie pewnym krokiem zupełnie po ciemku przez gładką, miękką powierzchnię — to pewnie łąka. Raptem czuje pod nogami zaorany grunt i włosy jeżą mu się na głowie. Pas kontrolny! Ten skrawek ziemi ciągnący się wzdłuż Odry, który natychmiast zdradza każdą wędrówkę nieproszonego gościa. Pas kontrolny! A przecież i pułkownik Roeder, i sam Kaiser — ci, którzy wszystko wiedzą — zapewniali go, że w tym miejscu nie ma pasa kontrolnego. Pas kontrolny! Przecież tu zaraz może nadejść patrol WOP-u z psem! Nie, nie — tędy przejść nie można!

Agent Adolf Machura zawraca z powrotem nad Odrę. Kładzie się w zaroślach i ucina sobie godzinną drzemkę, pociągnąwszy uprzednio dobrze z flaszki kupionego w Berlinie rumu. Zrywa się po godzinie i przechodzi pas kontrolny tyłem — to na pewno zmyli ślady, ci Polacy będą myśleli, że ktoś uciekł przez granicę z Polski... Teraz idzie już przez las. Jest tu jeszcze ciemniej, niż na otwartym terenie. Krzaki łapią go za ubranie gałęziami. Z trudem wymija pnie drzew. Mijają godziny — a Boleszkowic jeszcze nie widać. Zapala pod połą marynarki latarkę i raz jeszcze sprawdza kierunek na kompasie.

Nie, nie może być mowy o pomyłce. Idzie zupełnie dobrze. Jeszcze tylko kilka minut — a będzie na dworcu kolejowym. Gorąca herbata w bufecie dobrze mu zrobi. Idiotyczny pomysł z tym zakazem sprzedaży wódki na dworcach — kieliszek czegoś mocniejszego też by się przydał.

Idzie wytrwale dalej. „Doxa" pokazuje, że mamy już 12 września. Północ minęła — a Boleszkowic ciągle jeszcze nie widać. Co gorsza — dałby sobie uciąć rękę, że na tej polance już kiedyś był. Czy to może złudzenie? Nie, jest przecież zupełnie trzeźwy. Wędrówka przez las przepłoszyła z głowy resztki alkoholowych oparów. Teraz wszystko jest przeraźliwie jasne, myśli krążą po głowie w bezustannym kołowrotku, szukając uporczywie furtki z wyjaśnieniem. I nagle olśnienie przychodzi straszliwym, piorunującym ciosem.

Agent ODT-738 klęka na ziemi i raz jeszcze wyjmuje kompas. Potrząsa nim mocno i odwraca się w innym kierunku. Igła magnesowa odchyla się tylko nieznacznie. Genialny instrument, który niegdyś wiódł dalekimi szlakami Marco Polo i Krzysztofa Kolumba, nagle zawiódł. Machura już wszystko rozumie. Kompas się zaciął i oto on przez kilka godzin kręci się w jednym miejscu. Walka z czasem została przegrana. Teraz trzeba wygrywać inne atuty. Ostatecznie nie ma żadnej tragedii. A jak się człowiek trochę po tym piekielnym ganianiu zdrzemnie — to potem i maszerować będzie łatwiej. Adolf

Machura kładzie się w krzakach i natychmiast zasypia mocnym snem człowieka utrudzonego. Budzi go poranny chłód. Jest już zupełnie widno. Nakręca „Doxę", która jeszcze wczoraj leżała na nocnym stoliku berlińskiego hotelu. Jest czwarta nad ranem. Już 6 godzin na polskiej ziemi. Przyczesuje włosy, otrzepuje płaszcz z liści przyrumienionych pierwszym tchnieniem jesieni i spokojnym krokiem rusza przed siebie.

GRANICA PRZERWANA...

Nie jesteśmy tu od wczoraj... Niedaleko stąd, w rejonie Cedynii, Niemcy usiłowali po raz pierwszy przejść przez Odrę i przedostać się na polski brzeg. Ich zamiary zniweczył — jak o tym opowiada kronikarz, biskup Dietmar — Mieszko I, rozbijając niemieckie formacje. Minęły wieki i obszar ten, na którym leżą Boleszkowice — widownia drugiego aktu naszego reportażu — przeszedł we władanie trzech pomorskich junkrów: von Edling, von Manteuffel i von Woedtke. W wykazie rodzin i majętności junkierskich z 1798 roku nazwa Boleszkowice nie występuje, jakkolwiek historia po raz pierwszy wspomina o tej osadzie już w 1252 roku. Wiadomo że u schyłku średniowiecza szedł tędy szlak handlowy z południa ku północy. Na początku XV wieku miasto było większe od Kostrzynia.

Wiele można by mówić o obcych panach tej polskiej ziemi. Ale nas najbardziej interesują dni naszego powrotu. 18 kwietnia 1945 roku przez Sitno i Mieszkowice, przez Moryń i Boleszkowice szły zwiady piechoty I Armii Wojska Polskiego, poprzedzającej czołgi, baterie dział i długie kolumny samochodów. Zatrzymała się ta masa stali i ludzi nad brzegiem Odry, najeżonej na zachodnim brzegu wyszczerzonymi zębami fortyfikacji, plujących na polskich żołnierzy ogniem z jadowitych paszcz dział.

Po dwóch dniach ruszył front na odcinku między Kostrzyniem a Cedynią. Tędy szła przeprawa na Berlin. Tędy szli polscy żołnierze, aby dobić wroga w jego jamie. Reporter wędrujący w 9 lat później po tropach adenauerowskich szpiegów wstępuje na cmentarz w Łysogórkach, gdzie leży 4.000 polskich żołnierzy-bohaterów, tych właśnie, którzy tu polegli, wierni prawom naszej ojczyzny. Wielu tu, w Łysogórkach, jest ludzi żywych, którzy przed 9 laty z innymi Polakami tworzyli historię. Osadnik wojskowy, Jan Mróz, opowie wam dziś jeszcze dzieje tej odrzańskiej przeprawy na zachód — o tym, jak polski zwiad wojskowy wpadł do wsi z granatami w dłoniach, jak na pobliskim wzgórzu zginął od pocisku sztab warszawskich saperów. Przechodniu, przejdź nad Odrę i przeczytaj drewnianą tablicę, na której niezdarnymi literami wypisano pamiętne słowa: „Tu, w tym miejscu 2 pułk piechoty 1 DP im. Tadeusza Kościuszki przekroczył Odrę, zachodnią granicę Rzplitej, wywalczoną wspólnym wysiłkiem niezwyciężonej Armii Czerwonej i Wojska Polskiego".

W samych Boleszkowicach żyje jeszcze pamięć o nieznanym z nazwiska radzieckim lejtnancie, który ukryty w pogiętych przęsłach wysadzonego w powietrze mostu podawał umieszczonym za Moryniem „katiuszom" współrzędne hitlerowskich bunkrów. Pod osłoną ich pocisków przeszli Polacy przez Odrę, ale lejtnant-bohater poległ, kiedy forsowanie rzeki dobiegało końca.

W boleszkowickiej spółdzielni produkcyjnej, założonej wiosną 1950 roku, znajdziecie wielu tych, którzy ziemię tę sami przywrócili po wiekach narodowi polskiemu. Ci ludzie polskiego pogranicza zachodniego żyją dziś tymi sa-

mymi problemami, co cały kraj. Tu także toczy się walka o nową wieś. Tu baloniki nieraz zrzucały ulotki, zapowiadające powrót junkrów na Pomorze. Ba, byli nawet tacy, którzy dali wiarę balonikom. Bugajski na przykład mawiał: „Stalin dał, Stalin weźmie..." I dodawał, że „...Amerykanie przepędzą tych kołchoźników znad Odry". Nic też dziwnego, że to właśnie Bugajski, jeden i jedyny, wyprowadził swego konia ze spółdzielczej stajni.

Jeden i jedyny. Inni należą do spółdzielni i dobrze im się wiedzie. I księgowy spółdzielni, Słodczyk, i brygadier Terlecki — zdobywali Boleszkowice a później biwakowali tu z całym batalionem. Do tych żołnierzy frontowych doszlusowali później inni, biorąc razem w uprawę nadodrzańską ziemię. Na przykład Zofia Grzechot, matka pięciorga dzieci, która swym przykładem pociągnęła inne boleszkowickie kobiety, nie opuszczając w owe pamiętne żniwa 1953 roku ani jednego dnia roboczego w polu.

W owe pamiętne żniwa 1953 roku... I tak jesteśmy znowu na cichym froncie, na którym walka trwa bez przerwy właśnie po to, aby i boleszkowiccy spółdzielcy, i inni polscy chłopi mogli spokojnie zbierać plon z nadodrzańskich pól.

A więc jest 12 września 1953 roku. Na polskiej ziemi, ukryty w krzakach, wypoczywa szpieg — straż przednia nowego najazdu spadkobierców Bismarcka i Hitlera.

Żołnierze WOP-u, Pąsik i Przybyła, mieli tej nocy służbę. Szli powoli wśród ciemności rozjaśnionych słabym blaskiem latarki, gdy nagle uwagę ich zwróciły wyraźne ślady. Na pasie kontrolnym — znaki stóp. Gaszą światła i sami po ciemku przeszukują najbliższe zarośla. Nikogo nie znajdują.

Wtedy jeden z nich wyjmuje małą telefoniczną słuchawkę i wtyka ją w kontakt, umieszczony na pobliskim słupie granicznym. Dokładnie w tej samej chwili na strażnicy ukazuje się sygnał. Już wiadomo, że na tym odcinku granicznym, gdzie teraz stoją obaj żołnierze, coś się stało. Nie trzeba się domyślać: w słuchawce słychać meldunek szeregowca Pąsika. Dyżurny porucznik słucha uważnie. Padają słowa, które w Wojsku Ochrony Pogranicza mają elektryzujący efekt: granica przerwana!

Granica przerwana! W ciągu kilku sekund ogłoszony zostaje alarm...

Granica przerwana! W tupocie żołnierskich butów, w huku motorów samochodowych i w tłumionym ujadaniu psów nie znajdziesz jednak ani śladu zamieszania. Każdy ruch jest celowy, wypróbowany dziesiątki i setki razy w czasie ćwiczeń, które w spokojne dni wypełniają większą część żołnierskiego życia.

Granica przerwana! Człowieka, który tego dokonał, osacza się według z góry opracowanego planu. Sztab opracował go w najdrobniejszych szczegółach, przewidując jakiś dzień, „D", kiedy wróg właśnie tędy wtargnie na polską ziemię.

Szeregowiec Wojsk Ochrony Pogranicza, Stanisław Cyniak, miał służbę przez całą poprzednią noc. O 9 rano wrócił z patrolu i złożył raport, że nic podejrzanego nie zauważył. Umył się porządnie i koło południa położył się — ale tylko na krótko, gdyż chciał zjeść obiad ze wszystkimi. Dopiero po południu położył się spać, ale nie sądzone mu było spać długo. O drugiej nad ranem wpadł do sypialni podoficer. Alarm! Alarm! Już po kilku minutach szedł leśną drogą z szeregowcem Łozą a około czwartej nad ranem był w terenie. Obaj zajęli miejsca w zasadzce. Mieściła się ona na skraju lasu. Przed sobą mieli spory kawał warzywnego pola i rozstaje: tu krzyżują się dwie drogi. Jedna wiedzie przez las, a druga

prowadzi od granicy do najbliższej stacji kolejowej. Szeregowcy, Cyniak i Łoza, układają się w krzakach i rozglądają po okolicy. Około siódmej nad ranem — dobiega ich turkot wozu jadącego szosą. Żołnierze prostują ramiona, zesztywniałe od rannego chłodu, repetują broń i... czekają.

KOMPAS GENERAŁA GEHLENA

Magdalena Wiśniewska nie miała tej nocy dobrych snów. Opowiedziała je córce zaraz o świcie. A więc widziała znowu rodzinną wieś na Zamojszczyźnie i ten dzień, kiedy wygnano ją z całą rodziną z chaty. Widziała wyraźnie twarz wysokiego oficera w stalowym hełmie ze znakiem trupiej czaszki i skrzyżowanych piszczeli, jak warknął jakiś rozkaz wyprężonemu na baczność żołdakowi, który zdzielił ją strasznie kolbą karabinu, kiedy obejrzała się raz jeszcze na swój dom. Śniła jej się też najmłodsza córka, która owej strasznej zimy zamarzła w nieogrzewanym bydlęcym wagonie. Wyciągała do matki sine ręce, a ona, Magdalena, bez słowa patrzyła w jej oczy, zapłakane, pełne straszliwego, rozdzierającego żalu.

Nie miała wiele czasu Magdalena Wiśniewska na opowiadanie tego snu. Ogarnęła się szybko i wsiadła na wóz. Spieszyło się jej po siano, które ustawione w kopkach stało niemal nad samą Odrą. Nie jechała nawet jeszcze i dwudziestu minut, kiedy zupełnie niespodzianie z krzaków przy drodze wyłoniła się sylwetka żołnierza WOP-u.

— Służba graniczna! Kontrola dokumentów.

Dokumenty Wiśniewska nosi dobrze schowane. A więc najpierw rozchyla mężowską kurtę o przydługich, tamujących jej ruchy rękawach, potem wyciąga zza pazuchy płócienny woreczek, rozwiązuje sznurek ściągający jego brzegi i wydobywa małe zawiniątko. Rozkłada starannie złożony gazetowy papier i między przeróżnymi kwitami, zaświadczeniami, rachunkami i papierami — wyławia dowód osobisty. WOP-ista przegląda go uważnie i zwraca właścicielce. Salutuje.

— Dziękuję. Można jechać. A dokąd to, matko, daleko?

— Po siano.

— No to jedźcie.

Wóz znika na drodze. Nad zasadzką — znowu cisza, tylko z gałęzi drozd patrzy, przekrzywiając zabawnie głowę w dół, gdzie między krzakami jego bystre ptasie oko dostrzega dwie ludzkie twarze, przykryte płótnem tak nakrapianym, że barwa jego zlewa się zupełnie z otaczającym zielono-rdzawym tłem polskiej jesieni.

Jedzie sobie dalej Magdalena Wiśniewska. Patrzy przed siebie, nad głową człapiącego konia i myśli, że coś się dziś dzieje na granicy. Przecież jeździ tędy niemal co dnia a tylko kilka razy jej się zdarzyło, że została wylegitymowana. Koń zwalnia teraz i przechodzi w stępa — droga prowadzi przez nieznaczne wzniesienie. Wiśniewska rozgląda się wokoło i widzi jakiegoś młodego mężczyznę, który już z daleka kiwa na nią ręką. Ubrany jest w gumowy płaszcz, obuwie na porowatej gumie, w ręku teczka skórzana.

— Przepraszam panią, którędy do stacji?

Magdalena Wiśniewska podnosi już bat i chce nieznajomemu wskazać najbliższą drogę, kiedy nagle gardło jej ściska trwoga... Opanowuje się jakoś i spokojnie wyciąga bat za siebie, pokazując drogę, którą sama dopiero przebyła.

— Tędy, proszę pana. Małe pół godzinki i będzie pan na stacji.

Zacina konia i jedzie dalej. Przez kilka chwil się nie ogląda. Wreszcie

odwraca głowę i widzi, jak nieznajomy szybkim krokiem idzie we wskazanym kierunku. Znika za wzgórzem.

Adolf Machura śpieszy się, aby nadrobić stracony czas. Jest dobrej myśli. Jeszcze pół godzinki — mówiła ta baba. Myśli już o Ustce i o nieznajomej dziewczynie, która ma mu pomóc w jego planach. Wyobraża sobie pierwsze dni spędzone na nadmorskiej plaży, przypominającej Itzwoerden, pierwszą wspólną noc i jej zdumienie graniczące z przerażeniem, gdy kiedyś dowie się, kim jest jej ukochany. Dla tej dziewczyny ma w teczce piękne wyroby z nylonowej przędzy. Jeżeli będzie trzeba — to na adres jej nadejdą z zachodniego Berlina dalsze upominki. Czy szkice z wybrzeża nie są warte wielu paczek z nylonami lub zegarkami? Czy schemat rozmieszczenia strażnic WOP-u nie jest wart okrągłej sumy i zaszczytnego wyróżnienia agenta ODT-738?

— Stój! Służba graniczna!

Skąd ten żołnierz wyszedł? Pojawił się przed nosem na kilka metrów. O ucieczce czy udawaniu, że się nie dosłyszało, nie ma mowy. Zresztą — czego się denerwować? Nieraz może jeszcze trzeba będzie w Polsce pokazywać dokumenty, misternie sporządzone przez najlepszych fachowców. Machura przytrzymuje teczkę kolanami i bez wezwania wydobywa swoje papiery. Żołnierz przegląda je uważnie. Kartą zameldowania, książeczka wojskowa, zaświadczenie z miejsca pracy. Co on tu robi, na granicy, tak rano? Najbardziej uprzejmym tonem szeregowiec Łoza zapytuje:

— Przepraszam, ale dokąd pan właściwie idzie?

— Ja idę ze stacji.

Nieznajomy mówi dobrze po polsku, ale pokazuje dłonią akurat na granicę. Widać dostrzega drgnięcie muskułów na twarzy szeregowca Łozy, gdyż szybko dodaje:

— Wracam teraz z powrotem na stację, gdyż pomyliłem perony. Wysiadłem po złej stronie toru. Wracam teraz na stację i jadę do brata.

Sprawa była od początku niewyraźna, ale teraz szeregowiec Łoza postanawia stanowczo odprowadzić podejrzanego do strażnicy. Dokumenty osobiste wędrują do kieszeni WOP-isty. Na ten znak z krzaków wychodzi drugi z zasadzki — szeregowiec Cyniak, który dotąd przyglądał się całej scenie, nie spuszczając palca z cyngla swego automatu.

— Odprowadzimy pana na stację. Po co ma pan błądzić sam po lesie? Prosimy tylko uprzejmie, aby nie wkładał pan rąk do kieszeni. I jeszcze jedno: w razie próby ucieczki będziemy strzelać już bez ostrzeżenia...

Wprawnymi ruchami Cyniak dotyka pobieżnie ubrania i płaszcza zatrzymanego Antona Morawca w poszukiwaniu broni i szybko zagląda do teczki, którą zaraz zwraca właścicielowi.

— No, w porządku. Pan wybaczy — ale u nas taki zwyczaj... Ale za to z nami będzie pan na stacji raz-dwa, najkrótszą drogą. Akurat zdąży pan na ranny pociąg. Idziemy...

Idą teraz wszyscy przez nadodrzański las.

Dwaj towarzysze broni znają dobrze te strony. Ileż razy byli tu na ćwiczeniach i oczy ich wdrążały się w nocne ciemności. Teraz będzie trafiona przez piorun sosna. Teraz będzie wrak hitlerowskiego działa samobieżnego, wtrącony do rowu. Teraz miniemy gajówkę. Teraz jest cmentarz.

— Bardzo panów przepraszam, ale ja nie jestem tutejszy. Czy ten cmentarz to nasz, czy też niemiecki?

Nieznajomy wskazuje dłonią uchylone wrota cmentarza. Cyniak nie patrzy jednak na cmentarz. Nie spuszcza oka z zatrzymanego i widzi, jak z jego dłoni wysuwa się jakiś maleńki przed-

miot i bezszelestnie pada na miękkie mchy. Stanąć czy iść dalej? Cóż on takiego wyrzucił? Jeśli się z nim zatrzymamy, domyśli się, że go podejrzewamy. Może nie jest sam, może dojdzie do walki z jego kompanami, którzy niedostrzeżeni idą za nami. A jeśli pójdziemy dalej — to jak potem znaleźć miejsce, w którym leży ten przedmiot? To wszystko trwa kilka sekund. Szeregowiec Cyniak ma zaledwie 21 lat. Ten zwykły robotnik ze wsi Ulaski koło Skierniewic, którego ojciec-drogomistrz został zamordowany w Oświęcimiu — musi szybko powziąć decyzję. Przypomina sobie nauki z wielu miesięcy szkolenia. Rozgląda się nieznacznie wokoło i na moment przymyka oczy, aby utrwalić na siatkówce obraz tego miejsca. Oczy zmęczone dwiema bezsennymi nocami ogarniają leśny zakątek: drzewa — takie same, jak tysiące innych. Szeregowiec Cyniak przełyka ślinę w nerwowym napięciu. A głośno mówi:

— Pan będzie łaskaw nie rozmawiać. To jest zabronione.

Po godzinie są na strażnicy. Teraz już są spokojni o zatrzymanego. Ale szeregowiec Cyniak nie może odpocząć. Wskakuje na konia i pędzi leśnymi ścieżkami na to m i e j s c e. Czy je aby odnajdzie? Wreszcie ściąga koniowi cugle. To chyba tu... Zeskakuje z siodła i na klęczkach, pochylony nad pachnącą ziemią przegląda uważnie miejsca, gdzie widać jeszcze ślady podkutych żołnierskich butów, gdzie prostują się przegięte przez przechodzących wątłe rośliny. Przy krzaku paproci leży mały, okrągły przedmiot. Cyniak zawija go w chustkę i wskakuje znowu na konia, który miękkimi chrapami skubać już począł leśne poszycie. W połowie drogi spotyka samochód, którym dowódca strażnicy objeżdża swój teren. Melduje mu o zatrzymaniu, pokazuje znaleziony przedmiot.

— Dobrze. Cyniak, nie mordujcie się już teraz. Siadajcie ze mną na wóz!

Jeden z żołnierzy zeskakuje z samochodu, aby odprowadzić konia. Jego miejsce zajmuje Cyniak. Wóz rusza. Na strażnicy jest już przybyły jeszcze w nocy oficer śledczy WOP-u ze Szczecina. Przerywa na chwilę pierwsze przesłuchanie zatrzymanego, kiedy do pokoju wchodzi uśmiechnięty dowódca strażnicy. Zwraca się do przesłuchiwanego:

— Bardzo przepraszam, że przeszkodziłem w rozmowie, ale odnoszę panu zgubę. Przecież to jest pana kompas, prawda? Tak, tak — rzeczy martwe są czasami przywiązane do swoich właścicieli...

Oficer śledczy WOP-u podnosi tymczasem słuchawkę telefonu brzęczącego natarczywie od kilku chwil. Słucha uważnie i odkłada z powrotem na widełki.

— Miałem telefon ze Szczecina. Panie Morawiec, coraz mniej mi się pan podoba! Najpierw ten kompas a teraz te dokumenty... Telefonują mi, że sprawdzono w miejscu wystawienia. To lipa, panie Morawiec! Ten urzędnik, którego podpis tu pan ma, akurat wtedy istotnie się podpisywał na takich papierach — ale to jest lipa. Pieczęć nieźle podrobiona — ale, panie Morawiec, na tym dowodzie to tylko pana twarz jest prawdziwa — cała reszta sfałszowana. Może pan teraz nie będzie nam zabierał naszego cennego czasu i przedstawi się swoim prawdziwym nazwiskiem?

— Ależ, panie kapitanie, ja jestem Morawiec, Anton Morawiec, to jakieś nieporozumienie...

— Uparty z pana człowiek. Sam pan sobie kopie grób. Trzeba mieć tę odwagę: trudno, nie udało się i teraz im szczerzej wszystko powiem, tym łagodniej będę ukarany.

KRAWAT W PRĄŻKI

Nieznajomy człowiek, który dzięki pomocy chłopki ze spółdzielni produkcyjnej został wczesnym rankiem zatrzymany nad Odrą, miał już wtedy gotowe tłumaczenie. Powiedział mianowicie oficerowi śledczemu WOP-u, który przesłuchiwał go na strażnicy, że jest pracownikiem żeglugi, delegowanym z Wrocławia na pokład holownika „Neptun", stojącego na Odrze na wysokości Czelina. Miał przy sobie formalną delegację — ale jego papiery od początku nie wzbudzały zaufania.

Niewiele czasu zajęło ustalenie, że delegacja jest fałszywa — tak jak i inne dokumenty. Wyrzucenie przez zatrzymanego kompasu, upewniło WOP, że jedno przestępstwo jest niezaprzeczone: nielegalne przekroczenie granicy. Zatrzymany przestał się tego wypierać. Oświadczył, że istotnie przekroczył granicę, ale że jest „tylko" przemytnikiem, a dokumenty kupił w Berlinie koło ZOO, gdzie istotnie koncentruje się handel fałszywymi papierami.

WOP postanawia przekazać sprawę do dalszego śledztwa. Idą do Szczecina pierwsze raporty. Sam zatrzymany, który podał już na strażnicy, że nazywa się Adolf Machura, zostaje przewieziony samochodem do Szczecina, gdzie tymczasem szef Urzędu wezwał do siebie oficera, Władysława Stefaniaka, i powierzył mu tę sprawę. Stefaniak wraca do siebie do gabinetu i przygotowuje się do sprawy. Jak dotąd wie o tym człowieku, zatrzymanym o świcie przez szeregowca Cyniaka a teraz jadącym pod eskortą samochodem do wojewódzkiego miasta — bardzo niewiele: fałszywe dokumenty, przybywa z Berlina, miał przy sobie kompas. Przemyt właściwie przez „zieloną granicę" nie istnieje — przestał się opłacać przemytnikom, karanym surowo za przekroczenie granicy. Pozostaje więc druga ewentualność: szpieg. A jeżeli tak, to jakie dostał zadania? Kto go przysłał? Kto mu płaci? Z kim miał się w Polsce zobaczyć?

Wartownik wprowadza Machurę i wychodzi na korytarz. Teraz jest ich tylko trzech w gabinecie — trzecim jest oficer, Andrzej Balcerski, który ma na dzisiejszym przesłuchaniu prowadzić protokół.

Stefaniak pyta, jak gdyby do tej chwili nic nie słyszał ani o zatrzymanym, ani o tej całej sprawie. Bacznie przygląda się mówiącemu, obserwuje jego gestykulację, sposób budowania zdań. Machura opowiada o sobie: doprawdy głupia historia, jest przecież przemytnikiem, no, pan rozumie, chciał parę groszy zarobić. Dziś trochę żałuje, ale chyba nie będą panowie zbyt surowi dla młodego, niedoświadczonego człowieka?

Pytania, jakie ku swemu zdziwieniu słyszy Machura, nie mają właściwie nic wspólnego z jego „grzechem". Polski oficer pyta o stosunki rodzinne, o wykształcenie, o zainteresowania zawodowe. Z jego ust nie pada żadna groźba, żadne stanowcze żądanie. Potem wraca znowu do sedna sprawy: kto zlecił „przemytnikowi" przejście granicy? Jak on się nazywał? Jak wygląda? Gdzie się poznali?

Po przesłuchaniu zatrzymany wędruje do celi. Przedtem jednak zostaje poddany ponownej drobiazgowej rewizji i na stole Stefaniaka zostawia w depozycie: zegarek, wieczne pióro, krawat, pasek. Obaj oficerowie rozkręcają zegarek i badają, czy nie ma jakichś znaków specjalnych, czy mechanizm przeznaczony jest istotnie tylko do mierzenia czasu. Szczegółowo oglądają wieczne pióro, rozpruwają szwy paska, aby sprawdzić, czy nie ma tam nic zaszytego. Na końcu oglądają krawat w prążki. Zwracają uwagę na umieszczoną na podszewce cyfrę 618. Czy to nu-

mer z pralni? Na znak fabryczny nie wygląda to w żadnym razie!

Odkładają krawat do wyjaśnienia i zabierają się do studiowania mapy pogranicza. Chcą na podstawie zeznań Machury odtworzyć jego wędrówkę. Balcerski odczytuje z protokółu nazwy miejscowości, a Stefaniak odszukuje je na mapie. Ołówek jego posuwa się z szarej plamy Berlina do Erkner, znaczy linię na szosie idącej na wschód, przecina nurt Odry i przystaje na pobliskim brzegu...

— Chwileczkę, Andrzej! Spojrzyj no raz jeszcze, jaką liczbę mamy na tym krawacie? Co, 618? Ciekawe, przecież to jest numer „główki" na granicy...

PÓŁ CENTYMETRA DO DWÓCH METRÓW

Nazajutrz władze śledcze przedstawiły szczecińskiej prokuraturze dowody przestępstwa przekroczenia granicy i używania fałszywych dokumentów. Dowody te zostały uznane za wystarczające dla wydania nakazu aresztowania. Widać było, że gra on na zwłokę. Po raz trzeci kazano mu dokładnie powtórzyć relację o wydarzeniach, które doprowadziły go ostatecznie pod konwojem do szczecińskiej placówki bezpieczeństwa. Jest niezmiernie trudno powtórzyć kilkakrotnie z całą precyzją szczegółów, opowiadanie zmyślone. Machurze, który — zauważyli to oficerowie — nie jest zbyt bystry, szczególnie się to nie wiedzie. Udając, że przyjmują jego kłamstwa za dobrą monetę — odkrywają coraz więcej rozbieżności w jego kolejnych wersjach „przemytniczej" przygody. Najtrudniej widać przychodzi mu szybkie wymyślanie nazwisk i lokowanie ich w określonych miejscach. Zapas popularnych nazwisk niemieckich rychło się wyczerpuje — a tu trzeba odpowiadać na naglące pytania: kto, gdzie, jak, kiedy? Machura wymienia wreszcie prawdziwe nazwisko: ciotka von Juelich. Myśli sobie: co to szkodzi? Broni się konsekwentnie w myśl wskazówek otrzymanych od *Herr* Kaisera w Berlinie, który mówił: „Chłopcze, nic się nie martw, gdybyś wpadł. Mamy sposoby, aby cię wyciągnąć z więzienia. Ale pamiętaj: nie wolno ci pod żadnym pozorem zdradzić, że to myśmy cię wysłali, bo cię Polacy zatłuką! Mów, że wysłał cię Anders albo Amerykanie — ale nigdy, że jesteś naszym człowiekiem!"

— No, Machura, a kogo to widzieliście w przeddzień wyjazdu z Berlina? Przypomnijcie sobie jego nazwisko.

Trzeciego dnia Machura zaczyna przebąkiwać o propozycjach współpracy wywiadowczej, jakie czynili mu Amerykanie. Był nawet szkolony, gdyż Amerykanie myśleli, że będą mieli z niego pociechę...

— Kto was szkolił?

— Pan Roeder.

Nareszcie nazwisko, które może być haczykiem do dalszej rozmowy. Machura opowiada dalej, że w berlińskiej knajpie usłyszał przy sąsiednim stoliku rozmowę po polsku. Od słowa do słowa — zapoznał się wtedy z niejakim panem Nentwichem, który wciągnął go do pewnej współpracy. Chodziło mu właściwie tylko o to, by Machura idąc na przemyt do Polski rozglądał się za jednostkami wojskowymi i notował numery samochodów wojskowych. Głupi byłem — mówi Machura — że się na to zgodziłem, ale ja wcale nie traktowałem tej obietnicy na serio. Po prostu pomogli mi przejść granicę — to ja tu sobie chciałem pohandlować a im potem wymyślić jakieś głupstwa. Patrzy uważnie na twarz oficera — ale nie może odczytać z niej, jakie wrażenie wywarła ta nowa historyjka.

Machura nie wie, że szykuje się teraz generalny atak, że zebrano już śmie-

tankę ze sporego pliku kartek protokółu, zapisanego na granicy i w Szczecinie. Nadal powtarza piosenkę o tym samym refrenie, tylko że poszczególne strofki coraz bardziej różnią się od poprzednich.

Oficer bezpieczeństwa wie już po trzech dniach, jakie są słabe strony zeznań przesłuchiwanego. O ósmej rano wprowadzają do jego gabinetu Machurę. Przez kilka godzin z pytania na pytanie, aż wreszcie dochodzi do następującego dialogu:

— No jak tam, przemyśleliście sobie dobrze to, co wam wczoraj powiedziałem? Czy zdecydowaliście się już wreszcie na to, czy wysłali was Amerykanie, czy też Anders? A może — kto wie — jeszcze ktoś inny?

— Jeszcze raz powtarzam, że znalazłem się tu przez pomyłkę. Oczywiście, trochę w tym winy mojej lekkomyślności, za którą muszę ponieść karę — ale nie jestem żadnym agentem. Zostałem po prostu zaszantażowany przez oficerów generała Andersa. Nie ma mowy o żadnym wywiadzie. Proszono mnie tylko, abym pojechał do Polski...

Cierpliwie słuchają obaj oficerowie opowiadania Machury.

Wreszcie jeden mu przerywa. Pytaliśmy was o nazwiska ludzi, którzy was szkolili, którzy wam dali ten tandetny kompas. Podaliście nam kilkanaście nazwisk, które są zmyślone. Ale raz, chyba niechcący — widocznie nie przyszło wam wtedy do głowy nic lepszego — podaliście prawdziwe nazwisko.

— Wszystkie są prawdziwe. Ja panom mówię tylko prawdę. Ja chcę szczerze odpokutować to nielegalne przejście granicy i wrócić do domu.

— O powrocie do domu będziemy mówić za wiele, wiele lat — a może i wcale nie. Wiecie chyba, co to jest „Himmelsfahrtskommando"?

— Tak w Wehrmachcie nazywano szczególnie niebezpieczne misje, jakie dawano do wykonania.

— Słusznie. Wam nie mówiono, że takie właśnie „komando wniebowstąpienia" dostaliście i wy? Czy pan Roeder wam tego nie mówił?

— Pan Roeder?

— Tak, Roeder. Chyba nie zaprzeczycie, że znacie pana Roedera. Przecież to jego nazwisko wymieniliście nam wczoraj. Podaliście nawet i adres, ale tam Roeder nigdy nie bywa...

— Pan Roeder jest pod rozkazami amerykańskiego pułkownika, Robertsa.

— Kogo bujacie? Przecież my znamy dobrze pana Roedera. Pan Roeder jest taki wysoki, że mawia o sobie, że mu tylko pół centymetra brakuje do dwóch metrów, a gdy czyta — to trzyma papier zawsze na odległość wyprostowanej ręki.

Adolf Machura wstaje z krzesła. Jest wyraźnie zaskoczony. Przez dłuższą chwilę milczy i patrzy na oficera. Protokólant odrywa od papieru pióro.

— Teraz, Machura, chciałem was jeszcze zapytać: czy pan Roeder ma pralnię? Siadajcie i odpowiedzcie spokojnie: czy to do pana Roedera należy ten ładny charakter pisma, którym napisane jest dla jego agenta miejsce przerzutu przez granicę na krawacie w prążki?

CELA AGENTA MACHURY I WILLA PUŁKOWNIKA ROEDERA

Adolf Machura siada z powrotem. Szybko sunie po papierze pióro protokólanta, kiedy agent zaczyna mówić: „Widzę, że to nie ma sensu, że panowie wiedzą wszystko..."

Agent ODT-738 dostaje w gabinecie kolację, po której — sam się temu dziwi — ale właściwie staje się tylko słuchaczem. Stefaniak analizuje Ma-

churze jego życie. Czy ci było, chłopie, źle w żegludze? Tu masz przecież matkę, masz braci... Komuś ty się wysługiwał? Panu Roederowi! No i co z tego? Pan Roeder nie wylicza się z tysięcy marek, które przechodzą przez jego ręce; kupił sobie willę pod Monachium, a ty? Ty dostawałeś 10 marek dziennie wtedy — a teraz masz tylko celę więzienną... Tak, tak — przysłużyli ci się twoi przyjaciele berlińscy, możesz im doprawdy podziękować, że dałeś się wystrychnąć na dudka...

W duszy agenta Machury rodzi się nienawiść. Za psi grosz poszedł na pewną śmierć. Jemu dawali fenigi a sami zgarniali tysiące marek! Nie może zaprzeczyć słowom oficera bezpieczeństwa. Słucha go w milczeniu, tłumiąc wzbierającą pasję. W Berlinie Kaiser i Roeder siedzą pewnie teraz w knajpie, kiedy on tu wylądował za kratami. A przewoźnik „Hans"? Ten drań oddał na pewno scyzoryk, zainkasował honorarium i teraz śmieje się w kułak z idioty pasażera!

Agent Machura przerywa oficerowi. Teraz trzeba zmienić protokólanta, gdyż jeden nie nadąża z pisaniem. Agent Machura chce się zemścić na sprawcach swej niedoli. Powie wszystko, jak jest — pokaże swoją dobrą wolę. to też pewnie zaważy na sali sądowej!

— Można ściągnąć tu tego przewoźnika „Hansa"! Ja panom powiem, jak się umówiłem...

HEINZ LANDVOIGT JEDZIE NA WOJNĘ

„Była to piękna, wrześniowa noc; w Odrze ryby rzucały się wysoko w górę; w taką noc tylko wziąć pod rękę dziewczynę i iść z nią na daleki spacer brzegiem rzeki" — opowiada reporterowi oficer bezpieczeństwa, który należał do małej delegacji, mającej na polskim brzegu Odry godnie powitać adenauerowskiego szpiega. W skład tej grupki — poza nim — wchodzili: drugi oficer bezpieczeństwa, który miał „przedstawiać" Machurę, czekającego na Landvoigta, oficer śledczy WOP-u oraz dwaj żołnierze WOP-u, uzbrojeni w automaty. Rzecz dzieje się w nocy z 4 na 5 października, na wprost miejscowości Kienitz, położonej w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Mieści się tam port rybacki, co nie jest bynajmniej dla sprawy obojętne.

Technika przerzutu przez Odrę była bowiem jeszcze w Berlinie uzgodniona w ten sposób, że „Hans" (czyli Landvoigt) ma pod osłoną nocy przepłynąć na polską stronę małą łódką rybacką. Machura, nie powinien oczywiście pętać się po brzegu, ale zejść do łódki w ostatniej chwili. Chodziło więc o to, aby jakoś zasygnalizować mu, że przerzut się zaczyna i że ma się sposobić do drogi. W porcie rybackim w Kienitz stoją posczepiane na noc łodzie. Aby nie zawadził ich płynący po ciemku holownik — ta z nich, która wysunięta jest najdalej od brzegu rzeki, ma na dziobie zapaloną latarnię.

„Hans" umówił się przeto z Machurą, że podpłynie do tej łodzi i tak ją rozkołysze, iż ukryty w krzakach na polskim brzegu agent ODT-738 dostrzeże rozchybotane na falach Odry światełko. Dopiero wtedy Machura wyjdzie na sam brzeg i będzie czekać na kamiennym progu, położonym niemal na wprost portu w Kienitz.

Wiemy już, w jaki sposób Landvoigt dojeżdżał do Kienitz dzięki pomocy taksówkarza Kupscha i właściciela tartaku — Edgara Sommerfelda. I tym razem podróż odbyła się pomyślnie. Zostawiamy go więc na niemieckim brzegu i śledzimy dalszy ciąg ze strony polskiej.

Oficerowie bezpieczeństwa i WOP przybyli na stanowiska tuż po zmroku.

Patrole normalnie odwiedzające ten odcinek brzegu Odry były owej nocy ściągnięte, aby swym ukazaniem nie spłoszyć oczekiwanego. Polacy rozmawiali szeptem i czekali nadejścia godziny 22, kiedy to miał przybyć wysłannik pana Kaisera. Tuż przed tą godziną umilkł nawet szept i wszyscy zajęli uprzednio wyznaczone pozycje. Kilku mężczyzn uporczywie wpatrywało się w małe światełko, kołyszące się miarowo na spokojnej fali odrzańskiego portu.

Wskazówki zegarka oficera bezpieczeństwa wskazywały właśnie godzinę 22.13, kiedy światełko zaczęło tak gwałtownie migotać, że chwilami znikało wprost wśród spiętrzonych fal. Zaczyna się! To niezawodnie przybysz z Berlina podpłynął do wysuniętej łodzi i tak ją rozhuśtał! Prolog przebiega więc planowo. Teraz oficer bezpieczeństwa, który ma grać rolę Machury, schodzi powoli na kamienny próg, ubrany w autentyczny płaszcz siedzącego tymczasem w szczecińskim więzieniu agenta. Mija minuta, druga i trzecia. Dwaj żołnierze WOP-u odbezpieczyli już swoje automaty. Koło jednego z nich leżą przykryte płaszczem, aby nie błyszczały, kajdanki, które za chwilę zacisnąć się mają na przegubach rąk. I znowu płyną minuty — a łódki nie widać. Czyżby go zniósł prąd w dół rzeki? Czy może w ostatniej chwili zatrzymała go na niemieckim brzegu policja ludowa NRD?

Minęła już godzina. Światełko już dawno wróciło do swego spokojnego, jednostajnego kołysania. Dlaczego „Hans" nie nadpływa? O godzinie 3.30 nad ranem — zasadzka zostaje zlikwidowana. Wszyscy wracają na strażnicę. Trudno, to jest właśnie walka na cichym froncie. Tu nie można wszystkiego przewidzieć z absolutną dokładnością. Życie wnosi zawsze poprawki do najbardziej starannie przemyślanych rachunków i przewidywań.

Dopiero znacznie, znacznie później, kiedy ostatecznie Landvoigt wylądował na polskim brzegu (i w polskim więzieniu) wyszło na jaw, dlaczego owej nocy z 4 na 5 października kazał na siebie czekać. Wszystkiemu winne jest... upowszechnianie kultury. Tak się złożyło, że akurat wtedy, kiedy Landvoigt stał już na brzegu Odry — we wsi po stronie NRD skończył się seans kinowy. Daleko niesie echo po wieczornej rosie gwar rozbawionego tłumu w tę jesienną noc. Gospodarz z sąsiedniej wsi odwiązał konia przyczepionego do słupa, wsiadł na wóz i koła terkotały po bruku. Usłyszał te głosy „Hans" i natychmiast zawrócił. Jak opowiadał później, był przekonany, że to właśnie jego szukają i stąd to zamieszanie i ruch w tej tak zwykle cichej wiosce. „Hans" zawrócił do Berlina. Ostatecznie — myślał sobie — nic się nie stało; przecież mam umówiony jeszcze zapasowy termin na następną noc.

Zdenerwowany zjawia się o świcie w domu. Hilda zrywa się w szlafroku i otwiera mu drzwi. Krząta się po mieszkaniu i przygotowuje dla męża śniadanie. Heinz zajada w milczeniu. Hilda patrzy z niepokojem na jego zmęczoną twarz, na jego policzki pokryte niegoloną szczeciną i wreszcie głosem nabrzmiałym niepokojem mówi, używając pieszczotliwego przezwiska, tego imienia, które znają tylko oni oboje.

— Muelle, najdroższy, nie dręcz mnie więcej! Powiedz, kiedy to się wreszcie skończy?

— Nie wtrącaj się. Nie twoja sprawa.

— Nie mów tak do mnie, Muelle. Mam prawo do ciebie, mam prawo wiedzieć... Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdybyś nie wrócił. Zastanów się tylko, po co się tam pchasz? Czy ci czego brak? Jest nam lepiej lub go-

rzej, ale żyjemy sobie w spokoju. Muelle, czy mało było wojny? Byłeś wtedy sam — ale dziś należysz do mnie i...

— Przestań histeryzować! Nie udawaj, że nie wiesz, po co pracuję! Czy nie oddałem ci co do jednego feniga tych 850 marek, które wtedy dostałem za usługę wyświadczoną jednemu bubkowi? Przecież pamiętasz? Ten bubek chce teraz wracać. Nasi wspólni znajomi prosili, abym się tym zajął. Mało to razy przewoziłem ludzi z Polski? Wielkie rzeczy... Znowu mam dostać 850 marek. Wiesz dobrze: takiej okazji, jak ten sklep do kupienia, nie będziemy mieli szybko. Gdyby nie to, że ten Schulze wyjeżdża do córki do Hiszpanii i jego wiza wjazdowa ma taki krótki termin — nigdy by za psi grosz nie sprzedał sklepu w takim punkcie.

— Mniejsza o ten sklep, Muelle! Mam prawo wiedzieć, dlaczego jesteś taki zdenerwowany. Mam prawo żądać, abyś był przy mnie.

Heinz Landvoigt bez słowa wstaje i idzie do łazienki. Goli się starannie, bierze gorący prysznic. Przez zamknięte drzwi dobiega go tłumiony szloch żony. Napięcie minionej nocy przechodzi. Zjawia się tkliwość, odsłonięta ciepłem własnego domu. Po raz pierwszy Heinz Landvoigt zaczyna się zastanawiać, co by się stało, gdyby istotnie już nigdy nie miał tu wrócić? Spogląda przez okno na ulicę, gdzie zna każdy kąt i niemal każdego mieszkańca, myśli o wygodzie przytulnego mieszkania. Wkłada czystą bieliznę, wyjmuje z szafy świeży krawat. Słyszy teraz, jak żona sprząta ze stołu, jak cicho dzwonią szklanki i talerzyki. Chce jakoś przemyśleć sprawę tego sklepu — ale nie może zmusić się do tego. Właściwie dość się już nawojował... I podczas wojny i teraz. Trzeba będzie o tym powiedzieć Kaiserowi. No, może nie tak wprost — ale jakoś dowcipnie, lekko — aby się nie obraził i aby nie spalić mostów za sobą. „Rocznik 1923 dość się już prochu nawąchał, panie Kaiser, teraz pora, aby młodsi nas zluzowali" — o, tak mu powie. Ostatecznie przecież to sam Kaiser mu kiedyś powiedział, że w Berlinie jest wielu młodych i dzielnych ludzi, którzy chcą zarobić...

Czeka chwilę, a gdy z odgłosu kroków wnioskuje, że żona poszła do kuchni, szybko wypada z łazienki, porywa płaszcz z przedpokoju i zatrzaskuje za sobą drzwi wejściowe. Zbiega ze schodów i już jest na ulicy, gdy z otwartego okna dobiega go głos żony:

— Heinz, Heinz, czekaj na mnie! Idę z tobą!

— Nie warto, kochanie! Za godzinę wracam!

Miga mu jej twarz rozjaśniona radością. Zatrzymuje jadącą powoli pustą taksówkę i rzuca szoferowi adres Kaisera, który przyjmuje go bezzwłocznie.

— Dopiero teraz? Gdzie on jest?

— Chyba w Polsce.

— Słuchajcie, *Funkmat* Landvoigt! Tu nie jest miejsce na żarciki! Nawet w marynarce wojennej słowo „chyba" nie istnieje przy składaniu meldunków...

— Nie mogłem płynąć przez Odrę. Policja ludowa coś wywęszyła.

— Skąd ta pewność? Przecież ja miałem podstawy, aby was tam posłać. Na majówkę nie wysyłam nikogo, *Funkmat* Landvoigt, i nie płacę za to 850 marek. Wydaje mi się zresztą, że łatwe zarobki was zdemoralizowały, że zapominacie znowu o obowiązkach żołnierza, zapominacie o przysiędze, którą złożyliście naszej wielkoniemieckiej ojczyźnie...

— Panie Kaiser, ja... ja przyszedłem właśnie, aby panu powiedzieć, że...

— Że przepraszacie za swe tchórzostwo i natychmiast ruszacie do Polski, aby przywieźć stamtąd towarzysza broni, który — zapamiętajcie to sobie — ryzykuje teraz życie każdej chwili.

Pewnie głodny i zziębnięty kryje się po zaroślach i wypatruje sobie oczy za panem Landvoigtem, który wypił rano kawusię i właśnie zastanawia się, co począć z tak pięknie rozpoczętym porankiem.

— Panie Kaiser, pan nie ma prawa tak mówić. To pan siedzi w swoim biurze, a nas wysyła tam, gdzie czeka nas...

— Tam, gdzie czeka was sowity zarobek i zadowolenie ze spełnienia obowiązku. Filozofie pana Landvoigta prowadzą go na manowce.

— Panie Kaiser, przyszedłem tu, aby panu powiedzieć, że rocznik 1923 dość się już nawojował, że...

— Milczeć. *Mensch, Heinz, bist du ganz verrueckt?* Może jeszcze włożysz błękitną koszulę „Freie Deutsche Jugend" i pomaszerujesz przez Stalinallee?

— Pan wie dobrze, że nienawidzę komunizmu. Ale moje nerwy są już w strzępach. Ja już nie mogę dłużej! Gdy wczoraj jechałem kolejką do Erkner, nagle drzwi się otworzyły, do przedziału wszedł jakiś mężczyzna w mundurze i dotknął mego ramienia. Krzyknąłem — a on popatrzył na mnie jak na wariata. To był konduktor, który kontrolował bilety. Wziąłem go za policjanta ludowego. Normalny człowiek tak się nie zachowuje.

— Nie róbcie z siebie wariata. Sam widzę, że jesteście zmęczeni. Kto wie, czy nie należałoby pomyśleć o wypoczynku. Mam wiele lat doświadczenia i wiem, że nasza praca szybko zdziera ludzi. Ale przecież nie zostawicie teraz tego człowieka w polskich rękach, Heinz! Trochę wyobraźni, *Funkmat* Landvoigt! Przenieśmy się myślą o jedną dobę naprzód! A więc jutro o tej porze pan kładzie się w domu do łóżka, aby się solidnie wyspać. Ten człowiek jest już u nas w biurze i opowiada nam wiele, wiele ciekawych rzeczy. Dla pana ma dozgonną wdzięczność. My zaś poza gratulacjami, jeszcze 850 marek. Pomyślcie tylko. Osiem setek i jedna pięćdziesiątka... Jedzie pan na miesiąc czy dwa na urlop i po powrocie będzie panu wstyd, że tak słabo panował pan nad nerwami.

— Ale moja żona i ja doszliśmy do wniosku...

— A, jesteśmy w domu, *Funkmat* Landvoigt! Żoneczka zabroniła mężulkowi. Trzeba plunąć na wszystko i zostawić kolegę na pewną śmierć. Ale on, *Funkmat* Landvoigt, ma też żonę i dzieci. One też na niego czekają... Oczywiście, to nie ma znaczenia. Powiemy wdowie i sierotom: tatuś nigdy nie wróci, bo pan Landvoigt chciał akurat iść z żoną do kina. Jeżeli chcecie go zapytać o bliższe szczegóły, wieczorem jest zawsze w swym przytulnym mieszkaniu w Wedding przy Gerichtstrasse Nr 25... Ale, kiedyś, gdy znowu będziemy robić generalne porządki, zdrajców i tchórzy czeka przykry los... Po co zresztą czekać aż do tego czasu? Pan wie, że tragiczne wypadki zdarzają się nie tylko przy przeprawie przez Odrę — ale i we francuskim sektorze, w dzielnicy Wedding...

W godzinę później Heinz Landvoigt był w domu.

— Muelle, niedobry człowieku, chyba dziś spędzimy wieczór razem? Zamkniemy sklep wcześniej i pójdziemy się trochę pobawić. Muelle, nie patrz na mnie takim wzrokiem, chyba nie chcesz mi powiedzieć...

— Hildo, dziś jeszcze muszę iść...

— Heinz! Zostań! Po co nam drugi sklep? Oboje jesteśmy młodzi, mamy cztery ręce do pracy. Może nie zrobimy majątku, ale będziemy razem, będziemy o siebie spokojni. Nie wolno ci iść...

— Słuchaj, Hildo, idę dziś ostatni raz... Ja sam mam już tego dość. Dlaczego dziś ma mi się coś stać? Tyle razy przedostawałem się szczęśliwie, znam każdy zakamarek na brzegu

Odry. Dziś idę ostatni raz... Przysięgam ci, że już nigdy więcej. Mogą mnie kusić, ale ja już więcej nie pójdę. Kochanie, jutro o tej porze...

Nadchodziła druga noc — ostatnia dla umówionego przerzutu. Na polskim brzegu leżą ludzie w zasadzce. Przyjdzie czy nie przyjdzie? Powoli wloką się godziny do 22-ej. O tej godzinie, znowu zaciskają się ręce na automatach i pistoletach: w oddali, na wodzie małe światełko zaczyna podskakiwać w górę niby błędny ogień, który w starych baśniach ludowych zwodzi zbłąkanych wędrowców na grząskie bagna...

Widzą wreszcie z daleka na falach Odry ciemny, rosnący punkt. Jest już coraz bliżej i wreszcie widać dość wyraźnie sylwetkę małej rybackiej łódki i pochylonego w niej mężczyznę. Jeszcze chwila i teraz można już ujrzeć, że wiosłuje tylko jedną ręką, krótkimi mocnymi ruchami, a w drugiej dłoni trzyma jakiś przedmiot. Teraz jest już nie dalej niż jakieś 5 metrów od polskiego brzegu. Półgłosem woła: *„Mohr, Mohr, wo bist du?"* Łódka jego znajduje się w tej chwili na wirze i nie posuwa się z nurtem Odry, ale niemal w miejscu kołysze na falach wielkiej rzeki. Po kilku zawołaniach — oficer bezpieczeństwa, przedstawiający tu „Machurę", schodzi nad samą wodę i pokazuje się agentowi. „Tu jestem" — nawołuje go szeptem. „Ja się boję bliżej — właź sam, woda ciepła" — mówi przewoźnik i widać, że nie zamierza płynąć dalej ku polskiemu brzegowi.

DRUGI SKLEP HEINZA LANDVOIGTA

Sytuacja się komplikuje. Jeżeli bowiem oficer zacznie brodzić do łódki, Landvoigt może doń strzelić i wskoczyć do wody; wśród ciemnej nocy pościg byłby wielce utrudniony, zwłaszcza że jest zakaz strzelania do wroga. Ten człowiek musi zdrowy i cały znaleźć się za godzinę w biurach władz bezpieczeństwa. Trzeba odkryć jego kontakty, dowiedzieć się, kogo tu przewiózł i kto czeka na niego w NRD.

Landvoigt powstaje teraz, aby lepiej przyjrzeć się czerniejącej na brzegu postaci „Machury". Oficer polski strzela w górę, z ust jego pada okrzyk: „Polska służba graniczna. Ręce do góry!" Ostatnie słowa tego wezwania giną w ogłuszającym huku automatu, prażącego całą serią tuż nad głową adenauerowskiego agenta.

Ubezpieczający przedsięwzięcie starszy szeregowiec WOP-u widzi powstającego z pistoletem w dłoni przewoźnika i rozumie, że o życiu oficera polskiego decydują teraz ułamki sekundy. Strzał pistoletowy jest dla WOP-isty sygnałem do naciśnięcia cyngla automatu. Agent przerażony nagłym widokiem ognia, ziejącego wśród nocy z lufy automatu i hukiem — przewraca się na wznak na łodzi i wypuszcza w wodę pistolet.

Mechanicznie wykonuje teraz rozkazy rzucane po niemiecku z polskiego brzegu: „Odrzuć wiosła! Rąk nie opuszczaj, bo jesteś na muszce!"

Drugi ze stojących na ubezpieczeniu WOP-istów wchodzi w wodę i przyciąga łódkę do brzegu. „Kim jesteś?" „Jestem rybakiem z Kienitz — pada odpowiedź — zniósł mnie prąd". Landvoigt zostaje wyprowadzony na brzeg. WOP-iści ściągają zeń marynarkę i widzą, że ma pod nią gestapowską kaburę: pochwa pistoletu przymocowana jest jednym paskiem do lewego ramienia, drugim — do paska spodni. Umożliwia to szybkie wydobycie broni. „A, to jest ten rybacki strój? Gdzie pistolet?"

Zatrzymany wskazuje miejsce i WOP-iści szybko wyławiają z wody pistolet „Sauer" kalibru 7,65. Nadodrzańskie drzewa widzą teraz dziwną scenę.

Wśród nocy, oświetlony latarkami ręcznymi siedzi na ziemi młody mężczyzna, ciężko dysząc pod wrażeniem przeżytego strachu. Ostre światło razi mu oczy, które zasłania dłońmi, ukazując kajdanki na przegubach rąk. Landvoigt wzdycha głęboko i głośno mówi do siebie po niemiecku: „Heinz, Heinz — chciałeś mieć drugi sklep...“

Opuszcza skute ręce i rozgląda się po nachylonych nad nim ludziach w cywilu i w mundurach z zielonymi wypustkami. Śląską gwarą, dobierając starannie słów, pyta: „A nie szłoby tak zrobić, że ja dla was teraz, że ja wam tu teraz będę szpiegów woził?“ Ta propozycja wywołuje ogólną wesołość. Landvoigt zostaje odprowadzony do ukrytego w pobliżu samochodu i odjeżdża do Szczecina.

Przypominają mu się teraz zapewnienia Kaisera o wszechmocy bońskiego wywiadu. Jeżeli go nawet nie wyciągną — to chyba Polacy nie łupną mu więcej jak trzy czy cztery lata. Nielegalne przejście granicy — czy oni mogą coś więcej wiedzieć? No, za broń dodadzą jeszcze pół roku. I to wszystko.

Heinz Landvoigt jest dobrej myśli, gdy po północy zasiada przed biurkiem oficera służby bezpieczeństwa. Trochę się bał, że będę bili. Ale nie biją. Dostaje szklankę czarnej kawy. Trzyma w obu dłoniach szklankę, której przyjemne ciepło grzeje ręce zziębnięte w chłodzie jesiennej nocy. Sączy kawę małymi łyczkami i urywanymi zdaniami opowiada, że jest otumanionym robotnikiem, że padł ofiarą bezwzględnych ludzi, że...

— Zaraz, zaraz: dlaczego nie strzelaliście, gdy was zatrzymano?

— Nie strzelałem, ponieważ mój strzał zaalarmowałby policję ludową i ludność Kienitz. Opowiadał mi w Berlinie jeden facet, że zawrócił na niemiecki brzeg, gdy z polskiej strony Odry zaczęto do niego strzelać — ale nad ranem znalazła go w krzakach niemiecka młodzież i oddała policji ludowej.

— Kto wam pomagał przy przejeździe przez NRD?

Landvoigt wymienia nazwiska, które zaraz zostają przekazane policji ludowej. Likwiduje ona całą drogę przerzutową przez NRD, zatrzymując agentów generała Gehlena, obsługujących zmontowaną z takim trudem drogę przerzutową przez NRD.

O świcie zostaje odprowadzony do celi. Rzuca się na pryczę i zasypia. Nie wie nawet, że tuż obok, w celi przy tym samym korytarzu śpi ten, po którego wyprawił się tej nocy do Polski: Adolf Machura. A w innej przebywa od kilku dni trzeci agent z tej samej siatki: Konrad Wruck.

„ZŁOTA PODKOWA“

Dla kilku panów ów sierpniowy wieczór berliński 1953 roku zapowiadał się bardzo przyjemnie. Spotkali się najpierw w restauracji przy ratuszu w Steglitz — solidnym, spokojnym lokalu. „Musimy pokazać naszemu przyjacielowi „Złotą podkowę“ przy Luterstrasse 24“ — powiedział jeden z obecnych. „Co to za lokal?“ — zainteresował się rosły, młody człowiek, najwyraźniej podejmowany przez resztę towarzystwa. „Taka sobie knajpa połączona z maneżem; tańczy się pośrodku areny, wokół której można się przejechać konno. Ja już tam byłem. Umówmy się tak — ja teraz z panem Kaiserem pojadę do „Splendidu“ na Nollendofrplatz i tam będziemy na was czekać. Wy pojedziecie sobie obejrzeć tę ‚Złotą podkowę“ z panem Nentwichem. Przedtem może tylko zarezerwujemy sobie miejsce w „Splendidzie“, trzeba zatelefonować 24 45 36 — to będzie na nas czekał stolik... Zjawicie się tam

chyba nie później niż za godzinę. Nie sądzę, aby w „Złotej podkowie" bardzo się wam podobało..."

Niedługo później panowie Kaiser i Jansen znaleźli się w kabarecie „Splendid", gdzie chcieli sobie porozmawiać, nim zjawi się znowu w ich towarzystwie ów młody człowiek, który nazywa się naprawdę Konrad Wruck, ale który — zależnie od okoliczności — może wystąpić jako Konrad Horn, Henryk Suchanowicz czy Otto Wiegand. Obu panom znany on jest jednak przede wszystkim jako agent ODT-738-18.

Panowie Kaiser i Jansen zajęli miejsca przy zamówionym stoliku i podjęli rozmowę, rozpoczętą w samochodzie.

— ...cała więc ta historia nam się opłaci. Ile wydaliśmy na tego chłopaka — grosze! On sam nie kosztuje nas więcej niż kilka tysięcy marek, razem z całym ekwipunkiem i szkoleniem. To w ogóle nie jest suma, jeżeli się zważy, ile szkody może Polakom narobić! Czy wiesz, ile kosztuje wyszkolenie jednego amerykańskiego pilota myśliwskiego i obsługi lądowej dla jego maszyny? 112 000 dolarów. A ile kosztuje jeden amerykański samolot myśliwski, na którym ten pilot będzie latać? Interesowałem się tymi sprawami, to są wprost astronomiczne cyfry! „Mustangi", na których „Amis" latali przeciw nam przed dziesięciu laty — kosztowały po 60 000 dolarów. Myśliwiec odrzutowy „Sabre", którego używali przeciw Koreańczykom, kosztuje już 45 000 dolarów. Musisz wiedzieć też, że takie odrzutowce mają bardzo krótkie życie. Jeżeli bowiem samolot komunikacyjny może wyciągnąć 20 do 30 tysięcy godzin lotu, to myśliwiec odrzutowy zdatny jest zaledwie do działań bojowych na froncie przez 80 do 100 godzin.

„No, Jansen się rozgadał, znowu wyłazi z niego zamiłowany lotnik" — myśli przysłuchujący się w milczeniu tym wywodom Kaiser. „Kiedy znowu będziemy mieli Luftwaffe, to chyba od nas odejdzie..." Na parkiecie przygasło tymczasem światło i po krótkiej przygrywce orkiestry ukryty gdzieś w górze reflektor oświetlił mały krąg parkietu, na którym stanęła rudowłosa śpiewaczka, ubrana w obcisłą, odsłaniającą ramiona suknię. Orkiestra przycichła teraz zupełnie, tylko fortepian, lśniący w półmroku bielą klawiszy, akompaniował niskiemu altowi jazzowej śpiewaczki.

Come on-a my house, a my house,
I'm gonna give'a you-a candy,
Come on-a my house, a my house,
I'm gonna give-a you-a an apple
and a plum
Come on-a my house, my house,
come on
Come on-a my house, my house,
come on...

Monotonnym głosem odśpiewała jeszcze siedem strofek piosenki. Obecni na sali amerykańscy oficerowie oklaskiwali ją hałaśliwie, kiedy po ostatniej strofce zniknęła za podium orkiestry a na parkiecie pojawiły się znowu tańczące pary.

— Co ona śpiewała? — zainteresował się Jansen.

— Śpiewała, że niby wzywa kogoś do siebie i obiecuje temu nieznajomemu w każdej strofce co innego: ptaszka w klatce, tygodniową gażę, obrączkę, pisankę i choinkę. Wreszcie obiecuje — że mu da wszystko, wszystko, wszystko... Ale *à propos* obiecywania wszystkiego. Mówiłeś, że ci nasi chłopcy są tani, że wytrzymują kalkulację...

— Oczywiście. W tym roku na samo tylko zbrojenie lotnicze Amerykanie wydadzą ponad dwa razy tyle, ile wynosi cały roczny budżet Francji, a więc kraju zamieszkałego przez 45 milionów ludzi. Nasza taśmowa produkcja jest śmiesznie tania. Pomyśl chociażby, że gdy taki „Ami" skręci kark na Korei

czy podczas ćwiczeń, jego rodzina będzie do końca życia doić Wuja Sama. Trzeba płacić emerytury, dodatki za niebezpieczeństwo, taki pilot kosztuje majątek. W dodatku nasi ludzie opłacają się już teraz — a taka „Sabre" może się w ogóle nigdy nie przydać, gdyż już za kilka lat będzie starym gratem. Mówiłeś coś o „ptaszku w klatce", prawda? No, nie życzę Wruckowi nic złego, ale gdyby do tego doszło i ptaszek wylądował w klatce, to przecież rodzinie nie płacimy ani grosza. Na jego miejsce wyśle się kogo innego...

— Stul pysk! Właśnie tu idzie z Nentwichem. Bardzo prosimy, bardzo prosimy! No jak było w „Złotej podkowie"? Nic nadzwyczajnego, prawda?

Wysoki, barczysty mężczyzna kiwa głową. Jego zblazowana mina ma wyrażać, że wiele już w swym życiu widział. Musimy więc go poznać bliżej. Ma 26 lat i pochodzi z Tczewa. Jego ojciec, Albert Wruck, był przed wojną urzędnikiem pocztowym z zawodu, a zwolennikiem hitleryzmu — z przekonania. Nikt też się nie zdziwił, że cała rodzina podpisała w roku 1939 tak zwaną II grupę niemieckiej listy narodowościowej. Konrad chodzi do hitlerowskiej szkoły, której 8 klas kończy w roku 1942 i w tym roku wstępuje do „Hitlerjugend". Pracuje na stacji kolejowej w Tczewie jako urzędnik. W roku 1944 zostaje powołany do hitlerowskiej organizacji „Arbeitsdienst" i w jej szeregach wyjeżdża do Gdańska na przeszkolenie, a następnie na Litwę. Tam zaznaje wszelkich rozkoszy spokojnej służby w formacjach okupacyjnych. Widzimy go, jak w mundurze „nadczłowieka" przechadza się dumnie ulicami litewskich osad, spychając na jezdnię kobiety i kopiąc dzieci, które niezbyt szybko zeszły mu z drogi. W październiku tegoż roku zostaje przydzielony do słynnej „Leibstandarte SS-Adolf Hitler", czyli tej elitarnej formacji SS, która jest teoretycznie gwardią przyboczną Führera, ale w czasie wojny walczy na froncie. Przeszkolenie rekruckie przechodził Konrad Wruck w koszarach, mieszczących się w podziemnych bunkrach w lesie koło Berlina. Tam też pobrano mu krew z ucha i pod lewą pachą wytatuowano znak, symbolizujący grupę krwi „B". Hitlerowcy chcieli bowiem podczas ewentualnego zranienia umożliwić SS-manowi jak najszybszą transfuzję! Tatuaż umieszczany jest albo pod pachą, albo też na dziąśle i informuje nie tylko o grupie krwi, ale i przynależności do SS, gdyż stosowano go wyłącznie w tych formacjach. Wruckowi usiłowano znacznie później, kiedy w Berlinie szykował się do szpiegowskiej roboty, wywabić kompromitujący tatuaż różnymi sposobami (m. in. kwasem mlekowym), ale bez rezultatów.

Przysięgę na wierność Hitlerowi i Wielkoniemieckiej Rzeszy złożył w początkach stycznia 1945 roku. Otrzymał dwutygodniowy urlop, który spędził w Tczewie. Ofensywa styczniowa przerwała wypoczynek świeżo upieczonemu esesmanowi. Został wcielony do miejscowej jednostki Wehrmachtu. Najpierw strzegł mostu na Wiśle, a później wojował pod Gdańskiem, gdzie w marcu 1945 roku dostał się do radzieckiej niewoli. Zna biegle język polski i podaje się za Polaka, wcielonego pod przymusem do hitlerowskiej armii. Oszustwo się udało i w listopadzie 1945 roku wrócił do Polski. Unikał pracy, która wymagałaby wypełniania ankiet, pisania życiorysów czy przechodzenia badań lekarskich. Najpierw pracował u okolicznych chłopów, a później dorywczo w Państwowych Gospodarstwach Rolnych w województwie gdańskim. W roku 1951 został za kradzież skazany na 10 miesięcy więzienia. Później pracuje w grupie remontowo-budowlanej w Starogardzie Gdańskim.

Konrad Wruck ożenił się z Weroniką Czubkowską. Jego rodzinie małżeństwo to nie przypadło do gustu. „Jakże to — mawiał stary Albert Wruck — ty, niegdyś gwardzista przyboczny Hitlera, żenisz się z Polką?" Aby „naprawić błąd" Konrad Wruck katował żonę, która wreszcie porzuciła go i uzyskała rozwód na drodze postępowania sądowego. W grudniu 1952 roku Wruck sprzedaje całe swe urządzenie domowe i wyjeżdża do Szczecina ze swym przyjacielem, również kryminalistą — Gelharem. W styczniu 1953 roku — obaj uciekają do zachodniego Berlina.

Tam Wruck zaczepia na ulicy pierwszego napotkanego policjanta adenauerowskiego i oświadcza mu, iż zbiegł z Polski. Dyżurny funkcjonariusz telefonuje z pobliskiego komisariatu do odpowiedniej placówki amerykańskiej. Jest sobotnie popołudnie i w placówce wywiadowczej nikt się zbiegiem nie zainteresował. Skierowują więc Wrucka do oddziału „Czerwonego Krzyża" przy dworcu kolejowym „Zoologischer Garten".

KAMYKI DO NASZEGO OGRÓDKA

Po dwudziestu minutach zjawiła się limuzyna, która zawiozła go prosto na Manteuffelstrasse Nr 31 do willi, mieszczącej... placówkę amerykańskiego wywiadu. Sześć dni przebywał tam Wruck, by następnie dostać się do innego ośrodka wywiadowczego przy Tintzenweg. Przez 20 dni był przesłuchiwany w języku polskim i niemieckim. Wypytywano go szczegółowo: Dlaczego uciekł z Polski? Którędy? Jakie jednostki wojskowe i gdzie widział ostatnio i jak ocenia ich liczebność? Jak się w jego stronach rozwija spółdzielczość produkcyjna? Czy nie chciałby wstąpić na służbę CIC? Nie, nie — Konrad Wruck nie wybiera się z powrotem do Polski...

Amerykanie przekazują go przeto do brytyjskiego ośrodka wywiadowczego przy Karoline Platz Nr 8. Może oni dojdą z nim do ładu? — Zachodnie agentury wywiadowcze rzucają się na zdrajców Polski jak sępy na padlinę. Wystarczy wspomnieć, iż inni agenci Gehlena — Koj i Pietruszka, byli 12 razy (!!!) werbowani do wywiadu...

Anglikom jednak Konrad Wruck nie przypadł jakoś do gustu. Otrzymawszy go od bogatych krewnych, nie proponowali mu wcale „roboty", ale zakwaterowali przy Kunc-Fischerstrasse i przez 3 dni kazali własnoręcznie spisywać odpowiedzi na interesujące ich pytania. M. in. ciekawiła ich działalność reakcyjnego podziemia w Polsce. Gratulujemy „Intelligence Service" tego „obiektywnego" informatora...

Następnie do wyciskania wiadomości o Polsce zabrał się wywiad francuski. Konrad Wruck nieco się ich obawiał, gdyż ktoś mu powiedział, że odpadki ze swej roboty francuskie „II Biuro" wysyła do Legii Cudzoziemskiej — na front do Vietnamu. Każda z tych trzech instytucji trzymała Wrucka na wikcie i opierunku tak długo, jak długo mogło się zdawać, że coś jeszcze wie. Ale nadszedł dzień, kiedy Wruck nie umiał już nic więcej powiedzieć i wylądował w obozie dla „uchodźców" przy Rotenburgstrasse. Mieszkańcy tych obozów prowadzą beznadziejne życie, gdyż na terenie zachodniego Berlina trudno jest bardzo o pracę, aby zaś dostać się do Niemiec zachodnich — trzeba zostać uznanym za „uchodźcę politycznego" (czytaj: zasłużonego dla Hitlera czy jego pogrobowców).

Wruck stara się o uzyskanie obywatelstwa zachodnio-niemieckiego na podstawie swej przynależności do SS. 4 kwietnia 1955 r. kierownictwo obozu kontaktuje go z pewnym panem, mającym duże możliwości. Znamy go już, nazywa się Nentwich. On to zabiera Wrucka do prywatnego mieszkania w

dzielnicy Friedenau, gdzie roztacza przed nim piękne perspektywy: „jedna jazda do Polski, drobna robótka, powrót i wtedy już spokojny wyjazd do zachodnich Niemiec, krainy płynącej mlekiem i miodem dla byłych esesmanów".

Dalszy ciąg jego pobytu w Niemczech nie odbiega na ogół od szablonu szpiegowskiej edukacji, jaką poznaliśmy na przykładzie Adolfa Machury. A więc najpierw wyjazd do Frankfurtu nad Menem. Nie płaci za bilet nawet 138 marek (według ulgowej, nocnej taryfy), korzysta ze służby kurierskiej lotnictwa Stanów Zjednoczonych. Otrzymuje „Travel Order", czyli „rozkaz wyjazdu", taki sam, jaki mają podróżujący Amerykanie. Startuje z wojskowego lotniska Berlin-Tempelhof, aby wylądować na innym amerykańskim lotnisku „Rhein-Main" pod Frankfurtem nad Menem. Później spotykamy go w różnych „gospodach" — jak się nazywają w żargonie organizacji Reinharda Gehlena ośrodki szkoleniowe dla agentów wywiadu. Gruntowne studia przeprowadza m.in. w Schondorfie nad Ammersee, gdzie niedługo później chadzać będzie na spacery z Diessen inny agent tej samej siatki — Adolf Machura. W Ulm nad Dunajem otrzymuje numer rozpoznawczy ODT-738-18. W Landsbergu wzrusza się szczerze, kiedy mu mówią, że siedzi tam jeszcze za kratami jego dowódca z „Leib Standarte Adolf Hitler" — osławiony Sepp Dietrich, ten prawzór „dobrego Europejczyka" spod znaku swastyki.

12 sierpnia 1953 roku leci znowu na trasie Frankfurt n/Menem—Berlin, ale tym razem w kierunku wschodnim. Produkt szpiegowskiego szkolenia już schodzi z taśmy. Ostatni szlif — i będzie gotów do „roboty". Na razie chodzi po lokalach berlińskich. Niekiedy sam, niekiedy ze swymi przełożonymi. Wiadomo, trzeba użyć życia... Przy okazji można też dorobić sobie trochę do szpiegowskiej pensji. Czysty przypadek naprowadza go na drogę tych możliwości.

Było to tak. Jeszcze w Bawarii wybrał się Konrad Wruck, aby trochę potańczyć. Przystojny, postawny — zdobywa bez trudu partnerki do zabaw na jeden wieczór. Raptem nachyla się nad nim kelner: „Ci panowie chcą z łaskawym panem zamienić kilka słów" — wskazuje na grupę amerykańskich żołnierzy w rogu sali.

Porozmawiać zawsze można... Łamaną niemczyzną tłumaczy mu jeden z żołnierzy, iż *Fraulein*, siedząca przy stoliku Wrucka, jest wcale niebrzydka... „Czy nie byłby pan łaskaw, przedstawiwszy nas uprzednio — zostawić ją w naszym towarzystwie? Pan sobie szybko kogoś znajdzie, pan przecież jest tutejszy, a tytułem — jakby to powiedzieć — zadośćuczynienia moralnego zechce pan przyjąć tę drobnostkę..." Pod stołem wędruje z ręki do ręki zmięty banknot. Obie strony rozstają się zadowolone z siebie. Kilka razy później powtarza Konrad Wruck tę transakcję. Ma już teraz wprawę, nie przyjmie byle feniga... W Bawarii nie dostał nigdy ponad 20 marek, a tu, w Berlinie, pijany sierżant piechoty musiał w „Picadilly Bar" przy Kurfuerstendamm 217 wyciągnąć z portfela 40 marek i wręczyć je „protektorowi" młodej blondynki, która mu się spodobała.

W „Splendidzie", gdzieśmy zostawili Wrucka z jego przełożonymi, nie ma oczywiście mowy o takich interesach. Tu towarzystwo jego jest wyłącznie męskie, tu pije się teraz za rychły, zwycięski powrót Wrucka, tu wydobywa się z lamusa SS-owskiej ideologii stare przechwałki o niższości ludzi, wśród których Konrad Wruck ma prowadzić szpiegowską robotę. Jak przyjemnie jest pomarzyć przy ładnej muzyczce i przy kieliszku! Nikt chyba z rozbawionych na sali gości nie wie, co ma

na myśli szpakowaty, wysoki mężczyzna, kiedy mówi do siedzącego z nim przy stoliku barczystego młodego człowieka: „Wiele kamyczków waży tyle, co jeden głaz. Te kamyczki wrzucamy do ich ogródka..."

14 sierpnia Konrad Wruck dowiaduje się, że ma zmontować siatkę szpiegowską w północno-zachodniej części Polski dla zbierania informacji wywiadowczych o wojsku polskim, jego liczebności, uzbrojeniu i rozmieszczeniu oraz o pracy portów w Gdańsku i Gdyni. Kaiser daje mu na drogę 41 zegarków ręcznych, chemikalia do sporządzania tajnopisów i 4.000 złotych. W Polsce występować ma pod nazwiskiem Henryka Suchanowicza, zaś na terenie NRD swobodę ruchu mają mu umożliwić dokumenty na nazwisko Otto Wieganda. Oczywiście zwraca Kaiserowi — również fałszywy — paszport na nazwisko Konrad Horn, którym posługiwał się na terenie adenauerowskiego państwa. Teraz jeszcze tylko pistolet kalibru 7,65 marki „Astra" nr 13394 wraz z amunicją i agent ODT 738-18 wyrusza do Polski. Jeszcze jeden kamyk wpada do naszego ogródka...

ABY DOM BYŁ SPOKOJNY

W jaki sposób wysłannik generała Gehlena dostał się w orbitę zainteresowań i następnie działania polskich władz bezpieczeństwa?

Od momentu jego ucieczki polskie organa bezpieczeństwa miały wszelkie podstawy, aby sądzić, że Konrad Wruck zjawi się w Polsce znowu... SS-mańska przeszłość, idealne zdrowie i niezaprzeczalna przebiegłość, kazały przypuszczać, że wierny swym ideałom były gwardzista Hitlera zabawi w Niemczech nie dłużej, niż to jest potrzebne dla zdobycia szpiegowskiego wykształcenia. Dalszą przesłanką był list, jaki Wruck napisał do rodziny, w którym — jak opowiadał jego ojciec znajomym — donosił, że „na pewno się rychło zobaczymy". Nie miał przecież na myśli ucieczki swych rodziców do Berlina.

Wiadomo że wywiad generała Gehlena kategorycznie zabrania swym agentom werbowania ludzi na własną rękę. Przed przerzutem do Polski agent przedstawia swym szefom listę znajomych w Polsce — oczywiście z charakterystykami — i lista ta jest rozważana przez gehlenowskich fachowców. Agent dostaje wyraźne polecenie, kogo z tej listy ma zwerbować. Polskie władze bezpieczeństwa sporządziły przeto na swój użytek listę znajomych Wrucka i dyskretnie śledziły, czy nie pojawi się kiedyś u ludzi, których właśnie z racji ich postawy wskazać mu mogą do zwerbowania jego berlińscy mocodawcy.

Zgodnie z przewidywaniem — Wruck zjawił się u jednej z osób, której kryminalna przeszłość zapewniała poczesne miejsce na wspomnianej liście „łowców dusz" generała Gehlena i polskich władz bezpieczeństwa. Niezależnie od tego władze bezpieczeństwa otrzymały kilka sygnałów od różnych ludzi, którzy zwrócili uwagę na pojawienie się zbiega. Ich informacje były nie tylko cennym świadectwem czujności i troski obywatelskiej — były małymi, lecz ważnymi cegiełkami niewidzialnej zapory, wzniesionej między wrogim agentem a naszą ojczyzną. Chodziło o ustalenie wpierw, na jakich ludzi liczy w Polsce generał Reinhard Gehlen, chodziło o to, by sam Konrad Wruck na nich naprowadził.

Konrad Wruck był już w matni i losy jego były przesądzone. Był jak człowiek zarażony. Każdy, kto nawiązał z nim jakieś stosunki — ściągał na siebie podejrzenie. Podejrzenia te doprowadziły w konsekwencji do wyeliminowania ze społeczeństwa tych wszystkich ludzi, którzy świadomie pomogli

wysłannikowi generała Gehlena w jego robocie na terenie Polski.

Podobnie jak Adolf Machura, Konrad Wruck miał tajnym atramentem wysyłać raporty do zachodniego Berlina, podpisując je „Felix". Doszedł jednak do przekonania, że jego zleceniodawcy mogą zostawić go na lodzie, skoro tylko będą mieli w ręku zebrane przezeń informacje. Obawiał się, że Kaiser wyprze się w ogóle, jakoby wiadomości te do niego dotarły, i nie zapłaci mu ani feniga. Co innego, kiedy sam zjawi się z cennymi materiałami szpiegowskimi i będzie mógł dyktować na nie wysoką cenę. Dlatego w czterech listach wysłanych do zachodniego Berlina przezorny (w swym mniemaniu) agent zawiadamiał swych przełożonych, jak udało mu się przejść przez granicę i zapowiadał swój powrót do Berlina na 8 października. Raporty wywiadowcze zatrzymał jednak przy sobie.

Najcenniejsze dla wywiadu dane zdobył Wruck od ludzi, których polecono mu zwerbować do szpiegowskiej roboty. W nocy z 15 na 16 sierpnia 1953 roku przerzucony został przez granicę w rejonie Dębna do Polski. Konrad Wruck w Polsce, werbuje ludzi i zdobywa informacje.

GRUNT TO RODZINKA

Wprowadzając w czyn jedno z działań „Aktion Pfiffikus", czyli „Akcji Cwaniak", Konrad Wruck nie zawahał się przed wciągnięciem do niej swej rodziny.

Siostrę — Stefanię Ważną z Sopotu, pracującą w „Ruchu", nauczył posługiwania się utajonym atramentem. Przez nią nadał na poczcie pierwszy szpiegowski list do Berlina i skontaktował się z Jadwigą Gelhar, żoną wspólnika jego ucieczki za granicę, która z kolei przekazała mu adres swego krewnego, Wiktora Krogula, w Olsztynie. Ojcu, Albertowi Wruckowi, dał na przechowanie chemikalia do sporządzania utajonego atramentu i część przywiezionych z Berlina zegarków. Cztery z tych zegarków stary Wruck wysłał — podając zmyślone nazwisko nadawcy — w ślad za synem do Szczecina, wkładając je do paczki z jabłkami. Wciągnął do szajki szpiegowskiej brata Stefana, który służąc wtedy w wojsku dostarczył mu wyczerpujących informacji z garnizonów w Grudziądzu i Bydgoszczy. Zjawił się w Sępolnie u swego wuja, Mariana Niemczyka, technika norm pracy w Państwowych Zakładach Drzewnych, od którego wydobył szkic fabryki i dane o produkcji oraz obsadzie personalnej, nie licząc innych informacji. Wuj Niemczyk dostał za to od Wrucka dwa zegarki i 1.300 zł, a od sądu — dożywotnie więzienie.

Wspomniana już Gelharowa przekazała Wruckowi adres swego wujka, Wiktora Krogula. Wysłuchawszy krótkiego życiorysu Krogula w relacji Gelharowej, Wruck postanowił uczynić wyjątek od reguły, jakkolwiek ta kandydatura nie była uzgodniona z berlińskimi fachowcami. Wruck ma już wtedy za sobą podróże do Grudziądza, Tczewa, Sępolna. 23 sierpnia nadchodzi krótki meldunek: „Wruck kupił bilet kolejowy do Olsztyna".

Natychmiast zostaje zawiadomiona placówka w tym mieście. Centrala informuje, że Wruck jedzie w tamtym kierunku, podaje jego dokłady rysopis oraz zwraca uwagę na zdjęcie Wrucka, dokonane jeszcze w czasach, gdy siedział w więzieniu za kradzież, a które teraz rozesłane zostało w licznych odbitkach po większych ośrodkach kraju.

Kiedy pociąg osobowy, wiozący na wschód adenauerowskiego agenta jedzie przez równiny Polski północno-wschodniej — w tym samym kierunku szosą

pędzi „Citroen". Poza kierowcą znajduje się w nim jeden pasażer. Nie wiemy, kim jest podróżny, ale mamy powody przypuszczać, że mu się śpieszy.

Drobny, ale nieprzewidziany wypadek. W samochodzie pęka dętka. Wóz stoi unieruchomiony na szosie. Z oddali słychać już nadjeżdżający pociąg, cenna jest każda sekunda. Szofer „Citroena" prowadził przed dziesięciu laty ciężarówki pod bombami na froncie pod Lenino i defekt taki jest dla niego głupstwem; niemniej jednak — we dwóch będzie szybciej. Pasażer samochodu zrzuca marynarkę i pomaga kierowcy zakręcać mutry na wymienianym kole. Obaj w pośpiechu wsiadają do wozu. W świetle reflektorów przesuwają się coraz szybciej bielone kamienie po obu stronach szosy. Jadą teraz wzdłuż nasypu kolejowego, wyprzedzając bez trudu osobowy pociąg.

Nagle reflektory samochodu wymacują szlaban, przegradzający im drogę; wóz z trudem przyhamowuje o kilkadziesiąt centymetrów przed czerwonobiałym słupem. Patrzą bezsilnie, jak pociąg przebiega tuż przed nimi. Wreszcie migają czerwone światełka, przyczepione do ostatniego wagonu. W nieskończoność dłużą się sekundy, zanim kolejarz wprawi w ruch mechanizm, podnoszący szlaban.

Samochód rusza i zajeżdża przed budynek dworca niemal równocześnie z pociągiem. Pasażer samochodu zdążył kupić bilet do Olsztyna i wskakuje do ruszających już wagonów. Przechodząc przez korytarze uważnie lustruje mijane przedziały. W jednym z nich zajmuje miejsce na wprost Konrada Wrucka, zajętego właśnie rozmową ze współtowarzyszami. Wruck obrzuca bacznym spojrzeniem nowoprzybyłego, który spokojnie sięga po papierosa, zaciąga się dymem, po czym zabiera się do czytania Przekroju. Po chwili Wruck pochyla się do niego i poufałym szeptem mówi:

— Ale pan nieostrożny!

— Ja? Nie bardzo rozumiem..

— Tak się powalać... O, tu i tu!

Nowoprzybyły spogląda na wskazane miejsce i widzi, że ma spodnie powalane smarem. Musiał nieopatrznie oprzeć się o lewar podczas niedawnej roboty na szosie. Przez dalsze dziesięć minut obaj dyskutują z ożywieniem nad najlepszym sposobem wywabiania plam. Przy tej okazji Wruck pyta z niewinną miną o pochodzenie plam. Zagadnięty wyjaśnia, że jest inżynierem: „Już od rana ubrał się człowiek do tej podróży, ale zapomniałem zupełnie o czasie przy montowaniu nowych maszyn, tak że dopiero w ostatniej chwili pobiegłem na dworzec. Widocznie powalałem się smarem, którym zabezpiecza się części maszyn podczas transportu..."

Szkolenie w Bawarii nauczyło Wrucka korzystania z ludzkiej gadatliwości. Jego rozumowanie jest proste: „Facet p o b i e g ł na stację, czyli fabryka znajduje się gdzieś niedaleko. Dalej — wspomniał o montażu nowych maszyn, czyli jest w rozbudowie".

W Olsztynie szpieg bez pośpiechu rozgląda się ciekawie wokoło, pod pachą ma wyładowaną teczkę. Pracownicy olsztyńskiej placówki bezpieczeństwa widzą, że Wruck wchodzi do wielkiego budynku z czerwonej cegły przy ulicy Niepodległości 44; to szpital im. Mikołaja Kopernika. Kogo wysłannik propagatorów masowej zagłady szuka wśród ludzi, których posłannictwem jest walka o życie?

OGIEŃ I ĆMY

Bez większych trudności zostaje ustalone, kto służy gościną panu Wruckowi. Człowiek ten, Wiktor Krogul, jest z zawodu drogerzystą. Pracuje na stanowisku zastępcy intendenta szpitala w

Olsztynie. Samotność rozwodnika osładza kierowniczka szpitalnego magazynu odzieżowego Leokadia Berend, której mąż dosłużył się rangi oficerskiej w hitlerowskim Wehrmachcie. Jej rodzona siostra w zachodnich Niemczech żyje — o zazdrości! — z „prawdziwym" Amerykaninem.

Oboje chętnie przyjmują Henryka Suchanowicza — jak pamiętacie, nazwiska tego używał Wruck na terenie Polski. Ich gość jest przecież kolegą Gelhara — starego kamrata pana domu. Nie ma dnia, aby w mieszkaniu przy ulicy Niepodległości 44 nie lała się strumieniami wódka. Nie sądźcie jednak, że tłem tych libacji jest wytworny apartament, w jakich zwykli lokować swych bohaterów autorzy „szpiegowskich" powieści. Reporter wędrujący po szpiegowskim tropie odnajduje zupełnie inne realia. Melina szpiegowska mieści się w małym piętrowym domku, przytulonym do innych zabudowań gospodarczych olsztyńskiego szpitala. Opustoszałe mieszkanie zajmuje teraz jeden z lekarzy. „O, to tu — to okienko na pierwszym piętrze..." Z okienka, wychodzącego na zachodnią stronę widać pokryte zielenią pobliskie wzgórza i spokojny ruch na szpitalnym podwórzu. Inni lokatorzy tej oficyny nie przypuszczali nawet, że młody, przystojny gość „państwa" Krogulów zjawił się tutaj, aby „przejrzeć nasz kraj". Ludzie ci — pielęgniarka, salowa i magazynier, ciężko pracujący na życie, nie wiedzieli, że obok Wiktor Krogul rozważa nowe perspektywy życiowe. Czym jest szare bytowanie szpitalnego urzędnika wobec kariery adenauerowskiego szpiega? Werbunek nie nastąpił — rzecz jasna — zaraz po zjawieniu się Wrucka. Obie strony musiały wpierw znaleźć wspólny język.

Heniek — jak go zaczęła zwać Berendowa — wkrótce po przybyciu potrzebuję czystej koszuli i wysyła po nią na miasto synka Leokadii. Kiedy się przebiera, kobieta zauważyła plasterek przylepiony pod pachą. Pyta o pochodzenie ranki. Heniek rośnie w jej oczach, kiedy się dowiaduje, że był przybocznym gwardzistą samego Fuehrera, a to jest ślad, który pozostał po próbie usunięcia „pamiątkowego" tatuażu.

Odtąd Wruck przestaje się krępować wobec swych przyjaciół. Razem wyruszają na wycieczkę w okolice Olsztyna, gdzie właśnie odbywają się jesienne manewry. W lesie natrafiają na obóz wojskowy. Wartownik wzywa ich do odejścia. Odchodzą, ale nazajutrz Wruck wraca tam sam, aby... zbierać grzyby. Po powrocie do Olsztyna zasiada w kuchni i kiedy dorodna Leokadia pitrasi kolację — Heniek przyrządza tajnopisem swoje raporty, przyprawiając je do smaku pikantnymi, acz niezbyt prawdziwymi szczegółami.

Leokadia Berend za kilka informacji o charakterze wywiadowczym oraz — jak to za chwilę zobaczymy — najdalej posuniętą uprzejmość dostała trzy zegarki i 300 zł gotówką. Jej przyjaciel — 2.000 zł, jeden zegarek i różne drobiazgi z garderoby. Krogul służył Heńkowi za przewodnika po Olsztynie. Za najbardziej godne widzenia ciekawostki Krogul uznał różne obiekty wojskowe. Heniek powiedział mu zresztą dokładnie o celu swego pobytu w Polsce. Między innymi miał zdobyć dokumenty osobiste, potrzebne berlińskim fachowcom do preparowania fałszywych dowodów.

Intendent szpitala wziął sobie do serca to zapotrzebowanie i przyniósł swemu gościowi dowody zapomniane w szpitalu przez pacjentów: Stanisława Żabkę i Ryszarda Wójcika. Tą przyjacielską przysługą zjednał go sobie do

reszty. Nie mają przed sobą tajemnic. Wruck chwali się swą przynależnością do SS, czym bardzo zaimponował Krogulowi, który należał „tylko" do SA, czyli formacji hitlerowskiej, gdzie znacznie łatwiej było się dostać niż do elitarnej SS.

31 sierpnia były urodziny Leokadii Berend. Heniek miał zawsze szeroki gest, ale tym razem przeszedł samego siebie. Kiedy zaproszony na libację sąsiad zabrał się wreszcie do domu, atmosfera nabrała prawdziwej intymności. W oparach wódki SA-mann Krogul widział siebie w roli rezydenta wywiadu, dysponującego krociowymi sumami. Leokadii Berend marzyły się światła zachodniego Berlina, dokąd Heniek obiecał ją zabrać. SS-mann Wruck miał mniej odległe pragnienie. W pewnej chwili zaproponował Krogulowi, aby mu użyczył swej przyjaciółki; on, który dotąd odstępował Amerykanom za pieniądze swoje partnerki — teraz sam może „być Amerykaninem"! Stać go, psiakrew, na to! Do transakcji dochodzi dość szybko, ale Leokadia certuje się; nie wiadomo, czy krępuje ją — mimo wszystko — obecność jej przyjaciela, czy może ma za złe Heńkowi, że „zdobywa" ją tak niecodzienną drogą. Ale honor SA-manna nie może być narażony na szwank! Słowo się rzekło. Wspólnymi siłami obu wychowanków hitlerowskiej szkoły Leokadia Berend zostaje „przywołana do porządku".

CIEMNY TYP NA JASNYCH BŁONIACH

Wkrótce po tych urodzinach w stylu „Nowej Europy" Wruck opuszcza gościnne progi Wiktora i Leokadii w głębokim przeświadczeniu, że zarówno on sam, jak każdy skierowany przezeń szpieg może tu zawsze liczyć na pewną melinę, pomoc w zbieraniu materiałów oraz inne świadczenia natury bardziej osobistej.

Opuszcza Olsztyn i jedzie na zachód, do Szczecina. Data jego wyjazdu nie jest bynajmniej przypadkowa. Z gazet dowiedział się, że w stolicy zachodniego Pomorza mają się odbyć ogólnopolskie dożynki. Prasa zapowiada setki pociągów specjalnych z całego kraju; olbrzymi zjazd chłopów. Szpieg rozumuje, że w tym tłumie będzie łatwiej zniknąć. Przy tym można pociągnąć kmiotków za język i czegoś się od nich dowiedzieć.

Władze bezpieczeństwa, które mają go cały czas na oku, zacieśniają teraz jeszcze bardziej obręcz. Przecież szpieg przyjeżdża do wielkiego portowego miasta, które tętni pokojową pracą! Czy można mieć pewność, że nie będzie próbował sabotażu, że nie będzie chciał unieruchomić którejś z miejscowych fabryk, zatrudniających tysiące ludzi a odbudowanych i uruchomionych wielkim wysiłkiem młodego państwa? Nie jest to już ziemia spalona wojną. W dniu, kiedy zjawia się Wruck na terenie Szczecina, jest już w województwie 657 spółdzielni produkcyjnych, których członkowie gospodarują na przeszło połowie całego gruntu, należącego do chłopów. W mieście, do którego przybył szpieg, setki młodzieży z całej Polski studiowały w Pomorskiej Akademii Medycznej, Szkole Inżynierskiej i Wyższej Szkole Ekonomicznej. To spokojne życie przywróconej Polsce ziemi trzeba było ustrzec za wszelką cenę przed buszującym wrogim agentem, który niedzielnego poranka, 6 września, wmieszał się w tłum chłopów, wysypujący się szeroką ławą ze szczecińskiego dworca kolejowego. W tej ciżbie nikt nie zwrócił uwagi na wysokiego mężczyznę, wędrującego z teczką w ręku ku Jasnym Bło-

niom, gdzie ma się odbyć wielka manifestacja dożynkowa.

Ogromne pole mieni się różnorodnymi barwami. Łowickie pasiaki, czarne kapelusze Ślązaków, niebieskie stroje Opolan, biel i czerwień chłopów z południowej Polski — rozlewają się na Jasnych Błoniach niby gama farb na palecie malarza. Człowiek z teczką zdjął właśnie płaszcz i przewiesił go sobie przez ramię. Czuje się bezpieczny w tym niezmierzonym tłumie.

Zatrzymuje się przed wystawą gospody ludowej. Kiedy przylepiony do szyby czyta uważnie jadłospis, dobiegają go z lokalu dźwięki niemieckiej mowy — to audycja radiowa po niemiecku. Tego trzeba posłuchać. Wchodzi i siada przy stoliku, nad którym przymocowany jest głośnik. Tak, teraz słyszy zupełnie wyraźnie: „...przed kilku dniami minęła rocznica przeklętego dnia, w którym nasz naród oszukany przez najgorszych wrogów ludzkości — przez faszystów, napadł na wasz kraj, spowodował ogromne cierpienia i wyrządził ogromne szkody waszemu narodowi. Rozumiemy wielką winę, jaką ponosi nasz naród. Dzisiaj stosunki między naszymi krajami gruntownie się zmieniły dzięki wyzwoleniu mas z faszystowskiej niewoli przez niezwyciężoną Armię Radziecką. Miliony prostych ludzi Niemiec są dziś waszymi przyjaciółmi i braćmi. Te miliony prostych ludzi Niemiec i Niemiecka Republika Demokratyczna przeciwstawiają się każdej wrogiej sile, która próbowałaby kiedykolwiek naruszyć granicę pokoju na Odrze i Nysie..."

Człowiek przy stoliku opiera głowę na obu dłoniach. Czy to zmęczenie, czy też może chce zatkać uszy przed słowami, które mu są niemiłe, które dają mu poznać samotność i bezsiłę?

„...podczas kiedy Niemiecka Republika Demokratyczna, ostoja sił pokoju całych Niemiec, pracuje z całą siłą dla pokojowego rozwoju — amerykański imperializm usiłuje przekształcić Niemcy zachodnie w bazę wyjściową dla nowego najazdu przeciw pokój miłującym narodom. Amerykański imperializm, który wstąpił w ślady Hitlera i dąży do panowania nad światem, odradza w Niemczech te siły, które w ostatnich 50 latach dwukrotnie pchnęły nasz naród do krwawej wojny światowej. Siły te — tego śmiertelnego wroga pokój miłującej ludzkości, zwyciężył jednak paląca nienawiść wszystkich uczciwych ludzi a szczególnie Niemców i Polaków..."

Nie, nie ucieknie pan przed tą prawdą, panie Wruck. Może pan jeszcze szczelniej zatkać sobie uszy, ale prawda ta dojdzie do pana i panu podobnych — jeżeli nawet udawać będą głuchych i ślepych.

Konrad Wruck przywołuje kelnerkę i zamawia obiad. Równocześnie potakującym gestem odpowiada jakiemuś panu, który prosi go o pozwolenie zajęcia miejsca przy jego stoliku. Wruck słucha uważnie końca przemówienia po niemiecku i polskiej zapowiedzi spikera: „Tu Szczecin! Obecnie nadamy polski przekład powitania, wygłoszonego wczoraj na Krajowym Zjeździe Pracujących Chłopów przez Zygfryda Wenzla, przewodniczącego delegacji chłopów NRD."

Po obiedzie Wruck nie wraca już na uroczystości dożynkowe, nie ogląda pokazów zespołów artystycznych. Jest zmęczony i zdenerwowany. Chce zaszyć się w bezpieczne miejsce i odpocząć trochę, zanim będzie mógł ruszyć tam, gdzie czekają nań marki i zaszczyty. Nie musi szukać — kieruje swe kroki do mieszkania, gdzie znalazł schronienie przed rokiem, kiedy zatrzymywał się w Szczecinie bezpośrednio przed swą ucieczką do Berlina.

MIESZKANIE 31

Dom przy ul. Małkowskiego 22 znajduje się w śródmieściu po prawej stronie Alei Wojska Polskiego, jadąc z Pogodna do dworca — o jakieś dwie minuty drogi do hotelu „Gryf". Jest to czteropiętrowa kamienica czynszowa, bardzo typowa dla szczecińskiego budownictwa z czasów kapitalizmu niemieckiego. Wchodzi się tu przez szeroką bramę, głęboką na jakieś osiem metrów.

Trzeba wyjść z bramy na podwórko, niewielkie, przypominające bardzo te, które wciśnięte były między nędzne mury przedwojennej warszawskiej ulicy Miłej czy Nowolipek. Jest kwadratowe, zupełnie pozbawione zieleni. Betonowy placyk zasypany popiołem, węglem, piaskiem i resztkami gruzów z sąsiedniego wypalonego domu.

Owego wrześniowego popołudnia, kiedy zjawił się tu Konrad Wruck, siedziała zapewne na małej ławeczce — tak jak zwykle — żona dozorcy, Hałaburdowa, otyła blondynka, matka sześciorga dzieciaków, wrzeszczących na ulicy.

Przed nami pięciopiętrowa oficyna koloru ciemnożółtego. Jej prostokątne okienka zasłaniają tu i ówdzie kolorowe firanki z kretonu. Do oficyny tej prowadzi wąskie wejście. Jednoskrzydłowe drzwi, wyrwane może kiedyś przez podmuch bomby, wiszą tylko na jednym zawiasie.

Pniemy się na trzecie piętro. Po lewej stronie drzwi numer 30 — bez tabliczki, i następne drzwi — numer 31. Odnajdujemy aluminiową tabliczkę w kształcie wizytówki, na której wygrawerowano napis: „Knieć Eugenia". Nieco z boku, ale na tej samej wysokości co tabliczka, tkwi kawał miedzianej blachy w kształcie koła wielkości spodka. W blasze jest otwór na klucz. Blacha ta ma swoją historię...

Nie żałujcie czasu straconego na dokładne poznanie tego domu! Przyda nam się to bardzo; władze bezpieczeństwa studiowały topografię tego domu i jego okolicy bardzo dokładnie, zanim zdecydowały się na odegranie przedostatniego aktu dramatu z Konradem Wruckiem w roli głównej.

Dzwonimy. Otwiera nam szczupła, młoda kobieta. Twarz bez szczególnego wyrazu.

Kobieta ta może podziękować losowi. Wisiało nad nią duże niebezpieczeństwo, była przecież o krok od przestępstwa. Jej rysopis znany był funkcjonariuszom bezpieczeństwa w Szczecinie. To ona razem z właścicielką mieszkania, Eugenią Knieć, chodziła z agentem po szczecińskich dancingach. Knieć zdawała sobie sprawę z tego, że Wruck jest przestępcą; przebywa teraz za kratami. Jej współlokatorka ma szczęście, że nie zaplątała się w tę całą sprawę. Nie ma żadnych dowodów na to, iż wiedziała o Wrucku cokolwiek więcej ponad to, co mówi reporterowi teraz, w kilka miesięcy po epilogu szpiegowskiej afery: „Knieciowa była koleżanką jakiejś Lizy czy Luizy, która znowu była dobrą znajomą czy nawet narzeczoną Krogula. Heniek Suchanowicz (czyli Wruck) miał dużo pieniędzy i zegarki. Genię Knieć poznałam w Zakładach Odzieżowych. Ona była maszyniarką, a ja przyszłam do pomocy. Później ona dostała awans na magazynierkę, a ja znowu byłam maszyniarką. Ona była chwalona w fabryce, że dobrze pracuje... Otóż ten Heniek stawiał wódkę i wtedy nie chodziłyśmy do pracy. Jednego dnia Genia pokłóciła się z nim i nie chciała go wpuścić do mieszkania. To było wieczorem. Wtedy wywalił zamek, który zresztą sam na drugi dzień zreperował, bo jak nam powiedział, „jest z zawodu ślusarz". Widzi pan tę miedzianą blachę

w drzwiach? To właśnie pamiątka po nim. Był to grzeczny człowiek i lubił śpiewać. Co śpiewał? Czy ja to mogę pamiętać?..."

KOBIETA, WINO I SZPIEG

Wchodzimy dalej do mieszkania. Z klatki schodowej — do kuchni. Z niej na wprost drzwi wejściowych drzwi wiodą do kwadratowego pokoju o dwu oknach zasłoniętych firankami z muślinu. Stoi tu kilka kwiatków okręconych różową bibułką. „To Geni kwiaty, ona bardzo lubiła kwiaty, proszę pana..." Na środku mały, nakryty lnianym obrusem stół, na którym stoi szklana popielniczka. Pod ścianą, przy oknie kozetka o wyłażących sprężynach. Komoda—to jakiś grat bez wyrazu; stare, podniszczone krzesła, przypadkiem tu chyba zabłąkana mała, fornierowana szafeczka. Nad nocnym stolikiem — mały obrazek Matki Boskiej Bolesnej.

Tu krył się Konrad Wruck, przechowywany przez Eugenię Knieć. Według relacji sąsiadów była to wysoka szatynka o przystrzyżonych włosach, szczupła i elegancka, wytworna elegancją wielkomiejskich przedmieść. „To ci wypadek — musiała dziewczyna na takiego łobuza trafić" — mówią teraz w kamienicy przy Małkowskiego 22.

Nie należy w każdym razie wyobrażać sobie, że jest to jakaś agentka w wielkim stylu, jakaś szczecińska „Mata Hari". Po prostu lekkomyślnie zawierzyła mężczyźnie, o którym wiedziała wiele złego, a któremu udzieliła schronienia w swym mieszkaniu. Sutenerskie zapędy i zamiłowanie do wódki pędziły Wrucka niemal co wieczór do nocnych knajp portowego miasta. Kelnerzy kłaniali się grzecznie wysokiemu panu, który czytał w karcie potraw tylko lewą stronę — nie spoglądając nawet na ceny.

W Szczecinie Wruck nie podejmuje właściwie prób prowadzenia swej roboty. Nie próbuje nawiązania rozmów z nieznanymi mężczyznami. Zaczepia natomiast obce kobiety; Eugenia Knieć zgłębia szybko istotę tych znajomości, skoro przez zazdrość odmawia pewnej nocy wpuszczenia go do mieszkania.

W Szczecinie Wruck nie wałęsa się pod koszarami, nie stara się o zdobycie blankietów dowodów osobistych. Za to już na drugi dzień po przyjeździe widzimy go w lokalu „Bajka" przy alei 3 Maja. Przybywa tam z dwiema kobietami z mieszkania numer 31. Zajmuje stolik w drugiej sali, gdzie szklany parkiet oświetlony jest od dołu kolorowymi lampkami. Agent Wruck rozgląda się ciekawie po sali, w której owego wieczoru bawią się skandynawscy oficerowie statków handlowych i kilku pracowników miejscowej stoczni. Tańczy niewiele, widać, że tu mu się nie podoba. Wychodzi o 1.27 nad ranem i wędruje prosto do swej meliny, chwiejąc się na niezbyt pewnych nogach. Przez cały dzień następny nie rusza się z mieszkania, lecz o zmroku znowu idzie na miasto. Tym razem zjawia się w „Kotwicy", o dwa domy od „Bajki". Zasiada w długiej jak tramwaj salce bez okien, gdzie w dzień i w nocy pali się światło. Tu zaprasza do tańca jakąś skromnie ubraną dziewczynę, ale spotyka się z odmową towarzyszącego jej mężczyzny. Pociesza się rychło z inną. Tańczy z nią kilkakrotnie, po czym staje się natarczywy i usiłuje przysiąść się do jej stolika. Dziewczyna odmawia, nie chcąc narażać się na awanturę z patrzącą na te zaloty Eugenią Knieć. Nie psuje to nastroju pijakowi, który zaprasza do picia kelnera. „Panie starszy, jednego głębszego za marynarską brać!" — woła nalewając zarazem so-

bie pół szklanki wódki. Jeszcze przed północą przestaje w ogóle interesować się otoczeniem — raz po raz głowa pochyla mu się nad stolikiem. Otoczenie za to interesuje się nim bez ustanku. Codziennie wpisywane są skrupulatnie wyciągi ze szczegółowych meldunków na „konto" szpiega. Buchalteria ta prowadzona jest pieczołowicie przez dokładne wpisy w rubryce „ma" — zaś w rubryce „winien" wpisze dopiero kiedyś swoje zdanie sąd, który rozpatrzy kolejną sprawę z cyklu „generał Gehlen przeciw Polsce Ludowej".

W ślad za Wruckiem zjawiają się wszędzie ludzie czuwający nad odcięciem szpiega od obywateli portowego miasta. Czuwają oni nad tym, aby agent Gehlena nie wyciągnął przy wódce informacji od marynarzy, aby nie sięgnął niepostrzeżenie po portfel z dokumentami osobistymi, wyzierający beztrosko — jak to było za drugiej bytności Wrucka w „Kotwicy" — z zewnętrznej kieszeni siedzącego przy sąsiednim stoliku podchmielonego bosmana.

W trzy dni później Wruck idzie do „Magnolii". Mijając I komisariat MO szpieg — z zabawnym respektem przechodzi na drugą stronę jezdni. W „Magnolii" zostawia obie kobiety i przysiada się do stolika jakiejś nieznajomej. Nadchodzi jej kompan i w powietrzu wisi bójka. Wruck opanowuje się jednak, przeprasza zaczepionych i wkrótce opuszcza lokal.

Na jego pijackim szlaku znajduje się także i „Kameralna", zaledwie dwie ulice od jego meliny. Tam przebywa często młodzież z pobliskiego miasteczka akademickiego oraz Technikum Żeglugi i Portów. W oparach wódki rozpływa się przed Wruckiem niebezpieczeństwo, na jakie naraża go każdy dzień pobytu. Szybko mijają pijane noce i senne dni, aż na kalendarzu ściennym ukazuje się czerwona, niedzielna kartka z datą 27 września 1953 roku.

WYSŁANNIK „KANCLERZA AGRESJI"

Chyba nie zapamiętaliście sobie tej daty. Dla większości z nas nie oznaczała ona niczego szczególnego. Polska kończyła jeszcze jeden pracowity tydzień piątego roku sześciolatki.

Ponad 100.000 ludzi przybyło tej niedzieli do Rogoźnicy na Dolnym Śląsku, gdzie na terenie dawnego obozu koncentracyjnego Gross-Rosen odsłonięto Pomnik-Mauzoleum na miejscu zagłady 180.000 patriotów z różnych krajów. Dawny więzień tego obozu a teraz przewodniczący Stołecznej Rady Narodowej, Jerzy Albrecht, powiedział zebranym, że wspomnienia milionów ludzi w Polsce i na całym świecie o zbrodniach hitlerowskich wzbudzają świętą nienawiść i wieczne potępienie dla zbrodniczych sił faszyzmu, agresji i wojny. Przypomniał też, że wielką siłą obozu pokoju jest NRD — pierwsze w dziejach państwo niemieckie rządzone przez lud pracujący. Hans Sergwasser, sekretarz Zarządu Głównego Niemieckiego Frontu Narodowego, stwierdził, że „Adenauer pragnie przywrócić do życia gnijącego w ruinach Kancelarii Rzeszy trupa germańskiej polityki zdobywania »przestrzeni życiowej«". „Doprawdy — ciągnął dalej Sergwasser — niczego nie nauczyła go historia. Ten kanclerz agresji apeluje do najniższych instynktów szowinistycznych..."

Władze bezpieczeństwa przewidziały, że Wruck tego ranka wypełznie ze swej nory na światło dzienne. Miasto spodziewało się bowiem wydarzenia, które zainteresować musiało najbardziej rozpitego szpiega. Tego ranka mieli powró-

cić do Szczecina z ćwiczeń żołnierze miejscowego garnizonu.

Około godziny 11.20 szpieg stoi w tłumie na ulicy Gdańskiej i patrzy na sztandar, na którym wyhaftowano groźne dłań słowa: „Za wolność, Polskę i lud". Rośnie teraz tłum ludzi towarzyszących nadciągającym oddziałom. Wruck wzdryga się odruchowo, gdy od strony portu dobiegają go przeciągłe dźwięki syren okrętowych. To statki w gali flagowej w ten sposób witają powracających żołnierzy. Wruck stoi w milczeniu i rozgląda się wokoło. Wszędzie roześmiane twarze i dłonie złożone do powitania.

Idzie dalej z tłumem i asystuje przy wręczaniu upominków przodownikom wyszkolenia. Słucha uważnie, jak wywołują ich nazwiska, jego ręka wędruje do kieszeni, gdzie gryzmoli: Sienicki, Haliński, Poteralski, Ogrodowicz... Potem jeszcze notuje nazwisko oficera Pawlika i — odchodzi. Wyraźnie lęka się tych wszystkich ludzi w pełni słonecznego dnia. Nie podejmuje próby zaznajomienia się z żołnierzami i wyciągnięcia od nich wiadomości o przebiegu ćwiczeń. Wraca do swej meliny i posyła Knieć po wódkę. Nie należy się spodziewać, że będzie w dalszym ciągu werbował ludzi, że wskaże jeszcze kogoś, kto przez generała Gehlena zaliczany jest do przyjaciół. Nazywa się to fachowo, że Wruck „ujawnił swoją bazę". Dalsze jego buszowanie po Polsce nie jest już interesujące dla ludzi, odpowiedzialnych za krzyżowanie planów „Akcji Cwaniak".

KIEROWANY PRZYPADEK

Starannie rozważając wszystkie aspekty tej sprawy, należy przypuszczać, że Wruck ma broń i że będzie z niej korzystać. Wie przecież, że w tej walce nie ma nic do stracenia. Ofiarą jego kul może paść któryś z funkcjonariuszy bezpieczeństwa, którym zlecono ujęcie szpiega. Z drugiej strony — jeżeli zacznie strzelać — oni również będą zmuszeni użyć broni. Wruck musi jednak dostać się w ręce polskich władz bezpieczeństwa zdrów i cały: czeka na niego wiele pytań. Nie wolno również dopuścić, aby podczas walki zniszczył swoje raporty i zatarł ślady zbrodni — własnej i swych pomocników. Na jego „koncie" narosły długie kolumny nazwisk ludzi, z którymi się stykał — teraz nadszedł czas, aby dokonać bilansu z udziałem samego właściciela kartoteki.

Nasza znajomość domu przy ulicy Małkowskiego numer 22 jest bardzo powierzchowna w porównaniu z tą, jaką posiedli funkcjonariusze bezpieczeństwa. Nieskomplikowany rozkład mieszkania numer 31 znają tak dobrze, jak gdyby sami zamieszkiwali tam od lat. Wiedzą nawet, kto je zajmował przedtem, co nie jest dla sprawy obojętne. Jest godzina 21.02 dnia 27 września, gdy do drzwi szpiegowskiej meliny dobija się jakiś obcy mężczyzna. Otwiera mu Eugenia Knieć. Jest w dobrym humorze, gdyż Wruck, który nie wybiera się tego wieczoru na miasto — spłukuje wódką nieprzyjemne wspomnienia niedzielnego ranka — a jego gospodyni pomaga mu w odzyskaniu lepszego nastroju. Eugenia Knieć uprzejmie odpowiada młodemu człowiekowi, który trzyma w ręku małą walizeczkę:

— Ależ nie, taka tu już dawno nie mieszka. Cóż ja panu na to poradzę, że ciocia się przeprowadziła i nie zawiadomiła pana o tym?

— Najmocniej panią przepraszam, ale ja z daleka... Może da się jakoś ustalić, dokąd wyjechała? W niedzielę wieczór nie dostanę się do żadnego biura ewidencji ludności. Co ja mam z sobą zrobić?

— Wstyd doprawdy, taki młody

i przystojny człowiek a nie umie sobie poradzić! Zaraz, zaraz, niech no pan wejdzie do środka, a ja się popytam po sąsiadkach...

Młody człowiek bardzo grzecznie dziękuje, starannie wyciera nogi i wchodzi do kuchni. Rozwalony przy stole Wruck patrzy nań badawczo. Jego spojrzenie zatrzymuje się wreszcie na butach przybyłego. Pokrywa je gruba warstwa kurzu.

— Pan z daleka?

— Ja, proszę pana, jadę z Gdyni. Myślałem, że odnajdę tu ciocię, a tymczasem...

— Słyszałem, słyszałem. Odnajdzie pan tę swoją ciocię. Kobiety he, he, he — trudno się gubią, a łatwo odnajdują. Niech pan siada. Stojąc nie odnajdzie pan cioci ani o minutę szybciej.

Młody człowiek siada przy stole. Patrzy na Wrucka i przypominają mu się słowa, wypowiedziane któregoś wieczora przez oficera, dopisującego do „konta" szpiega nowe pozycje: „Rozzuchwalił się nam ten drań nie do wiary. W nocy wałęsa się po knajpach, jak gdyby to był zachodni Berlin czy hamburska Sankt Pauli. W dzień — pewnie też chla, chla i śpi..."

Tu, w swojej melinie, Wruck jest spokojny i pewny siebie. Nowoprzybyły rozmawia z nim jeszcze przez chwilę, gdy słychać chrobot klucza w zamku. To wraca Eugenia Knieć. Kiedy obchodzi stół dookoła, aby usiąść koło swego przyjaciela, potyka się o jakiś przedmiot, stojący widocznie koło nogi stołu.

— Trzeci raz już się potykam o tę teczkę... Ciśnij ją na szafę i będzie spokój!

— Nie śpiesz się z ciskaniem! Uważaj lepiej na swoje nóżki. Nalej nam i opowiedz temu panu, co się stało z jego ciocią. Popatrz tylko, jak mu tęskno do rodziny!

— Wiem już. Wyprowadziła się do...

W tej samej chwili rozlega się donośny dzwonek. Młody człowiek poprawia sobie włosy. Przy tym ruchu lewy rękaw jego marynarki uchyla się nieco i odsłania zegarek na lewym przegubie. Jest 21.12. Upłynęło dokładnie 10 minut od chwili, kiedy tu się zjawił. Jego przyjście nie było zwykłym trafem. Jest to raczej wydarzenie zaliczane do rzędu „kierowanych przypadków". Nie zaskakuje go dzwonek. Wruckowi mniej się to podoba.

— Rusz-no się, Genia, zobacz, kogo tam diabli niosą!

Knieć posłusznie idzie, otwiera drzwi. Stoi w nich trzech mężczyzn z pistoletami w dłoni. Odtrącają przerażoną kobietę i wpadają do środka. SS-mann Wruck ma szybkie odruchy. Natychmiast sięga do otwartej teczki, która leży u jego stóp. Ale młody człowiek jest szybszy. Jego ręce prędzej dosięgają teczki. Kilka sekund szamotania i Konrad Wruck ma już na rękach kajdanki.

Godzina 21.15. Nie ma co tracić czasu. „Jest pan zatrzymany, panie Suchanowicz. Odradzamy wygłupianie się. Każda próba ucieczki grozi niechybną śmiercią". Dwaj funkcjonariusze biorą go pod ręce i sprowadzają na dół do samochodu, który stał do niedawna o kilka domów dalej, teraz czeka już pod bramą. Na schodach mijają towarzyszy, przybyłych po szpiegowski bagaż. Ładują oni do przyniesionej walizy i pistolet hiszpański typu „Astra" kalibru 7,65, oznaczony numerem 13394, i jakieś białe pastylki, i małe świeczki, przypominające w wyglądzie choinkowe, i wszystkie drobiazgi osobistego użytku, które należały do szpiega.

HAŁAŚLIWE ŚWIECZKI

— Nazwisko?

— Suchanowicz.

— Imię?
— Henryk.
— Zawód?
— Handluję.
— Proszę dokładniej!
— Handluję w porcie. Wie pan, jak to się robi? Tu kupię nylony od jakiegoś Szweda, tam zapalniczkę od innego marynarza. Potem się to sprzedaje i jakoś człowiek żyje.

Zatrzymany zeznaje dość swobodnie. Widać, że linia jego obrony przewiduje, że ma podawać się za pokątnego handlarza, grasującego wśród szumowin portowych. Lecz oto w gabinecie zjawia się oficer dźwigający walizkę.

— Bagaż przyjechał za panem, panie Suchanowicz. Nic tu nie ginie, czuwamy nad pana własnością, jak gdyby to były nasze najcenniejsze pamiątki rodzinne. Zaraz zresztą zobaczymy, czy nic nie przepadło. Widać, że jest pan nieco zdenerwowany, czyśmy czego nie zapomnieli przy pakowaniu.

— Ależ, bynajmniej, wiem, że u panów jest porządek. Zresztą nic wartościowego nie posiadam.

— Zaraz to sprawdzimy. Pan sobie od nas pójdzie i będzie pan miał może żal, że coś zginęło. Zaczynamy. Panie Suchanowicz, czy pan handluje bronią?

— Ja? Skądże znowu!

— Przepraszamy za podejrzenia, ale ten pistolet leżał na wierzchu w pańskiej teczce.

— Powiem panom szczerze: jak człowiek ma do czynienia w porcie z różnymi typami, lepiej mieć broń. To dodaje pewności. Nigdy nie strzeliłem, ale inaczej się człowiek czuje, gdy ma coś takiego w kieszeni. Zawsze mi wtedy raźniej.

— Słusznie. Dobre mniemanie o sobie — to połowa szczęścia w życiu. A nie używa pan tego pistoletu do celów sportowych? Na przykład strzelanie do rzutków ma u nas najlepsze tradycje. Dotąd, co prawda, nikt nie strzelał do nich z broni krótkiej — ale kiedyś można zacząć...

— Do zrzutków? Nigdy nie słyszałem.

— Pan myli te dwa słowa. Jedna litera — a taka istotna różnica. Skąd panu ten wyraz przyszedł teraz do głowy?... A co to za pastylki? Polopiryna?

— Tak. Miewam bóle głowy.

— Dziwne pastylki. A może to salipiryna?

— Chyba nie. W aptece prosiłem o polopirynę. Zresztą — może ma pan rację. Mogli się pomylić...

— Oczywiście. Tak czy inaczej — pan nie powinien zażywać leku, co do którego nie ma pewności. To nie są żarty — o wypadek nie trudno. Aby mieć pewność — oddamy te pastylki do analizy chemicznej. A te świeczki? W XX wieku? Pan nie ma zaufania do elektrowni!

Oficer sięga po zapałki i po chwili jedna świeczka pali się już płomieniem o kolorze zupełnie innym niż zwykłe świeczki. Pryska przy tym i skwierczy hałaśliwie. Szpieg blednie z lekka, widząc jak grunt usuwa się mu spod nóg.

— Gdzie pan kupił te świeczki, panie Suchanowicz? Brakoróbstwo wołające o pomstę do nieba! A wie pan, nawiasem mówiąc, bardzo mi pan kogoś przypomina. O, tu mam w szufladzie fotografię: zadziwiające podobieństwo.

— Możliwe. Mało jest na świecie sobowtórów?

— Sporo. Tylko odciski palców są niepowtarzalne. Tak twierdzi każdy podręcznik kryminologii i — jak dotąd — nie było wyjątku od tej reguły. Toteż za chwilę sprawdzimy. Pobrudzi pan sobie nieco palce — ale pan już chyba wie, że i w t e d y dało się to zmyć...

— Nie rozumiem. Pan widać bierze mnie za kogo innego.

— O, zwykły, szkolny blok rysunkowy. Tym też pan handluje? Czy to in-

teres dla poważnego handlarza, panie... panie... zapomniałem, jak pan się nazywa?

— Suchanowicz, Henryk Suchanowicz. Nie, tym nie handluję. To można kupić w każdym sklepie z papierem. Ja lubię lekko zarabiać. Ale — panowie się będą śmieli — gdy wracam do domu, to najchętniej biorę ołówek i rysuję.

— Każdy na swój sposób szuka odprężenia po pracy. A dlaczego te kartki są czyste? Wie pan, najlepiej niech pan na każdej z nich napisze wyraźnie, że znaleziono je w pańskim bagażu dnia — dziś mamy 27 września 1953 roku. Drobna formalność — a nam to ułatwi pracę i zarazem upewni pana, że tu nic nie ginie. Teraz już chyba dość. Pan się pójdzie przespać, a potem zastanowi się pan nad naszą rozmową, może się panu jednak przypomni coś interesującego. Kolację zaraz każę panu podać. Nas tu czeka jeszcze sporo roboty.

Konrad Wruck odchodzi złamany. Sam siebie przekonuje, że może jednak uwierzą w jego bajeczki... Zawraca od drzwi:

— Ja jeszcze chciałem powiedzieć kilka słów. Ja wiem, że teraz nam jest potrzebna każda para rąk do pracy. Już dawno chciałem zerwać z nielegalnym handlem. Chciałem pójść do uczciwej pracy, może dalej się uczyć rysunku...

— Porozmawiamy jeszcze jutro o pańskich artystycznych pracach i planach, panie... panie... psiakrew, jakże pan jest podobny do jednego mojego znajomego!

CHEMIA STOSOWANA (W WYWIADZIE)

W laboratorium chemicznym placówki bezpieczeństwa poszły w ruch odczynniki. Ręce fachowców trzymały probówki z rozpuszczonymi pastylkami „polopiryny". Roztwór rozlewano do małych naczyń, mieszano z różnymi płynami, podgrzewano, chłodzono, próbowano na wirówce elektrycznej, wylewano na różne gatunki papieru i tkaniny. Rozmazywano pędzelkami i stalkami. Oglądano pod światło, naświetlano promieniami ultrafioletowymi i infraczerwonymi. Również i świece zostały poddane dokładnym badaniom.

O czwartej nad ranem chemicy sporządzili wyciąg z rezultatów skomplikowanych analiz. Wydali orzeczenie, sprowadzające się do dwóch zdań. „Pastylki służą do sporządzania tajnego pisma. Świece, których skład jest nam znany — tak samo". Potem przyszła kolej na kartki papieru z bloku rysunkowego. Pod wpływem odczynników na kartkach tych zaczęły się pojawiać notatki i szkice, nabierać ostrości i utrwalać.

Myjąc starannie ręce siwowłosy inżynier chemik powiedział do asystentki: „...to wielka nauka, towarzyszko, wielka i piękna. Chemia zmienia świat. Trudno nawet przewidzieć, jak poprawi życie na ziemi. A tu ci dranie kierują wysiłek na tajne atramenty. Ta nowa formuła naszych przeciwników z „Technische Geheimdienst" w Sztutgardzie — nawet nieźle pomyślana... Musieli się nad tym dobrze namęczyć. Gdyby tak popracowali nad jakimś nowym lekiem. Wtedy i my moglibyśmy nie siedzieć tu do świtu, ale w uniwersyteckich laboratoriach poświęcić cały czas, bez reszty, na chemię taką, jaką umiłowali Liebig, Woehler, Bunsen czy inni wielcy Niemcy..."

Kiedy w laboratorium hałasowały szpiegowskie świeczki i krążył roztwór szpiegowskich pastylek w szklanych spiralach, kiedy — niby wykopaliska — ukazywały się oczom ludzkim notatki, sporządzone przez Wrucka dla wroga — oficer bezpieczeństwa niewiele spał tej nocy. Jeszcze raz odtwarzał w myśli przebieg minionego wieczoru. Starał się

przewidzieć, jakie stanowisko zajmie Wruck na drugiej linii obrony. Już przed ósmą rano siedział w swym gabinecie, przeglądając sprawozdanie laboratorium chemicznego. Punktualnie o ósmej wprowadzono zatrzymanego.

— Jak się spało, panie Suchanowicz? Zaraz od rana zaczynamy pracę — my tu nie możemy sobie pozwolić na — jak wy to w Niemczech nazywacie — „błękitne poniedziałki". A więc...

— Nie rozumiem pańskiego: „wy w Niemczech" — ja tam nigdy nie byłem...

— Doprawdy? Wielka szkoda. Podróże kształcą — i to w różnych, bardzo różnych zawodach... Na razie muszę pana poinformować, że zbadaliśmy sumiennie pastylki. Bardzo szkodliwe dla zdrowia. Ci, którzy je zażywają — to znaczy chciałem powiedzieć — używają, cierpią potem na zawroty głowy, mdłości i wyrzuty sumienia. Te świeczki też bardzo nieporęczne. Ale już najciekawsze są pana rysunki: pan ma doprawdy wielki talent, panie Suchanowicz! Myśleliśmy co prawda, że rysuje pan akty czy martwe natury, ale i ten szkic fabryki w Sępolnie również znamionuje mistrza.

— Jakie rysunki? Ja o niczym nie wiem!

— Przecież pan wczoraj wieczorem opatrzył każdą kartkę własnoręczną dedykacją. Czy chce pan nam wmówić, że to nie jest pana podpis, że to my przez noc zarysowaliśmy i zapisali kilkanaście stron bloku rysunkowego dużego formatu? Pan jest impresjonistą, panie Suchanowicz. Pańskie impresje z tej fabryki na szlaku kolejowym do Olsztyna — niezwykle interesujące. Tylko niech pan nam szczerze powie: pisze pan, że tam jest fabryka łożysk kulkowych. Skąd pan to wie? Przecież ten współpasażer w przedziale kolejowym, który powalał się smarem, niczego podobnego panu nie powiedział. Czyżby pan sądził, że generał Gehlen lepiej zapłaci za wiadomość o fabryce łożysk kulkowych, niż — dajmy na to — o fabryce wyżymaczek? Że pan buja nas — to niejako naturalne, instynktowne. Ale dlaczego pan, panie Wruck, chciał okłamywać własnych chlebodawców? No, aby pan nie miał zbyt wielkich skrupułów: tam nie ma w ogóle żadnej fabryki. Ten pasażer zakpił sobie z pana. Żarty go się trzymają — szczególnie gdy wie, że rozmawia ze szpiegiem...

Uderzenie było celne. Wruck częściowo kapituluje. Przyznaje się do swego nazwiska. Nie przyznaje się do „pracy" dla Gehlena. Twierdzi, że ludzie w Polsce pamiętali go ze służby w SS, że chciał zmienić nazwisko, aby „uciec od przeszłości i zacząć nowe życie". Opowiada dalej, że upił człowieka o nazwisku Suchanowicz, skradł mu dowody osobiste i misternie wkleił swoje zdjęcie.

— Mamy czas, panie Wruck, możemy porozmawiać. Czy panu nie przyszło na myśl, że przez noc sprawdziliśmy te papierki? Taki człowiek nigdy nie istniał. Powiem panu natomiast, że te pieczątki i podpisy bardzo mi przypominają pewnych pana znajomych w Berlinie. Zupełnie ta sama robota.

Oficer kładzie teraz przed Wruckiem dokumenty Machury. Potem przypomina mu o jego szpiegowskim grzybobraniu w lasach pod Olsztynem. Czyta mu fragmenty z „bilansu", odtwarza przed przerażonym szpiegiem niemal całą jego wędrówkę po Polsce, rzuca nazwiska kontaktów.

Konrad Wruck dość szybko wywiesza białą flagę i zaczyna śpiewać na melodię skruchy. Jego kamraci są daleko — trzeba ratować własną głową. Jest tak oszołomiony tym, co usłyszał, że tylko jeszcze bez przekonania usiłuje na samym wstępie — zgodnie z wyraźnymi zaleceniami zwierzchników — przedsta-

wić siebie jako agenta „Wuja Sama". Prostuje to jednak po chwili i dalsza jego opowieść jest kolejnym, logicznym ogniwem „Akcji Cwaniak", ogniwem, które trzyma się mocno poprzednich i będzie pasowało do następnych.

KRZYŻ WALECZNYCH 1954

Kolejna potyczka na cichym froncie została skończona. Ten fragment „Akcji Cwaniak" się nie udał... Ale nie trzeba się łudzić, że generał Gehlen zaprzestanie nasyłania nam swoich agentów. Wręcz przeciwnie — za Wruckiem, Landvoigtem i Machurą przyjdą inni. Nie kosztują oni wiele — a Amerykanie za darmo nie dadzą Gehlenowi ani feniga. Jakże pasują do naszej obecnej sytuacji słowa Wyszyńskiego z marca 1938 roku: „Można powiedzieć bez cienia przesady, że w ciągu ubiegłych 20 lat w historii naszego państwa radzieckiego i naszego narodu nie było roku, miesiąca a nawet dnia bez napaści wrogów — wściekłych, podstępnych, okrutnych, łaknących zemsty za »raj utracony« swego ekonomicznego i politycznego panowania".

A przeto bój na cichym froncie trwa nadal. Może właśnie w tej chwili na granicy osaczono nowego wysłannika gehlenowskich „łowców dusz", może właśnie teraz tropi się szpiega, jeżdżącego „rzemiennym dyszlem" po naszym kraju, może laboratoria władz bezpieczeństwa rozgryzają nowy pomysł „uczonych" ze Sztutgardu?

Czas nam teraz mówić o zadośćuczynieniu: za szpiegostwo i za dzielność. To pierwsze wymierzył 7 grudnia 1953, czyli na św. Marcina, Rejonowy Sąd Wojskowy w Szczecinie, skazując Wrucka i Landvoigta na karę śmierci a Machurę — na dożywotnie więzienie. Zwerbowani przez Wrucka szpiedzy stają niedługo później przed sądem. Stefan Wruck, który złamał przysięgę wojskową — skazany został na karę śmierci. Wiktor Krogul i Marian Niemczyk — otrzymali dożywotnie więzienie, Leokadia Berend i Jadwiga Gelhar — po dziesięć lat więzienia, podobnie jak Albert Wruck. Stefanię Ważną na dwanaście lat skazał 12 stycznia 1954 r. Rejonowy Sąd Wojskowy. W końcu stycznia Pierwszy Senat Sądu Okręgowego we Frankfurcie nad Odrą skazał na 12 lat więzienia Ottona Kupscha, któremu udowodniono zorganizowanie i aktywne prowadzenie przerzucania agentów przez granicę pokoju na Odrze i Nysie. Edgar Sommerfeld, Peter Zimmer, Paul Vietzke i Klaus Kupsch otrzymali wymiar kary 10, 8, 6 i 3 lata więzienia. Maria Vietzke i Erika Grusienica za niezameldowanie o przestępstwie ukarane zostały dwuletnim więzieniem. W umotywowaniu wyroku trybunał NRD stwierdził, że skazani swą działalnością czynnie pomagali imperialistom w przygotowywaniu nowej wojny światowej i że działalność ich skierowana była przede wszystkim przeciwko pokojowemu rozwojowi Niemieckiej Republiki Demokratycznej, która stale w interesie zachowania pokoju stara się krzewić pokojowe stosunki ze wszystkimi narodami miłującymi pokój.

Kiedy mowa o uznaniu działalności — trzeba będzie opowiedzieć o Edwardzie Woźniaku, którego poznaliśmy w Kutnie na samym początku reportażu. On to właśnie jest tym starszym szeregowcem WOP-u, który owej pamiętnej nocy nad Odrą serią z automatu osłonił oficera przed szpiegowskim przewoźnikiem. Niedługo po tej nocy poszedł do cywila i wrócił do swego zawodu. 28 stycznia 1954 Minister Bezpieczeństwa Publicznego dekorował w Warszawie wysokimi odznaczeniami państwowymi tych żołnierzy WOP-u, którzy szczególnie zasłużyli się przy

likwidacji siatki generała Gehlena w Polsce. „Krzyż Walecznych" — to w czasie pokoju szczególnie wysokie odznaczenie...

Cywil Edward Woźniak nie mógł przybyć. Polecono więc dwom oficerom, aby pojechali do Kutna i wręczyli mu jego order.

TERENY, KTÓRE WRUCK I LANDVOIGT ZDOBYLI...

Mój brat był lotnikiem.
Raz dostał kilka map,
Spakował się i poleciał
Tam, dokąd kazał mu sztab.
Mój brat jest zdobywcą,
A nam lebensraumu brak,
Odwieczny sen o podbojach
Ziścić pragnął mój brat.
Tereny, które brat mój zdobył,
Są, kędy Guadarramy zrąb —
Wzdłuż liczą metr osiemdziesiąt
i półtora metra w głąb.

(Bertolt Brecht: M ó j b r a t b y ł l o t n i k i e m — przekład Antoniego Marianowicza)

Landvoigt, przy którego schwytaniu Woźniak pomagał, wysyłał po wyroku ze swej celi list za listem do Berlina, do żony, i otrzymywał od niej stale odpowiedzi. W liście z dnia 15 stycznia 1954 ten wysłannik Adenauera nie szczędzi (spóźnionych) pretensji pod adresem swego kanclerza: „Myślałem, że w okresie tych sześciu tygodni po moim wyroku zatroszczy się o mnie mój rząd, tak jak to się dzieje w każdym kraju, ale niestety widzę, że się myliłem. Po prostu śmiertelnik zawinił — i na tym koniec. Wystarczy, że zgodził się wyciągnąć dla nich kasztany z ognia, a później to już nikt się o niego nie kłopocze. Przypuszczam, że ci panowie nie uważają mnie już nawet za Niemca. Ale jest już za późno na orientowanie się. Ja nie wiem, moja kochana, kiedy wreszcie otrzymam odpowiedź. Na wszelki jednak wypadek, aby niczego nie zaniedbać, chciałbym ci napisać, abyś z mojego powodu nie rujnowała swego młodego życia. Pójdź, gdzie ci się podoba, korzystaj z życia. Wybacz mi ból, który ci sprawiłem, i nie bądź na mnie zła z tego powodu. Pomyśl, że jestem przecież sam temu wszystkiemu winien, że nie powinienem był do tego wszystkiego dopuścić..."

Niech te słowa przeczytają w zachodnim Berlinie ci wszyscy, których generał Gustaw Gehlen chce użyć jako następne „kamyki". Niech przeczytają, nim ruszą na wschód — do Polski. Niech przeczytają i niech wezmą słowa te pod rozwagę. I niech się także dowiedzą, że w stosunku do Wrucka i Landvoigta Rada Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie skorzystała z prawa łaski.

Boleszkowice, Czelin, Szczecin, Olsztyn, Warszawa 1954 r.

Lucjan Wolanowski

STANISŁAW ZIELIŃSKI

Na marginesie napisanych książek

1

Od jednej książki dzieli mnie lat cztery, od drugiej dwa z okładem. Właściwie mniej, bo nad Ostatnimi ogniami i nad Jeszcze Polską toczyły się wielomiesięczne utarczki, przedłużające znacznie normalny cykl produkcyjny. Strata czasu i uniesienia towarzyszące owym dyskusjom poszły już prawie w zapomnienie. Można spokojnie spojrzeć poza siebie i z oddalenia zobaczyć to, czego nie dostrzegało się z bliska. Dopiero teraz widzę, jak wielką rolę przy formowaniu obu książek, a zwłaszcza Jeszcze Polski, odegrały kobiety. Właśnie one swą skrupulatną pamięcią, darem odtwarzania minionych nastrojów i troską o szczególiki — zaważyły na większości wątków. Zanim spostrzegłem się — już miałem w ręku pęk nitek. Każda prowadziła do kłębka. Ruszywszy jedną, poruszało się wszystkie. Bardzo były poplątane.

Dlaczego tak łatwo uległem kobietom? Czy sprawił to temperament Marii, czy niecodzienne losy Katarzyny, czy urok Isi mimo drażniących niekonsekwencji, z jakimi zdradziła się na samym początku znajomości? Fakt, że zupełnie świadomie pozwoliłem rozsadzić pierwotny plan i z troską, lecz bez złości zająłem się tłumem ludzi tworzących otoczenie moich bohaterek. Z czasem polubiłem nieoczekiwanych gości. Paru z nich wysunęło się z cienia i zajęło pierwszoplanowe stanowiska w opisywanych wypadkach. Do ustępstw na rzecz kobiet byłem tym skłonniejszy (znów muszę podkreślić, że dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę), że w poprzedzających powieść opowiadaniach musiałem obywać się bez niewiast. Druty obozowe broniły im wstępu. Nic więc dziwnego, że po wyjściu z obozu okazałem kobietom tyle serca. Nie żałuję tej słabości, choć przysporzyła mi kłopotów i rozchwiała kompozycję.

Nie dlatego jednak zabrałem się do powieści, że zgromadziłem zastęp kobiet i zebrałem worek epizodów, które udało się zesztukować w tak zwaną większą całość. Nie dlatego również, że po wydaniu opowiadań spotkałem się z następującą zachętą: „A teraz, panie Z., do powieści. Tylko powieść ustawia pisarza".

I opowiadania, i powieści z jednego wywodzą się wzruszenia. Ten sam wstrząs zrodził potrzebę pisania i stworzył konieczność wypowiedzenia się po jednej stronie przeciwko drugiej. Idzie mi o bodziec uczuciowy, bez niego nie warto chyba siadać do pisania. Usiąść, oczywiście, można, ale wielkiej trzeba umiejętności, aby obojętność przybrać w piękne szatki. Krytyk może nie dostrzec, może przemilczeć, czytelnik jednak odkryje bardzo szybko, co tkwi za barwną zasłoną zręcznych słów.

Potrzebna zatem pasja. Wywołał ją wstrząs, o którym było wyżej. Nie trudno zgadnąć, że mam na myśli wrzesień 1939 i jego następstwa.

2

Z początkiem 1948 roku mogłem już pisać po kilka godzin dziennie. Parę miesięcy w Polsce podziałało lepiej niż Szwajcaria, do której — na lata — wypychali mnie lekarze z Niemiec.

Pisałem na chybotliwym stole o owalnym blacie. Kształt dobrze wrył się w pamięć, ciągle coś spadało na podłogę. Niesposób było upilnować papieru i notatek — maszyna rozpychała się łokciami. Maszynie do pisania wtórował pożyczony Singer. Obszerne mieszkanie, pełne schowków i nikomu niepotrzebnych zakamarków, w zimie było nie do ogrzania. Życie koncentrowało się w jednym pokoju koło najsprawniej działającego pieca. A w ogóle nie powodziło się nam zbyt świetnie. Natrętny hurkot Singera nakłonił w końcu do napisania Maison Wimplowa.

Zabierałem się do obrachunku z przeszłością nie bardzo wiedząc, jaką przybierze formę. O wrześniu i o niewoli pisałem już wcześniej, w obozie, na gorąco. Pierwszy tekst, nasycony faktami i autentycznym niewątpliwie nastrojem spalił się razem z Warszawą, bo dla pewności wysłałem notatki do domu. (Funkcji łącznika podjął się pewien Nadreńczyk, szofer z kolumny sanitarnej stacjonowanej w Warszawie. Zadowalał się umiarkowanym wynagrodzeniem i rzetelnie wywiązywał się z obowiązków. Sprawnie działającą łączność popsuli obozowi handlarze. Podbijali cenę i zamiast listów wtykali Niemcowi walizy z towarem). To, co po latach pisałem na ten sam temat, w niczym nie przypominało obozowego pamiętnika. Sam byłem zaskoczony groteskowością postaci.

Pierwsze opowiadania nazywano po wydaniu bardzo różnie: migawki, szkice, anegdoty, nowelki, obrazki itp., ale ja najchętniej porównywałem je do bumerangów. Wysyłane pocztą wracały w znakomitej większości do bazy. Często zwrotom towarzyszyły listy. Bardzo szybko nauczyłem się nie czytać ich, by nie psuć sobie krwi na samym początku. Wreszcie uzbierał się tomik. Był autor, tekst, do debiutu brakowało tylko wydawcy.

Recenzenci zadawali później pytanie, czemu opowiadania o tej samej tematyce podzieliłem na dwie książki i na dwa wydawnictwa? Nie przez chytrość. Po prostu dlatego, że zanosząc pierwszy egzemplarz Dna miski nie miałem w zanadrzu opowiadań wydrukowanych następnie w Przed świtem. Powiedziałem pierwszy egzemplarz, bo dopiero czwarty doprowadził do podpisania umowy. Dwa maszynopisy zaginęły w nieustalonych okolicznościach. Trzeci, powierzony gustom ciotki znakomitego krytyka, spadł podobno z wozu, gdy niedoszła recenzentka jechała na podmiejskie letniaki.

Podwójny debiut sprawił mi wiele osobistej satysfakcji, ale nie wyczerpał pasji, motoru napędowego obu pierwszych książek. Stało się jasne, że jeśli mam pisać dalej, to muszę rozładowywać się stopniowo, że dopóki nie uporam się z wrześniowo-emigracyjnym balastem — każdy inny temat będzie tematem podjętym przedwcześnie. Tak rozstrzygnął się wybór tematu nowej książki. Po rygorach krótkich opowiadań odczuwałem potrzebę większej swobody. Byłem przekonany, że tylko na płótnie wielkiego formatu zmieszczę cały rysunek Ostatnich ogni. Postanowiłem pisać powieść.

Wybór tematu nastąpił wbrew rozumowym przesłankom wynikającym

z ówczesnego mego położenia. Omawiając opowiadania dodawano hojnie przymiotniki: spóźnione, przebrzmiałe, nieaktualne itp. Rozumiałem, że właściwiej byłoby uchwycić się spraw aktualnych i trzecią książką dopędzić w tematyce tych wszystkich, którzy mieli już poza sobą tak zwane obrachunki. Na domiar złego zabrnąłem w groteskę... Bardzo kręcono głową nad tym gatunkiem. Mówiono o grotesce jak o dyskretnej chorobie w porządnym towarzystwie. Czułem się jak narzeczony, któremu podczas oświadczyn zaczyna odpadać nos.

Zaczynało się więc pod złą wróżbą, przy chmurnej pogodzie. Nie dodawały otuchy pierwsze opinie o początkach O g n i (przed złożeniem tekstu w wydawnictwie: znowu jacyś jeńcy! Znowu emigracja i rozebrane dziwki! Znowu c i Niemcy, tzn. hitlerowcy!). No i te groteskowe grymasy... Było nie było, zostałem przy swoim. Nie wyolbrzymiam jakichś zewnętrznych trudności, myślę o chwilach wewnętrznej rozterki: pisać? Zacząć od nowa, inaczej? Mimo rad i odradzań dopisałem O g n i e do końca. Innej książki w tym czasie nie mogłem napisać. To pierwsze doświadczenie, ani nowe, ani odkrywcze, ma dla mnie szczególną wartość, bo jest własne.

Po ukazaniu się O s t a t n i c h o g n i zaczęły się znane procesy polityczne. W jakiś czas po wydaniu J e s z c z e P o l s k i wypadło mi pisać wypowiedzi potępiające odradzający się w Niemczech zachodnich hitleryzm. Jeszcze jeden sprawdzian, że nie cała przeszłość na dobre stała się przeszłością. Cierpka to satysfakcja, ale satysfakcja.

3

Wrzesień nie był gromem z j a s n e g o nieba. Mało kto nie dostrzegał nadciągającej burzy, a jednak zaskoczyła wszystkich siłą, przebiegiem, czasem trwania. Myślę o moich rówieśnikach — szliśmy we wrześniu na pierwszą wojnę w życiu. Chyba dla naszego pokolenia klęska stała się najtragiczniejszym ciosem. Przeszłość bez niepodległości tonęła w mrokach wczesnego dzieciństwa, była rozdziałami złej, porozbiorowej historii. Niewielu mogę przypomnieć sobie obojętnych na sprawy ogólne. Trzymali się różnych subwencjonowanych organizacji i związków. Większość nie utożsamiała Polski z panującym reżimem, choć poglądy ówczesne odbiegały niejednokrotnie daleko od tych, które ci sami ludzie uznali później za słuszne i godne wyznawania. Mimo wszystko idąc na wojnę pielęgnowaliśmy płomyk nadziei, że aż tak źle nie będzie... I właśnie nam, w naszych źle uzbrojonych rękach, rozlała się niepodległość.

Trudno powiedzieć, jakie uczucie brało górę, wściekłość czy rozpacz. Dla jeńców terenem porachunków, dyskusji i sporów powrześniowych stał się obóz. W oflagowym zwierciadle można było do syta oglądać tragiczną karykaturę sanacyjnych rządów. Wrzesień, niewola, 2 korpus i wreszcie — ostatni przed powrotem teren doświadczeń emigracyjnych — Niemcy zachodnie zaludnione setkami tysięcy wysiedleńców.

W obozach i „na prywatkach" tkwili ludzie oszołomieni, niezdolni do powzięcia samodzielnej decyzji. Jechać? Zostać? Czekać? Jednego dnia zrywali się do powrotu, następnego wpraszali się na drwali, aby rąbać kanadyjskie lasy. Żżerała ich tęsknota, niepokoiła inność nowej Polski. Rozstrzą-

sali, jaki ma być orzeł, z koroną czy bez? Była to sprawa tak samo ważna, jak granica na Bugu.

Coraz bardziej doskwierał głód Polski.

Na tym prymitywnym patriotyzmie żerowali działacze otuleni Polską jak diabeł ornatem. Obiecywali ojczyznę we Włoszech, nad granicą holenderską, w Patagonii, w Szkocji, w Kanadzie, wszędzie, byle się wyrzec tej nad Wisłą. Pokazywali mapy z Polską tak wielką, że nikt jej nie mógł poznać. Za parawanem oficjalnej działalności kryły się superkanty i drobne złodziejstwa. Nigdy i nigdzie nie było równie ogromnej areny udostępnionej dla kryminalno-politycznych popisów. Może w Ameryce mają większą. Nie wiem, nie byłem.

W takiej atmosferze znaleźli się ludzie zapędzeni w głąb Niemiec. Musieli wybierać: albo — albo. Co prawda pamiętam jegomościa, który wymyślił trzecie rozwiązanie. Radził nie wiązać się ani ze Wschodem, ani z Zachodem, lecz za stodołą czekać na rozwój wypadków. Gdzie ta stodoła — nie umiał wskazać. Pojechał jej szukáć w Anglii.

W zimie 1947, gdy przyjechałem na urlop, i później, gdy wróciłem na stałe, wypytywano mnie często o emigrację i Anglosasów. Odpowiedzi kwitowano lekkim niedowierzaniem.

4

Wyobrażałem sobie, że Ostatnie ognie rozpiszę na trzy, najwyżej cztery głosy. Ile głównych postaci, tyle miało być narracyj w pierwszej osobie. Wydawało mi się, że właśnie w ten sposób powstanie obraz pełnobarwny, przejrzysty i dla czytelnika przekonywający. Spróbowałem tak pisać, ale bardzo prędko doszedłem do wniosku, że czytelnik zwariuje, a mnie powieszą za formalizm. (Nie jest to zdanie najzręczniejsze, wiadomo jednak, o co chodzi!) Przeprowadziłem czystkę. Zostały dwie narracje Masłowca i Byczotupskiego. Dopiero zaczęły się kłopoty! Z deszczu trafiłem pod rynnę. Książka traciła wymowę, tępiało jej ostrze. Wypuszczone strzały nie dolatywały do celu. Proces Szulawki, obejmujący toczącą się poza Polską akcję, nie ratował sytuacji. Przekreśliłem „punkt widzenia“ Byczotupskiego. Ocalało opowiadanie Masłowca, dodałem narrację autora.

Po wydrukowaniu Ogni postanowiłem wrócić do książki, aby zrobić porządek z narracjami. Albo autor, albo Masłowiec. Sprawa była pilna, zanosiło się na drugie wydanie. A więc tylko autor, tak jak w Jeszcze Polska, powiedziałem otwierając egzemplarz. Kreśliłem, zmieniałem, poprawiałem — nie szło. Spróbowałem z drugiej strony, ale i przerabianie narracji autorskiej na Masłowcową nie udawało się lepiej. Książka opierała się, wykręcała się najwyraźniej od nowej formy. Rozdrażniony niepowodzeniem usiadłem do maszyny. Po kilku kartkach przekonałem się, że piszę zupełnie inną powieść o innych ludziach. Tylko nazwiska wiązały nowy tekst ze starym. Dałem więc spokój poprawianiu. Zostało wszystko tak jak było, poza drobnymi zmianami narzuconymi przez tekst Jeszcze Polski.

Ta „inna powieść“ figuruje dotychczas w moim prywatnym planie jako pozycja, którą „koniecznie kiedyś trzeba napisać“. Ma być to odgałęzienie

zamierzonego cyklu, uzupełnienie Ostatnich ogni. W głębi biurka jest nawet teczka wypchana notatkami i tzw. materiałem, ale myślę o niej bez serca. Może kiedyś. Dopóki mówię „kiedyś", nie zabiorę się do niej na pewno.

5

Ruch i nieoczekiwane spotkania. Bez tych elementów nie można odtworzyć nastroju, jaki zapanował w Niemczech zaraz po wojnie. Podróż do Ugandy czy do Kairu (w gruncie rzeczy cel był obojętny, byle jechać, byle zaraz!) planowało się swobodniej niż wyjazd z Warszawy do Świdra. Koleżankę z przedszkola spotkałem ponownie w kantynie nad Adriatykiem. W tym samym czasie inna znajoma „dawała znać przez okazję", że jak tylko załatwi formalności ślubne, odpływa do Ameryki. Ślub, pisała, to lipa, czyli na niby. „Czekaj na *affidavit*, wyślę, jak urządzę się tam jako tako..." W pogoni za wrażeniami i nowością nie trudno było o krok za dużo. Werbowano do różnych armii, w różne strony świata. Najchętniej do Legii. Proponowano także wyjazd do Polski (nie powrót...), ale to sprawy z innej beczki.

Doprawdy, krajobrazy i ludzie przesuwali się prędzej niż „za szybko puszczony film". Ilustracją tempa miała być „pogoń" Masłowca za Marią. Ułatwiając im spotkanie w Brukseli nie domyślałem się, jakie będą następstwa przelotnej znajomości. Przypuszczałem, że tropy tej pary nie skrzyżują się ponownie, że Maria zniknie z pola widzenia, że obejdzie się bez wspólnego powrotu itd. W trakcie pisania musiałem pierwotny plan zmienić. Maria uparła się na Masłowca i on był nie od tego. Zresztą, przemijał już czas wariackich jazd.

Pisanie w pierwszej osobie, choć często bardzo wygodne i miłe, stwarza równie często komiczne sytuacje. Jeden z kolegów uporczywie nazywał moją żonę Marią, inny wypytywał o rysopis Bohuna, bo akurat coś tam o nim pisał, trzeci pobił rekord: „Opowiedz, jak naprawdę było z tym Bormannem podczas forsowania granicy"...

W tym sęk, że bez groteski (gdyby np. wydano zakaz lub gdybym wziął na serio uwagi nieletniego zrzędy) z pewnością nic bym nie napisał. Z tej niedobrej skłonności wzięły się łatwo dostrzegalne przejaskrawienia obok partii pisanych innym tonem. Nie każdy temat można obsłużyć groteską, więc sprawa jest dość kłopotliwa.

„Nie słuchaj tych, którzy cię namawiają, żebyś został Sienkiewiczem. To idioci. Słuchaj mnie. Bądź Haškiem." — radzi mi inny młody krytyk. Właściwie nie jestem zdecydowany. Jeszcze się waham.

6

Oddając maszynopis zastrzegłem zmianę tytułu. Łudziłem się, że znajdę tytuł, zanim książka zostanie wydrukowana. Cały czas, aż do „podpisania do druku", mówiło się, że Ostatnie ognie to tytuł roboczy. Wiedziałem, że źle ochrzciłem książkę. Właściwy tytuł powieści miałem prawie na końcu języka. No, i mam go tam aż do dzisiejszego dnia.

Są książki, które rodzą się z imieniem. Tak było z pierwszym tomem opowiadań. Musiał nazywać się Dno miski, nie było wyboru. Ale

Przed świtem, to już tytulik chwycony na łapu-capu, naprędce wybrany z kalendarza, ani dobry, ani zły, nijaki.

W moim pojęciu Jeszcze Polska była książką mocno zrośniętą z tytułem. Każda zmiana mogła być tylko zmianą na gorsze, groziła okaleczeniem całości. Broniłem więc mego tytułu z uporem maniaka. O Rodakach do dziś myślę bardzo brzydko.

Na długo przed rozpoczęciem pisania zgromadziłem materiał. Wydawało się, że już wszystko gotowe, tylko siadać i pisać. A jednak odkładałem z dnia na dzień. Brakowało wciąż „pierwszego zdania", nie znajdowałem „wejścia". Trudność polegała na tym, że nie znałem Polski z lat 1939—1946. Nie mogłem złapać tonu. Nie umiałem podejść dostatecznie blisko, aby zobaczyć rysy bohaterów.

Dopomogły kobiety. Występuje ich w Jeszcze Polska tyle, że o wszystkich trudno tutaj mówić. Przypomnę historię Isi Znamięckiej. Pokładałem w niej wielkie nadzieje. Miała uratować Tańskiego od całkowitego uwiądu. Ileż mi ten facet napsuł krwi w Ostatnich ogniach! Chwytałem się desperackich środków. Pamiętam, pyta mnie ktoś: „Jakże Tański?" — „Chla na umór w knajpie" — „Oszalałeś?! Wyprowadź go natychmiast!" Skończyło się na paru kieliszkach w robotniczym towarzystwie. Żarty żartami, ale z Tańskim należało coś zrobić i to szybko. Więc Isia... Dawna miłość, powrót do kraju, powinno faceta ruszyć — myślałem zawierając znajomość z dr. Znamiecką. Ba...! Okazało się, że wyszła za mąż, że ma dzieci, że brała udział w powstaniu, że mieszkała w Pysowach itd., itd. Nadomiar wypłynęła historia Jacka. Musiałem zająć się Utrechtem... I tak, zamiast Isi z najbliższą rodziną (stara Znamięcka wepchnęła się na siłę), zobaczyłem tłum obcych ludzi. Tańskiemu przemyślne machinacje niewiele pomogły. Wplątałem go w kabałę, która choć miejscami przyjemna (amory z Isią), pachnie już skandalem, bo o romansie wie cała kamienica.

Zamiast Tańskiego ożył Jaskółka. Słowem zysk, ale z innej strony.

Długo nie dawało mi spokoju nazwisko Wypęska. Po sprawdzeniu okazało się, że to rodzina wcale niegorsza od innych, szeroko rozreklamowanych. Wypęscy pisali się dawniej Wypyscy. Wiadomo, że za Jana z Wypych Wypyskiego (herbu Grabie) wydał Władysław IV swą przyjaciółkę, Jadwigę Łuszkowską. A to już jest coś!

7

Czas opluć wydawnictwo. Wspomniałem o stracie czasu i o utarczkach. I jedno prawda, i drugie nie kłamstwo. Tak zwykle się składa, że maszynopis oddaję wydawnictwu prawie ciepły. Praca już niby skończona, ale rozdrażnienie towarzyszące powstawaniu książki — nie minęło. Przy pierwszym spotkaniu z redaktorem gotów jestem bronić przecinka (oczywiście przesada!). Każda propozycja zmian wyprowadza mnie z równowagi, ale w jakiś czas potem... Oczywiście, jeżeli ktoś nie broni spraw istotnych, to sam sobie kiepskie wystawia świadectwo. Po co pisał, skoro mu na tym nie zależy? Otóż, gdy człowiek już nieco ochłonie, wtedy trzeźwe, niezmącone „twórczym uniesieniem" spojrzenie redaktora może książce pomóc. Pod warunkiem, że redaktor przeczytał maszynopis, że myśli o maszynopisie w śro-

dę to samo, co w poniedziałek, że rozumie intencje autora i chce, by książka była jak najlepsza. Naturalnie, że to nie wszystko, ale z grubsza starczy.

Pewnego dnia redaktorka zajmująca się Jeszcze Polską zaskoczyła mnie spostrzeżeniem, że dzban z różami w oknie Ceresików to saski wazon, którym Byczotupski nalewał wodę do chłodnicy ciężarówki. Nie odpowiedziałem nic, bo wstydzę się trochę dwóch manii: „dublowania" osób i „strzelania" ze wszystkich dubeltówek wiszących na ścianie... Jeszcze bardziej byłem zdumiony, gdy w jegomościu pozującym Operaczowi na tle historycznego napisu rozpoznała Wiecha. Podobnych drobiazgów mógłbym przypomnieć więcej. Porównując pierwszy maszynopis z ostateczną postacią książki znajduję sporo zmian i poprawek. Znaczna ich część zrodziła się z redaktorskich uwag. Np. zakończenie sprawy „grobu Masłowca" w jednym tomie, a nie odkładanie jej do trzeciego, na pewno wyszło książce na dobre. Przerzucając kartki Jeszcze Polski nie widzę scen, o których mógłbym powiedzieć, że spaskudził mi je redaktor(ka).

Dzieje się nienajgorzej, jeśli... — patrz wymienione wyżej warunki. Tyle o pluciu.

*

Dla uniknięcia nieporozumień wyjaśniam, że są to luźne notatki zebrane z marginesów wydanych książek. Dlatego nie o wszystkim była mowa i o wielu sprawach wspomniałem zbyt krótko.

Stanisław Zieliński

ADAM MAUERSBERGER

Ideologia polityczna Mickiewicza w 1848 i 1849 roku

LEGION POLSKI, SKŁAD ZASAD i TRYBUNA LUDÓW

Skład zasad (29 marca 1848) zwany też Symbolem politycznym był deklaracją ideową formacji wojskowej Legion Polski, założonej przez Mickiewicza i w r. 1848-9 walczącej o wyzwolenie Włoch. Legion zwany też Zastępem Pierwszym Polskim miał być zawiązkiem powszechniejszej formacji słowiańskiej p n. Słowiaństwo. Pod wspólnym słowiańskim sztandarem (półbiałym z krzyżem czerwonym, półczarnym z krzyżem białym; po jednej stronie orzeł biały na globie, niżej napis „Zastęp Pierwszy Polski", po drugiej — napis „Słowiaństwo") i w mundurach polskich ze znakiem Słowiaństwa (czerwona rogatywka, granatowa czamara z czerwonym kołnierzem, srebrne dystynkcje i guziki — i biały krzyż wyszyty na piersi; stąd nazwa „Krzyżowcy Polscy") rekrutować formacja ta miała Polaków i Słowian innej narodowości, emigrantów oraz jeńców i zbiegów z armii austriackiej, wysłanej do Włoch dla obrony tamtejszych posiadłości habsburskich i zwalczania ruchów narodowo-wyzwoleńczych.

W r. 1848 Włochy podzielone były jeszcze na szereg państw monarchicznych, znajdujących się pod panowaniem dynastii Habsburskiej, Sabaudzkiej, Burbońskiej, oraz pod panowaniem papieskim w Państwie Kościelnym. Z wybuchem rewolucji w Paryżu, która w dniach 23-24 lutego obaliła monarchię i zaprowadziła republikę, i z wybuchem rewolucji w Wiedniu w dniach 13-14 marca wrzenie rewolucyjne i powstania we Włoszech przeobraziły się w ruchy narodowo-wyzwoleńcze. Wypędziły one garnizony austriackie, zmierzały do zjednoczenia całych Włoch w jedno państwo narodowe. Wojska austriackie usunięte zostały z Wenecji przez rewolucję (17-22 marca), która powołała do życia Republikę Wenecką, i z Mediolanu (18-22 marca), gdzie ustanowiony został Rząd Tymczasowy Lombardii. Wówczas król Sardynii, Piemontu i Sabaudii, Karol Albert, wypowiedział wojnę Austrii (23 marca), a posiłki wysłali mu: Wielki Książę Toskanii, Leopold II Habsburg, papież Pius IX i król Neapolu, czyli Obojga Sycylii, Ferdynand II Burbon. Przyszłość okazała, iż wyżej wymienieni monarchowie, decydując się na ograniczenie swej władzy absolutnej, wprowadzenie reform konstytucyjnych i podjęcie kroków wojennych, na chwilę tylko odpowiadali aspiracjom narodowym Włochów, działali bowiem w obawie przed utratą tronu, przed powstaniem rewolucyjnych mas ludowych przeciwko panującym we Włoszech. Niebawem wkroczyli na drogę kontrrewolucji. Przekonywać się miał o tym Mickiewicz w ciągu 1848 roku. W ciągu roku 1849 na łamach redagowanej przez siebie Trybuny Ludów odsłaniał zdradziecką, antynarodową rolę Karola Alberta, Leopolda II i przede wszystkim Piusa IX. Na początku wszakże 1848 roku ulegał jeszcze złudzeniom, wedle których papież i inni monarchowie we Włoszech są rzecznikami włoskich aspiracji narodowych, i dał też temu wyraz w Składzie zasad, w rozkazie dziennym do Legionu i w przemówieniach do ludu

włoskiego we Florencji, Bolonii, Modenie i Mediolanie.

Skład zasad napisany przez Mickiewicza, inicjatora powstającej formacji wojskowej, został po wprowadzeniu poprawek (mowa o nich niżej), przyjęty i podpisany przez pierwszych uczestników Legionu, następnie przez Mickiewicza przetłumaczony na język włoski, w tymże języku wydrukowany (Simbolo politico polacco) w Rzymie, na koniec przez innych tłumaczy przełożony jeszcze na francuski i chorwacki i już nie drukowany. W tym różnojęzycznym brzmieniu stał się deklaracją ideową wspomnianej formacji. Jednocześnie (29 marca) Uchwałą Polaków Zebranych wybrano Mickiewicza Namiestnikiem albo Przewodnikiem Naczelnym Legionu (po włosku *Capo Conduttore*), czyli jego kierownikiem politycznym.

Skład zasad proponowany przez Mickiewicza wyraża postulaty bardziej postępowe niż ideologia Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i zbliżające się do stanowiska rewolucyjno-demokratycznego Ludu Polskiego. Dotyczą one przede wszystkim rewolucji agrarnej. Wedle § 14, w związku z § 13, Mickiewicz stoi na stanowisku wywłaszczenia majątków szlacheckich bez odszkodowania oraz uwłaszczenia chłopów, a po przeprowadzeniu rewolucji agrarnej (§ 13) oddania nowoutworzonych stosunków własnościowych „pod straż urzędowi narodowemu" (§ 14).

Natomiast w tekście polskim Składu zasad, przyjętym przez zebranych, i w tekście włoskim, za zezwoleniem cenzury papieskiej wydrukowanym w tłoczni Kongregacji Rozkrzewienia Wiary, po słowach w § 14 „wszelka własność" dodano „w stanie jak jest" *(proprieta attuale)*. Tym sposobem § 14 mówił o zachowaniu stosunków własnościowych i co najwyżej pozwalałby na wywłaszczenie za odszkodowaniem. Powyższa sprzeczność § 13 wyjaśnia różnicę między poglądami Mickiewicza, którym daje wyraz tekst w wydaniu niniejszym, a poglądami zebranych, dla których zjednano aprobatę władz kościelnych. Inną różnicę zawiera § 10. Sformułowanie Mickiewicza brzmiało: „Izraelowi... równe we wszystkim prawo." W nowej wersji natomiast równouprawnienie Żydów sprecyzowane jest wyraźniej w słowach: „równe prawo polityczne i obywatelskie" *(nei diritti politico-civili)*. Aby zdać sobie sprawę z postępowości tego postulatu i wagi uzyskanej przez Mickiewicza protekcji jenerała zakonu teatynów, Joachima Ventury, który doprowadził do ogłoszenia drukiem Składu zasad w Państwie Kościelnym, trzeba sobie uprzytomnić, iż w Rzymie ludność żydowska przebywała w getcie, gdzie poddana była uciążliwym rygorom i obowiązana do słuchania kazań katolickich. Inne hasła Składu zasad miały także znaczenie postępowe, a w Państwie Kościelnym rewolucyjne: wolność wyznania, słowa, druku, równość wobec prawa, powszechne prawo wyborcze, równouprawnienie kobiet, równouprawnienie mniejszości narodowych i obieralność urzędników. Rodowodu koncepcji Mickiewicza doszukiwać się można w tych postępowych poglądach, które wypowiadał on w r. 1847, odłączywszy się od ściślejszego koła towiańczyków, ale jeszcze jako towiańczyk. W Składzie zasad wyznaczał Mickiewicz Polsce wyjątkową, mesjanistyczną rolę i mówił językiem religijnym. Dopiero po doświadczeniach walk rewolucyjnych 1848-9 r. stanie się w r. 1849, w Trybunie Ludów, rewolucyjnym internacjonalistą, a w drugiej połowie tegoż roku wyzbędzie się religianckiego wysłowienia (por. S. Pigoń Studia literackie s. 170-

84; S. Żółkiewski Spór o Mickiewicza s. 216-7).

Legion Mickiewicza — jak wspomniano wyżej — utworzony został do walki o wyzwolenie Włoch wówczas, gdy wyzwolenie to utożsamiało się z wojną z Austrią. Po r. 1846 Austria, jako uosobienie despotyzmu, była państwem najbardziej znienawidzonym przez ludy Europy. Do uciskanych przez cesarstwo austriackie Słowian apelował Mickiewicz, i jego Skład zasad z 29 marca był niejako odpowiedzią na odezwę z 25 marca, ogłoszoną przez Rząd Tymczasowy Lombardii, który wzywał na pomoc uczestników paryskiej rewolucji 22-24 lutego oraz Szwajcarów, szczególnie zaś gorąco Polaków i innych Słowian, znajdujących się pod panowaniem Habsburgów. Rząd Tymczasowy nie stał na stanowisku utworzenia oddzielnego państwa Lombardii na miejsce dawnego Królestwa Lombardo-Wenecji, lecz na stanowisku utworzenia demokratycznego narodowego państwa włoskiego, które wyobrażano sobie pod przewodnictwem papieża (dokumenty rządowe zaczynały się od słów: „Niech żyje Pius IX. — Italia wolna — Rząd Tymczasowy Lombardii"). Jak wiadomo Rząd Tymczasowy w pierwszej chwili otrzymał posiłki od Karola Alberta, którego dowództwu poddał się, oraz posiłki od Piusa IX i Leopolda II. Toteż Legion wkroczy na linię bojową przy ich boku. Częściowe tylko powodzenie koncepcji Mickiewicza wytłumaczyć można nie tylko zdradą narodową monarchów, ograniczeniem rekrutacji do Polaków, kontygentu do stanu 600 ludzi, nieprzyznaniem prawa do oddzielnego sztandaru i innymi ograniczeniami, ale także stanowiskiem kleru włoskiego i polskiego (zakon Zmartwychwstańców w Rzymie) oraz zdradą narodową polskiego obozu konserwatywnego, znajdującego się pod przewodnictwem Czartoryskiego a reprezentowanego we Włoszech przez Zamoyskiego, który wszedł w służbę armii sardyńskiej, starał się rozbić i unicestwić Legion, przeciągnąć na służbę Karola Alberta poszczególnych oficerów. Zaważył tu przede wszystkim masowy napływ Polaków do Ojczyzny, gdzie Towarzystwo Demokratyczne Polskie przygotowywało powstanie.

Legion przy tym starał się być formacją innego niż dotychczas typu. Postępowe zasady kolegialnego rozstrzygania zagadnień politycznych oraz wyboru oficerów łączyły się tu z ogólnym zakonnym charakterem „Krzyżowców Polskich", którzy kontynuując tradycje towiańczyków zwracali się do siebie zachowanymi w listach Mickiewicza słowami „Bracie spółsługo", nie przyjmowali nadawanych im przez Włochów wojskowych orderów, tłumacząc, iż tylko „w sumieniu własnym a nie w odznakach honorowych nagrodę znaleźć mogą" i gdzie na koniec oficerowie gotowi byli służyć jako prości żołnierze.

W Rzymie Legion zdołał zgromadzić tylko 14 uczestników (byli to przeważnie artyści malarze, stypendyści warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych). 10 kwietnia zebrał Mickiewicz legionistów w kościele pod wezwaniem patrona Słowiańszczyzny, św. Andrzeja (kościół św. Andrzeja della Valle), i odczytał im Rozkaz dzienny. Następnego dnia, z Mickiewiczem na czele i pod dowództwem wojskowym ppłk. Nepumucena Siodołkiewicza, dawnego żołnierza napoleońskiego, oddział wyruszył z Rzymu poprzez Civita Veccia, Livorno, Empoli, Florencję, Bolonię, Modenę i Parmę do Mediolanu (1 maja). Pochód ten miał wielkie znaczenie agitacyjne. Przyczyniły się do tego budzące entuzjazm Włochów przemówienia Mickiewicza. W Mediolanie stan oddziału powiększył się

o 150 ochotników przyprowadzonych z Francji przez płk. Mikołaja Kamieńskiego. Legion zakwaterowany został w koszarach św. Hieronima (san Girolamo) i rozpoczął ćwiczenia wojskowe. 3 czerwca uzyskał podstawę prawną. 26 czerwca Mickiewicz udał się do Paryża, by zająć się akcją rekrutacyjną. Przed wyjazdem pozostawił instrukcję, w której pisał między innymi: „...obowiązek sumienia nam nakazuje o niepodległości włoskiej tylko myśleć i nią się tylko zajmować. Wypada dlatego popierać każdy ruch na tej drodze będący i oświadczać się od razu za każdym rządem i człowiekiem podobnego ruchu, choćby przyszło łamać egzystujące już formy rządów we Włoszech. Rządem i człowiekiem ruchu jest zawsze ten, kto najszczerzej pragnie wojny z Austrią". 27 czerwca Legion, pozostawiając w Mediolanie kompanię kadrową (45 ludzi), wyruszył na front w sile 120 ludzi pod dowództwem płk. Kamieńskiego, wszedł w skład korpusu gen. Jakuba Durando, przeszedł chrzest bojowy w bitwie nad jeziorem Garda, walczył pod Lonato-Dosenzano, gdzie Kamieński odniósłszy ciężką ranę stał się niezdolny do walki. W Vorcelli nastąpiło połączenie obu części Legionu. Komendę objął Siodołkiewicz. Po klęsce zadanej pod Custozzą wojskom dowodzonym przez Karola Alberta przeszedł Legion do Florencji. Połączył się tam z przysłanymi przez Mickiewicza oddziałami kpt. Haukego (60 ludzi) i dowodzonym przez por. Fijałkowskiego oddziałem (100 ludzi), który po drodze stoczył dwudniową walkę na barykadach Genui. Po wyjeździe Siodołkiewicza do Francji dowództwo objął Fijałkowski i Legion w sile 250 ludzi walczył w obronie Rzymu. Republika Rzymska przyznała mu prawo do oddzielnego sztandaru (29 maja 1849). Legion wchodząc w skład dowództwa Garibaldiego odznaczył się pod Velletri, koło Porta del Popolo, Porta Cavalegieri i Ponte Molle. Po upadku Rzymu legioniści odesłali sztandar Mickiewiczowi, rozproszyli się, przedostać się do Węgier nie mogli i jedni trafili do Grecji, gdzie i pozostali, inni do Turcji, inni jeszcze do Ameryki.

Znaczenie uczestników Legionu nie polega na liczebności kontyngentu bojowego, jakiego dostarczyli Włochom w walce o wolność. Ważny jest wkład Legionu Mickiewicza w dojrzewanie rewolucyjnej ideologii społeczno-politycznej, której służyli. Legioniści z pozycji wyjściowych przymierza z papieżem i innymi monarchami we Włoszech oraz składanych początkowo deklaracji (3 maja), iż w „żadnym wypadku" nie użyją broni przeciwko Republice Francuskiej, poprowadzeni zostali wskutek rozwoju rewolucyjnej ideologii społeczno-politycznej do obrony Republiki Rzymskiej przeciwko wojskom papieskim, interwencyjnym wojskom innych monarchów włoskich i interwencyjnym wojskom burżuazyjnej Drugiej Republiki francuskiej.

Legion Mickiewicza zaprzestał walki, gdy kontrrewolucja zadawała ostatnie już ciosy rewolucjonistom 1848 i 1849 roku.

T r y b u n a L u d ó w — tak po polsku zwykło się nazywać ukazującą się w języku francuskim gazetę L a T r i b u n e d e s P e u p l e s. Wychodziła ona w r. 1849 w Paryżu. Założycielem, naczelnym redaktorem i naczelnym publicystą politycznym owego dziennika był Mickiewicz. Jego artykuły oraz krótkie publicystyczne noty wchodzące w skład jednej z najważniejszych rubryk pisma, a mianowicie kroniki politycznej, do której not dostarczali i inni współpracownicy T r y b u n y, podane będą — w przekładzie polskim — w wydaniu książkowym.

Trybuna Ludów pojawiła się w drugim roku Wiosny Ludów, zapoczątkowanej 23-24 lutego 1848 r. wybuchem rewolucji w Paryżu. Rewolucja Lutowa, kładąc kres Monarchii Lipcowej króla Ludwiką Filipa, rządom oligarchii finansowej i systemowi opartemu na wysokim majątkowym cenzusie wyborczym, wywołana została fatalną sytuacją gospodarczą kraju i wzmagającą się nędzą mas. Sprowokowana była oporem reakcyjnego rządu premiera Guizota przeciwko postępowej reformie prawa wyborczego. Zainaugurowała Drugą Republikę francuską (1848—51). Podczas gdy monarchię obalił w walkach ulicznych proletariat, to władzę w republice pochwyciła burżuazja, ściślej mówiąc ten jej odłam, który znajdował się w opozycji do obalonego rządu. Byli to działacze zgrupowani wokół dziennika Le National z redaktorem naczelnym Armandem Marrast i poetą Lamartine'm na czele. Nie zmierzali oni do zniesienia cenzusu wyborczego w ogóle, lecz tylko do jego obniżenia. Nie do ustanowienia ustroju demokratycznego, lecz do zaprowadzenia rządów średniej burżuazji. Republikanami ogłosili się dopiero w czasie rewolucji, reformy społeczne przeprowadzili połowicznie i pod presją mas ludowych, w polityce zagranicznej realizowali zasadę nieudzielania pomocy ruchom narodowo-wyzwoleńczym, wysuwając hasło nieinterwencji (por. art. Mickiewicza pt. Nieinterwencja). Tymczasem robotnicy i rzecznicy proletariatu jednocząc się w tajnych sprzysiężeniach rewolucyjnych oraz zbierając się w jawnych klubach dyskusyjnych domagali się zbrojnej pomocy dla narodów, które podniosły powstania na wieść o ogłoszeniu republiki we Francji. Żądali od państwa pracy dla każdego obywatela, zgłaszali postulat republiki demokratycznej i społecznej, głosili hasła socjalistyczne, które wówczas nie wyrażały sprecyzowanego światopoglądu, lecz były tylko różnymi głosami krytyki ustroju opartego na ucisku mas pracujących i literackimi wizjami przyszłego społeczeństwa, postulatami demokratycznych reform społecznych czy tylko ich pragnieniem, nawet bez wyciągnięcia konsekwencji rewolucyjnych. Miano socjalistów obejmowało wspólną nazwą ludzi włączających się w Rewolucję Lutową. Utworzony w ostatnim dniu rewolucji burżuazyjnej Rząd Tymczasowy (faktycznym jego przywódcą był znakomity mówca Lamartine) starał się przechwycić hasła postępowe. Proletariat z biegiem czasu przekonywał się, że jest zdradzany. Zorganizował wielkie manifestacje w dniach 17 marca, 16 kwietnia, a pod hasłami pomocy dla Polski, Włoch i Niemiec — w dniu 15 maja 1848 r. Organizatorzy manifestacji majowej zostali schwytani i w r. 1849 zasądzeni wbrew prawu (por. art. Mickiewicza Przedmowa do procesu w Bourges). Pozbawiony przywódców proletariat podniósł w dniach 22-24 czerwca 1848 r. wielkie powstanie paryskie, zakończone klęską, rozstrzeliwaniami i deportacjami do oddalonych kolonii francuskich. Po okresie Rządu Tymczasowego (24 lutego — 4 maja 1848) władza przeszła do wybranej w powszechnym głosowaniu konstytuanty, czyli Zgromadzenia Narodowego Konstytucyjnego (4 maja 1848 — 25 maja 1849), w którym ogromną większość mieli reakcyjni burżuazyjni republikanie grupy Le National, Konstytuanta uchwaliła Konstytucję 4 listopada 1848 r. Charakterystyczne dla świeżo proklamowanego ustroju było, iż drogą powszechnego głosowania wybierany był nie tylko parlament, ale i prezydent republiki. Naród zatem wyznaczać będzie dwóch mandatariuszy. Prezydent w ra-

zie konfliktu z przedstawicielstwem narodowym odwoływać się będzie do plebiscytu, zaostrzając konflikt, w którym Zgromadzenie Narodowe pozostanie nadal — stroną. Również i opozycja, zwalczając większość parlamentarną i odpowiedzialny przed nią gabinet ministrów, odwoływać się może, omijając Zgromadzenie Narodowe, do drugiego mandatariusza narodu: prezydenta republiki. Ucieknie się do tego sposobu publicystyka Mickiewicza. Zabezpieczać republikę przed samowładztwem jednostki miał wybór prezydenta na lat cztery i bez prawa reelekcji. Przepis ten nie ostanie się w walce o władzę między obu mandatariuszami narodu. Wyniki wyborów na prezydenta republiki w dniu 10 grudnia 1848 r. wiernie wyrażały ówczesną sytuację polityczną Francji. Po nieudanych manifestacjach i powstaniu proletariat był pokonany i pozbawiony przywódców. Zdepopularyzowani byli burżuazyjni republikanie i ich kandydat, gen. Cavaignac, który nieludzko stłumił Powstanie Czerwcowe. Zdepopularyzowana w ogóle została Druga Republika skutkiem polityki Rządu Tymczasowego, który w fatalnym położeniu gospodarczym kraju obciążył niepomiernie nowymi podatkami 4 i $^1/_2$ miliona drobnych gospodarstw wiejskich, szerząc jednocześnie na wsi propagandę, wedle której to za pieniądze chłopów utrzymuje się kosztowny ustrój republikański i paryskich bezrobotnych, którzy go wywalczyli. (por. art. Mickiewicza pt. C h ł o p i). Przedstawiciele obalonej przed dziesięciu miesiącami monarchii nie mogą wystawić swego kandydata. Wówczas w trzydziestotrzymilionowej Francji pięciu i pół milionami głosów (była to liczba nie tak mała, zważywszy, że kobietom — do roku 1945 — nie przysługiwały we Francji prawa wyborcze) został wybrany człowiek nowy, głoszący hasła pacyfikacji wewnętrznej, przedstawiciel bonapartyzmu, w którym obrońcę ujrzeli właściciele drobnej parceli rolnej. Wybrańcem tym był bratanek Napoleona I, książę L u d w i k N a p o l e o n B o n a p a r t e (1808—1873). Zmierzał on do korony cesarskiej od dawna, choć wciąż temu zaprzeczał. Za czasów Ludwika Filipa próbował dwukrotnie (1836, 1840) wojskowego zamachu stanu. Skazany dożywotnio na twierdzę zdołał zbiec. Za Drugiej Republiki wszedł do Zgromadzenia Narodowego Konstytucyjnego. Szerząc rzekomo postępowe i socjalistyczne hasła bonapartystowskie realizował politykę reakcji. Skompromitowani zwolennicy obalonej dynastii dążąc do skompromitowania Drugiej Republiki uważali go za dogodne narzędzie, przy którego pomocy przywrócone zostałoby panowanie Burbonów. Ludwik Napoleon nie znajdując oparcia w słabej wówczas jeszcze partii bonapartystowskiej dawał zrazu do poznania, że znajduje się w opozycji do ugrupowań burżuazyjnych. Gdy pokonały one proletariat w r. 1848, a następnie i opozycję drobnomieszczańską w r. 1849, to w r. 1851 w ostatnich miesiącach swej prezydentury dokonał przy pomocy policji i wojska dnia 2 grudnia zamachu stanu, ustalając policyjno-wojskową dyktaturę w interesie własnej kliki burżuazyjnej. Dla swej „dziesięcioletniej prezydentury" i proklamowanego w r. 1852 cesarstwa (przybrał imię Napoleona III) znalazł sankcję w powszechnym głosowaniu. Rządy jego polegały na terroryzowaniu mas robotniczych i podniecaniu szowinizmu narodowego wśród drobnomieszczaństwa i burżuazji. Napoleon III wyprowadził Francję z izolacji dyplomatycznej, w jakiej pozostawała ona od upadku Napoleona I, wszczynając wespół z Anglią przeciw Rosji carskiej wojnę krymską (1853—6), będącą wyrazem rywalizacji

mocarstw na Bałkanach. W r. 1859 w wojnie z Austrią doprowadził do częściowego zjednoczenia Włoch. W obawie przed ruchem rewolucyjnym, jaki ogarnąć mógłby cały półwysep, Napoleon III jeszcze w czasie działań wojennych wszedł w porozumienie z Austrią, zdradzając sojusznicze Królestwo Sardynii i chroniąc nadal Państwo Kościelne przy pomocy francuskiego korpusu interwencyjnego. W r. 1870 wypowiedział wojnę Prusom i poniósł klęskę, która położyła kres Drugiemu Cesarstwu.

Gdy w r. 1849 zaczęła się ukazywać Trybuna, fala rewolucyjna opadała już w Europie i sukcesy odnosiła kontrrewolucja. Rewolucja była już pokonana w Austrii i los jej przesądzony był w Niemczech. Walki narodowo-wyzwoleńcze toczyły się we Włoszech i na Węgrzech. We Włoszech rewolucja obaliła Państwo Kościelne i 9 lutego ustanowiła demokratyczną Republikę Rzymską. Na miejsce Wielkiego Księstwa Toskańskiego z Habsburgiem na tronie tworzy się 18 lutego republika. 12 marca królestwo Sardynii wznawia przerwaną przed rokiem wojnę z cesarstwem austriackim Habsburgów i niemal natychmiast ponosi bezprzykładną klęskę. 25 kwietnia francuski korpus interwencyjny gen. Oudinota, sekundując armii austriackiej marsz. Radetzkiego, ląduje we Włoszech, unicestwia Republikę Rzymską i przywraca Państwo Kościelne (3 lipca 1849). Wojsko austriackie przywraca Wielkie Księstwo Toskańskie (28 lipca 1849).

Ostatnia kapituluje powstała jeszcze w r. 1848 Republika Wenecka (22 sierpnia 1849). Podczas gdy na Węgrzech szerzą się walki narodowo-wyzwoleńcze, 1 lutego wkracza do Siedmiogrodu wysłana na pomoc monarchii Habsburskiej armia cara Mikołaja I pod dowództwem Paskiewicza. Zdławiła ona powstanie węgierskie (13 sierpnia 1849).

Z wiosną 1849 r. (pierwszy numer Trybuny ukazuje się w dniu 15 marca) Francja wchodzi w okres kampanii wyborczej do Zgromadzenia Narodowego Ustawodawczego. Już przed nowymi wyborami, w dniu 13 maja rządy Drugiej Republiki przechodzą stopniowo od reakcyjnej burżuazji republikańskiej do monarchistycznej, czyli od partii Le National, mającej ogromną większość w Zgromadzeniu Narodowym Konstytucyjnym do Partii Porządku, mającej ogromną większość w Zgromadzeniu Narodowym Ustawodawczym (28 maja 1849 — 2 grudnia 1851 roku). Partia Porządku (partia przywrócenia dawnego porządku, czyli ustroju, przynajmniej sprzed Rewolucji Lutowej) składa się z monarchistów różnych odcieni. Są to politycy obalonej przez Rewolucję Lutową Monarchii Lipcowej Ludwika Filipa oraz politycy obalonej przez Rewolucję Lipcową dawnej monarchii burbońskiej Ludwika XVIII i Karola X, zainstalowanej we Francji przez armie koalicyjne po upadku Napoleona I. Przyłącza się do nich grupa działaczy katolickich opierających się o nabożne organizacje przy kościołach parafialnych. Do Partii Porządku wchodzi jeszcze kilka osobistości spośród tych bonapartystów, którzy jawnie mienią się konserwatystami. Partia Porządku zwalcza hasła socjalistyczne, argumentując konieczność „obrony społeczeństwa przed anarchią". W wyborach do Zgromadzenia Narodowego Ustawodawczego przepada niemal doszczętnie stronnictwo Le National. Opozycję stanowi partia zwana czerwoną, przez przeciwników demagogiczną, a która przybrała imię Nowej Góry na pamiątkę Jakobinów 1793 r., nie mając z nimi nic wspólnego prócz nazwy. Nie będzie to partia rewolucyjna (rewolucyjny proletariat w Zgromadzeniu w ogóle nie będzie reprezento-

wany), lecz tylko partia drobnomieszczańskich demokratów. Przekonamy się niżej, iż ograniczy się ona do bezpłodnej opozycji parlamentarnej i prawniczych zastrzeżeń, jakie wysunie jej przywódca, adwokat Ledru-Rollin. Nigdy też nie stanie ona na czele rewolucyjnego proletariatu, ale w decydujących momentach, pomimo wahań, pójdzie krok w krok za reakcyjnymi politykami burżuazyjnymi i wreszcie straci wszelkie znaczenie po wydarzeniach w dniu 13 czerwca 1849 r., które ściśle są związane z losami T r y b u n y. Sympatykiem Nowej Góry jest jeden z przywódców bonapartystowskich, brat stryjeczny prezydenta Ludwika Napoleona — książę N a p o l e o n H i e r o n i m B o n a p a r t e (1822—1891). Polityk ten, zwany „Księciem Góry", znajdować się będzie w rzekomej (postępowej) opozycji, głosząc hasła antyklerykalne, manifestacyjnie demonstrując swój sprzeciw co do interwencji korpusu gen. Oudinota, wygłaszając całe życie mowy w obronie Włoch i Polski. Mowy te obliczone na silne wrażenie nie będą nigdy zawierać konkretnych postulatów. Jak rzeczywistość okazała, łudziły one tylko pozorem, budziły nieuzasadnione nadzieje, usypiały czujność i stanowiły dywersję.

W odróżnieniu od głosów parlamentarnych, pośród których dadzą się słyszeć i socjaliści utopijni: Piotr Proudhon, Piotr Leroux, Wiktor Considérant — krytyczne wobec nich stanowisko zajmie Mickiewicz. Prawdziwą wagę mieć będą dla uświadomienia społecznego i politycznego wspomniane wyżej kluby dyskusyjne, które Mickiewicz nazwie „uniwersytetami dla ludu". W samym Paryżu będzie ich około 300. Gdy zróżnicowały się one, odpowiadając potrzebom poszczególnych środowisk i grup zawodowych, to wówczas formę klubowych organizacji przejęły i ugrupowania reakcyjne. Kluby stały się niejako specyficzną instytucją ustrojową w r. 1848—9. Że ogólnie służyły one postępowi społecznemu, dowodzi fakt, iż w r. 1849 burżuazyjne rządy je zlikwidowały, przeciwko czemu walczył Mickiewicz w artykule O w o l n o ś ć s t o w a r z y s z e ń i z g r o m a d z e ń. Dopiero na tle ruchu klubowego i na tle żywiołowego po Rewolucji Lutowej rozwoju prasy codziennej, wyzwolonej z cenzury datującej się od 1835 r., uwolnionej od ograniczeń w rozpowszechnianiu gazet, jak zakaz kolportażu ulicznego gazet, zakaz rozpowszechniania gazet poza prenumeratą miesięczną, jak sztuczne podrożenie gazet przez obciążenie ich opłatą stemplową — następnie na tle postępującego w r. 1849 dławienia prasy przez kontrrewolucję burżuazyjną— rozpatrywać można dzieje T r y b u n y, jej założenie, jej czasowe zawieszenie w dniu 13 czerwca, zmuszenie Mickiewicza do wyjścia z redakcji, na koniec doprowadzenie do zupełnej likwidacji pisma w tymże roku.

Pierwszy numer T r y b u n y ukazał się, gdy w polityce wewnętrznej przygotowywała się wspomniana już kampania wyborcza do Zgromadzenia Narodowego Ustawodawczego, w polityce zagranicznej przygotowywała się francuska interwencja zbrojna przeciwko Republice Rzymskiej a na rzecz przywrócenia Państwa Kościelnego, gdy objawiał się wyraźnie podstawowy konflikt epoki: walka między burżuazją a proletariatem. Walka ta łączyła się wyraźnie z tłumieniem przez burżuazję francuską ruchów narodowo-wyzwoleńczych poza granicami Francji. Po jednej stronie znalazł się zatem ruch rewolucyjny i walki narodowo-wyzwoleńcze, a po drugiej stronie burżuazyjny rząd francuski, przyłączający się jawnie do obozu kontrrewolucji, któremu przewodził carat Mikołaja I.

W tej sytuacji Mickiewicz zakłada pismo, które stoi na stanowisku rewolucji społecznej i walk narodowo-wyzwoleńczych.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że do inicjatywy Mickiewicza przyłączają się politycy francuscy zbliżeni do Nowej Góry, że zbliżony do „Księcia Góry" zagorzały antyklerykał Ksawery hr. Branicki, dawny magnat polski, który stał się francuskim kapitalistą, użycza poparcia znanemu z pronapoleońskich sympatii Mickiewiczowi i użycza funduszów na prowadzenie pisma, które zwalczać będzie przywrócenie Państwa Kościelnego. Zrozumiałą jest także rzeczą, że cofa on swą subwencję, gdy objawia się wyraźnie podstawowy konflikt epoki: walka między burżuazją a proletariatem. Jasne jest także, iż gdy w grę wchodzi gospodarowanie przyznawaną subwencją, Mickiewicz godzi się, by niezależnie od redakcji powstał rodzaj komisji rewizyjnej: Dyrekcja Trybuny Ludów. Nie miesza się ona oczywiście do kierunku politycznego pisma. Na czele dyrekcji stanie zresztą przedstawiciel obozu politycznego zwalczanego bezwzględnie w Trybunie, b. senator, Narcyz hr. Olizar (1794—1862), jeden z założycieli konserwatywnego stronnictwa polskiego na emigracji: partii Trzeciego Maja.

Mickiewicz, w czasach gdy prasa francuska mało poświęca miejsca sprawom polityki zagranicznej, zakłada pismo międzynarodowe, które i tym się różni od innych gazet, że stoi na stanowisku rewolucyjnego internacjonalizmu. Zbiera współpracowników francuskich (17) oraz przedstawicieli emigracji polskiej (5), włoskiej (2), rosyjskiej (3), rumuńskiej (3), niemieckiej (1), hiszpańskiej (1), chorwackiej (1), belgijskiej (1) i chilijskiej (1).

Oto lista współpracowników Trybuny: Karol Arnould, Andrzej Calay, Eugeniusz Carpentier, Karol Cassan, Hipolit Castille, Klaudiusz-Henryk Dameth, Dupuis Delcourt, Paweł Dugers, Ksawery Farjon, Alfons Hermant, Jan Julvécourt, August Lacaussade, Juliusz Lechevalier, Karol Martin, Ange Péchméja, Pluchonneau starszy, Paulina Roland (Francuzi); Ksawery Bronikowski, Karol Edmund Chojecki, Franciszek Grzymała, Adam Mickiewicz, Leopold Lew Sawaszkiewicz (Polacy); Ludwik Frapolli, Józef Ricciardi (Włosi); Iwan Gołowin, Sazonow, Iwan Wojnow (Rosjanie); Mikołaj Balcesco, Ion Bratiano, S. Galcesco (Rumuni); Herman Ewerbeck (Niemiec); Ramon La Sagra (Hiszpan); Andrzej Berticz (Chorwat); Jan Colins (Belg) i Franciszek Bilbac (Chilijczyk).

Mamy niewiele wiadomości biograficznych i tylko o kilku spośród współpracowników Mickiewicza. Najsłynniejszym bez wątpienia jest Karol Edmund Chojecki (1822 — 1899). W r. 1949 została wznowiona jego powieść Alkhadar (1854), występująca przeciw reakcji społecznej i wykazująca wspólność interesów księcia, bankiera i jezuity w Galicji w epoce Metternichowskiej. Sojusz ten był odpowiednikiem francuskiego przymierza, zawiązanego pod hasłami obrony własności, rodziny i religii przez monarchistów, żydowską finansjerę i kler katolicki. Przymierze to atakował Mickiewicz w Trybunie w artykułach pt. Poatierczycy. Chojecki jest jeszcze znakomitym tłumaczem wznowionej w r. 1950, nieznanej dziś we francuskim oryginale powieści Jana Potockiego Rękopis znaleziony w Saragossie. W r. 1849 znany był jako autor świeżo wydanej broszury Rewolucjoniści i stronictwa wsteczne (1849, drugie wyd. 1865), w której zbliżał się do stanowiska rewolucyjno-demokratycznego i udowadniał

związek rewolucji społecznej z walkami narodowo-wyzwoleńczymi. Opuścił Trybunę, gdzie był sekretarzem redakcji, nie godząc się z pronapoleońskimi poglądami Mickiewicza. Jednocześnie, zacieśniając swą przyjaźń z hr. Branickim i „Księciem Góry", przechodził stopniowo na bonapartystowskie, coraz jawniej reakcyjne stanowisko, następnie na skrajnie konserwatywne, jako jeden z założycieli i głównych akcjonariuszy dziennika Le Temps (Czas). Dla współczesnych był jeszcze Chojecki francuskim powieściopisarzem i autorem sztuk użytecznych (pseudonim Charles Edmond) oraz człowiekiem wielkiej pozycji towarzyskiej w świecie literackim Paryża. Założenie Trybuny poprzedziło przyjęcie u Chojeckiego, opisane przez Hercena w Rzeczach minionych i rozmyślaniach.

Nie podpisujący swych artykułów w Trybunie Hipolit Castille (1820 — 1886) okazał się później jednym z najwybitniejszych pamflecistów francuskich. W wydanej w r. 1854 pracy Les hommes et les choses sous le règne de Louis Philippe (Ludzie i sprawy za panowania Ludwika Filipa) poszedł on szlakiem Histoire de dix ans (Historii lat dziesięciu) Ludwika Blanc i artykułów Mickiewicza z cyklu Orleanizm. W r. 1869—73 w ogłoszonych anonimowo Lettres d'Alceste (Listy Alcesta) dał pamflet na cesarstwo Napoleona III i kontrrewolucję wersalską. W r. 1848—9 Castille starał się zbliżyć do stanowiska rewolucyjno-demokratycznego i pogodzić je z bonapartyzmem. Następnie jawnie pogodził się z reżimem Drugiego Cesarstwa.

Do najpiękniejszych postaci Rewolucji Lutowej należy Paulina Roland (1810—1852). Obok Eugenii Niboyet, Joanny Deroin stała ona na czele ruchu feministycznego. Ruch ten nawiązując do poglądów Saint-Simona rozpoczął się za Monarchii Lipcowej, a rozwija się w r. 1848 wokół Klubu Głosu Kobiet, pisma tejże nazwy (La Voix des femmes i innych jak La Tribune des Femmes (Trybuna Kobiet) i Opinion des Femmes (Pogląd Kobiet). Ruch ten stawia sobie zadanie: przekonać, iż zdobycze Rewolucji Lutowej ogarniać winny i kobiety. Domaga się przyznania kobietom praw wyborczych, prawa do pracy, które ochroni kobietę z ludu od prostytucji, żąda opieki państwa nad macierzyństwem, żąda dla kobiet dostępu do szkoły. Postulaty te zwalczane są kpinami i uznane za antykonstytucyjne. Wśród socjalistów przeważa oportunistyczny argument Micheleta, iż gdy prawa wyborcze nadane zostaną kobietom, to oddadzą one swe głosy na księży. Wkładem Pauliny Roland w ruch feministyczny jest jego związanie z ruchem postępowych nauczycieli i sprawą robotniczą. Współzałożycielką Braterskiego Związku Wychowawców Socjalistycznych (1849), który z kolei wszedł w skład Związku Związków Robotniczych, jest Paulina Roland. W okresie zbliżającego się zamachu stanu Ludwika Napoleona deportowano ją do kolonii francuskich w Afryce, umieszczono w karnym obozie w Lambessa. (W r. 1849 ogłaszała ona w Trybunie artykuły o emancypacji kobiet i w sprawie oświaty).

Ludwik Frapolli (1815—1878) był w r. 1849 posłem Republiki Toskańskiej i Republiki Rzymskiej w Paryżu. Domagał się od Republiki Francuskiej pomocy zbrojnej na rzecz wyzwolenia Włoch. Został wysiedlony po unicestwieniu Republiki Rzymskiej przez armię interwencyjną wysłaną przez Ludwika Napoleona. Frapolli był stronnikiem Mazziniego, po utworzeniu Królestwa Włoch — przywódcą partii liberalnej i wielkim mistrzem włoskiego wolnomularstwa. Józef hr. Ric-

ciardii (1808—1882) był zwalczającym Mazziniego i Giobertiego republikaninem, rewolucyjnym demokratą o radykalnych przekonaniach. Od początku konsekwentnie zwalczał politykę Piusa IX, tłumacząc, iż papiestwo w samej swej istocie nie da się pogodzić z wyzwoleniem społecznym i narodowym Włoch i w ogóle z pojęciami wolności. Gdy Pius IX przeprowadził przez sobór watykański dogmat o nieomylności papieskiej, Ricciardi zwołał do Neapolu antysobór: międzynarodowy kongres intelektualistów. Obrady jego pod presją rządu francuskiego i ze względu na ich republikański charakter zostały przez rząd włoski przerwane. Ricciardi był uczestnikiem spisków rewolucyjnych i brał udział w walkach o niepodległość Włoch. Chilijczyk Franciszek Bilbao, uczeń Lamennais'go, Mickiewicza, Micheleta i Quineta był rewolucjonistą zbliżonym poglądami do Barbèsa. Wywierał on wpływ na Trybunę w kierunku republikańskim i antyklerykalnym. Po powrocie do Chile był jednym z głównych działaczy nieudanej rewolucji 1850 r. Po jej upadku schronił się do Peru (głęboką jego charakterystykę dał Mickiewicz w rozmowie z Armandem Lévy. Wyd. sejm. XVI, 383—4; szczegóły dorzucił Wł. Mickiewicz Pamiętniki I, 155—61).

Herman Ewerbeck (1816—1860), były kierownik paryskiej organizacji Związku Komunistów, w której skład wchodzili czeladnicy niemieccy, faktycznie ją zlikwidował, gdy w r. 1848 wyprawił do Niemiec swych towarzyszy, za namową Lamartine'a, a jak wiadomo, wbrew opinii Karola Marksa. Za zwolennika komunizmu naukowego może być Ewerbeck uważany tylko w latach 1846—7, gdy znajdował się pod osobistym wpływem Engelsa. W r. 1849, jak i w latach następnych, wyznawał swą dawną ideologię komunizmu utopijnego, należąc do najczynniejszych działaczy organizacji ikarzystów i będąc blisko związany z przywódcą ich klubu, Stefanem Cabet. W r. 1854 podążył też Ewerbeck za Cabetem do Ameryki, wstąpił do gminy ikarzystów w Nauovoo.

Leopold Lew Sawaszkiewicz był historykiem ze szkoły Lelewela i na emigracji działaczem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Franciszek Grzymała (1790—1871) stary dziennikarz warszawski — to redaktor pisma, które pierwsze zamieściło recenzję poezji Mickiewicza (Astrea, 1823, III, 215). Poeta w pierwszych latach emigracji napisał o nim kilka humorystycznych wierszy. O biografiach pozostałych współpracowników Trybuny nie mamy nawet ułamkowych wiadomości.

Skład Trybuny był pod względem ideologicznym niejednolity. Do Proudhona zbliżeni byli: Chojecki, La Sagra i Lechevalier. Lechevalier i Dameth byli propagatorami furieryzmu, Ewerbeck — ikaryzmu, Paulina Roland z saint-simonistki stała się zwolenniczką Piotra Leroux. Jeden ze współpracowników włoskich był stronnikiem Mazziniego, drugi — zwalczającym mazzinizm rewolucyjnym demokratą. Rosjanie podzielali poglądy anarchisty Bakunina. Mickiewicz poddawał krytyce antyrewolucyjne i reformistyczne stanowisko socjalistów utopijnych (Proudhona, Piotra Leroux, furierystów). Krytykował antyrewolucyjną politykę drobnomieszczańskiej Nowej Góry, do której należał Lechevalier. Sprawił, iż dominujący w Trybunie był głos emigrantów z uciśnionych krajów, domagających się wyzwolenia narodowego, i głos rzeczników rewolucji społecznej. Postawę swą starał się pogodzić z bonapartyzmem, którego sensu antyrewolucyjnego nie pojmował, dopatrując się

w nim myśli rewolucyjnej, a w jego militaryzmie — zbrojnej pomocy w walkach o niepodległość. Miał za sobą Castille'a, Colinsa i Carpentiera. Przeciwko niemu obrócili się: Chojecki, Paulina Roland, Lechevalier, La Sagra, Gołowin i Lacaussade. Lecz decydujący o losach Trybuny nie okaże się spór o ideę napoleońską, lecz wybór między stanowiskiem rewolucyjnym, reprezentowanym przez Mickiewicza, a drobnomieszczańskim, reprezentowanym przez Juliusza Lechevalier. Probierzem będą wydarzenia 13 czerwca.

Mickiewicz zachorował czy chorował dyplomatycznie, ustępując w Trybunie przed zwolennikami Nowej Góry, której przedstawiciel, Lechevalier, stał się rzeczywistym redaktorem pisma i uczynił je organem wyżej wymienionej partii, rozporządzającej dotąd następującymi dziennikami: 1) La Reforme (Reforma), organ Ledru-Rollina. 2) Le Peuple (Lud), organ Proudhona. La Vraie République (Prawdziwa Republika) organ Barbèsa. 4) La Démocratie pacifique (Demokracja Pokojowa), organ propagatora furieryzmu, Considéranta. 5) La Révolution démocratique et sociale (Rewolucja Demokratyczna i Społeczna), organ Delescluze'a. Lechevalier reprezentował Trybunę w komitecie prasowym Nowej Góry i w swym piśmie ogłaszał jej proklamacje. 4 czerwca wszczęła Trybuna gwałtowny atak na prezydenta Ludwika Napoleona i ministrów, którzy wbrew uchwale Zgromadzenia Narodowego z dnia 7 maja nie nakazali gen. Oudinotowi zaprzestania działań wojennych przeciwko Republice Rzymskiej. Trybuna powołała się na art. 5 konstytucji, który głosi, że Francja nie podejmie podbojów i nie użyje nigdy broni przeciwko wolności jakiegokolwiek kraju i na art. 110, który obwieszcza, że patriotyzmowi wszystkich Francuzów powierzona jest straż konstytucji. Trybuna w dalszym ciągu domagała się oddania prezydenta i ministrów pod sąd. Jednocześnie w Zgromadzeniu Narodowym Ledru-Rollin rozwijał tę samą prawniczą argumentację i dodawał: „Będziemy bronili pogwałconej konstytucji nawet z bronią w ręku!" Jednakże proletariat nie miał zaufania do Nowej Góry. Przecież jej przywódca, Ledru-Rollin, w przeddzień Rewolucji Lutowej przeciwny był wystąpieniu zbrojnemu proletariatu. Gdy znalazł się w Rządzie Tymczasowym pośród burżuazyjnych republikanów, konsekwentnie zajmował stanowisko proburżuazyjne i antyludowe, aż wreszcie, jako minister spraw wewnętrznych, 23 czerwca w czasie powstania proletariatu paryskiego wydał wojsku rozkaz wystąpienia przeciwko robotnikom. Nowa Góra nie podjęła żadnej agitacji rewolucyjnej wśród proletariatu, zorganizowała w dniu 13 czerwca manifestację, rekrutując drobnomieszczaństwo, do którego przyłączyła się niewielka liczba robotników. Wojsko po kilku godzinach rozproszyło manifestantów. Przywódcy zostali schwytani. W nocy z 13 na 14 czerwca zostały zawieszone wszystkie z wyżej wymienionych pism socjalistycznych. W zajęciu lokalu Trybuny Ludów (7, Rue Neuve des Bons Enfants) i drukarni brało udział pół batalionu wojska, 40 tajnych policjantów i mundurowych. Całością dowodził komisarz policji nazwiskiem Primorin. Zaaresztowani zostali redaktor odpowiedzialny Carpentier oraz dwaj pracownicy. Tak rzecz wyglądała wedle wersji, którą można było ogłosić w Trybunie 1 sierpnia po wznowieniu pisma. Dodać trzeba, że Mickiewicz ukrywał się do dnia 7 lipca. Lechevalier nadesłał do władz oświadszenie, iż bierze całkowitą odpowie-

działność za kierunek pisma podczas nieobecności naczelnego redaktora, po czym zbiegł za granicę, podobnie jak Ledru-Rollin, Considérant i Delescluze, wszyscy czterej zostali zaocznie skazani na dożywotnią deportację w procesie o udział w wydarzeniach 13 czerwca. Było w interesie burżuazji, żeby proces nie toczył się w samym Paryżu, wówczas już mieście milionowym, skupiającym proletariat. Sprawa więc odbyła się w Wersalu, odległym o 20 km od stolicy, w miasteczku wyludnionym, bowiem po rewolucji 1789 r. słynny pałac królewski nie był już siedzibą dworu a ludność Wersalu zmniejszyła się do jednej trzeciej, nie przekraczając liczby 28.000 mieszkańców w r. 1849. W ciągnącej się przez październik i listopad sprawie było oskarżonych 67 (zaocznie sądzonych 36), na deportację skazanych 53, na 5 lat więzienia 3, uwolnionych — 11. Tym sposobem burżuazja pozbyła się z parlamentu 30 posłów opozycji drobnomieszczańskiej. Za sprawozdanie z rozprawy uznane za tendencyjne i obrazę sądu w dodatkach sądowych do Trybuny z dnia 11—14 października — ten sam sąd w Wersalu dnia 27 października skazał redaktora odpowiedzialnego, Alfonsa Hermant, na miesiąc więzienia i 11 000 franków grzywny opierając się na ustawie z 1822 r.

Możemy przedstawić pogląd Mickiewicza na wydarzenia 13 czerwca. Znamy jego pogląd zasadniczy na politykę Nowej Góry, sformułowany w nocie publicystycznej, ogłoszonej w n-rze 9 Trybuny z dnia 23 marca. Mickiewicz poddaje surowej krytyce demonstrację Nowej Góry w Zgromadzeniu Narodowym. Występuje przeciwko manifestacji, która „miała wszelkie znamiona przygrywki do rewolucji, świadczyła w gruncie rzeczy tylko o niezmiernym rozdrażnieniu w parlamencie". Występował przeciwko zgłaszanym zastrzeżeniom natury prawniczej, po których nie następują „wydarzenia lipcowe i lutowe", „poruszenie całej ludności Paryża", tj. rewolucja. Występował zatem przeciwko czczym manifestacjom oderwanej od proletariatu Nowej Góry, zdolnej tylko do wyłuszczenia jurydycznych argumentów, niezdolnej do wywołania rewolucji. Ten sam zasadniczy pogląd lapidarniej precyzował Mickiewicz, gdy w Trybunie, po wznowieniu pisma, w artykule Braterstwo międzynarodowe, omawiał wydarzenia czy raczej manifestację z dnia 13 czerwca. Pisał, iż nie było „nic bardziej legalnego" niż owa manifestacja. „Rząd się nią przestraszył, lud jej nie dowierzał". „Zbałamucono opinię publiczną". Organizatorzy manifestacji chcieli „zmienić co? — zapytuje Mickiewicz — System rządów? Nie..., skład osobowy rządzących". Zatem Nowa Góra w dniu 13 czerwca nie zmierzała do obalenia ustroju, ponieważ ruch przez nią wywołany przebiegał omijając proletariat i owa drobnomieszczańska demonstracja uliczna (Marks powie dowcipnie „procesja") mieściła się całkowicie w systemacie ustroju burżuazyjnego, w którym to burżuazja rozgromiła też drobnomieszczaństwo, a reprezentująca je Nowa Góra zajmowała jak i dawniej stanowisko antyrewolucyjne, wznosząc tylko okrzyki na cześć konstytucji i na cześć Republiki Rzymskiej. Przywódcy Nowej Góry — pisze Mickiewicz — „narazili na szwank zasadę braterstwa międzynarodowego i opóźnili jej triumf na długo. A jednak wcześnie czy później zasada ta musi zatriumfować".

Przerwa w wydawaniu Trybuny trwała dwa i pół miesiąca. W tym czasie Rzym kapituluje. Interwencyjne wojska Drugiej Republiki i cesarstwa Habsburgów kładą kres walkom o wyzwolenie Włoch, interwencyjne wojska

carskie — powstaniu węgierskiemu. We Francji sądy wojskowe rozprawiają się nie tylko z politykami Nowej Góry, przede wszystkim starają się pochwycić działaczy proletariackich. Okrzyk „Niech żyje Republika Demokratyczna i społeczna" uznany jest za przestępstwo. Postępowi przywódcy emigracji polskiej są wysiedlani, przestaje się ukazywać Demokrata Polski (ostatni numer 25 lipca). Wprowadzona zostaje 27 lipca kagańcowa cenzura prasowa. Ludwik Napoleon, objeżdżając kraj w ciągu lata, wznosi toast na cześć tych, którzy „decydują się niezależnie od wyznawanych przekonań uznawać i szanować ustrój Francji". Gdy Trybuna została wznowiona, Branicki po dwóch tygodniach cofa swą subwencję. Policja zagroziła Mickiewiczowi, iż również będzie wysiedlony, jeśli zostanie stwierdzona jego współpraca z Trybuną. Dawał więc Mickiewicz swe artykuły do przepisania inną ręką. Poglądy jego coraz wyraźniej zbliżają się do konsekwentnych pojęć rewolucyjno-demokratycznych, w miarę jak kontrrewolucja stawała się coraz bardziej jawna. Artykuły stają się coraz bardziej bezlitosnymi pamfletami. Interesy mas ludowych coraz wyraźniej są rozbieżne z interesami burżuazji, której zdradziecka rola jest zupełnie już oczywista. Dowodem ewolucji w ideologii Mickiewicza jest osłabienie jej elementów idealistycznych: stosunek do kościoła i stosunek do bonapartyzmu są tego dowodem. Mickiewicz na jesieni 1849 r. nie ma złudzeń co do roli kleru i funkcji społecznej propagowanej przezeń religii, roli papieża i hierarchii kościelnej, która frazesem miłości chrześcijańskiej osłania nienawiść do ludu. Pisze Mickiewicz, iż ksiądz jest czymś obcym, wrogim, nazwijmy rzecz po imieniu: „czymś odrażającym". (W oryginale *hideux* — dosł. „ohydnym"). „Duchowieństwo wiedziało o tym dobrze: nie dowierzało ludowi, bało się go, nienawidziło". „Zbędne mówić o stanie duchowieństwa zakonnego". Kardynałowie „są przeważnie ludźmi o umyśle pospolitym, charakterze nijakim (w oryginale *d'un caractère nul* — dosł. „ludźmi bez charakteru") i miernym wykształceniu". (Por. art. Pius IX). Już wcześniej, w nocie w n-rze 25 z 7 kwietnia pisał, iż lud „nie powinien dowierzać wysokim dostojnikom Kościoła, którzy wszyscy są jednakowo przywiązani do kultu absolutyzmu, bez względu na to, czy jest to absolutyzm mahometański, heretycki, czy nawet ateistyczny". Stwierdza stanowczo oparcie się Kościoła na wyzysku feudalnym a następnie kapitalistycznym. W jednym z najznakomitszych swych pamfletów pt. Pius IX określa najdobitniej rolę papieża. W artykule Braterstwo międzynarodowe daje wyraz przekonaniu, iż epoka Kościoła minęła bezpowrotnie: „W wiekach teokracji oczy ludów były utkwione w księdza. Ksiądz nauczał, ksiądz przykładem swym wskazywał, jak należy wypełniać słowa nauki. W naszej politycznej epoce stanowisko, jakie w świecie zajmują politycy, wkłada na nich ten podwójny obowiązek". Oczywiście politycy w służbie postępu społecznego.

By zdać sobie sprawę z postępowego rozwoju światopoglądu Mickiewicza, trzeba wziąć pod uwagę rozwój ideologiczny poety na całej przestrzeni lat 1848—9, trzeba sobie uprzytomnić, iż na wiosnę 1848 r. w rozkazach do polskiego legionu i przemówieniach do ludu włoskiego wyznaczał on jeszcze Polsce wyjątkową, mesjanistyczną rolę, iż jego postawa oraz myśli i wysłowienie były jeszcze na wskroś religianckie. Rozkaz dzienny z 10 kwietnia 1848 r. datowany jest z jednego z rzymskich kościołów. Przecież zabiegał Mickiewicz o błogosławieństwo papieskie re-

likwiami świętego Andrzeja, „patrona słowiańszczyzny", sławił Piusa IX — („Bóg jest sprawiedliwy. Głos Piusa IX poruszył Włochy.") Przemawiając do ludu w Toskanii, wychwalał wielkiego księcia toskańskiego, Leopolda II Habsburga, widząc „wielkiego zdrajcę ludów" tylko w królu Ludwiku Filipie i cesarzu austriackim (Przemówienie do ludu we Florencji 16 kwietnia 1848 r.). Natomiast na jesieni roku 1849 w ostatnich numerach Trybuny zajmuje się Mickiewicz wyłącznie konkretnymi zagadnieniami politycznymi i ekonomicznymi. Krytycznie omawia poszczególne posunięcia w grze dyplomatycznej pisząc artykuły: Rosja a Turcja, Zatarg francusko-amerykański, Rosja a Szwajcaria, Francja a Rosja, albo wypowiadając się na temat: Podatek a socjalizm.

Inny idealistyczny element ideologii Mickiewicza, jego bonapartyzm, ulega także niewątpliwemu podważeniu. Nie przez datujące się od samego początku pogłębienie rozróżnień między napoleonizmem a bonapartyzmem. Nie przez przestrogi, jakie wypowiadał Mickiewicz już w n-rze 4 Trybuny z 18 marca: „Gdyby Ludwik Napoleon miał kiedykolwiek pokusę zaprzeć się zasad rewolucyjnych... niechajby sobie przypomniał o Świętej Helenie i rozstrzelaniu w Pizzo". Lecz przez fakt, iż jeśli pronapoleońska ideologia Mickiewicza prowadziła w konsekwencji do udzielania kredytu Ludwikowi Napoleonowi, to w konkretnej walce politycznej na jesieni 1849 r., w n-rze 107 Trybuny z dnia 19 września przeciwstawiał się Mickiewicz systemowi, w którym prezydent republiki musiałby mieć „względem instytucji kraju i względem współobywateli takie tylko uczucia, jakie ma wyzyskiwacz dla swoich robotników". Występował przeciwko przyznaniu Ludwikowi Napoleonowi dożywotniej prezydentury, gdy sprawa ta po raz pierwszy stanęła na porządku dziennym: „Lata, o które się przedłuży czas trwania prezydentury, odejmie się Republice i prezydentura dożywotnia dowiedzie, że Republika nie jest już zdolna do życia". Słowa powyższe są dowodem republikańskiego i demokratycznego stanowiska. Wobec nich stają się nierealne w walce politycznej utopijne koncepcje Mickiewiczowskiego bonapartyzmu. Koncepcje te w istocie były antyrewolucyjne, jak i antyrewolucyjne były koncepcje utopijnych socjalistów i komunistów, którzy wychodząc z krytyki kapitalizmu szukali ratunku w furierowskiej gminie wzorowej czy szczęśliwym życiu na nie istniejącej wyspie Ikarii. W odróżnieniu jednak od antyrewolucyjnej działalności propagatorów utopijnego socjalizmu i utopijnego komunizmu Mickiewicz w konkretnej działalności politycznej w 1848—9 r. zbliżał się coraz bardziej do konsekwentnego rewolucyjnego demokratyzmu.

Publicystyka Mickiewicza 1849 r. dostrzega podstawowy konflikt epoki: walkę proletariatu i burżuazji. Mickiewicz mówi :„Prawdziwy lud, lud, który orze ziemię, który kuje żelazo, który tka płótno i jedwab." „Prawdziwych przedstawicieli ludu" widzi w ludziach „bez stanowiska społecznego, bez urzędów", w ludziach „bez nazwiska", w ludziach „w bluzach i czapkach". Widzi robotników, nie wyodrębnia ich oczywiście w samodzielną już klasę robotniczą, która stanie się hegemonem. Widzi chłopów, lecz nie rozwarstwia ich jeszcze oczywiście, nie mogąc wyróżnić chłopa rewolucyjnego od wstecznych właścicieli drobnych parceli, i stąd płynie fałszywe rozpoznanie głosów chłopskich, które Ludwika Napoleona obdarzyły prezydenturą w powszechnym głosowaniu. Zasadniczą dla Mickiewicza sprawą jest rewolucja

społeczna, która ludowi przyniesie władzę polityczną i wyzwolenie z wyzysku, a ujarzmionym narodom — niepodległość. Domaga się więc Mickiewicz, by na posłów do parlamentu wybierać tych, których wyzyskiwacze w ustroju ucisku społecznego utrzymują w ciemnocie, wybierać tych, o których wyzyskiwacze w dniu wyborów powiadają, iż rządzić się nie mogą jako ludzie nieoświeceni. Mickiewicz wzywa, by głosować na tych, którzy dotychczas nie mogli „uczęszczać do szkół ani czytać książek". W artykule przedwyborczym Chłopi podaje to samo rozumowanie, jakie znajdujemy w broszurze Kościuszki Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość? (broszura ta miała siedem wydań w latach 1800—43). Stojąc na stanowisku rewolucji społecznej zwalcza Mickiewicz wszelki reformizm społeczny i wówczas powiada: „Ulepszać zły stan rzeczy nie dotykając korzenia zła — co za złudzenie!" Sprzeciwia się temu, by rozwiązać zagadnienia społeczne „na drodze pokojowej, nikomu nie przynosząc szkody". „Przyznajcie, że istnieją tylko niewolnicy i ciemiężcy, ofiary i kaci". (Posiedzenie Zgromadzenia Narodowego, Podatek a socjalizm). Za prawdziwych przedstawicieli ludu nie uważa posłów Nowej Góry, lecz pobitych przywódców ruchu rewolucyjnego 15 maja 1848 r., których będzie bronić w artykule Przedmowa do procesu w Bourges i dla których później żądać będzie stale amnestii, jak i dla powstańców Rewolucji Czerwcowej. Na uzbrojonym ludzie zamierza też Mickiewicz oprzeć walki narodowo-wyzwoleńcze. Ostrzega przed współdziałaniem i dywersyjną rolą monarchów, arystokracji i książąt Kościoła (Wrogowie ludu). Z racji klęski zadanej w r. 1849 przez armię austriacką wojskom sardyńskim, dowodzonym przez kandydata polskiej arystokracji, gen. Chrzanowskiego — pisał: „Ci sami ludzie, którzy zabili rewolucję polską, Czartoryscy, Zamoyscy, Ramorinowie, poparci przez swych sojuszników francuskich, którzy wypaczyli Rewolucję Lipcową i Lutową, posłużyli się jenerałem Chrzanowskim, swoim dawnym narzędziem, aby rewolucji we Włoszech zadać cios w samo serce. Haniebna kapitulacja Warszawy (1831) wyjaśnia kapitulację, którą jenerał Chrzanowski podpisał 26 marca" (1849). Mickiewicz stwierdzał międzynarodową solidarność reakcjonistów i zdrajców oraz precyzował raz po raz, że mocodawcą ich pośrednio czy bezpośrednio jest kierownik akcji kontrrewolucyjnej w Europie, car Mikołaj I. Tych, co byli tylko narzędziami w ręku Mikołaja, traktował Mickiewicz tylko z pogardą i ton pogardliwy dominuje też w Mickiewiczowskiej publicystyce, która przechodzi w pamflet. W walce nowego ze starym Mickiewicz ukazuje np., że w r. 1849 we Francji są u władzy ludzie z najbardziej ośmieszonej epoki dziejów Francji: politycy z czasów Ludwika Filipa. Skalą porównawczą wzbogacał zatem wymowę swej rewolucyjno-demokratycznej satyry. Pamfletowy charakter publicystyki nie był objawem odosobnionym. Stylem pamfletu posługiwał się Marks w pracach publicystycznych i historycznych, Wiktor Hugo w Napoleonie Małym i Chłoście, Hercen Z tamtego brzegu, Heine w wierszach i felietonach, na wielki pamflet polityczny i obyczajowy składają się poszczególne cykle 5.000 rysunków i litografii Daumiera.

Treść rewolucyjno-demokratyczną publicystyki politycznej Trybuny pogłębiała polityka kulturalna pisma, przejawiająca się w recenzjach teatralnych i felietonach o wystawach sztuk plastycznych. Krytyk teatralny, Jan

Julvécourt, walczył o repertuar współczesny. W n-rze 84 z 9 czerwca potępiał niedopuszczenie na scenę sztuki dlatego, że tytuł jej brzmiał Socjalizm. W n-rze 126 z 8 października w gwałtownych słowach atakował ministra spraw wewnętrznych, Dufaure'a, który w ostatniej chwili przed premierą zabronił wystawienia sztuki Rzym, gdzie w realistyczny sposób przedstawiony był papież Pius IX i oblężenie miasta przez gen. Oudinota. Inny recenzent Trybuny, Alfons Hermant, udowadniał przykładami, że w sztukach teatralnych i grze aktorskiej drzemie polityczna siła mobilizującą. Omawiał sztukę Gustawa Vaez Mieszczanie od rzemiosła, czyli męczennicy dla ojczyzny. Wymowa tej sztuki była wyraźna, ponieważ jarzmo austriackie zrzuciła Belgia w rewolucji 1830 r. i jarzmo austriackie starały się zrzucić Włochy w 1848 i 1849 r. Recenzję tę przynosi Trybuna w n-rze 60 z dnia 14 maja, a więc gdy znane już były pierwsze niepowodzenia korpusu Oudinota. Samo zaś przedstawienie odbywać się musiało pod wrażeniem świeżej w Paryżu wiadomości o wejściu Garibaldiego do Rzymu (11 maja). Hermant notuje, iż w teatrze publiczność przerywała przedstawienie, żądając Marsylianki, i wielka tragiczna aktorka, Rachel, podobnie jak w dniach lutowych, deklamowała Marsyliankę. Trybuna omawiając repertuar teatrów paryskich kładła szczególny nacisk na sztuki obrazujące życie wsi i stwierdzała, iż życie proletariatu miejskiego staje się coraz częściej tematem utworów dramatycznych, nawet utworów o tendencji wstecznej. Trybuna nade wszystko potępiała reakcyjny nurt romantyzmu, uciekający do tematów średniowiecznych.

Krytyk artystyczny Trybuny, Ange Péchméja, omawiał twórczość malarzy realistycznych. Artystom tej miary, co Delacroix, Courbet, Corot, Daumier przyznawał to miejsce, które zajęli oni w historii sztuki (w n-rze 74 z 30 maja, n-rze 92 z 4 września, n-rze 105 z 17 września). Pisząc, iż „Delacroix wystawia dla 7—8 osób, burżuazja bowiem nie jest odbiorcą sztuki. Znacznie bliższym jest człowiek ludu, aniżeli sklepikarz, czy bankier" — Péchméja stał na stanowisku rewolucyjnym.

Gazeta ukazywała się rano, drukowana była w nocy, współpracownicy oddawali rękopisy poprzedniego dnia wieczorem. Artykuły Mickiewicza noszą też dlatego datę o jeden dzień wcześniejszą od daty Trybuny.

Trybuna, podobnie jak inne gagazety paryskie, drukowana już była na maszynie rotacyjnej. Formatem (26 x 50,5), wyglądem, nie różniła się od gazet dzisiejszych. Odróżniała się jednak i wówczas tym, że kolumna dzielona była na cztery szpalty. Kolumn, czyli stron było także cztery. Na stronie pierwszej były zazwyczaj dwa artykuły polityczne. Przeważającą część kolumny, jak i następnych, uzupełniały kilkunastowierszowe notatki. Nie były to obiektywistyczne wzmianki, jakie zazwyczaj spotyka się w kronice politycznej, ale publicystyczne czy felietonowe, polemizujące noty, pełniące szybko tę samą funkcję co artykuły (pisywał je i Mickiewicz). Na stronie drugiej, obok artykułów o treści ogólnej, drukowano sprawozdania z parlamentu, skrócone do żywych dialogów z uwagami komentatora, oraz ewentualne sprawozdanie z procesu politycznego, o ile z racji znacznych rozmiarów nie wymagał on wydania w dołączonym do gazety dodatku. Na stronie trzeciej — recenzja w odcinku, czwarta strona zawierała już tylko drobne informacje.

Po interwencjach carskiej ambasady

u francuskiego rządu, pod naciskiem policyjnym Polacy wraz z Mickiewiczem zostali zmuszeni do ustąpienia z T r y b u n y 15 października. Pismo redagowane już tylko przez współpracowników francuskich zdołało się utrzymać do 10 listopada. W ostatnim numerze ukazały się słowa następujące, zawierające wyraźną aluzję do interwencji carskiego ambasadora:

„Prześladowania, zwrócone przeciw nam, były bardzo usilne. Święte Przymierze Ludów jest ideą zabójczą dla królów, toteż ich posłowie w Paryżu dokładali wszelkich starań, aby zabić organ naszych idei. Nasi przyjaciele cudzoziemcy zostali wezwani do porzucenia dziennika, jeśli nie chcą być wypędzeni z Francji. Najznakomitszy z naszych współpracowników musiał złamać pióro na rozkaz cara Mikołaja, doręczony mu przez policję francuską".

Ogółem ukazało się 158 numerów T r y b u n y. Od 15 marca do 13 czerwca (n-ry 1—88), od 1 września do 16 października (n-ry 89—134) i po ustąpieniu Polaków od 17 października do 10 listopada (n-ry 135—158).

Czytając artykuły Mickiewicza w wydaniu książkowym trzeba pamiętać, że ukazały się one w kontekście zdarzeń, pism, broszur, karykatur, książek czytelnikom gazet wiadomych, a drukowane były w gazecie w kontekście artykułów, których dostarczało siedemdziesięciu blisko współpracowników T r y b u n y. Komentarz stara się ten kontekst jeśli nie przywrócić, to w każdym razie zaznaczyć.

Adam Mauersberger

DEMON

Część druga poematu

I

„Ojcze mój, błagam, porzuć groźby,
Nie gniewaj się już na mnie biedną,
We łzach zanoszę ci me prośby
A wypłakałam łzę niejedną.
Ach! nadaremnie tłum młodzieńców
Po rękę moją śpieszy zewsząd...
W Gruzji nie mało pięknych dziewcząt!
Nie mnie powiodą w ślubnym wieńcu!...
Zlituj się, ojcze, nad Tamarą.
Z dniem każdym więdnę. Jam ofiarą
Losu, co w sercu mym wyryty.
Jakimś marzeniem jadowitym
Serce me zatruł duch ciemności
I ginę! Ojcze mój, litości!
W klasztorny mrok na całe życie
Niech pójdzie biedne dziecię twoje.
W opiekę weźmie mnie Zbawiciel,
Przed nim niepokój mój ukoję.
Świat dla mnie nie ma już wesela!
Darząc spokojem miłosiernym
Niechajże mnie klasztorna cela
Przyjmie na zawsze jak grób ciemny...

II

I do klasztornych bram dziewicę
Krewni we łzach odprowadzili,
I tam pokutną włosiennicę
Na młodą pierś jej nałożyli.
Jak niegdyś pod wzorzystym strojem,
Tak pod zakonnym jej ubiorem
Bije to samo serce chore,
Strute tym samym niepokojem.
W chóralnych Ojcze Nasz i Zdrowaś,
W pieśniach i modlitewnej ciszy
Często jej zdaje się, że słyszy
Tamte tak dobrze znane słowa.
A gdy ogarnął mrok świątynię
I ciemność na kolana padła,

Obraz znanego jej widziadła
W dymie kadzideł ku niej płynie,
Wabiąc ją w dal jak promyk światła,
Lecz dokąd, tego nie odgadła.

III

Pod okiem niebieskiego stropu
W wąwozie, między dwa pagóry
Strzeżone rzędem wiernych topól
Wtuliły się klasztorne mury.
A kiedy wąwóz noc wypełni,
Wtedy się tli wśród drzew pustelni
Lampka Tamary, grzesznej córy.
A wokół krzewów migdałowych,
Gdzie nad grobami rząd surowy
Krzyżyków stoi — straż ich święta —
Śpiewem zanoszą się ptaszęta.
Źródła pulsują chłodną falą,
Wesoło skacząc po kamieniach,
Aż je pod zwisającą skałą
Złączy braterski nurt strumienia,
By rwący potok jak ptak wleciał
W krzewy pokryte szronem kwiecia.

IV

Północ zamyka łańcuch szczytów.
W promieniujących blaskach świtu,
Gdy mrok, co wąwóz nocą spowił,
Taje i siną mgiełką dymi,
Gdy twarz zwracając ku wschodowi
Zwą na modlitwę muezzini,
Gdy drżą w powietrzu dźwięki dzwonu,
Który na jutrznię klasztor wzywa,
W dostojnej chwili nieboskłonu,
Kiedy Gruzinka urodziwa
Po wodę z dzbanem na ramieniu
Biegnąc przegląda się w strumieniu —
Wierzchołki jasnofioletowe
Odblaskiem śniegu lśniąc w spojrzeniu
Od tła niebiosów odbijały,
A o zachodzie przywdziewały
Przejrzystą szatę z mgły różowej.
Wśród nich przebiwszy chmury, skały
Stał przewyższając świat o głowę
Książę Kaukazu, Kazbek wdały
W czałmie i ryzie atłasowej.

V

Strute zadumą jadowitą
Już niedostępne jest zachwytom
Serce Tamary. Na jej oczy
Rozpacz ponurym padła cieniem
I wszystko wróży jej cierpienie:
Tak blask poranka, jak mrok nocy.
Zaledwie noc o zwykłej porze
Obejmie ziemię pieszczotliwie,
Pada przed obraz Matki Bożej
Z płaczem. I łka tak rozpaczliwie,
Rozdzierająco, że niepokój
Ogarnia lotny sen obłoków.
Wtedy wędrowiec jadąc w mroku
Myśli: „To jęk górskiego ducha
Poświęconego wiecznym śniegom."
I trwożnie nadstawiając ucha
Popędza konia zdrożonego.

VI

Tamara z sercem pełnym lęku
Często siadając przy okienku
W smutku pogrąża się głębokim...
I przez dzień cały wzdycha, słucha,
Wygląda czegoś czujnym okiem...
— Przyjdzie! — Ktoś szepcze jej do ucha.
Nie darmo sny ją nawiedzały,
Nie darmo obraz jego śniła:
Oczy o litość ją błagały,
A ze słów jego słodycz piła.
Trapi ją troska, nęka trwoga
Wiele już nocy, dni, tygodni.
Gdy się pomodlić chce do Boga,
Do NIEGO serce jej się modli.
Znużona walką z własną duszą
Gdy do snu łoże sobie ściele,
Poduszki parzą ją i duszą...
Zrywa się drżąc na całym ciele!
Tysiącem niewidzialnych iskier
Pierś pali ją, niepokój targa,
Ramiona tęsknią za uściskiem
A pocałunki drżą na wargach.

VII

Już zorza szczyty Gruzji stroi
Zwiewnym welonem z mgły wieczoru.
Posłuszny obyczajom swoim

Nadleciał Demon do klasztoru.
I długo wahał się. Z pozorów
Mogło się zdawać, że świątynię
Oszczędzić pragnie. W tej godzinie,
Kto wie, był jeszcze może bliski
Porzucić zamiar swój okrutny.
U stóp wysokich murów smutny
Chodził, a w ciszy wszystkie listki
Drżały od samych jego kroków.
Spojrzał. Z jej okna jasną smugą
Światełko spływa w otchłań mroku.
Kogóż to czeka tak w noc długą?
I wtedy w ciszy doskonałej
Struny czyngary zadźwięczały
Pieszczotą niewidzialnej ręki.
I popłynęły rzewne dźwięki
Tak jak łzy melodyjną strugą.
A dźwięki te tak rzewne były,
Jak gdyby je anielskie chóry
Dla ziemi w niebie ułożyły.
A może anioł, wieczność długą
Nie widząc druha swego, rzucił
Rajskie ogrody i lazury
I aby skrócić wieczność męki,
Pieśń o przeszłości mu zanucił.
Pierwszy raz Demon ból udręki
Poznał i serce w piersiach poczuł.
Chce wzlecieć, myśląc że wpadł w sidła,
Ale nie może unieść skrzydła...
I ciężka łza spłynęła z oczu
Miłością rażonego widma.
Do dzisiaj leży tam podobno
Łzą przepalony głaz przed progiem,
Łzą gorejącą, łzą jak ogień,
Bo nie człowieczą łzą łagodną.

VIII

Pragnąc miłości, pragnąc dobra
Przyszedł, by zacząć nowe życie,
I myślał, że gwiazdeczka modra
Na szczęście błyśnie mu w błękicie.
To strwoży się przeczuciem smutnem,
To znów marzeniem do łez wzruszy,
Jakby to były pierwsze trudne
Chwile poznania dumnej duszy.
Ale nadzieje były złudne!
U drzwi zatrzymał go niebiański

Grzesznicy strażnik i obrońca,
Wysłannik raju, Anioł Pański.
Z czołem od zorzy nieostygłem,
Z uśmiechem jasnym jak blask słońca
Stał i osłaniał ją swym skrzydłem.
I promień boży blaskiem wiecznym
Oślepił oczy demonowe.
Na powitanie miast serdecznych
Słowa rozległy się surowe:

IX

„Duchu zamętu i zgorszenia,
Kto twego wzywał tu imienia?
Zło nie zatruło swym oddechem
Tych miejsc. Tu nie ma twych czcicieli!
Wara przestąpić próg tej celi!
Wara ci miłość kalać grzechem!
Kto wzywał ciebie?"
Złym uśmiechem
Duch odpowiedział na te słowa.
Oczy ściemniały mu z zawiści
I serce zaczął mu od nowa
Trawić jad starej nienawiści.
„Ona jest moja! — groźnym głosem
Rzekł duch ciemności — jest i będzie!
Za późno bronisz jej przed losem.
Nie w tobie mieć będziemy sędzię.
Ja naznaczyłem moim piętnem
To serce, które duma truje.
Ono już nie jest sakramentem,
Bo ja nim władam, w nim panuję!"
I anioł wzrokiem pełnym smutku
Spojrzał raz jeszcze na nieszczęsną.
Na skrzydłach wzbił się po cichutku,
I wolno leciał w dal bezkresną.

X

TAMARA

Kim jesteś? Słów się twoich lękam.
Piekło cię śle czy aniołowie?
Co chcesz ode mnie?

DEMON

Jesteś piękna!

TAMARA

Zaklinam cię, kim jesteś, powiedz!

DEMON

Jam ten, któregoś w upojeniu
Wśród ciszy nocnej wysłuchała,
Czyja myśl żyje w twym marzeniu,
Czyj żal się żali w twym westchnieniu,
Czyj obraz we śnie żeś ujrzała.
Jam ten, kto wzrokiem swym uśmierca
Nadzieje człowieczego serca,
Bicz, źródło ziemskich niepokoi,
Książę wolności i wichury,
Jam wróg niebiosów, zło natury —
I jestem, widzisz, u nóg twoich!
Do ciebie modlę się miłością,
Modlitwą z modlitw najwznioślejszą,
Poznaną ziemską namiętnością:
Cierpieniem pierwszym i łzą pierwszą.
Błagam, wysłuchaj mnie z litością!
Zwrócić mnie dobru i niebiosom
Mogłoby jedno twoje słowo.
Szatą miłości twej godową
Okryte myśli me się wzniosą,
By lśnić na niebie zorzą nową.
Wysłuchaj — zmiłuj się, ulituj! —
Tych słów miłości i zachwytu!
Ledwiem cię ujrzał, a już trawić
Zaczęła serce me nienawiść
Nieśmiertelnego mego bytu...
I zapragnąłem wbrew mej woli
Ziemskiej radości krótkotrwałej.
Z dala od ciebie serce boli,
Bo żyć — to żyć na twoją chwałę!
W bezkrwawym sercu niespodziany
Promień do bólu blask natęża,
I żal na dnie odwiecznej rany
Porusza się pełzaniem węża.
Cóż mi bez ciebie z tej wieczności,
Z potęgi i nieskończoności?
To słowa, których treść jest pusta,
Świątynia okradziona z bóstwa.

TAMARA

Duchu zły, odejdź! Precz ode mnie!
Milcz! Ja nie wierzę w serce wrogie...
Chryste... nie umiem już przed Bogiem
Duszy otworzyć... Tyś nikczemnie
Szałem napełnił moją głowę!
Dlaczego ty mnie prześladujesz?

Jad sączysz każdym swoim słowem!
Powiedz, dlaczego mnie miłujesz?

DEMON

Dlaczego, cudna? Nie wiem tego.
Serce mam pełne uczuć nowych,
Z mojego czoła występnego
Jam hardo wieniec zdarł cierniowy.
Całej przeszłości się wyrzekłem:
Tyś rajem moim, moim piekłem.
Nieziemską kocham cię miłością,
— Nie wiesz, co miłość taka znaczy —
Ja kocham cię nieśmiertelnością
Zachwytu, marzeń i rozpaczy.
Ja noszę obraz twój wyryty
W mej duszy od stworzenia świata.
Na skrzydłach myśli mej on lata
Ponad przestworza i błękity.
Zawsze, od pierwszych chwil wieczności
Myśl moją imię twe wzruszało.
Jeszcze w dniach rajskiej szczęśliwości
Ciebie mi tylko brakowało.
Ach! Gdybyś mogła wyobraźnią
Ogarnąć przepaść mojej męki,
To życie — wieczność bez jutrzenki,
Gdzie rozkosz jeśli jest, to kaźnią,
Gdzie zło odpłaca nieprzyjaźnią,
A dobro mija bez podzięki.
Żyć tylko sobą, cierpieć siebie,
Walczyć na ziemi, walczyć w niebie,
Gdzie wrogie wszystko, nawet błękit!
Mieć serce tak jak kamień twarde,
I wszystko wiedzieć, wszystko widzieć,
Niebo i ziemię nienawidzieć,
I dla wszystkiego mieć pogardę.
Gdy spadła na mnie klątwa boża,
Straciłem niebo, raj, przyrodę,
A ziemskich namiętności pożar
Dla mnie był tylko wiecznym chłodem.
Przede mną sina dal wszechświata
I milion gwiazd w godowych szatach,
I dobrze jest mi znana każda.
Lśnią w wieńcach złotych, w blasku ducha,
Lecz cóż? Dawnego swego druha
Już nie poznaje żadna gwiazda.
W bojaźni i w osamotnieniu
Podobne sobie duchy zwałem,

Lecz po złej twarzy, złym spojrzeniu
Żadnego z nich nie poznawałem.
W rozpaczy, przestrzeń tnąc skrzydłami
Wzbiłem się, lecę... Dokąd? Po co?
Na pastwę serca i otchłani.
Nie dla mnie gwiazdy niebo złocą.
Świat stał się głuchą, ślepą nocą.
Tak porzucone na głębinie
Czółno bez steru i bez wiosła
Czeka, by fala je uniosła,
A płynąc nie wie, dokąd płynie.
Tak chmurka, strzępek nawałnicy,
Dymek po strzale błyskawicy,
O promienistym, złotym świcie
Bez celu biegnie po błękicie.
Ścieżką zawrotną i wysoką
I tylko jeden Bóg wie dokąd.
Ludźmi niedługo ja władałem,
Serca ich znacząc moim piętnem.
Wszystko, co piękne, przeklinałem
I zniesławiałem, co szlachetne.
Niedługo... płomień czystej wiary
Gasiłem w każdej ludzkiej duszy.
Czy warto było tej ofiary
Dla głupców i faryzeuszy?
I w górskich skryłem się jaskiniach,
I jak meteor po pustyniach
Nocy błądziłem równy gwieździe.
Daremnie zabłąkany jeździec,
Którego zmamił złudny promień,
Padając w przepaść razem z koniem
Pomocy wzywał... Tylko krwawy
Ślad mocno wrył się w pamięć skały.
Ale te nocne złe zabawy
Niedługo mi się podobały.
W walce z potężnym huraganem,
Z piorunującym blaskiem w oku,
Okryty gęstej mgły tumanem
Dumnie latałem wśród obłoków,
Chcąc, by żywiołów wrzawa wściekła
Krzyk mego serca zagłuszyła,
By mnie na jedną chwilę z piekła
Mojej pamięci wybawiła.
Czymże są dzieje trudu, znoju,
Które cierpiały ludzkie rzesze,
Czym dzieje krwi przelanej w boju
Wobec minuty najzniklejszej
Jednego mego niepokoju?

Cóż ludzie? Czym ich trud prawdziwy?
Przyjdą na niwę, zejdą z niwy...
Czeka ich sąd, sąd sprawiedliwy,
Czeka nadzieja i blask słońca.
A mój los wiecznie rozpaczliwy
I rozpacz moja nie ma końca.
W grobie nie zazna ukojenia.
To żarzy się jak żar płomienia,
To tak jak wąż pieszczotą kłamie,
To dławi moją myśl jak kamień —
Wzniesione zmarłym mym nadziejom
Wieczne jak wieczność mauzoleum.

TAMARA

Cóż ja z rozpaczą twoją zrobię?
Czyż ją złagodzę mymi łzami?
Tyś zgrzeszył!

DEMON

Lecz nie przeciw tobie.

TAMARA

Usłyszą nas.

DEMON

Jesteśmy sami.

TAMARA

Jest Bóg!

DEMON

Nas wszechmoc się wyrzekła.
W niebie nie myśli Bóg o ziemi.

TAMARA

A potępienie! Ogień piekła!

DEMON

Razem będziemy potępieni.

TAMARA

Kimkolwiek jesteś, skąd przybywasz,
Na wieki tracąc spokój ducha,

Z zamarłym sercem, nieszczęśliwa,
Ja ciebie wbrew mej woli słucham.
Jeśli zatruta jest ta słodycz,
Którymi słowa twe mnie poją,
Oszczędź mnie!... Licha ze mnie zdobycz...
Czemu mieć pragniesz duszę moją?
Czyż mnie wyróżnia dobroć boża?
Czy tylko jam jest łaski pełna,
Żeś właśnie we mnie piękno dojrzał?
Patrz, tu żadnego jeszcze łoża
Nie potargała dłoń śmiertelna.
Nie! Złóż przysięgę mi wieczystą!
Mów! Widzisz, cierpię, bo myśl czystą
Opanowały sny dziewczęce.
Trwoga ogarnia duszę moją,
Lecz ty wiesz wszystko, wszystkoś pojął,
Więc się zmiłujesz mojej męce!
Przysięgnij mi, że się wyrzekasz
Zła, którym jesteś opętany.
Czyżby ten kruchy los człowieka
Nie znał już przysiąg niełamanych?

DEMON

Przysięgam ci na pierwsze zorze
I na ostatni zmierzch stworzenia,
Przysięgam ci na wieczną grozę
I wieczny triumf objawienia.
Przysięgam ci na grzech, na mrzonki
O pokonaniu Boga w niebie,
Na radość, kiedy widzę ciebie,
I na serdeczny ból rozłąki.
Przysięgam ci na mych współbraci,
Potęgę duchów i żywiołów,
Przysięgam ci na miecz aniołów,
Mych nieśmiertelnych nieprzyjaciół.
Przysięgam ci na raj i piekło,
Na niebo i na świętą ziemię,
Na pierwszą twoją łzę wyciekłą
I na ostatnie twoje tchnienie.
Przysięgam na łaskawe wargi,
Na włosów twych jedwabne zwoje,
Na łzę wzruszenia i łzę skargi,
Na miłość i na serce moje:
Wyrzekam się odwiecznej buty,
Wyrzekam się pragnienia zemsty,
Nigdy pochlebstwem mym zatrutym
Nie będę w sercach budził bestyj.

Ja z niebem zawrzeć chcę przymierze,
Chcę kochać, mówić chcę pacierze,
Dla dobra żyć jak dobre duchy.
Ja gorącymi łzami skruchy
Obmyję czoło twe dostojne
Ze śladów niebieskiego ognia.
W nieświadomości swej spokojnej
Niechaj przekwita myśl pogodna.
W całym wszechświecie ja jedynie
Ciebie zachwytem mym dosięgłem:
W tobie mam świętość i świątynię,
Przed tobą składam mą potęgę.
Za drgnienie serca, dar bezcenny,
Oddam ci bezmiar mej wieczności.
Jak w nienawiści, tak w miłości,
Wierz mi, jam wielki i niezmienny.
Tam, gdzie już żadna myśl nie lata,
Wzniosę cię, wolny syn przestworzy.
Ty będziesz monarchinią świata
I towarzyszką duchów bożych.
Z gwiazd niewzruszona, nieulękła
Będziesz patrzała się na ziemię,
Gdzie nie ma prawdziwego piękna,
Gdzie szczęście ledwie jest marzeniem,
Gdzie małe serca, małe sprawy,
Gdzie wielkość tylko jest we wstydzie,
Gdzie nikt nie umie bez obawy
Pokochać ani znienawidzieć.
Czym miłość ludzka zawsze była
Mimo pozornej serca głębi?
Wrzeniem krwi młodej w młodych żyłach.
Ale czas szybko krew oziębi.
Któż zdoła oprzeć się rozłące,
Pokusie, kiedy zmysły drażni,
Nudzie, znużeniu, dłoni drżącej
I kaprysowi wyobraźni?
Nie tej dla ciebie pragnę doli.
Wierz mi, nie będziesz żyć na marne,
Nie będziesz duszy truć w niewoli
Ludzkiej zawiści ordynarnej,
Wśród serc tchórzliwych, myśli wrogich,
Uczuć fałszywych i nikczemnych,
Wśród czczych nadziei, wiecznej trwogi,
Wysiłków ciężkich a daremnych.
O, nie! Swym chłodem mur klasztorny
Twojego serca nie wystudzi!
Nie zwiędniesz pośród modlitw kornych
Z dala od Boga i od ludzi.

Wskaże ci ręka przeznaczenia
Inne otchłanie, inne szczyty.
Inne czekają cię wzruszenia,
Inne rozpacze i zachwyty.
Swe dawne sny i pożądania,
Ten świat — pozostaw własnym losom,
Bo najdumniejszą z dróg poznania
Moje pragnienia cię poniosą.
Gromady duchów mi podległych
Ja do stóp twoich przyprowadzę.
One twych marzeń będą strzegły
I tobie dam nad nimi władzę.
Dla ciebie ja z jutrzenki zerwę
Wieniec ze złota, a w twe włosy
Wepnę najszlachetniejszą perłę,
Jaką wypłakał kwiat łzą rosy.
Ja tęczą blasków promienistych
Jak wstążką kibić twą owinę,
I aromatu tchnieniem czystym
W twoim westchnieniu się rozpłynę.
Bez strun ci będą tony grały
Samym słuchaniem twoich uszu,
Pałac zbuduję ci wspaniały
Z gwiazdek bursztynów i turkusów.
Na dno mórz, nieba, zejdę wszędzie,
Gdzie myśl nie świeci już ni słońce.
Wszystko, co ziemskie, twoje będzie!
Kochaj mnie, błagam!

XI

I gorące
Usta jak żywy żar płomienia
Ze drżeniem warg jej się spotkały.
Słowa wiecznego pokuszenia
Na modły jej odpowiedziały.
Wpił się potężny wzrok w jej oczy.
Przepalał ją. — Jak błysk wystrzału,
Jak nieodparty cios kindżału
Zły duch rozrywał ciemność nocy.
Niestety, zło tryumfowało!
Dotknięcie warg piorunujących
Spaliło duszę ogniotrwałą.
Krzyk straszny, krzyk przerażający
Rozerwał ciemność oniemiałą.
Było w nim wszsytko: żal, cierpienie,
Miłość, zaklęcie, jęk i modły,
Ostatnie serca uderzenie
I pożegnanie z życiem młodym.

XII

Stróż nocny o tej właśnie porze
Dłużących się milczeniem godzin
Ciemność uśpioną przy klasztorze
Z kołatką jak co noc obchodził.
Tknięty przeczuciem przed okienkiem
Samotnej celi zwolnił kroku
I na kołatkę drżącą rękę
Kładł z nocą w duszy, z nocą w oku.
Pośród ciemności i milczenia
Usłyszał jakby drżącą strunę,
Jakby ust zgodnych pocałunek,
I jęk, i okrzyk przerażenia.
Do duszy starca się zakradło
Jakieś nieczyste podejrzenie.
Ale po chwili znów milczenie
Niepokalane w krąg zapadło.
I tylko niesie wiatr z daleka
Szelest listowia pełen smutku,
I ciemnym brzegom po cichutku
Zwierzenia czyni górska rzeka.
Zanosi do patrona swego
Modły żarliwe i pośpieszne,
Aby od pokus ducha złego
Obronił jego myśli grzeszne.
Potem znak krzyża drżącą ręką
Kreśli na piersi wrzącej trwogą.
Milcząc na kilka chwil uklęknął
I poszedł w obchód zwykłą drogą.

XIII

Jak Peri śpiąca, śliczna Peri,
Ona w trumience swej leżała,
I biel całunu nie tak biała
Była, jak biel jej śniadej cery.
Wieczność na oczy kładła rękę...
Lecz zdało się, że jej spojrzenie
Pod powiekami tylko drzemie,
I czeka nieskażone, piękne
Na pocałunek lub jutrzenkę.
Lecz złotą strugą światło dzienne
Spływało po nich nadaremnie.
I nadaremnie całowały
Usta rodziców skamieniałych.
Nikt w świecie nie ma takiej mocy,
By zerwać pieczęć wiecznej nocy.

XIV

W dniach uroczystych, w dniach szczęśliwych
Ni razu nie był strój Tamary
Tak barwny, lotny i tak żywy.
Kwiaty z ojczystej zżęte niwy
(Jak nakazuje zwyczaj stary)
Woń rozlewały i nektary.
Ściśnięte ręką jej umarłą
Żegnały ziemię, gwiazdę czarną.
I nie odbiło się w jej licach
Słońce pioruna — błyskawica,
Co oślepiła ją wiecznością;
Twarz była pełna tego piękna,
Co jest jak marmur i jutrzenka,
Obce człowieczym namiętnościom,
Na ból nieczułe i gorycze,
I jak śmierć sama tajemnicze.
Uśmiech przedziwny, zagadkowy.
Na wargach zakwitł i nie więdnie.
Mówi o smutku wiecznie nowym
Oczom, co patrzą umiejętnie.
Była w nim wzgarda, zimna wzgarda
Duszy, co będzie wiecznym kwiatem,
Ostatnia myśl na świat otwarta,
Myśl o rozstaniu się ze światem.
Dawnego życia blask daremny —
Ten uśmiech bardziej jest umarły,
Bardziej dla serca beznadziejny,
Niż zgasłych oczu cień cmentarny.
Tak w owej uroczystej porze,
Gdy roztajawszy złotym morzem
Zapada rydwan dnia pod ziemię,
Śniegi Kaukazu w ciemnej dali
Jasnoróżowy blask zapali
Na jedno ludzkie oka mgnienie.
Ale półżywy blask błękitu
Światła w pustyni swej nie wznieci.
Nikomu drogi nie oświeci
Z lodowatego swego szczytu.

XV

Gromada krewnych w łzach, w żałobie
Do drogi była już gotowa.
Z rozpaczy wyrywając sobie
Włos, bił się w piersi i bez słowa
Gudał ostatni raz dosiadał

Białogrzywego swego konia.
Trzy razy w drodze zmierzch zapadał,
Zanim przybyli do ustronia.
Wśród pradziadowych białych kości
Ona spać będzie snem wieczności.
Postrach wędrowców, dziad Gudała
O sercu tak jak kamień głuchym,
Kiedy doń śmierć się już zbliżała
A razem z nią godzina skruchy,
Aby odkupić swoje zbrodnie,
Ślubował cerkiew wznieść z granitu
Wśród niebotycznych nagich szczytów,
Gdzie tylko wicher gra melodie
I sęp się jawi, pan błękitu.
I cerkiew ponad śnieg Kaukazu
Wzniosła się, by przytulić kości
Złego człowieka, co ni razu
Nie zaznał w sercu swym litości.
W piach przemieniła się cmentarny
Ponadobłoczna skalna gleba,
Jak gdyby tam, gdzie bliżej nieba,
Był słoneczniejszy zaświat zmarłych.
Jak gdyby dalej od snu ludzi
Ostatni sen był spokojniejszy...
Lecz zmarłych smutek już nie smuci...
Lecz zmarłych radość już nie cieszy...

XVI

Jak jasny zwiastun wniebowzięcia,
Święty wysłannik archaniołów
Na złotych skrzydłach wśród żywiołów
Niebieskich leciał, a w objęciach
Duszę z ziemskiego niósł padołu.
W imię nadziei rozkazywał,
By opuściły ją zwątpienia,
A ślady grzechu i cierpienia
Swymi czystymi łzami zmywał.
Kiedy w nieziemskim już zachwycie
Słuchali tonów nieśmiertelnych,
Drogę zagrodził im w błękicie
Mocarz otchłani, duch piekielny.
Potężny lśnił na firmamencie
Jak niegasnąca błyskawica.
Stał i na całą wieczność krzyczał:
„Ona jest moja! Moją będzie!"

Do piersi tuląc się anielskiej
Dusza Tamary, dusza grzeszna

Modliła się, by moc bezkresna
Nie skazywała jej na klęskę.
Demon się do niej wzbił w przestworze.
Lecz któżby poznał go, o Boże!
Wzrok taką nienawiścią zieje,
Taką pogardą, że nadzieję
Wyrwałby nawet z serc umarłych!
A z twarzy skamieniałej wieje
Trujący jad i chłód cmentarny.

„Precz, duchu nocy i zwątpienia! —
Z nieba anielskie padły słowa. —
Tyś dosyć nad nią tryumfował.
Bije godzinę osądzenia
Wyroków boskich moc surowa!
Minął czas próby. Patrz na chwałę!
Wraz z szatą ziemską, z ludzkim ciałem
Wszystkie już spadły z niej kajdany.
Od dawna na nią tu czekamy.
Jej dusza, blask nieskończoności,
Zesłana była na tę ziemię,
By niemożliwe znieść cierpienie,
I niemożliwej chcieć radości:
Z materii najczystszego światła
Wysnuł ją Stwórca nieskończony
I tak jak ona nie dla świata,
Tak świat nie dla niej był stworzony!
Ofiarą serca odkupiła
Zwątpienie w moc nieskończoności...
A że miłością tylko żyła —
Raj się otworzył dla miłości!"

I anioł oczy złego widma
Oślepił wzrokiem swym surowym.
Radośnie uniósł złote skrzydła
I zniknął w niebie lazurowym.
I przeklął Demon zwyciężony
Sny nierozumnej namiętności.
Wyniosły i osamotniony
Przemierza wszechświat nieskończony
Już bez nadziei, bez miłości!...

przełożył **Zbigniew Bieńkowski**

MARIA DĄBROWSKA

Parę myśli o pracy przekładowej

O umiejętności dobrego tłumaczenia dzieł obcych pisze się u nas dużo, mamy już ciekawą literaturę tego przedmiotu. Trzy razy odbyte Studium Przekładowe Penklubu przyczyniło się znacznie do rozpowszechnienia i pogłębienia zasad prawidłowego przekładu; odczyty w związku z tym wygłaszane, częściowo już drukowane w prasie, a wkrótce mające się ukazać w zbiorowym wydaniu, stanowią cenny i płodny wkład w sprawę, która wydaje mi się równie ważna, jak sprawa interpretacji wielkich dzieł muzycznych przekazywanych nam wszak rękami nie autorów, lecz ich tłumaczy — wirtuozów i zespołów muzycznych. Przeciętna poziomu naszych tłumaczeń podniosła się też niezmiernie w porównaniu do czasów przedwojennych. Jeśli mimo to bywamy często z przekładów niezadowoleni, świadczy to tylko, że nasze wymagania w tej dziedzinie rosną. Są one w samej rzeczy bardzo wysokie. Czytając piękne prace Jana Parandowskiego (O znaczeniu i godności tłumacza), Pawła Hertza (O tłumaczeniu ksiąg) czy Zenona Klemensiewicza (Przekład jako zagadnienie językoznawcze) wstydziłam się prawie zuchwalstwa, z jakim trzy razy w życiu zdarzyło mi się brać na moje lekkomyślne barki przekład dzieł nie byle jakich, wymagających przygotowania, jakiego zgoła nie posiadam. Poczułam się w szlachetnym rzemiośle przekładowym jak niewykwalifikowany robotnik i struchlałam, że moje przekłady są prawdopodobnie obarczone co najmniej paru śmiertelnymi i kilku powszednimi grzechami, takimi właśnie, jakich tłumacz powinien się wystrzegać.

Ale w mojej pracy przekładowej zyskałam pewne doświadczenie. A doświadczenie zdobyte przez pracownika przy wykonywaniu poważnego i odpowiedzialnego zadania jest zawsze rzeczą interesującą, bo jest przeżyciem człowieka. I jeśli nie w całości, to w jakichś bodaj szczegółach coś z tego może się zawsze komuś przydać. W tym też tylko charakterze przygodnego tłumacza dzielącego się ze słuchaczami szczupłym, ale, być może nienajlichszym doświadczeniem ośmielam się zabrać głos pośród o tyle ode mnie lepszych znawców przedmiotu.

1

Moim pierwszym przekładem, dokonanym w 1925 roku, była powieść duńskiego pisarza, Jakobsena, Niels Lyhne. To znakomite dzieło duńskiego realizmu obrazujące hamletyczny dramat inteligencji twórczej z połowy zeszłego wieku, dzieło, które do dziś nie straciło swej wymowy ideowej i artystycznej, tłumaczyłam nie z oryginału, lecz z niemieckiego przekładu. Na tej pracy ciąży więc grzech kardynalny! Jako okoliczność łagodzącą mam za sobą dwie rzeczy. Byłam wtedy jeszcze dość młoda, by porywać się na przedsięwzięcia lekkomyślne, to jedno. Niels Lyhne był jednym z ulubionych utworów mojej młodości, to drugie. Znajdowałam

się tak dalece pod czarem tej książeczki, że uległam pokusie jej spolszczenia. W takim wypadku sumienny tłumacz nauczyłby się najpierw po duńsku, a może i odbyłby podróż do Danii dla zapoznania się z życiem kraju i środowiska. Tego z różnych powodów nie byłam w stanie przedsięwziąć, ale sumienność stawiała mi już wówczas dość ostre wymagania. Osądziłam, że jednak nie mogę polegać wyłącznie na sobie i na niemieckim przekładzie. Zważywszy pokrewieństwo języków, uzyskałam duński oryginał i mozoląc się ze słownikiem porównywałam zdanie po zdaniu niemiecki przekład z duńskim oryginałem. Bardzo to była niewystarczająca, bardzo amatorska kontrola, bardzo też nużąca robota, chociaż dziełko jest małe rozmiarami. Pozwoliła mi ona jednak zorientować się w przybliżeniu (lub tak mi się zdawało), że przekład niemiecki jest bardzo dokładnym odbiciem oryginału. Nie potrzebuję dodawać, że zapoznałam się (także w języku niemieckim) z literaturą przedmiotu, dotyczącą zarówno samego Jakobsena, jak i prądów społecznych jego czasu i czasu przedstawionego w powieści N i e l s L y h n e; nie mówiąc już o przeczytaniu wszystkiego, co Jakobsen poza tym napisał — młodo zmarły, zostawił on, jak wiadomo, jeszcze tylko powieść M a r i a G r u b b e i tom nowel. Po dokonaniu przekładu poddałam go kontroli bliskiej mi osoby, świetnie znającej język niemiecki, wciąż uściślając i ulepszając polską wersję. Dopiero wtedy, jeszcze z encyklopedią i słownikami pod ręką, przystąpiłam do końcowej roboty przepisywania na czysto. Mimo tych zaimprowizowanych przeze mnie prób rzetelnej pracy przekładowej, myślę, że mój N i e l s L y h n e wymagałby w razie ponownego wydania (na co ta powieść zasługuje) surowej kontroli jakiegoś znawcy duńszczyzny.

Owe pierwociny mojej roboty przekładowej dały mi poznać jedną ważną zasadę tego rzemiosła. Rzecz w tym, że o ile twórcza praca pisarska jest, poza wyjątkami, pracą zespołową w pewnym tylko swoistym i jakby przenośnym znaczeniu, gdyż składa się na nią głównie bezwiedny i mimowolny współudział wszystkich czynników odtwarzanej rzeczywistości, to praca przekładowa nie może i nie powinna się obywać bez minimalnej choćby akcji zespołowej w zupełnie dosłownym znaczeniu. Najskromniej rzeczy biorąc, przekład musi być poddany kontroli choćby jednej osoby znającej świetnie język oryginału. I jednej znającej wybornie język, na który przekładamy. Dodać jednak trzeba, że tego rodzaju współpraca ma swoje granice i może być pożyteczna dla tłumacza tylko wtedy, jeśli tych granic lojalnie i rozsądnie przestrzegamy.

2

Drugą moją pracą przekładową, podjętą już bardziej prawidłowo, bo z jaką taką znajomością języka oryginału i z oryginału też dokonywaną, był przekład D z i e n n i k a Pepysa. Nie bez znaczenia jest i to, że znam trochę ojczyznę Pepysa, za młodu rok blisko spędziłam w Anglii, znam ulice, gmachy i dzielnice Londynu, po których krążył w swych niestrudzonych zabiegach życiowych autor D z i e n n i k a.

Mimo różnic dwie okoliczności czynią jednak tę pracę podobną do pracy nad przekładem N i e l s a L y h n e. Jedna z nich należy do warunków

zewnętrznych, które zdecydowały o wzięciu się do tłumaczenia. Bo potrzeba własnej twórczości, a zwłaszcza konieczność zachowania dla niej czasu, ile że pisanie przychodzi mi z trudnością i czasu wymaga wiele, jest we mnie o tyle przeważająca, że pewno nie podjęłabym dwu omawianych tu przekładów, gdyby nie szczególny zbieg okoliczności zewnętrznych. Okres, gdy byłam pod świeżo doznanym wrażeniem lektury N i e l s a L y h n e przypadł na czas mojej ciężkiej żałoby osobistej. Będąc wówczas bardzo załamaną, a nie chcąc pozostawać bezczynną, wzięłam się do przekładu. A znowu D z i e n n i k Pepysa poznałam przypadkiem w czasie okupacji hitlerowskiej. Nie miałam wtedy odpowiednich warunków do właściwej twórczości, zaczęłam więc w chwilach wolnych od fizycznej pracy domowej tłumaczyć ową kronikę pełną tak różnorodnych wartości poznawczych i artystycznych. Drugą okolicznością było, tak samo jak przy N i e l s i e L y h n e, upodobanie do dzieła i chęć podzielenia się jego walorami z polskim czytelnikiem. Upodobanie to było nawet w wypadku D z i e n n i k a głębsze, silniejsze i wszechstronniej uzasadnione. Wszelkiego rodzaju pamiętniki, listy i dzienniki były zawsze i pozostają dotąd najulubieńszą moją lekturą. Czytam je z większą pasją niż literaturę powieściową. Chętniej też zostawiłabym po sobie taki wszechstronny (chociaż i całkiem inny) dziennik mojego życia, niż jakiekolwiek inne dzieło. Mogę więc bez fałszywej skromności powiedzieć, że mój przekład D z i e n n i k a Samuela Pepysa posiada pewne cechy tego, co się nazywa interpretacją kongenialną. Pracowałam nad tą kroniką jak nad typem dzieła, które gdyby było przeze mnie napisane, stanowiłoby ulubiony utwór mojego życia pisarskiego. Taki stosunek do przedmiotu pracy jest silnym bodźcem potęgującym ostrość rozumienia i zdolność pokonywania trudności. A trudności w wypadku D z i e n n i k a Pepysa były niezmierne.

Jak powiadam o tym w przedmowie do wyboru i przekładu D z i e n n i k a, dopiero po wyzwoleniu, kiedy Państwowy Instytut Wydawniczy zainteresował się tą moją pracą, dostarczono mi pełne wydanie oryginału i nieco literatury przedmiotu. Ale i wtedy miałam duże kłopoty z zorganizowaniem sobie należytej pomocy znawców. O studiach na miejscu w Anglii tym bardziej nie było mowy; stały przed krajem pilniejsze i ważniejsze zadania jak finansowanie takich pisarskich przedsięwzięć, mogących się na razie wydawać marginesowymi. W naszej niesłychanie pracowitej epoce, gdy każdy ma tyle koniecznych robót na warsztacie, mowy również nie było o możności absorbowania kogokolwiek przeczytaniem i po społu ze mną, zdanie po zdaniu, sprawdzeniem tak ogromnego przekładu z oryginałem. Z powodu krótkości życia ludzkiego, a w szczególności mnie pozostałego, i ja sama nie miałam dosyć czasu, aby przeprowadzić gruntowne studia przedmiotu, a choćby zapoznać się z całą korespondencją Pepysa. Kwalifikacje do podjęcia roboty zaiste skromne, warunki ciężkie, „partyzanckie". Ale wiedziałam, że jeśli się na ten przekład nie zdecyduję, to czytelnik polski D z i e n n i k a Pepysa mieć nie będzie. Bo nie łatwo byłoby wyszukać na poczekaniu kogoś, kto by i samo dzieło znał, i to właśnie dzieło chciał tłumaczyć, i tak jak ja do niego się zapalił. Wzięłam się więc do pracy ze skromniejszymi ambicjami i z postanowieniem dania co mogę najlepszego w warunkach, jakimi rozporządzałam. Ale był to akt odwagi,

której skromną bynajmniej nazwać nie mogę, przeciwnie — raczej zuchwałą. Kierowało mną uparte poczucie, że nie powinnam się dać odstraszyć pozorną ubocznością podjętego trudu, że przyswojenie Polsce Dziennika Pepysa da naszym czytelnikom dzieło pożyteczne i pouczające na długo i z rozmaitych względów. Otuchy dodawała mi pewna znajomość stosunków i atmosfery XVII wieku zyskana w czasie studiów prowadzonych przy pisaniu mego dramatu Geniusz sieroty, a rozszerzana w czasie pracy nad Dziennikiem odpowiednią lekturą dotyczącą rewolucji Cromwelliańskiej i doby Restauracji.

W przedmowie do przekładu wspominam o ludziach, z których pomocy korzystałam. Niestety, z wyżej wymienionych powodów, korzystałam dorywczo. Wynotowywałam wątpliwości i z nimi zwracałam się o wyjaśnienie czy o skontrolowanie mojego rozumienia tekstu. Nie poddałam natomiast przekładu próbie wynajdywania przez osoby trzecie wątpliwości, które mnie się same nie nastręczyły, choć mogły, niedostrzeżone, istnieć. W pewnym stopniu, zwłaszcza co do imiennictwa i terminów specjalnych, dokonała tej pracy redakcja adiustatorska PIW-u. W większym stopniu dokonali jej czytelnicy Dziennika. Czytelnicy są dla mnie zawsze najważniejsi, toteż stosowałam się pilnie do ich uwag, o ile były uzasadnione, a przeważnie były uzasadnione. Zaledwie w paru wypadkach wątpliwości czytelników nie okazały się słuszne i mogły zostać pominięte. W jednym z tych wypadków (sprawa uczenia się przez Pepysa tabliczki mnożenia) bronię mego rozumienia tekstu za pomocą specjalnie dodanego odsyłacza. Głosy czytelników mogły być, oczywiście, uwzględnione dopiero w drugim wydaniu przekładu Dziennika. Ulegając pokusie zatrzymania się jeszcze chwilę nad techniką mego tłumaczenia, będę też mówiła wyłącznie o drugim jego wydaniu.

3

Drugie wydanie Dziennika Samuela Pepysa, zgodnie z życzeniami i czytelników, i wydawców, a także z moją własną potrzebą ulepszenia przekładu, zostało znacznie rozszerzone. W szczególności nowemu prawie opracowaniu podległ dotychczasowy pierwszy tom, ściślej mówiąc, lata 1660 do 1666. Lata owe były początkowo tłumaczone z angielskich wyborów z Dziennika i już w korektach, a więc z natury rzeczy niedostatecznie, uzupełnione najkonieczniejszymi tekstami pełnego wydania oryginału. Wskutek tego pierwsze lata kariery Pepysa wypadły zbyt lakonicznie i ubogo. Pełne wydanie oryginału daje tu o wiele bogatszy, bardziej soczysty i charakterystyczny obraz, niż to ma miejsce w pierwszym polskim wydaniu. Uzupełniając tekst pod tym względem, starałam się nadto w znacznie szerszym zakresie uwzględnić, aby tak rzec, plebejską stronę dziennika. Dodałam więc teksty ukazujące bardziej szczegółowo stosunki Pepysa z jego drobnomieszczańską czy rzemieślniczą rodziną, z jego służbą domową i z jego skromniejszej kondycji przyjaciółmi. Obecna wersja przekładu jest więc nie tylko poszerzona, lecz i pogłębiona, przez co zarówno psychologiczna, jak społeczna i obyczajowa strona Dziennika zyskały na plastyce i jasności. Na dopełnienie tekstu szczupłym, ale dla nas szczególnie intere-

sującym wątkiem o Samuelu Hartlibie wpłynął ob. Wacław Słabczyński, który pracując nad tą postacią polsko-angielskiego działacza dostarczył mi o nim więcej wiadomości, niż ich znalazłam w angielskich komentarzach.

Drugie wydanie przekładu zostało też poprawione na podstawie jeszcze raz przeprowadzonego gruntownego przestudiowania tekstu. W związku z tym ustaliłam drugą (mnie w każdym razie obowiązującą) zasadę pracy przekładowej. Nie dowierzać sobie z łatwością, że się tekst oryginału zna i rozumie dostatecznie. Czytać i studiować go wciąż ponownie; za każdym razem odkryjemy w nim na pewno jakieś niedostrzeżone poprzednio albo mylnie czy niedokładnie zrozumiane odcienie znaczeń. Ale i w tym nie można polegać na samym sobie. Przy poprawianiu tekstu dużo pomogli mi, jak o tym wyżej wspominam, czytelnicy, między którymi znaleźli się i wytrawni profesorowie uniwersytetów, i amatorscy znawcy starej literatury angielskiej. Także więc ich listy albo ustne uwagi przyczyniły się do tego, że w nowym wydaniu zostały usunięte nie tylko dostrzeżone przeze mnie, ale i wskazane mi błędy rzeczowe; nie mówiąc już o przypadkowych błędach przeoczenia, których też okazało się sporo. Poprawiając tekst zredukowałam też do minimum zastosowaną tu i owdzie pewną swobodę w gospodarowaniu materiałem przekładowym, co zaraz bliżej objaśnię.

Ktoś, kto by sprawdzał pierwsze polskie wydanie D z i e n n i k a Pepysa z tekstem pełnego wydania oryginału, spostrzegłby u mnie, w nielicznych zresztą miejscach, wzmianki, których pod tą samą datą w oryginale nie ma, znajdziemy je natomiast pod inną albo pod paru innymi datami. Wynika to stąd, że w notatkach z dni, które zostały w moim wyborze pominięte, znajdowały się czasem nie związane z przebiegiem dnia notatki o ludziach i zdarzeniach pełniej zobrazowanych w dalszej części wyboru. Nie chcąc mnożyć zapisek, gdzie pod datą dnia mieściłoby się jedno, a najwyżej dwa zdania, przenosiłam takie wzmianki do miejsc, gdzie dana sprawa występuje obszerniej albo w całej okazałości. Tą cokolwiek ryzykowną metodą można i nawet należało się posługiwać (oczywiście nadzwyczaj ostrożnie) tylko przy takiej nie zamkniętej kompozycyjnie, luźnej kronice, jaką są z dnia na dzień rzucane zapiski. Bo jeśli z takiej kroniki robi się wybór, to nie może on być mechaniczny, lecz musi mieć pewne założenia konstrukcyjne. Żaden dziennik nie jest zamierzoną konstrukcją, ale wybór z dziennika nią być musi. Jednak wobec znacznego rozszerzenia tekstu stosowanie tej metody nie było już takie potrzebne. Toteż w drugim wydaniu przywróciłam na ich oryginalne miejsce większość przeniesionych wzmianek, zwłaszcza tam, gdzie włączone zostały do tekstu dnie poprzednio pominięte, a do których te wzmianki należały. Małą „komasację" zapisek pozostawiłam tylko w kilku miejscach, w których ponowne rozczłonkowanie tekstu nie było celowe albo wymagałoby dodawania nowych, a już niekoniecznych tekstów oryginału. W paru miejscach przedmiot zapiski, podany w oryginale zbyt drobiazgowo i z licznymi powtórzeniami, został streszczony i to pozostało. Streszczeń tych dokonałam używając wyłącznie słów i zwrotów oryginału albo ich zupełnie adekwantnych polskich odpowiedników. A i w ogóle starałam się, aby przekład był o ile możności dosłowny. Nie wierzę bowiem w słynne zdanie o przekładach, że bywają piękne ale niewierne albo wierne ale niepiękne. Przekład powinien, a więc może, być

i piękny, i wierny. Jeśli mimo to niektórzy znawcy angielskiego tekstu D z i e n n i k a twierdzą, że mój przekład jest artystycznie wartościowszy od oryginału, wynika to z nie całkiem ode mnie zależnych właściwości mojego stylu. Pisarz-artysta o jako tako ukształtowanej osobowości nada zawsze przekładowi jakieś własne piętno. Dlatego nie uważam pisarzy-artystów za najlepszych tłumaczów, choć ich przekłady mogą niekiedy przysporzyć blasku rodzimej literaturze, jak choćby P s a ł t e r z D a w i d o w y Kochanowskiego czy C a l d e r o n Słowackiego.

Muszę jeszcze dodać, że absolutnie dokładne oddanie sensu, a zwłaszcza toku zdań Pepysa napotyka często na karkołomne trudności i nie zawsze jest możliwe, a nawet — nie zawsze celowe. Ze względu na interes polskiego czytelnika nie podobna było na przykład zachować wszystkich nieprawidłowości i dowolności składni Pepysa, zaciemniających czasem sens zdania do istnej łamigłówki. Nadto przy opisach przeżyć intymnych Pepys używa często zdań, w których każde słowo pisane jest w innym języku i zniekształcone błędami gramatyki i ortografii. Tym naiwnym „szyfrem" dla miejsc tzw. obscenicznych posługuje się Pepys w swoim (stenografowanym poza tym) rękopisie i to jest żywcem przeniesione do pełnego wydania angielskiego. W polskim wydaniu przełożyłam te grecko-łacińsko-francusko-włosko-hiszpańskie potwory zdań normalną polszczyzną.

Skoro mowa o drastycznej stronie D z i e n n i k a, wspomnijmy jeszcze o tym, że najbardziej „niecenzuralne" zdania Pepysa zostały w pełnym wydaniu angielskim opuszczone i wykropkowane. A chociaż to jest dziwne, aby w wydaniu mającym charakter naukowy i dokumentarny stosowano taką pruderię, niemniej przedmowa do tego wydania wyraźnie zaznacza, że miejsca te opuszczono ze względu na przyzwoitość. Arthur Bryant, który w swej wielkiej monografii o Pepysie (S a m u e l P e p y s t h e m a n i n t h e m a k i n g) korzystał najwidoczniej z rękopisu D z i e n n i k a, nie ma tych skrupułów i cytuje niektóre ze zdań wykropkowanych; muszę przy tym zaznaczyć, że nie wydają mi się one bardziej nieskromne niż to, co w pełnym wydaniu zachowano. Ale Bryant stwierdził nadto, że w tym wydaniu opuszczono z niewiadomych powodów parę miejsc nie zawierających nic gorszącego i miejsca te również przytacza. Ta okoliczność pozwoliła mi dopełnić gdzieniegdzie przekład tekstami, których w pełnym wydaniu oryginału nie ma, a które cytuje Bryant z podaniem daty, miesiąca i roku, pod którymi je znalazł.

Mimo pracowicie przeprowadzonej korekty przekładu, trudno ręczyć, czy w jego tekście nie pozostały jeszcze drobne błędy lub nawet małe gaffy, jakie każdemu bez wyjątku tłumaczowi mogą się przytrafić. Już, niestety, po ukazaniu się drugiego wydania jeden z czytelników pierwszego wskazał mi na taki drobny błąd. Mianowicie słowo *„sword"* w paru miejscach tłumaczę przez „szabla". Nałożyło mi się to snadź z polskiej XVII-wiecznej rzeczywistości. Oczywiście wszędzie powinno być (jak i gdzieniegdzie jest) „szpada". Śród różnych określeń człowieka istnieje również określenie — człowiek — istota omylna. A naprasza ono się ze szczególną siłą w wypadku dokonywania roboty przekładowej. Toteż zawsze jestem wdzięczna czytelnikom za uzasadnione wskazywanie mi usterek rzeczowych mej pracy przekładowej.

Trzecim z kolei moim przekładem było 13 opowiadań Czechowa, które weszły do dwutomowego wyboru dzieł tego pisarza jako część tzw. Złotej serii literatury rosyjskiej wydawanej przez „Czytelnika". W tym wyborze mam zaszczyt współtowarzyszyć znakomitemu pisarzowi, Jarosławowi Iwaszkiewiczowi, oraz wybornemu tłumaczowi, Jerzemu Wyszomirskiemu, który przełożył sporą część wchodzących do tej publikacji utworów.

Przekład Czechowa różni się od moich dwu poprzednich tłumaczeń tym, że nie został podjęty z mojej własnej inicjatywy, lecz na skutek zamówienia „Czytelnika", ściśle mówiąc — redaktorki tego dwutomowego wydania, Natalii Modzelewskiej. Czechow od dawna znany i mający pełne wydania swych dzieł w Zachodniej Europie, u nas dopiero teraz przychodzi do należnego sobie głosu. Garść opowiadań humorystycznych i parę utworów teatralnych, oto wszystko, cośmy z niego do niedawna po polsku czytali i oglądali. Nie stanowiłam pod tym względem wyjątku, znałam Czechowa-humorystę i Czechowa autora Wiśniowego sadu oraz Wujaszka Wani. Oprócz opowiadania Duszeczka, przełożonego w swoim czasie przez Stanisława Stempowskiego, nie czytałam też nigdy żadnego z danych mi do tłumaczenia utworów. Poznawszy je rozkochałam się w pisarzu, z którego wartości zdawałam sobie sprawę i przedtem, ale dosyć ogólnikowo. I jeśli nie podjęłam przekładów Czechowa z własnej inicjatywy i pasji, to w toku pracy nad jego tekstami znalazłam w nim pisarza nie tylko budzącego mój zachwyt, ale jakoś szczególnie mi bliskiego i — *toutes proportions gardées* — jakby pokrewnego. Przyswajanie go polszczyźnie stało się dla mnie porywającą przyjemnością, za którą winna jestem wdzięczność tym, co mnie do tej pracy skłonili.

Praca nad 13 opowiadaniami Czechowa * była przeze mnie podjęta w nader sprzyjających okolicznościach. Po raz pierwszy robiłam przekład nie tylko z oryginału, ale mając zapewnioną radę i pomoc rodaczki autora, Natalii Modzelewskiej, łączącej w sobie przyrodzoną niejako znajomość języka rosyjskiego z doskonałym już wtedy opanowaniem polszczyzny. Miałam też zapewnioną radę i pomoc Stanisława Stempowskiego, niezrównanego znawcy realiów dawnej Rosji i miłośnika utworów Czechowa stanowiących przez wiele lat jego ulubioną lekturę. Jasne, że prócz tego posługiwałam się słownikami radzieckim i dawnym rosyjskim Dahla, koniecznym choćby ze względu na terminy cerkiewne, dość obficie występujące u Czechowa.

Kiedy po trzykrotnym opracowaniu przekład był już mniej więcej gotów, zaczęła się współpraca z Natalią Modzelewską. Czytałam głośno moje teksty, ona zaś sprawdzała je zdanie po zdaniu z oryginałem. Potem omawiałyśmy zanotowane przez nią albo nasuwające się mnie samej wątpliwości. Wynikłą stąd poprawioną redakcję przekładu Natalia Modzelewska jeszcze raz sama porównała z oryginałem. Już niewiele, jednak jeszcze coś niecoś

---

* Są to: Wańka, Spać się chce, Chórzystka, Strzelec, Agafia, Wiedźma, Baby, Duszka, Trzpiotka, Sala nr 6, Zgryzota, Tęsknota, Moje Życie.

nadawało się do ulepszenia. Chciałabym tu jakimś ciepłym słowem wyrazić wdzięczność Natalii Modzelewskiej. Trudno wyobrazić sobie współpracę znawcy oryginału z tłumaczem bardziej subtelną, dyskretną, ofiarną i skuteczną.

Po złożeniu maszynopisu w „Czytelniku" zaczęła działać redakcja adiustatorska. Mimo wielekroć i słusznie krytykowane usterki pracy adiustatorskiej osobiście odnoszę się do niej obiektywnie i rzeczowo. Propozycje bezwarunkowo niesłuszne odrzucam, nad tymi, w których widzę bodaj źdźbło racji, zastanawiam się, te, które są trafnym dostrzeżeniem jakiejś mojej niedokładności — przyjmuję. Muszę lojalnie dodać, że propozycje adiustatorskie były w stosunku do moich przekładów Czechowa bardzo nieliczne, a decyzje ostateczne zawsze mnie zostawione. Ale na użytek moich mniej szczęśliwych kolegów chciałabym ostrzec redakcje adiustatorskie przed pewną przesadą w stawianych autorom czy tłumaczom propozycjach. Gdy propozycje zmian choćby tylko stylistycznych mnożą się, autora czy tłumacza ogarnia w końcu znużenie. Nawet najlepszy pisarz, gdy mu kilkakrotnie kwestionują jakieś słowo czy zwrot, zaczyna w końcu powątpiewać, czy w jakimkolwiek języku potrafi się wyrażać. Tu stykamy się z tym, o czym wspominałam na początku — z granicami pracy zespołowej przy ustalaniu tekstu przekładów. Jak we wszystkim, tak i w czynnościach adiustatorskich dobrze jest zachować umiar, abyśmy nie musieli przypominać sobie przysłowia „gdzie kucharek sześć" oraz bajki o „młynarzu, synu jego i ośle". I abyśmy nie zarażali duchem adiustatorskim samego pisarza czy tłumacza zamieniając jego płodne wątpliwości, które każdy pisarz i tłumacz mieć powinien, w jałowe i niespokojne zwątpienie.

5

Przy tłumaczeniu Czechowa nabrały dla mnie ostrości trzy zasady dobrego przekładu, które sobie w poprzednich pracach tłumacza ustaliłam. Dwie z nich już wymieniałam. Nie polegać na sobie i korzystać ze współpracy tych, co nam pomóc mogą. Nie dowierzać swojej znajomości oryginału i studiować go wielokrotnie. Trzecia zasada mówi, że najważniejszym bodźcem warunkującym dobry przekład jest upodobanie, więcej — miłość do tłumaczonego dzieła. Dobrze, z natchnieniem, a nawet kongenialnie można tłumaczyć tylko dzieło, którym jesteśmy silnie zainteresowani, które się zna i kocha lub które poznawszy przy braniu roboty na warsztat — szczerze się pokochało. Tłumaczenie utworu, nawet bliskiego ideowo, a który naszym gustom lub wymaganiom artystycznym nie odpowiada, z którym nie jesteśmy w stanie zżyć się aż do zrozumienia najistotniejszych cech jego formy i treści, może przynieść w najlepszym razie tylko mierne wyniki. Co nie znaczy, oczywiście, aby upodobanie do dzieła wystarczało dla zrobienia dobrego przekładu.

Praca przekładowa nasunęła mi sporo uwag dotyczących języka. Odnotowuję tu tylko jedną, nie uważając się za kompetentną do szerszego rozpisywania się na ten temat. Otóż wydaje mi się, że tłumacze, a także adiustatorzy, zwłaszcza przy spolszczeniach z pokrewnego naszemu języka rosyjskiego, nazbyt często ulegają panice w kwestii wpływów języka oryginału.

Aby na przykład uniknąć rusycyzmów, starają się za wszelką cenę przetłumaczyć każdy zwrot albo zdanie innymi słowami, choć przełożenie ich ściśle tymi samymi słowami może wcale a wcale nie być rusycyzmem. Przeciwnie, może być doskonałym, tradycyjnie polskim zdaniem czy zwrotem. Nieczęsto zdarzają się zdania, które można przetłumaczyć na inny język dosłownie tymi samymi wyrazami, ale zdarzają się; i to nie tylko w językach pokrewnych sobie, jak polski i rosyjski, ale nawet w tak sobie dalekich, jak polski i angielski. Rosyjski zwrot: *„poczemu tak a nie inacze?"* można tłumaczyć przez „czemu tak a nie inaczej?" i to będzie dobrze po polsku. I nie należy tu dawać: „nie zaś inaczej" lub „ale nie inaczej", jakby zalecił nasz wielki uczony, Kazimierz Nitsch; mimo że są to też dobre formy polskie. Zwrot angielski *„somehow or other"* odpowiada niemal dosłownie polskiemu „tak czy inaczej"; angielskie *„out of sight, out of mind"* ma również niemal dosłowny swój odpowiednik w polskim „co z oczu, to z myśli". Natomiast angielskie *„don't ask questions"*, które dosłownie znaczy „nie zadawaj pytań", nie zawsze może być tak przetłumaczone: Gdyż *„don't ask questions"* przeważnie znaczy mniej więcej to, co polskie „nie nudź". Jasne, że trzeba mistrzowsko władać językiem, na który się przekłada, żeby zawsze wiedzieć, kiedy można przełożyć dosłownie, a kiedy trzeba użyć odpowiednika z innych słów czy form składniowych złożonego. To są z pozoru komunały, a jednak rozejrzawszy się w naszych przekładach przekonalibyśmy się dowodnie, że nie w pełni zdajemy sobie sprawę, jak dalece bogaty słownik własny i świetna znajomość języka, na który się przekłada, czyli z reguły — języka ojczystego, jest w pracy tłumacza rzeczą wielkiej wagi. Najlepiej byłoby władać wybornie oboma językami, ale ponieważ taki idealny stan rzeczy należy do rzadkich wyjątków, warto zaznaczyć, że mniejszym dla przekładu niebezpieczeństwem są braki w znajomości języka oryginału niż nie dość precyzyjne władanie językiem własnym. Tak mi się przynajmniej wydaje.

W czasie dyskusji nad niniejszym referatem na zebraniu Sekcji Tłumaczy ZLP niektórzy koledzy wystąpili przeciwko przekładom z kilku języków dokonywanym przez tego samego tłumacza, zarzucając mi poniekąd, że jakoby propaguję taki nie specjalizujący się w jednym języku system pracy przekładowej. To nieporozumienie. Dopiero, gdy podniesiono tę sprawę w dyskusji, uprzytomniłam sobie, że moje tłumaczenia podejmowane były — każde z innego języka. To przypadkowy zbieg okoliczności wynikły stąd, że wybierałam nie język, ale dzieło. Daleka jednak jestem od szerzenia myśli, że każdy tłumacz powinien przekładać z kilku języków, chociaż w samej dyskusji przejawiły się również i takie poglądy. Jako tłumacz przygodny nie zastanawiałam się właściwie nad tą kwestią. Ale chyba jednak skłonna byłabym przychylić się do zdania, że tłumacz niejako zawodowy powinien raczej specjalizować się w przekładach z jednego języka, a nawet w tłumaczeniu jednego tylko autora. Tak jak najwięksi nasi tłumacze dnia wczorajszego — Boy-Żeleński tłumaczący tylko literaturę francuską i Aniela Zagórska, która zajęła takie poczesne miejsce w dziejach naszej literatury tłumaczonej przekładając tylko jedynie Conrada.

Przechodzę teraz do odwrotnej strony medalu, do przekładów z polskiego na obce języki. Temat może nieobojętny dla ludzi zajmujących się problemami sztuki przekładowej.

Chociaż należę do pisarzy, praktycznie biorąc, prawie nie tłumaczonych, przypadek zrządził, że mam w tej dziedzinie pewien zasób doświadczeń.

Współpraca tłumacza z doskonałym, często lepszym niż on sam, znawcą języka oryginału jest rzeczą stosunkowo łatwą do zrealizowania. Rzeczą natomiast, którą wyjątkowo tylko można osiągnąć, jest współpraca autora oryginału z tłumaczem. Potrzeba na to warunków, które rzadko występują jednocześnie. *Primo* — autor oryginału musi żyć, *secundo* — musi znać język, na który jego dzieło ma być tłumaczone, *tertio* — autor i tłumacz muszą w ogóle uznać za potrzebne i chcieć ze sobą współpracować. Ten ostatni warunek wymaga omówienia. Jan Parandowski zaznacza w swej pracy o przekładach, że sławni pisarze krajów o wielkich literaturach i znanych na świecie językach nie dbali nigdy o jakość przekładu swoich dzieł w przekonaniu, że świat i tak pozna je bez trudu w oryginałach. Albo że nawet zły przekład ugruntowanej sławie ich dzieł nic nie zaszkodzi. W samej rzeczy liczne pokolenia różnych narodów znały Cervantesa, Szekspira, Dickensa czy Tołstoja w tłumaczeniach dziś słusznie uważanych za niedobre, a jednak oceniły w nich wielkość i dzieł, i twórców. Dla podjęcia więc współpracy pisarza z tłumaczem trzeba jeszcze i tej okoliczności, aby autor dzieła, które wytrzymało jako tako próbę czasu, i choć na tle wielkich literatur świata skromne, w kraju rodzinnym uznane zostało za dobre, był nadto dzieckiem narodu, którego język wskutek niefortunnych do niedawna kolei losu historycznego nie jest znany ani specjalnie atrakcyjny dla świata. I aby ten autor w poczuciu, że kultura jego ojczyzny nie może jeszcze stracić na opinii w świecie przez kiepski przekład niezłego dzieła, uważał za obowiązek czuwać nad wartością przekładu. Jestem właśnie w położeniu takiego autora.

Kiedy więc „Czytelnik" w końcu zeszłego roku zawarł umowę z wydawcami Niemieckiej Republiki Demokratycznej o przekład i wydanie Nocy i dni, poprosiłam o próbę przekładu, na co wydawcy i zaproponowany przez nich tłumacz chętnie się zgodzili. Propozycję ewentualnej współpracy z tłumaczem zgłosiłam nieśmiało, bojąc się, abym nie narobiła ludziom kłopotu. Wprawdzie przed wojną współpracowałam z podjętym wówczas przekładem Nocy i dni, którego dwa tylko tomy zdążyły się ukazać, ale powołanie się na tę współpracę nie wydawało mi się argumentem wystarczającym; tym bardziej że ówczesny przekład wrocławskiego polonisty, doktoryzowanego na podstawie pracy o Dygasińskim, został w NRD uznany za zgodny wprawdzie z moim tekstem, ale nie dość płynną niemczyzną napisany. Przypadkiem jednak trafiłam na książkę, z której dowiedziałam się, że istnieją w tej sprawie dosyć wspaniałe precedensy. Oto przed stu z górą laty francuski tłumacz Obrazów natury świata sławnego Aleksandra Humboldta w przedmowie do swego przekładu pisze: „Starałem się, aby mój przekład godzien był oryginału. Monsieur Humboldt zgodziwszy się na przejrzenie mojej pracy dał jej tym samym pewnego ro-

dzaju sankcję, która była dla mnie rękojmią pobłażliwości czytelników; i w samej rzeczy poszczęściło mi się na nią zasłużyć". A w dalszym ciągu wspomniawszy o przekładzie dodanych przez Humboldta rozdziałów tłumacz powiada: „Humboldt przestudiował mój przekład i zaszczycił go swoją aprobatą". Nie mierząc się z Humboldtem ani nawet z jego tłumaczem, odetchnęłam, że chyba prośba o współpracę z moim tłumaczem nie będzie mi — zwłaszcza w ojczyźnie Humboldta — poczytana za dziwactwo i natręctwo. Jakoż ze strony wydawnictwa zgodzono się na nią uprzejmie i bez trudności. W dość szybkim czasie otrzymałam cały nieomal pierwszy tom przekładu N o c y i d n i do przejrzenia.

Trudności wynikły nieoczekiwanie ze strony tłumacza. Przesłana mi próba przekładu, będąca może pierwszym pośpiesznym brulionem, zawierała błędy rzeczowe i pewne cechy niezrozumienia istoty mego stylu pisarskiego. Ośmieliłam się wskazać na te usterki i niechcący uraziłam tłumacza, co nie jest nigdy moją wobec nikogo intencją. Wywiązała się korespondencja „wyjaśniająca", w której wyniku doszliśmy do przyjacielskiego porozumienia; muszę sobie pochlebić, że doszliśmy do niego wskutek mojej nieograniczonej dobrej woli i wiary. Przywiązuję dużą wagę do niemieckiego przekładu N o c y i d n i. Tylko niemiecki i — ewentualnie — rosyjski przekład tej powieści mogą jej otworzyć drogę na świat. Jestem szczęśliwa, że w Niemieckiej Republice Demokratycznej zechciano się podjąć wydania tej powieści. Marzyło mi się, że będzie to mój skromny wkład we współpracę kulturalną i w trudne dzieło przyjaźni polsko-niemieckiej. Rozumiem, a w każdym razie zakładam, że chciano jak najlepiej; rozumiem i to, że nawet niepomyślnie zaczętą pracę można poprawić na dobrą; moje własne bruliony prac twórczych nie są w niczym podobne do ich ostatecznej redakcji; biorę na uwagę i to, że zapewne trudno jest dziś w NRD o doskonałych tłumaczy z polskiego i że raczej trzeba zjednywać tych, którzy nie będąc doskonałymi stać się nimi mogą przez sympatię do autorów i dzieł. Przyjęłam więc za najlepszą, złotą monetę zapewnienie Wydawnictwa Weimarskiego, że dołoży wszelkich starań, aby przekład był dobry, oraz uprzejmość tłumacza nie zgadzającego się wprawdzie na moją interwencję w tekst przekładu, ale zgadzającego się przynajmniej na to, że w razie powziętej wątpliwości będzie się do mnie zwracał o wyjaśnienie. Pragnęłabym, aby mój tłumacz żywił tych wątpliwości jak najwięcej; wymiana listów, jaka w tym czasie między mną i tłumaczem nastąpiła, uspokoiła mnie co do jego znajomości polszczyzny, ile że pisaliśmy do siebie po polsku.

Mówię o tym wszystkim dlatego, że błędy mego tłumacza — ufam, że już wszystkie poprawione — uprzytomniły mi z nową siłą, jak łatwo jest (każdemu, a więc i mnie) popełniać błędy w tłumaczeniach. Wzmogły też moje pragnienie, abyśmy w pracach przekładowych byli jeszcze baczniejsi, jeszcze mniej beztroscy, jeszcze bardziej wątpiący i sprawdzający. I abyśmy w interesie światowego znaczenia naszej kultury zaczęli więcej uwagi poświęcać także przekładom z języka polskiego na inne. Przynajmniej do czasu, póki wspaniała praca naszego narodu nie nada kulturze i literaturze polskiej tego znaczenia, jakie utoruje im w świecie miejsce, które mieć byśmy chcieli i mieć byśmy powinni.

Maria Dąbrowska

W Ś R Ó D K S I Ą Ż E K

TADEUSZ NOWAK: *Porównania.* Wiersze. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 55

Tadeusz Nowak wśród naszej młodzieży próbującej pióra należy do indywidualności obdarzonych niewątpliwie wyobraźnią poetycką, przechodzącą jednak zbyt często w łatwość pisania. Nie jest to sprawa ilości napisanych przez niego utworów, choć wydał on w krótkim czasie dwa tomiki poetyckie. Widać to w samej atmosferze, tematyce jego utworów, ich napięciu emocjonalnym. Skoro zaś tzw. łatwość pisania staje się cechą zauważalną dla czytelnika, świadczy to o widocznym niebezpieczeństwie spłycenia, zubożenia prawdy życia, niedostatecznej kontroli obrazu poetyckiego przez rzeczywistość.

Zaobserwujmy najpierw pewne konkretne, fragmentaryczne przejawy obserwowanego zjawiska, by potem pokusić się o odpowiedź, dlaczego tak jest? I tak na przykład charakterystyczne dla Nowaka jest poddanie wielu spraw pod szablon pewnej stylizacji, która zwalnia od szukania całej konkretności obrazów życia, tym samym obniżając wartość obrazów poetyckich. Jest to kontynuacja tego typu maniery widocznej również nieraz w pierwszym tomiku jego poezji U c z ę s i ę m ó w i ć. Na przykład:

Usta mi piaskiem zasyp
i smołą wrzącą zalej,
gdy wargi słów połączyć
nie będą chciały w pieśń.

Głos mój toporem zetnij...

Porównajmy ze strofami z tomiku P o r ó w n a n i a:

Komu w ojczyźnie ogniem woda
a chleb kamieniem w zębach chrzęści,
ten pierwszy wrogom ramię poda
z granatem w pięści.

. . . . . .

Nie po to we mnie serce rosło,
aby się uczyć nienawiści

. . . . . .

Po to mi oczy dano...

. . . . . .

Po to są moje ręce
i dłoniom broń oddana...

. . . . . .

Po to mi serce dano...

Nie analizuję wielu innych przejawów tego stylu. Już tutaj widać dążność do dosyć ogólnikowego a płytkiego stylizowania się na aforystykę, ogólnikową symbolikę prymitywnych oznak ludzkich uczuć, niejako umownych, najdawniejszych, ludowych czy biblijnych znaków rzeczy. Poeta kryje się niejako poza narzuconą na ramiona togą pseudoludowej czy jakiejś aforystycznej mądrości, unikając prostego zdania rachunku z własnych P o r ó w n a ń. Dlatego drwal z wiersza G n i a z d o, będący dobrym przykładem tego stylu, nie jest konkretnym człowiekiem lecz wystylizowanym symbolem:

Zabiłem śpiew — drwal mówi —
bo gniazda nie dojrzałem,
a przecież tak uważnie
szukam ich i zdejmuję.

. . . . . .

Nazwiecie go dziwakiem
a on chciał odjąć pracy
ptasiego płaczu ból.

Podobnie w wierszu L u d z i e ł a g o d n i konkretne zdarzenia zostają zastąpione przez aforystyczne metafory i sytuacje. W istocie rzeczy łatwiej jest napisać „chodzę wpatrzony w źródło smutku" niż to konkretnie ukazać, podobnie jak pisząc „nie po to kocham,

żebym nienawidził" wypowiada się jedynie komunał, który nie przekona jako obraz miłości. Prościej pisać o ptasim bólu towarzyszącym pracy, niż o ludzkich niedolach z nią związanych, klęskach i radościach. Maniera Nowaka nie zawsze jest odrealnieniem całego obrazu — chodzi czasem o jedno określenie, przydawkę, epitet — i tak wpada się w ułatwioną atmosferę stylu pozornie pomysłowego i poetycznego, w istocie płytkiej maniery.

Skąd to się bierze? Z tego samego źródła, z którego płyną banały u mniej zdolnych kolegów „po muzie" Nowaka. Brak samodzielnego, głęboko sprawdzonego spojrzenia na życie, ustawicznego badania i porównania jego przejawów z własnym doświadczeniem. Zbyt często czujemy, że to ktoś myśli za poetę, ktoś kieruje jego piórem... Któż by jak nie uświęcony, ustalony kanon tematów, przeżyć, refleksji w rodzaju choćby takiego jakże łatwego w istocie patosu wzniosłych cnót i uczuć:

Wszystko oddam, co dać mogę —
życie moje Partia bada...
Będę tym, kim zawsze jestem:
synem ludu z krwi i kości...

Być może niepedagogicznie wypominać młodemu poecie grzechy całej szkoły poetyckiej. Ale też, aby stać się naprawdę poetą musi je on przezwyciężyć. Widzę te grzechy także w braku jasno skrystalizowanych zainteresowań, tematów — owego szczególnego tonu, który tak ukazuje nam indywidualność poety. Obecnie w modzie jest skubnąć tu i tam — aby było bardziej „realistycznie". Modne jest przykrawanie własnych uczuć do wyimaginowanego typowego bohatera, który „tego by nie przeżył" — więc po cóż pisać o swych niewczesnych nierealistycznych przeżyciach. „Ale to przeżywa na pewno" — więc pisze się o tym, choć brak ku temu własnego przeżytego doświadczenia.

I dlatego właśnie nie czuję w tomiku Nowaka żywo, we własny sposób odnalezionych konfliktów i uczuć. Jest trochę wspomnień — to łatwiej pokazać. Jest także trochę niezłych wierszy opisowych, gdzie poeta nam relacjonuje tylko — niestety. Ale skądinąd same w sobie są one na tyle interesujące, że pozwalają snuć nadzieje na dalsze osiągnięcia poety. I tak potrafi poeta niekiedy uzyskać zwięzłość, skromność środków stylistycznych w odniesieniu do rzeczywistego konkretu. Z tego powodu wolę od wielu napuszonych wierszy skromny, ale szczery utwór Moi najbliżsi, prawdziwy — Nad Dunajcem. Dobrym, na pewno najlepszym z utworów, w których Nowak opisuje przedrewolucyjną przeszłość przeciwstawioną aluzyjnie teraźniejszości jest Słowo do legendy o Krakowie. Widać tu już opanowanie warsztatu, zwięzłość stylu, trafność metafory, w której Nowak pilnie szuka tajemnicy wartości poetyckich. Nie powinien przeceniać i nadużywać metafory, ku czemu zdaje się zdradzać pewne skłonności, niemniej jednak potrafi nieraz uzyskać obraz trafny i celny. Oto strofy wyjęte z tego utworu:

a ludziom, co przeszli
z cegłami po murze,
zabrała cień ludzki
noc w mniszym kapturze.
. . . . . .
lecz złoto kradzione
z zarobków pradziada
w piwnicy biskupiej
biskupa spowiada.

I niech się nikt miastu
nowemu nie waży
załamać kaptura
mniszego na twarzy.

W tych strofach jest również pewien przejaw tematyki, w której, jak dotąd,

Nowak uzyskuje najlepsze rezultaty. Tam mianowicie, gdzie do głosu dochodzi oskarżenie, poetycka inwektywa, obraz społecznego zła, gdzie poeta może być nieco satyrykiem. Znajdujemy kilka jeszcze utworów o tej tematyce z różnym zresztą powodzeniem napisanych (W s p o m n i e n i e, W k a w i a r n i, Z b o ż n y i n t e r e s, P o g a w ę d k a n a d r o d z e). Być może w tym kierunku rozwinie się wrażliwość Nowaka, jego szczególne zainteresowania, na których brak zwróciłem już uwagę. W pewnym sensie należy do tego cyklu także świeży utwór L i s t z A m e r y k i d o m o j e j m a t k i i wiersz W m i a s t e c z k u, który jako przykład chciałbym zacytować:

W małym miasteczku ciemny rynek
kipi jak czajnik w dzień jarmarczny,
a obok rynku szept godzinek
miesza się z czkawką karczmy.

Poza tym cicho jest, tak cicho,
że spod kościoła święci
chyba za ciszę tę zostali
w dębowe pnie zaklęci.

. . . . . .

Ale po mieście krążą cienie
ludzi dzielących „słowo boże",
a gdy nad słowem trwa milczenie —
słychać, jak dzwonią w słowach
noże.

W sumie po przebrnięciu przez zalew słów płytkich i mimo najlepszych chęci poety w przełożeniu na uczucia czytelnika niewiele znaczących — można w drugim debiutanckim tomiku Nowaka znaleźć kilka wierszy szczerych, noszących zalążki indywidualności. Przesadnie chuchać na nie nie ma potrzeby, ale pielęgnować i rozwijać należy.

Jacek Trznadel

LOPE DE VEGA: *Dziewczyna z dzbankiem*. Dramat w trzech aktach. Przełożył Aleksander Maliszewski. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1954; str. 150.
— *Młyn*. Komedia w trzech aktach. Przełożył Juliusz Żuławski. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1954; str. 180.

Jest w D z i e w c z y n i e z d z b a n k i e m scena, która niemal wyskakuje z ram tego utworu. Dumna, wyniosła, gwałtowna i pewna siebie Donia Maria, krwawo pomściwszy krzywdę ojca, musi się ukrywać w przebraniu służącej. Nieszczęście, ciężka walka, upokorzenia uczą dziewczynę głębszego sensu życia. I oto nawet ponad jej stan duchowy, ponad jej psychologię poeta wkłada niespodziewanie w jej usta filozoficzne swe wyznanie wiary:

Człowiek natury nie odmieni,
a życie zmienne jest jak morze...
Dziś w szczęściu, jutro — zasmuceni,
dziś dumni, jutro zaś w pokorze.
Jakże się wszystko odmieniło!
Chyżo pracują czasu wiosła...

Przypomina się Szekspir, który także odsuwa chwilami na bok swe postacie, by zamiast nich mówić własnymi myślami. Donia Maria, przebrana za wieśniaczkę, nie ma właściwie powodu do tak melancholijnej nad sobą zadumy. Jest młoda, urzekająco piękna. Widzi wokoło siebie zachwyt, słyszy gorące bicie serc, czuje palące spojrzenia... Czemuż przychodzą jej na myśl zwrotki kiedyś czytanego wiersza?

Ode mnie się nauczcie, kwiaty,
że szybko przemija kwitnienie.
Wczoraj ja byłem całym światem,
dziś własnym nie jestem cieniem.

Któż nauczył Donię Marię tej filozofii przemijania? Jeszcze nie może powiedzieć o sobie, że nie jest nawet włas-

nym cieniem. Ale zajrzyjmy do innej, właśnie wydanej w polskim przekładzie sztuki Lope de Vegi, noszącej nazwę Młyn. Także i tam mieści się owa idea przemijania, transformacji, ustawicznego ruchu, któremu podlegają wszelkie zjawiska życia. Hrabia Prospero, zelżywszy w gniewnym uniesieniu następcę tronu, infanta Arystypa, kryje się przed jego zemstą w przebraniu młynarczyka, z twarzą umazaną mąką, niepoznawalny nawet dla najbliższych. A więc, na pierwszy rzut oka, fabuła obu sztuk jest podobna. Dumna szlachcianka przebiera się za wieśniaczkę, by w przebraniu znaleźć gorącą i szczęśliwą miłość; zapalczywy hrabia Prospero, ucharakteryzowany na młynarczyka, broni w ten sposób i swego życia, i swej zagrożonej miłości. Wprawdzie Dziewczyna z dzbankiem nosi nazwę dramatu, a Młyn komedii, mimo to sztuki są i w tym podobne, że gromadzące się tu ciężkie chmury nie kryją piorunów mających śmiertelnie powalić bohaterów. Los nie układa się w nieubłagany sylogizm antycznej czy rasynowskiej tragedii klasycznej, kończącej się nieodwracalną katastrofą. Choć w Dziewczynie z dzbankiem już w jednej z pierwszych scen sztylet przeciął życie Don Diega a groźba kata zawisła nad piękną Marią, choć los skazuje ją potem na tułaczkę, poniewierkę i upokorzenie, perypetie utworu kończą się pomyślnie, jak w niektórych sztukach Szekspira czy w Cydzie. Jest to więc komedia ze wstępem — ale tylko wstępem — tragicznym. Dość podobnie układa się nastrój w Młynie. Choć nie ma tu krwawej ofiary, Prospero jest o włos od katastrofy, a za namową dworaków układa infant niewesołą intrygę egzekucji pozornej. Jeśli więc Młyn jest komedią, to w klasycznym hiszpańskim sensie tego słowa, *commedia* była w tym kraju barwną i uroczą mieszaniną komizmu i tragizmu, rozpaczy i radości życia, a ostateczny jej sens stanowiła wiara w prawo ustawicznej przemiany. Nic nie trwa wiecznie. Czujemy, jak biją w Dziewczynie z dzbankiem źródła piękna i miłości. W Młynie tytuł kryje w sobie i zasadniczą myśl utworu i wspaniały obraz — metaforę teatralną — i okazję do nieustannej szermierki operującej charakterystyczną dla Lope de Vegi grą słów. Oto co mówi na przykład przebrany za młynarczyka i zazdrosny o ukochaną Prospero:

Odkąd młyn jest zagrożony
Nurtem rzeki, która nagle
Wezbrała i klęską grozi,
Trzeba by umocnić tamę.
Bo nurt ważki może znaleźć
Słabe miejsce i uderzy
Łamiąc tędy cały opór,
A rzeka nowym łożyskiem
Popłynie bystrzej niż dawnym.

I chociaż Prospero wie, iż jest gorąco kochany, nie bez podstaw snuje swe obawy. W jednej z następnych scen jego ukochana Celia, słuchając podstępnych zalotów samego króla, wyznaje:

Tamo na rzece! Bądź mocna
i trwała,
Bo już zalewa mnie wezbrana
woda.

Całym tym słownikiem wodno-młynnej terminologii posługują się zakochani jak szyfrem, by mówić o sobie w obecności wrogów, którzy nie powinni ich zrozumieć i poznać. Najśmielsze metafory są tu najzupełniej uzasadnione realnym przebiegiem wydarzeń. Ale równocześnie kryją w sobie myśl, która „jak szybki, lotny goniec" wylatuje poza fabułę utworu...

Bo wyobraźmy sobie, jakie wrażenie

musiały sprawiać tego rodzaju sztuki na publiczności hiszpańskiej, zebranej na teatralnych dziedzińcach, zwanych *corralami*. Gdy oglądam stare reprodukcje, doznaję takiego wrażenia — jakbym podsłuchiwał szmer rozmów. Ów szybki rytm przemiany, owo upatrywanie sensu życia w jego urzekającej płynności musiało uderzać w mury pojęć o niewzruszalności feodalnego porządku, feodalnych instytucji, feodalnych formuł obyczajowych. Czy dumny szlachcic może się zakochać w prostej służącej? Czy może jej tak zapragnąć, by tylko w niej dostrzegać radość i urok świata, całą wartość istnienia? Wytworzone przez średniowiecze pojęcie miłości było przecież związane ze szlachtą, z rycerstwem, z warstwami uprzywilejowanymi. Lope de Vega nie wyrzeka się bogactw duchowych, jakimi obdarzyli miłość średniowieczni trubadurowie. Wczytajmy się w strofy Dziewczyny z dzbankiem — czyż nie brzmią nam chwilami echem Trystana i Izoldy? „O mnie Andaluzja cała — pieśni miłosne układała" — mówi Donia Maria. „O, Mario, Mario najpiękniejsza — nad kwiaty piękna, nad światy!" A cóż powiedzieć o tym zachwycającym sonecie, który Lope wplata w tok drugiego aktu, jako opowiadanie zakochanego Juana:

Dziewczynę dziś widziałem przy basenie —
Dziewczęco piękna, jaka piękna! — młoda...
Trzymała dzban, a w dzbanie grała woda,
Spływając w dzban ten przezroczystym cieniem.

I w swej cichości była jak marzenie,
Krocząc w sandałach z podeszwą drewnianą
Piękna urodą niewypowiedzianą
W biednym fartuszku — królowa natchnienia.

Gdy prać zaczęła — pod palcami tymi
Ponad śnieg bielsze stały się tkaniny,
Więc duszę swoją zgubiłem zupełnie.

Podszedłem blisko i rzekłem gorącej,
O, nie nachylaj się nad studnią więcej,
Pozwól, niech dzban ten ci łzami dopełnię...

Lecz zważmy, że w te pojęcia wdziera się już myśl najzupełniej nowoczesna. Juan pokochał Izabellę (czyli przebraną Marię) — mimo jej wieśniaczego przebrania; ale i po trosze z powodu tego właśnie przebrania. Wzruszyła go świeżość jej urody niezależna od stanu, bardziej oczywista niż jakiekolwiek dostojeństwa „urodzenia". Metafora „dziewczyny u źródła", „dziewczyny z dzbanem" ma swoją także i społeczną wymowę. Już po wyjaśnieniu sytuacji mówi Juan do swej miłej:

Na zawsze mnie związała twa uroda
przy studni... wtedy — miłości godzina...
Trzymałaś dzban, a w dzbanie grała woda...
Dzisiaj odchodzisz, lecz odchodzisz inna...
Ja — tamtą kocham.

Wychowany przecież w pojęciach tak rygorystycznie feodalnych, jakie znała ówczesna Hiszpania, odkrywa nagle młody szlachcic, że:

Ulepiony ręką prostego człowieka
dzban umie także ukoić pragnienia.

Czar wieczornego spotkania u źródła z cudownie piękną dziewczyną dokonał w duszy Juana zadziwiającej przemiany. Jego najbliższy przyjaciel, hrabia, gotów się w imię łączącego go z Juanem braterstwa wyrzec nawet prześlicznej i gorąco kochanej Doni Anny. Ale w głowie się nie mieści hrabiemu, by można było zezwolić na małżeństwo przyjaciela ze służącą:

Jeśli prawdą jest, co mówisz,
to zabiję raczej, niżbym
do tej hańby miał dopuścić!
Hejże! Służba! Brać ją! Żywo!
Brać tę czarownicę, mówię!
I za bramę! Zabić! Ruszaj!

Zarówno stan pojęć hrabiego, jak i proponowane środki (zabić Izabellę uznaną za czarownicę!) dobrze go sytuują w świecie feodalnym. A jednak usłyszymy za chwilę odpowiedź don Juana, która nam tak zabrzmi jak późniejsze o cały wiek odezwanie się o synu tragarza w Don Juanie Moliera. Ba, jak wyjątek z monologu Figara:

Jest za nisko urodzona?
Ano trudno — już przepadło
Drugi raz się nie urodzi.

To prawda, że na razie musi Lope de Vega używać jeszcze pewnych „klap bezpieczeństwa". Izabella tylko pozornie jest plebejką, jej upokorzenia i służba u wzbogaconego w „Indiach" (czyli w Ameryce) parweniusza — to tylko przygoda, wywołana zbiegiem okoliczności. A jednak jakąż ta sztuka musiała być dla ówczesnej publiczności szkołą nowych pojęć! Równie wielkie wrażenie czyniła na pewno na przedstawieniach Młyna (El Molino) śmiała analiza ustalonych wtedy pojęć o honorze i różnych jego odcieniach. Zaraz w drugiej scenie tej *commedii* prowokuje Infant „zwykłego" arystokratę pozorami równości i swobody.

INFANT: Dosyć! Gotów jestem może
Zniżyć się i zrównać z tobą
By zobaczyć, co potrafisz.
PROSPERO: Spróbuj.
INFANT: Głośno więc oświadczam,
Żem ci równy. Że się zrzekam
Mych królewskich przywilejów —
Jak żądałeś. Daj odpowiedź!
PROSPERO: Nie jesteś już żadnym królem?
INFANT: Nie.
PROSPERO: Więc kim?
INFANT: Jak ty, człowiekiem.

Kiedy jednak Prospero chce potraktować Infanta jak równego sobie człowieka — okazuje się, że między ich sprawy wciskają się niezwalczone różnice stanowe. Doradca księcia krwi, Valerio, mówi otwarcie do Infanta:

Wielką hańbą dzisiaj okrył
Honor twój. Powinien umrzeć.

Albowiem, jak pokazuje Lope de Vega, śmierć była ceną, płaconą za niezrozumienie sensu owej społecznej hierarchii, owej „drabiny" stanowej, jaką zawierał ówczesny system pojęć — nawet w obrębie tej samej warstwy uprzywilejowanej. Dobrze o tym wiedziała biedna Infantka z Cyda, która zmuszała do milczenia serce rozszalałe tłumioną miłością do bohaterskiego Rodryga. Lepiej jeszcze o tym wiedzieli ci ludzie, co od Richelieu'go aż po Voltaire'a, Osińskiego i Napoleona I skazywali Infantkę na wykreślenie z kart arcydzieła Corneille'a jako zjawisko sprzeczne z uświęconym porządkiem pojęć odwiecznych. Księżniczka krwi zakochana w „prostym" rycerzu — taka sytuacja nie mogła się pomieścić

w głowie nawet i twórców Kandyda, czy... Kodeksu Cywilnego: I w świetle tych zestawień jakże nas uderzy śmiałość, a więc i przełomowe znaczenie wielkiego hiszpańskiego poety. Jego sztuki stawały się orędziami nowego teatru, burzącego wiele dawnych pojęć. Miłość, którą tak przemożnie odczuwają bohaterowie tego teatru, stawała się w owych utworach siłą łamiącą żelazne obręcze pojęć dotychczasowych. Poprzez Włochy i Francję, gdzie rozpłomieniała ogniska nowych myśli, dramaturgia Lope de Vegi stawała się wzorem do nowoczesnej literatury krajów romańskich. A stamtąd sięgała jeszcze dalej, zwiększając i ustawicznie potęgując siłę swego działania. Przedstawienia Owczego źródła w teatrach carskiej Rosji w wieku XIX-ym wywoływały jako oddźwięk na widowniach tak burzliwe demonstracje radykalnej młodzieży, iż „Ochrana" zakazała ich na długie dziesiątki lat. U nas, gdzie szybko i mocno zaznaczył się wpływ Szekspira i Moliera, Beaumarchais'go i Gogola, Wiktora Hugo i Goethego, pozostał Lope jedynym bodaj wielkim twórcą nowoczesnego dramatu, którego nie znały szersze kręgi publiczności teatralnej. Ach, gdybyż się z utworami Vegi zetknął wielki tłumacz Księcia Niezłomnego, Słowacki. Można sobie wyobrazić, jaki by ten świat wzniecił pożar w jego wyobraźni, w jego nieustannie chłonnej i wrażliwej umysłowości. Ale stało się, iż czekaliśmy do połowy XX-go stulecia, by się rozkochać w utworach takich, jak Owcze źródło, Pies ogrodnika, Nauczyciel tańca, Dziewczyna z dzbankiem, Wędka Feniksany, Młyn... Jednym z pierwszych odkrywców Vegi, tłumaczem a zarazem interpretatorem i komentatorem tych utworów był Tadeusz Peiper. Nie wiem, co się dzieje z przekładami dokonanymi przez tego poetę, z jego studiami o Lope de Vedze. (Podobnie — trzeba to powiedzieć — nie wiemy, co się dzieje z pięknym przekładem Księcia Homburgu Kleista, dokonanym przez innego entuzjastę i poetę: Jana Sztaudyngera). Oto los naszych literackich Kolumbów, odkrywców nowych lądów doznań i wzruszeń. Cieszmy się na razie dwoma bardzo pięknymi tłumaczeniami sztuk Lope de Vegi, ogłoszonymi przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Autorami tych tłumaczeń są: Aleksander Maliszewski i Juliusz Żuławski. W swej wypowiedzi ogłoszonej na łamach Nowej Kultury w ramach ankiety Pisarze wobec dziesięciolecia wspomniał niedawno Maliszewski, że „był pod urokiem jednej z najpiękniejszych poetyckich komedyj Lope de Vegi pt. Dziewczyna z dzbankiem". Był pod urokiem — jakie to trafne określenie nastroju, jakiego na pewno doznawał tłumacz. Sztukę tę zagrał już teatr w Częstochowie oraz kierowany przez ambitnego Kazimierza Dejmka łódzki Teatr Nowy. Czyż na tym miałoby się skończyć? Gdzie Kraków, Warszawa i Śląsk? Młyn przygotowuje warszawski Teatr Ludowy. Gdzie inne polskie teatry? Jestem pewny, że arcydzieła hiszpańskiego pisarza staną się już na zawsze także i naszą własnością poetycką, wielkim i ożywczym źródłem przeżyć. Mocniej jeszcze powiążą myśl naszą z tajemniczą i piękną, skrwawioną i nieszczęśliwą ojczyzną Lope de Vegi.

Wojciech Natanson

T E A T R

KILKA UWAG O WARSZAWSKIM SEZONIE TEATRALNYM

Paryskie sukcesy Teatru Kameralnego sprawiły nam wszystkim ogromną radość. Okazało się, że z teatrem naszym wcale nie jest tak źle jak... Nie! Trzeba to inaczej powiedzieć. Okazało się, że z teatrem naszym wcale nie było tak źle, jak jest obecnie.

Zadajmy sobie bowiem wreszcie to drażliwe pytanie. Co z warszawskiego sezonu teatralnego, który zaczął się we wrześniu zeszłego roku i kończy obecnie, trzeba było albo chociaż można było pokazać? O repertuarze będziemy jeszcze mówić. Ale na pytania trzeba jak na egzaminie odpowiadać wprost.

Mieliśmy w tym roku z wielkiej klasyki polskiej jedną prawdziwą premierę. Mówię — premierę prawdziwą, bo była nowa w swoim kształcie scenicznym i w świadomym zamierzeniu ukazania całości dzieła. Było to przedstawienie zakrojone na bardzo dużą miarę i w moim najgłębszym przeświadczeniu równie ambitne jak nieudane. Była to klęska koncepcji reżyserskiej, ale klęska, która bardziej się liczy od wielu innych łatwych zwycięstw. Myślę oczywiście o Horsztyńskim w inscenizacji Wiercińskiego.

Oglądaliśmy jeszcze z wielkiej klasyki polskiej drugie interesujące przedstawienie. Zabawne, ambitne i nowatorskie, ale ambitne i nowatorskie na prawach eksperymentu albo, powiedzmy ściślej, na prawach teatru szkolnego. Zakończyło się ono sporem o antyfeudalne romantyczne pioruny, które Bardini chciał wygnać z realistycznego teatru. Myślę o Balladynie wystawionej przez absolwentów warszawskiej szkoły teatralnej.

Widzieliśmy wreszcie prapremierę jednej z najbardziej ambitnych i ważnych sztuk, jaką wydała dramaturgia współczesna. Za wcześnie jest jeszcze na sąd o Juliuszu i Ethelz dalszej perspektywy i nie wyobrażam sobie, aby można już dziś odpowiedzieć na pytanie, czy ostatnia sztuka Kruczkowskiego prowadzi nas do nowej formy tragedii współczesnej, czy też jest tylko niepowtarzalnym i trudnym osiągnięciem autora? Jedno jest niewątpliwe, że Ethel Haliny Mikołajskiej była jedną z najbardziej wzruszających i wstrząsających kreacji aktorskich, jakie teatr polski dał po wojnie.

Co więcej? Niestety, już bardzo niewiele. Gdzie były przedstawienia, które by wywołać mogły istotną dyskusję intelektualną, a nie tylko spory, czy ktoś bardziej lubi marchewkę czy buraczki? Które by świadczyły o nowym spojrzeniu na arcydzieła albo chociaż o odkrywczości repertuarowej? Które by albo były rzeczywistym nowatorstwem, albo chociaż mogły zaimponować doskonałością warsztatu, świetnością rzemiosła teatralnego? W których by naprawdę było coś nowego, w których by zaczynał rodzić się styl?

Mieliśmy oczywiście w tym sezonie kilka przedstawień udanych, parę zajmujących, tu — świeże i ciekawe spojrzenie dekoratora, tam — uczciwą robotę reżyserską, gdzie indziej wreszcie parę dobrych zagrań i utrzymaną zespołowość gry. To prawie wszystko.

Wybór Grzechu i Męża i żony na paryski wojaż okazał się słuszny i trafny. Ale jak bardzo był ten wybór trudny! Aby wybierać, trzeba mieć z czego. I oto w dyskusji nad tym, co trzeba, a co można pokazać, okazało się dopiero, jak piekielnie repertuar naszych teatrów jest — użyjmy modnego

słowa — zawężony. Zawężony oznacza w dobrej polszczyźnie pełen węży. Dyrektor Dąbrowski twierdzi, że są to węże finansowe. Nieprawda, są to węże repertuarowe. Gramy za mało sztuk i gramy ciągle sztuki te same.

Już w dyskusji na zjeździe teatralnym zwrócono uwagę na katastrofalny spadek ilości premier, który ze szczególną zjadliwością wystąpił w teatrach warszawskich i to przede wszystkim na scenach przodujących. Przypomnijmy: Teatr Polski dał od października trzy premiery. Żeby to chociaż były premiery. Lubow Jarowaja była powtórzeniem krakowskiej koncepcji inscenizacyjnej Dąbrowskiego z r. 1949, powtórzeniem gorszym i zszarzałym, bo mechanicznie nałożonym na zupełnie inne temperamenty aktorskie, powtórzeniem martwym, bo nie wzbogaconym o nowe doświadczenia. Trzecia „premiera" — to spokojne wznowienie Cyda w inscenizacji i obsadzie sprzed paru lat.

Nie lepiej w Teatrze Narodowym. Żywił się on repertuarem zeszłego sezonu: Zemstą, rzeczywiście coraz lepszą, im się na nią dłużej patrzy, i Karykaturami, które zaświeciły jak ognik na repertuarowej mieliźnie. Premiery były dwie: sztuka współczesna i klasyka, Kret Lutowskiego i Wesele Figara. Przy dwóch premierach mówić o jakiejkolwiek linii repertuarowej jest rzeczą humorystyczną. Jeszcze śmieszniej byłoby mówić o kształtowaniu jakiegoś stylu teatralnego. Co z tego, że w pracę nad Kretem zespół włożył dużo rzetelności i dobrej woli, przedstawienie w niczym nie wykraczało poza przeciętność. Wesele Figara natomiast było już wyraźną pomyłką.

Wyszomirski przeinterpretował Beaumarchais'go. Wziął na serio hiszpański kostium sztuki i zupełnie zgubił jej francuski klimat. Zgadzam się na podwyższenie postaci Figara, chętnie widzę w nim przyszłego retora Konstytuanty. Ale nie ma Figara bez wdzięku. Wyrasta z kipiącej zmysłowością atmosfery rokoko, choć miota na nią gromy. Genialnym pomysłem Beaumarchais'go było odkrycie, że spór o miejsce w łóżku Zuzanny, spór między hrabią i jego cyrulikiem, rozstrzyga polityka, a nie moralność. Beaumarchais miał rację — spór ten został zakończony zburzeniem Bastylii. Wesele Figara zniewala połączeniem wdzięku z drapieżnością myśli. Wyszomirski pozbawił tę wielką komedię wdzięku i drapieżności.

Będzie już niedługo dwa lata, jak Rada Kultury i Sztuki wydała po długiej dyskusji słynną uchwałę o błędach w pracy Teatru Polskiego i Narodowego i o specjalnych zadaniach stojących przed tymi scenami. Uchwała miała bardzo wiele punktów — ani jeden z nich nie został zrealizowany. Jest nad czym westchnąć! Grają teatry, ale w teatrach coś nie gra. Niewątpliwie jest to wina dyrygentów, ale przecież nie tylko dyrygentów.

Ożywienie repertuaru jest obecnie dla naszych teatrów sprawą najistotniejszą. Ale jak wzbogacić repertuar przy dwóch lub trzech premierach rocznie! Dyrektorzy teatrów i kierownicy artystyczni tłumaczą się brakiem funduszów, zabieraniem aktorów przez film, źle skompletowanymi zespołami. Mają na pewno dużo racji. Ale przecież najmniejszą ilość premier dają teatry najlepiej zorganizowane, mające najlepszych aktorów i największe środki.

Być może, że należy przedyskutować skrócenie czasu przygotowania przedstawień. Może zmniejszenie ilości prób da nam spektakle mniej wykończone, ale za to lotniejsze, odważniejsze, świeższe? Dziecko niedonoszone szybko nabiera sił i przybiera na wadze, ale dziecko przenoszone często rodzi się martwe.

Teatr Współczesny dał jedną premierę i wybrał na nią przeróbkę pierwszego tomu Emancypantek. Prawdopodobnie sądził, że w ten sposób załatwi dwie sprawy: klasykę, bo Prus, i współczesność, bo Iwaszkiewicz z Rytardem. Klasyka może na tym niewiele i straciła, współczesność natomiast na pewno nie zyskała. Tyle tylko, że latające i mnożące się szafy przejdą do anegdoty teatralnej.

Teatr Kameralny dał trzy premiery: Jurandot, Molier, Kruczkowski. Takie czasy, odegrane lekko i z wdziękiem, były w tym sezonie jednym z najmilszych wieczorów teatralnych. Alcest i Celimena w dwadzieścia lat później, czyli Mizantrop warszawski, sprawili nam wszystkim gorzki zawód. Tak cieszyliśmy się na arcydzieło Moliera i tak go nam zepsuto. Była to wielka pomyłka: od koncepcji reżyserskiej przez obsadę aż do stylu dekoracji. Jest coś niepokojącego dla naszej kultury literackiej, że właśnie wobec Moliera i Beaumarchais'go, dwóch wielkich komediopisarzy tak zadomowionych na naszej scenie, teatr popełnia tak poważne błędy. Zwłaszcza że natura tych błędów jest dość podobna. Zarówno Wesele Figara, jak i Mizantropa wystawiono na przekór francuskiej tradycji teatralnej. Możemy patrzeć na nią jak najbardziej krytycznie, możemy ją odrzucać, ale musimy wiedzieć, co odrzucamy i w imię czego? Inaczej dziecko można wylać razem z kąpielą. Jeśli dzieckiem tym jest geniusz Moliera albo Beaumarchais'go, nie jest to najlepsze rozwiązanie. W obu warszawskich przedstawieniach wielkich komedii zatracił się wdzięk francuskiego salonu i drapieżność racjonalistycznej myśli.

W tym posezonowym obrachunku jeszcze stosunkowo najlepiej przedstawiają się teatry prawobrzeżnej Warszawy. Trzeba uczciwie przyznać, że na miarę swoich bardzo skromnych możliwości i w nieporównanie trudniejszych warunkach robią rzeczywiście wszystko, na co ich stać. Teatr Powszechny ma za sobą pięć premier i wielki sukces Imienin pana dyrektora, który rozbawił całą Pragę i pół Warszawy. Teatr Ludowy dał trzy uczciwe przedstawienia i jedną repertuarową rewelację. Myślę o Synu marnotrawnym Woltera w arcygenialnej przeróbce Trembeckiego, którą porównać można jedynie z Molierowskim Amfitrionem w przekładzie Zabłockiego.

Byłem zawsze entuzjastą Trembeckiego, ale nie spodziewałem się nigdy, że Syn marnotrawny przetrzyma dzisiaj próbę sceny. Okazało się tymczasem, że komedia ta nie tylko świetnie bawi, ale nawet potrafi wzruszyć. Połączenie mądrości Wolterowskiej z dowcipem Trembeckiego dało rezultaty znakomite. I wreszcie rzecz dla historyków literatury wcale nie obojętna. Widok Syna marnotrawnego na scenie z całą oczywistością pokazuje prawdziwą genealogię Fredry, jego ścisłe związki z komedią polskiego Oświecenia.

Teraz musimy jeszcze spojrzeć w całości na repertuar ostatniego warszawskiego sezonu. Mieliśmy w teatrach dramatycznych około trzydziestu premier, w tym dziewięć i pół prapremier polskich sztuk współczesnych. Pół — to przeróbka Emancypantek Iwaszkiewicza i Rytarda. Osiem — to sztuki Kruczkowskiego, Lutowskiego, Januszewskiej, Stefczyka, Tarna, Jurandota, Skowrońskiego ze Słotwińskim, Ireny Chamiec i Warmińskiego. Dodajmy jeszcze dwie sztuki w przygotowaniach: Korcellego oraz Kuśmierka. Pod tym względem teatry warszawskie nie mają sobie nic do wyrzucenia. Ze współczesnej polskiej dramaturgii chyba tylko poza Brandstaetterem pokazały

wszystko, co można było pokazać, i parę sztuk, których obejrzenie byśmy sobie chętnie darowali. Byłoby demagogią żądać od teatrów więcej. Trudno, aby dyrektorzy sami pisali sztuki współczesne. Jeden zresztą już pisze. Teatr może i powinien pomóc autorowi. Ale są granice tej pomocy. Nawet najświetniejszy reżyser z Ireny Chamiec nie zrobi Zapolskiej.

Z klasyki polskiej teatry warszawskie wystawiły w tym sezonie dwie sztuki Oświecenia: Syna marnotrawnego i Bogusławskiego Spazmy modne; z dramatu romantycznego Horsztyńskiego i Balladynę. Jeszcze był Fredro: Mały człowiek do wielkich interesów, wystawiony jak najfatalniej w Teatrze Wojska Polskiego, i składanka z jednoaktówek na Żoliborzu.

Coraz smutniej i coraz nudniej!

Z klasyki radzieckiej tylko powtórzenie krakowskiej inscenizacji Lubow. Z klasyki rosyjskiej tylko dwie komedie Ostrowskiego, wystawione zresztą nieomal jednocześnie. Z klasyki zachodniej aż sześć premier. Ale na te sześć premier złożyło się nie zmienione wznowienie Cyda, nieudany Mizantrop i pomylone Wesele Figara. Trzy pozostałe — to Alkad z Zalamei, którym Teatr Wojska Polskiego próbował się zrehabilitować za zmarnowany sezon i dwa skromniutkie przedstawienia w teatrach praskich: Świerszcz za kominem Dickensa w Powszechnym i Chory z urojenia Moliera w Ludowym.

Wzbogacenie repertuaru jest dla naszego teatru sprawą życia i śmierci. Ale trzeba umieć odróżniać nowatorstwo i prawdziwą odwagę od nowinkarstwa, za którym często kryje się pospolite nieuctwo i starzyzna gustów. Nie wzbogacą naszego repertuaru ani złe przeróbki dobrych powieści, ani nawet odnalezienie wśród powieści Zoli czy Flauberta jakiejś autentycznej, zapomnianej scenicznej ramoty. Nie odnajdzie się zapomnianych „arcydzieł" wśród płaskich sztuczydeł Zalewskiego czy Lubowskiego.

Nowatorstwo — to rzeczywiste odkrycia repertuarowe. Takie jak Komedia Apolla Korzeniowskiego, która zagrana niestety już na prowincji nie może się dostać na stołeczne sceny. Razem z jego drugą komedią Dla miłego grosza — również niesłusznie zapomnianą — to najlepsze, co mamy w naszym dramatopisarstwie lat pięćdziesiątych.

Są i będą odkrycia repertuarowe. Ale na odkryciach nie buduje się repertuaru. Wielki repertuar, na który wszyscy czekamy, już dawno został odkryty.

To przede wszystkim Szekspir. I to Szekspir w całej swej krasie i sile. Szekspir, a nie tylko trzy jego komedie, grane z całą bezmyślnością w kółko od lat dziesięciu. Wielki Szekspir, na którym wychowuje się aktora, krytyka i widza.

Z mojego pokolenia nie widział nikt ani Króla Leara, ani Makbet, ani Ryszarda III.

Wielki repertuar — to dramat romantyczny, to wreszcie dla odważnych Wyspiański. Przynajmniej — Noc listopadowa.

Klasyka jest szkołą uczuć i wyobraźni, ale nawet największa klasyka nie zastąpi współczesności. Co nam warszawskie teatry pokazały w tym sezonie, poza własną produkcją, ze współczesnego dramatopisarstwa Związku Radzieckiego, Zachodu, krajów demokracji ludowej?

Ani jednej powojennej sztuki radzieckiej, ani jednej współczesnej sztuki z Zachodu, w ogóle całą powojenną twórczość reprezentuje jeden Hikmet ze swoją bardzo uroczą, ale przecież

tylko w odczytaniu bajki współczesną — Legendą o miłości.

Równie smutnego i żałosnego sezonu teatralnego nie pamiętam od lat. Będę aż do znudzenia powtarzał: bez zasadniczego przełomu repertuarowego teatr skostnieje i zamrze. Przeróżne sfery teatralne i czasopismo Teatr oburzają się na ostrość recenzji, drwią z „szakali", wyśmiewają lodowatą atmosferę prasówek. Uważają widocznie, że nie ma powodów do alarmu. Jest, proszę państwa, jest!

Jan Kott

NA WIDNOKRĘGU

O PEWNYCH NAUKACH Z KONFERENCJI GENEWSKIEJ

Spośród wielu aspektów zwycięstwa osiągniętego na konferencji genewskiej przez twórcze, pokojowe siły świata jednym z najistotniejszych jest triumf zasady pokojowego współistnienia państw o różnych ustrojach społecznych. Bezpośrednim wynikiem tego triumfu, jego niejako integralną częścią składową jest wzmożenie procesów rozkładowych w wojennych koalicjach amerykańskich, czyli — co na jedno wychodzi — wzmożenie procesów izolujących wojenną politykę USA na płaszczyźnie międzynarodowej. Weźmy pod uwagę taki oto, nie przebierający w słowach, komentarz New York Daily Mirror:

„Rosjanie odnoszą zwycięstwo za zwycięstwem, podczas gdy my angażujemy się w konferencjach i rozejmach. Francja z jednego z najpotężniejszych mocarstw stała się państwem odgrywającym nic nie znaczącą rolę w Europie, państwem, które wyłoniło premiera demonstrującego tchórzostwo i z góry wybierającego datę podpisania kapitulacji. Wielka Brytania ulega chwiejnemu Nehru, który żyje w ciągłym strachu, że kraj jego ogarnięty zostanie wojną."

Weźmy też pod uwagę inny komentarz amerykański, braci Alsop w New York Herald Tribune, napisany dużo kulturalniejszym językiem, a przecież w treści właściwie identyczny:

„Światowy układ sił przesuwa się z rosnącą szybkością na korzyść Kremla i przeciwko Zachodowi. W Indochinach istnieje sytuacja, którą jeden tylko Churchill miał odwagę określić jako przygniatające zwycięstwo Kremla... Z drugiej strony gwałtownie wzrasta atomowa potęga ZSRR. Od czasu ostatniej wojny światowej koncentrowaliśmy nasze podstawowe wysiłki na utrzymaniu decydującej przewagi w dziedzinie broni atomowych i lotnictwa. Oto jednak atut ten ulega w sposób gwałtowny neutralizacji, a nie widać atutu, który by go zastąpił. Wzrost atomowej i lotniczej potęgi ZSRR wywiera ujemny wpływ na alians zachodni... Krótko mówiąc, strach przejawiany przez naszych sojuszników poczyna po prostu ten alians podważać. Jasne jest również, że niekorzystne przesunięcia w światowym układzie sił pociągnąć za sobą muszą nader nieprzyjemne konsekwencje w przyszłości."

Różnica pomiędzy zawartymi w obu komentarzach oskarżeniami na temat tchórzostwa sojuszników polega na tym, że bracia Alsop nie wykluczają na zakończenie, iż „za dwa lub trzy lata polityka amerykańska może stać się wskutek świadomości niebezpieczeństwa równie chwiejna i słaba, jak dziś polityka brytyjska".

Zrezygnujmy z terminu amerykańskiego „tchórzostwo", zastąpmy go więcej mówiącym terminem: właściwe wi-

dzenie proporcji sił. Stanie się jasne, że zwycięstwo zasady pokojowego współistnienia na konferencji genewskiej nie jest niczym innym, jak tylko dobitnym potwierdzeniem sformułowanych przez Lenina i Stalina tez o tym, iż w kierowniczych kołach krajów imperialistycznych obok niewygasającej, opartej na klasowej nienawiści, tendencji do wojny przeciw państwom socjalizmu — istnieje również druga tendencja, tendencja do uznania konieczności mniej lub bardziej długotrwałego okresu współistnienia, oparta z kolei na strachu przed potęgą obozu socjalistycznego, na obawie przed konsekwencjami ewentualnego starcia militarnego, na lęku wreszcie przed osamotnieniem rządzących kół burżuazyjnych w ich własnych krajach.

Jasne jest, że fakt, iż kierownicze koła burżuazji francuskiej i brytyjskiej stanęły na konferencji genewskiej na gruncie drugiej z wymienionych tendencji, podczas gdy przywódcy Stanów Zjednoczonych nie zrezygnowali z pierwszej — znakomicie osłabia spoistość atlantyckiego sojuszu. W tym sensie miał rację również amerykański komentator, Joseph Harsch, w Christian Science Monitor, stwierdzając, że „powstaje możliwość załamania się zachodniego sojuszu i że w danym momencie, doraźnie, sojusz ten jest faktycznie złamany".

Jak podkreślono wyżej, przywódcy Stanów Zjednoczonych w Genewie nie zrezygnowali bynajmniej z kontynuowania agresywnego, wojennego kursu. Wszystko, co uczynili oni po zakończeniu konferencji, świadczy, że — przeciwnie — pragną kurs ten przyśpieszyć. Czy weźmiemy tu pod uwagę prowokacyjne operacje lotnictwa USA w rejonie wyspy Hainan przeciw Chinom Ludowym oraz polskim statkom handlowym, czy fantastyczne widowisko w Kongresie USA z udziałem Li Syn Mana jako piewcy ogólnoświatowej wodorowej wojny, czy wreszcie uchwałę Senatu amerykańskiego w sprawie upoważnienia prezydenta do natychmiastowego proklamowania tak zwanej suwerenności Niemiec zachodnich, czyli aktywizacji Wehrmachtu w jakiejkolwiek bądź formie — natrafimy na fakty potwierdzające powyższą tezę. Polityka amerykańska, jeśli wychodzi przy tym z jakichś założeń, a nie po prostu kierowana jest bezwładnością zbankrutowanych koncepcji — ma zapewne na względzie tak zwaną demonstrację zdecydowania, demonstrację siły wobec własnych sojuszników. Jest to, prawdę rzekłszy, zastosowanie „polityki z pozycji siły" wobec własnych kontrahentów. Osławiona ta polityka poniosła już niejedną po wojnie klęskę w zastosowaniu do obozu socjalistycznego. Rozejmy na Korei i w Indochinach są nienajgorszym tego przykładem. Pierwszeństwo ZSRR w wyprodukowaniu broni wodorowej i pierwszeństwo ZSRR w uruchomieniu elektrowni atomowych są także nienajmniejszej wagi przyczynkiem do bankructwa „polityki z pozycji siły". Natomiast w odniesieniu do sojuszników polityka ta, trzeba przyznać, przez dłuższy czas odnosiła skutek. Genewa jest, jak dotąd, najdobitniejszym, najkonkretniejszym przykładem fiaska owej polityki w tym zastosowaniu. Najwyraźniej jednak upłynąć musi dłuższy okres czasu, i potrzebne są dalsze jeszcze porażki, zanim by dyplomacja amerykańska zdecydowała się na nietłuczenie pięścią po stole. Jak dotąd, wyczyny dyplomatów waszyngtońskich na i po konferencji genewskiej wskazują, iż chcą oni wskrzesić i umocnić swe sojusze tą samą metodą, która doprowadziła ich do nadwątlenia.

W pewnym sensie głównym adresatem tego nowego etapu polityki amery-

kańskiej są Niemcy zachodnie. Pozornie są one tym adresatem w takim tylko sensie, że USA straszą Francję, aby zachęcić niemieckich militarystów. Ten sens pozostaje jeszcze dominujący. Ale w gruncie rzeczy jest i podszewka tej koperty z adresem na Bonn. Stany Zjednoczone chcą bowiem uciszyć, zastraszyć — również i poważną część kierowniczych kół w Trizonii. Tych mianowicie, którym dotychczasowe niepowodzenia polityki amerykańskiej odebrały wiele animuszu. Trzeba przyznać, że zaprezentowana w Genewie izolacja Stanów Zjednoczonych nie mogła przyczynić się do podniesienia na duchu nawet najbardziej zagorzałych zwolenników polityki amerykańskiej w Niemczech zachodnich. Wszyscy zaś ci, którzy mieli już wątpliwości, poczęli je śmielej wypowiadać. Bez złudzeń: w niniejszych uwagach mowa jest nie o pokojowych siłach w Niemczech zachodnich, ale o siłach równie jak Adenauer rewizjonistycznych, o siłach równie jak Adenauer zdecydowanych dotychczas na kurs na wojnę. Dickens opisuje w Klubie Pickwicka podstawową zasadę wyborczą we współczesnej sobie Anglii: „Krzyczcie z silniejszymi". Reprezentanci tych sił w Niemczech zachodnich, o których obecnie mowa, zaczynają poważnie powątpiewać, czy faktycznie krzyczeli dotąd z silniejszymi.

Lipcowy zjazd SPD był dobrym przykładem nie tylko wzmożonego nacisku dołów partyjnych i mas robotniczych (a więc sił potencjalnie bądź aktywnie pokojowych z natury rzeczy) na militarystyczne kierownictwo, lecz również demonstrację wahań, wątpliwości, wreszcie wręcz rozłamu w samym kierownictwie. Jak wiadomo, jedna trzecia delegatów na zjeździe głosowała za rezolucją odrzucającą w ogóle zasadę remilitaryzacji Niemiec zachodnich w jakiejkolwiek formie. Co więcej, w ostatecznie przyjętej rezolucji przytłaczającą większością zadecydowano, że potrzebny będzie specjalny zjazd partii aby ustalić, czy faktycznie „niemożliwe jest dalsze kontynuowanie rozmów między Wschodem a Zachodem" i czy w konsekwencji partia ma się opowiedzieć za tzw. „niemieckim wkładem obronnym". Nie ulega kwestii, że gdyby kierownictwo partii zdecydowanie i jednomyślnie zaoponowało przeciw tego rodzaju uchwale, nie byłaby ona przyjęta tak olbrzymią większością. Zresztą w samym składzie kierownictwa nastąpiły na zjeździe pewne zmiany polegające w gruncie rzeczy na wyeliminowaniu części elementów najbardziej „amerykańskich". Jest niezmiernie charakterystyczne, że przywódca SPD, Ollenhauer, ostrzegł delegatów, aby przypadkiem nie cieszyli się objawami amerykańskiej „polityki siły", bo „słabą pociechę stanowi dla nas fakt, że taki sojusznik USA, jak Francja, poddawany jest nadal ostrej presji". Wypowiedź ta świadczy, że pewne koła kierownicze SPD zaczynają rozumieć, iż adresatem demonstracji „polityki siły" jest nie tylko Francja.

Wiele hałasu narobiła, jak wiadomo, na Zachodzie sprawa szefa adenauerowskiej służby bezpieczeństwa, dr Johna, który przeszedł na stronę NRD. Pomijamy tu wszelkie, niemało atrakcyjne i ważkie, polityczno-wywiadowcze aspekty ucieczki Johna, aspekty, które wzbudziły najwyższe zaniepokojenie w wojskowych kołach paktu atlantyckiego. Natomiast warto wskazać na artykuł Manchester Guardian omawiający inne „nauki płynące ze sprawy Johna". Dziennik słusznie wnioskuje, że decyzja Johna świadczy, jak silne jest w narodzie niemieckim dążenie do zjednoczenia kraju i zakończenia zimnej wojny: „John przepowiada dla swego kraju ciemną przyszłość, o ile Niemcy pozostaną podzielone i tworzyć

będą w Europie rejon frontów zimnej wojny, przedmiot, a nie podmiot polityki... Pierwsza nauka, jaka płynie ze sprawy dr Johna, to: Zachód winien nadal interesować się tym, aby jak najszybciej rozwiązać problem niemiecki."

Rozwiązać — ale jak? Nie brak jeszcze w tej samej Wielkiej Brytanii, która tak jednolicie wystąpiła przeciw awanturom wojennym na Dalekim Wschodzie, czynników, chcących dopatrywać się rozwiązania kwestii niemieckiej w jak najszybszych separatystycznych decyzjach, militarnie wiążących Niemcy zachodnie z paktem atlantyckim. W gruncie rzeczy czynniki te, rozumując kategoriami atlantyckiej polityki, oczekują, iż w ten sposób uchylą niebezpieczeństwa wynikające dla niej z wahań i wątpliwości rodzących się w Trizonii pod wpływem wniosków z obserwacji tego, co sojusze i polityka atlantycka przeżywają obecnie. Jest to dość krótkowzroczny sposób patrzenia. Nie można nie wskazać, że już pierwsze próby Niemiec zachodnich przekształcenia się z przedmiotu w podmiot polityki w obozie atlantyckim, próby podjęte przez kraj nawet formalnie pozbawiony suwerenności, okupowany i nie posiadający sił zbrojnych — spowodowały niesłychane zaostrzenie procesów rozkładowych atlantyckiej koalicji. Nie trudno sobie wyobrazić, jakie konsekwencje przyniosłyby analogiczne usiłowania podjęte przez Niemcy zachodnie w nowej sytuacji. Nie oznacza to oczywiście wcale, aby proces taki w tej nowej sytuacji zmniejszał niebezpieczeństwo wojny. Przeciwnie — rozkład koalicji atlantyckiej odbywałby się wtedy kosztem zmiażdżenia elementów wyznających konieczność pewnego okresu współistnienia na rzecz elementów najbardziej agresywnych. Innymi słowy, siły tej koalicji jeszcze by osłabły, ale niebezpieczeństwo wojny — wzrosło. Mówiąc jeszcze inaczej, ten proces rozkładowy koalicji atlantyckiej miałby inny sens niż proces odbywający się obecnie. Zwłaszcza Wielka Brytania i Francja, które w trakcie obecnego procesu rozkładowego koalicji atlantyckiej mogą odzyskać faktyczną suwerenność polityczną i wojskową oraz swobodę ruchów — w tamtym hipotetycznym procesie bądź zmuszone by zostały do kapitulacji wobec zespołu amerykańsko-niemieckiego, bądź też postawione by były w obliczu osi Waszyngton—Bonn jako otwartego, groźnego wroga. Jest wreszcie jasne, że obecna sytuacja stwarza możliwości wzmocnienia w perspektywie również w samych USA tendencji pokojowego współistnienia — jest równie jasne, że remilitaryzacja Niemiec zachodnich możliwości te poważnie by, przynajmniej w bezpośredniej przyszłości, osłabiała.

Z powyższego wynika wniosek, że zwycięstwo pokojowego współistnienia w Europie wymaga pokojowego rozwiązania kwestii niemieckiej, a przynajmniej nie „rozwiązywania" jej w negatywnym, militarystycznym sensie. Jak się zdaje, to właśnie mają na myśli liczni politycy zachodnio-europejscy, widzący w nocie radzieckiej w sprawie europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa Europy szanse przekształcenia sukcesu genewskiego w sukces gruntujący zwycięstwo pokoju. Politycy ci rozumieją — jak się zdaje — to, co w dzienniku Monde sformułował jego redaktor naczelny, Beuve Mery, w sposób następujący:

„Nie miałoby sensu zapewnienie pokojowego współistnienia w południowowschodniej Azji, gdyby w Europie miała toczyć się dalej i pogłębiać zimna wojna... Od 1950 r., kiedy rząd amerykański rozpoczął zdecydowanie prawdziwą zmianę sojuszów na korzyść Niemiec, przeprowadzaną w przewidywaniu ewentualnej agresji radzieckiej,

sytuacja stała się wkrótce nie do rozwiązania. Obóz zachodni nie tylko nie wzmocnił swych sił, lecz przeciwnie, wzrosły jego wewnętrzne sprzeczności, a równocześnie pogłębiła się przepaść pomiędzy dwiema częściami Niemiec i wzrosło napięcie pomiędzy Wschodem a Zachodem..."

Wydaje się, że tak rozumujących polityków jest coraz więcej.

Krzysztof Wolicki

POECI, KRYTYCY, CZYTELNICY RADZIECCY DYSKUTUJĄ O POEZJI

Dyskusja o poezji w Związku Radzieckim jest ważnym ogniwem w przedzjazdowych dyskusjach o literaturze realizmu socjalistycznego. Jest fragmentem walki o poezję wielkiej prawdy życiowej. Tak właśnie — O poezję wielkiej prawdy życiowej — zatytułowała Uwagi o poezji 1953 roku T. Trifonowa w n-rze 3/54 dwumiesięcznika literackiego Drużba Narodow.

Poezja może głosić wielką prawdę o życiu — pisze Trifonowa — tylko pod warunkiem, że wedrze się do życia, że w obrazach poetyckich będzie odzwierciedlać pełnię i wielorakość życia. Trifonowa twierdzi, że poezja radziecka pomimo pojedynczych sukcesów również i w roku 1953 nie spełniła pokładanych w niej nadziei, nie sprostała wymaganiom, jakie jej stawia społeczeństwo radzieckie.

Jest to przykre i gorzkie stwierdzenie — pisze Trifonowa — lepiej jednak o tym po prostu powiedzieć, niż zasłaniać ubóstwo poezji różnorodnością „ujętych" przez poetów tematów, udzielając rabatu młodym za to, że „jeszcze nie potrafią", a chwaląc starszych za to, iż „doszli do współczesności". Trifonowa wyraża przekonanie, że czytelnikowi obojętne jest, czy poeta jest młody, czy doświadczony — czytelnik ma ochotę recytować wiersze wielokrotnie, tak jak wiele razy śpiewa pieśń; czytelnik pragnie wsłuchać się w muzykę, w rytm wiersza i znajdować w nim myśl poetycką, prawdziwe, szczere uczucie.

Artykuł Trifonowej nie jest przeglądem twórczości poetyckiej ubiegłego roku, nie pretenduje do pełnej analizy osiągnięć i niedociągnięć poezji radzieckiej ostatniej doby. Trifonowa pragnie tylko zwrócić uwagę czytelnika na pewne cechy poezji 1953 roku. Do udanych utworów opublikowanych w ub. r. Trifonowo zalicza m. in. poemat liryczny młodego poety awarskiego, Gamzatowa, pt. Rozmowa z ojcem i nie zakończony jeszcze poemat Aleksandra Twardowskiego Za dalą — dal. Autorzy wymienionych poematów snują w nich rozważania na temat rozwoju i zadań poezji realizmu socjalistycznego. I na te refleksje obu poetów — wybitnego poety „średniego" pokolenia i początkującego poety młodego — zwróciła szczególną uwagę Trifonowa.

O zagadnieniach współczesnej poezji radzieckiej wypowiadają się poeci nie tylko w utworach. W czerwcowym zeszycie miesięcznika literackiego Znamia ukazał się artykuł Margerity Aliger Rozmowa z przyjaciółmi. Jak do przyjaciół zwraca się poetka w sprawach poezji do poetów i do czytelników. Aliger zadaje sobie, poetom i czytelnikom pytanie, czy można ustalić ogólne, wspólne wszystkim poetom przyczyny nienadążania poezji radzieckiej doby ostatniej za potrzebami życia. Poetka proponuje, by niezależnie od szukania takich ogólnych przyczyn tego stanu rzeczy w drodze skrupulatnej analizy — każdy poeta uczynił próbę szczerego opowiedzenia o własnych trudnościach i kłopotach twórczych. Aliger wyraża

przekonanie, że takie wynurzenia i dociekania poetów na temat przyczyn własnych niepowodzeń, błędów i braków — odpowiednio zebrane i podsumowane, ułatwią wysnucie wniosków ogólnych, ustalenie, jakie przeszkody piętrzą się na drodze rozwoju poezji w ogóle, z czym należy walczyć, co przezwyciężyć.

Czego wymaga od poetów epoka budowy komunizmu? — zapytuje Aliger. — By byli poetami-działaczami, trybunami, przywódcami.

Poeta-trybun — to specjalny rodzaj talentu poetyckiego. Taki talent posiadał Włodzimierz Majakowski. Takie talenty rozwijają się i dochodzą do pełnego wyrazu pod działaniem potężnych czynników dziejowych. Gdy zabrakło Majakowskiego — pisze Aliger — „...my, poeci radzieccy, ciągle odczuwając jego brak, z całej mocy, stale i usilnie staraliśmy się tę pustkę wypełnić. Ilekroć rozwiązywaliśmy trudne zadania, ilekroć w chwilach wysokiego napięcia dziejowego zwracaliśmy się do narodu ze słowem poetyckim i zastanawialiśmy się nad tym, w jaki sposób uczynić je jak najbardziej aktywnym, komunikatywnym i ludzkim — zawsze zadawaliśmy sobie pytanie: jak rozstrzygnąłby tę sprawę Majakowski?"

Z dumą stwierdza poetka, że w najgroźniejszych chwilach Wielkiej Wojny Narodowej udawało się poetom radzieckim nadać słowu poetyckiemu celną moc — dzięki uświadomieniu sobie przez wszystkich poetów olbrzymiej odpowiedzialności, jaką nakładała na nich epoka i historia. Aliger uważa, że po wojnie osłabło to poczucie odpowiedzialności, chociaż zadania, jakie stoją przed narodem radzieckim i jego poezją, bynajmniej nie zmalały.

Ze zmniejszonego poczucia odpowiedzialności za urzeczywistnienie zadań epoki wypływa niebezpieczny spadek wymagań poety wobec siebie i wymagań wzajemnych, co wpływa na obniżenie ogólnego poziomu twórczości poetyckiej, zwłaszcza twórczości poetów młodych. „Rzeczywiście — pisze Aliger — w jaki sposób możemy przekonać ludzi młodych i niedoświadczonych, iż ich wiersze są nieartystyczne i ubogie myślą, skoro w naszych gazetach i periodykach drukuje się właśnie mniej więcej takie same wiersze, podpisane zasłużonymi nazwiskami?"

Autorka Zoi ostrzega przed lekceważeniem sprawy dbałości o poziom wierszy publikowanych w prasie przy różnych okazjach; takie „kalendarzowe" wiersze najczęściej bywają bezbarwne, nieciekawe, nawet wtedy, gdy wychodzą spod pióra wybitnych poetów. Właśnie w takich wypadkach odczuwa się potrzebę wystąpień poetów-trybunów.

Zanim przejdę do omówienia dalszych wywodów Aliger, pragnę zatrzymać się nad szczególnie żywo dyskutowanym ostatnio problemem tzw. liryki obywatelskiej, publicystycznej. Dłuższy artykuł na ten temat, pióra krytyka Włodzimierza Ogniewa zamieściła Litieraturnaja Gazieta w maju (nr pisma 59/60. Tytuł artykułu — Poezja i epoka). Na wstępie artykułu Ogniew twierdzi, że rozbicie tematyki twórczości lirycznej i podział jej między lirykę intymną, pejzażową, refleksyjną — jest czysto umowną klasyfikacją gatunkowo-tematyczną. Traktowanie zagadnienia w ten sposób wydaje się Ogniewowi szkodliwe, albowiem gdy po Majakowskim mówi się o prawie poety do twórczości — albo w dziedzinie tematyki obywatelskiej, albo na polu tematyki „nieobywatelskiej" — brzmi to co najmniej dziwnie. Poezja sama przez się — zamyka tę myśl Ogniew — jest sprawą obywatelską.

W twórczości poecie zawsze przyświeca myśl polityczna. Oderwanie się poe-

ty od polityki jest jednoznaczne z ześliźnięciem się na pozycje mieszczańskiego estetyzmu, subiektywizmu względnie naturalistycznej opisowości. Nie można jednak polityki kojarzyć z twórczością poetycką mechanicznie. Zespolenie poezji z polityką możliwe jest u poety, który wszak zawsze jest dzieckiem swojej epoki, jest echem zbliżającego się doń czasu — tylko wówczas, kiedy ujmuje poezję znacznie szerzej, niż zwykłe rzemiosło, wierszoróbstwo. To znaczy wtedy — wywodzi Ogniew — kiedy tematyka ściśle polityczna staje się dla poety koniecznością życiową, ludzką, kiedy jego talent poetycki czuje się swobodnie, naturalnie w tej wybranej przez siebie tematyce, kiedy naprawdę tworzy, a więc wypowiada się w tej tematyce, wnosi do niej własne doświadczenie, własne myśli, własny stosunek do sprawy.

Ogniew występuje przeciw wierszom, w których rozwiązanie problemu politycznego wypływa nie z życiowego doświadczenia poety, ale jest rezultatem jego wyobrażenia o życiu w ogóle, jest wydedukowane. Wiersze takie stanowią tylko literacki komentarz, ilustrację polityki. Cechuje je nie odbicie bogatej różnorodności życia narodu, nie odzwierciedlenie żywej rzeczywistości, nie twórcza myśl — lecz doktrynerstwo, martwy dogmatyzm. Ogniew uwypuklił więc rolę życiowego doświadczenia w twórczości poetyckiej. Doświadczenie takie jest owocem ożywionej działalności praktycznej poety.

O znaczeniu tej tzw. biografii obywatelskiej poety mówili poeci i krytycy w dyskusji nad referatem Stiepana Szczipaczowa O kilku najbliższych zadaniach poezji — w Związku Pisarzy w Moskwie, w marcu br. Mówiąc o zgubnym oddziaływaniu na talenty poetyckie faktu oderwania się poety od realnej rzeczywistości, stronienia od służby realnym potrzebom człowieka i społeczeństwa, Szczipaczow podkreślił, iż dla pisarzy radzieckich wzorem płodnego zespolenia twórczości i polityki, doświadczenia osobistego i społecznego powinny być obywatelskie biografie Gorkiego i Majakowskiego. Z biografią obywatelską poety, z jego praktyczną działalnością społeczną, z poczuciem odpowiedzialności społecznej za swój talent splata się nierozerwalnie jego własna tematyka twórcza. Bez niej, poza nią poeta nie może istnieć i wyżywać się twórczo.

Na przykładzie poetów, którzy brali czynny udział w Wielkiej Wojnie Narodowej, Szczipaczow wykazał, że talent poetycki przejawił się i rozwinął w tym okresie najsilniej u tych, którzy żyli aktywnym życiem żołnierza i obywatela. Poeci, których twórczość nasycał romantyzm wojny domowej, budownictwa socjalistycznego, Narodowej Wojny z hitlerowskim faszyzmem — mają obecnie możność kontynuowania swej twórczej biografii, opiewając romantykę zagospodarowywania ziem nieuprawnych przez młodzież komsomolską, uprawiając tematykę budownictwa komunistycznego, która żywo obchodzi cały naród.

Po tej dygresji powracam do omówienia artykułu Ogniewa o liryce publicystycznej. Zdaniem autora omawianego artykułu — o wysoki artyzm poetycki w tej dziedzinie liryki należy walczyć dla dobra jej pełnego oddziaływania na masy. Walka o podniesienie jej poziomu jest więc sprawą polityczną.

Istotę liryki obywatelskiej Ogniew ujmuje w tych słowach: „Życie daje sztuce właściwą artyście umiejętność postrzegania i objęcia umysłem obiektywnego bogactwa świata, daje bezpośrednie obrazowe widzenie i pojmowanie rzeczywistości w pełnej jej konkretności, w niepowtarzalnej plastycz-

ności indywidualnych postrzeżeń poety. Polityka — to już ten wniosek, jaki wysnuwa czytelnik, wchłonąwszy umysłem, sercem, wyobraźnią obrazy poety".

Przykładami z twórczości Nazima Hikmeta i Aleksandra Twardowskiego Ogniew ilustruje tezę, że w utworze sztuki idea polityczna jest zawsze wnioskiem wysnutym z realistycznego odtworzenia życia. W tym nierozerwalnym naturalnym związku z życiem narodu tkwi siła poezji.

Wniosek polityczny niekoniecznie musi być gotowy, ostatecznie sformułowany. Nie znaczy to jednak, by „podtekst" polityczny miał być mglisty, zawoalowany, wieloznaczny. Nikt nie wymaga od poety — snuje tę myśl Ogniew — matematycznej ścisłości sformułowań politycznych, nie należy jednak przeceniać możliwości czytelnika, jego umiejętności dorysowania sobie w wyobraźni tego, co nawet dla autora jest ledwie uchwytne.

Z dziejów liryki wiadomo, że tematyka polityczna w poezji zawsze wyrażała się już to w sposób bezpośrednio publicystyczny, już to w formie bardziej pośredniej. Tę pierwszą formę, której krótki zarys rozwoju — od Puszkina poprzez Niekrasowa do Majakowskiego — dał Ogniew w omawianym artykule, zalicza on do publicystyki poetyckiej.

Nasycenie poezji polityką, problemami społecznymi zawsze było powiązane z zaostrzeniem się sytuacji politycznej. Silne upolitycznienie w liryce publicystycznej Majakowskiego, który twórczo rozwinął publicystyczne tradycje klasycznej poezji rosyjskiej, polega przede wszystkim na tym, że nadał on swoim utworom konkretny i dokładny adres, osnuł je na najbardziej palących politycznych problemach dnia, nasycił je większą szczerością i bezpośredniością wypowiedzi. Jest to rezultatem jego marksistowsko-leninowskiego światopoglądu.

Taka bezpośredniość poetyckiego wyrazu cechuje na przykład twórczość Simonowa, tchnącą duchem bojowej poezji Majakowskiego. Za najlepsze utwory powojennej poezji poświęconej walce o pokój Ogniew uważa Przyjaciół i wrogów Simonowa, Za błękitnymi morzami Małyszki, Wrażenia z Anglii Bażana, Mówi Murzyn Wurguna, Słowo do Narodów Zjednoczonych Kuleszowa.

Zależnie od indywidualności poety przejawiają się w tej dziedzinie różne style i maniery twórcze, rozmaite są twórcze formy i rodzaje ujęcia tematyki politycznej w poezji (liryki, epigramaty, bajki, fraszki, wierszowane felietony, poematy itd.). Zawsze jednak i wszędzie w postawieniu zagadnienia poetę obowiązuje konkretność. Konkretność ta, zdaniem Ogniewa, często nie jest niczym innym, jak odwagą i pryncypialnością, ujmowaniem rzeczywistości w sposób jasny, głęboki i twórczy.

Za jedną ze słabych stron współczesnych wierszy na tematy polityczne Ogniew uważa posługiwanie się komunałami. To już nie jest twórczość, ale retoryczne „opiewanie". Ogólnik w liryce publicystycznej uważa Ogniew za takiego samego wroga poezji, jakim jest dogmatyzm w naukach społecznych. Komunały — pisze Ogniew — to albo nieudolność, albo tchórzostwo, albo wreszcie obojętność. Partia zawsze ostrzegała pisarzy przed operowaniem ogólnikami. Nie znajdujemy ich w wierszach Majakowskiego. Majakowski — wywodzi Ogniew — nie tylko konkretyzował na przykład wzrost rewolucji na całym świecie w drodze doboru właściwych obrazów, ale i w tym konkretyzowaniu wyrażał ogólny sens rewolucji, dawał w nim wyraz uogólnionej myśli nowatorskiej.

W związku z tym pozostaje jeszcze jedna ważna cecha poezji politycznej: musi ona wyrażać rozwój myśli ludzkiej, konflikt. Konfliktu nie oddaje czysta opisowość, nie rodzi go wydedukowane, statyczne przeciwstawienie (na przykład światu kapitału świata socjalizmu). Źródło poezji konfliktowej płynie — z pojmowania życia jako procesu rozwojowego, z wnikliwej wrażliwości na wszystko, co nowe, przodujące, z napiętej czujności wobec tego, co stare, obumierające, słowem — z dialektycznej postawy poety. Dynamika kompozycji, wartkość wątku — wszystko to zależy przede wszystkim od natury i treści stosunku poety do przejawów rzeczywistości, dopiero potem — od kunsztu poetyckiego.

Postulat podniesienia poziomu poezji w służbie narodowi, epoce — wysuwają i inni uczestnicy dyskusji o poezji. W Rozmowie z przyjaciółmi Aliger postuluje wzmożenie działalności poetów nie tylko społecznej, ale i krytyczno-literackiej, a więc działalności na polu rozwoju poezji. Poetka pisze o konieczności wzbudzenia bezpośredniego zainteresowania poetów (i nie tylko poetów! Aliger apeluje do wszystkich pisarzy, by wypowiadali się, co sądzą o stanie poezji, o jej przyszłości) sprawami poezji, jej życiem i rozwojem. Autorka omawianego artykułu wzywa poetów do pełnego gospodarskiej troskliwości zabierania głosu w sprawach poezji, w sprawach wydawniczych (które zdaniem Aliger są bardzo ważnym czynnikiem rozwoju poezji) itp. „...Ja — pisze poetka — i przypuszczalnie nie ja jedna — bardzo odczuwam brak właśnie takiej miłości, takiej pełnej trwogi troski o losy naszej poezji, brak miłości wymagającej, surowej, troskliwej."

Dużo uwagi poświęciła poetka również zagadnieniom krytyki, którą uważa za czynnik niezmiernie ważny w sprawie dalszego podniesienia poziomu poezji. Najważniejszy zarzut, jaki poetka wysuwa pod adresem krytyków, dotyczy ich niewystarczającej pracy w dziedzinie teoretyczno-literackiej i monograficznej. Zdaniem Aliger — ogólny ton nadają krytyce literackiej artykuły bibliograficzne i recenzyjne omówienia utworów poetyckich, mało natomiast publikuje się artykułów syntetyczno-krytycznych. A i w samych recenzjach krytycy — zamiast dokładnego rozbioru analitycznego utworu — raczej wolą dawać utworom ocenę, raczej zadowalają się sądami ogólnymi o recenzowanych dziełach.

Przytoczyłem pokrótce poglądy Aliger na stan krytyki, pragnąc zilustrować jej wywody o sytuacji w radzieckiej poezji w ogóle. W rozdziale końcowym — Rozmowy z przyjaciółmi — zatytułowanym To, co naiważniejsze, Aliger samokrytycznie omawia winę poetów za stan poezji: „A więc, powiedzmy sobie wzajemnie otwarcie i bez ogródek: pracujemy mało, praca nasza jest niepełnowartościowa". Poeci starszego pokolenia, a przede wszystkim tzw. drugiego pokolenia, nawet najwybitniejsi — mało piszą, rzadko drukują nowe wiersze.

W poezji należy mówić o pracy każdego poety, każdej indywidualności twórczej — oddzielnie. W poezji bowiem istotna jest nie ogólna ilość opublikowanych wierszy i — oczywiście! — nie dane przeciętne. Poezja — pisze Aliger — jak każda sztuka jest sprawą na wskroś indywidualną, a zarazem wybitnie kolektywną. W sztuce każdy musi być sobą, tworzyć na swój sposób, wkładać we własną pracę całego siebie, całą swoją duszę, zarazem jednak każdy wypełnia jakąś cząstkę zadania powszechnego, zbiorowego, każdy wywiązuje się z obowiązków na nim ciążących, obowiązków, których nikt za nie-

go nie wykona. Poezja, jako sprawa powszechna, nie może nie ponosić szkody z tego powodu, iż niektórzy członkowie kolektywu pracują mniej i gorzej, niż tego od nich wymaga społeczeństwo.

Rzecz znamienna. W dyskusji o poezji, jak widzimy, bardzo dużo uwagi poświęca się sprawom liryki. Wypływa to zapewne — między innymi — z ducha humanizmu, jakim tchnie poezja realizmu socjalistycznego. Liryka bowiem wyraża, odzwierciedla głównie świat wewnętrzny człowieka, treść i kształt jego uczuć, ujętych w całokształcie wszystkich charakterystycznych właściwości i przejawów, uczuć uchwyconych w procesach ich wzajemnego oddziaływania na inne dziedziny umysłu i psychiki ludzkiej, odmalowanych w powiązaniu z obiektywnymi warunkami i sytuacjami ludzkiego życia i działalności. W takich mniej więcej słowach formułuje zasadniczą treść i główne cele liryki krytyk Borys Sołowiow w artykule Poezja i prawda (Zwiezda nr 3/54).

Artykuł ten ma charakter polemiczny. Sołowiow polemizuje z poglądami poetki Olgi Bergholc na rolę „samowypowiadania się" poety w twórczości lirycznej.*) Zatrzymam się jednak tylko nad tym, co nowego wnosi do dyskusji o poezji artykuł Sołowiowa. Jego zdaniem nie wszystkie zjawiska typowe obiektywnego świata, które żywo interesują pisarza w ogóle, mogą stać się przedmiotem liryki. One „...liryką stają się tylko wówczas, kiedy wywołują w poecie żywe, aktywnie rozwijające się, niepowtarzalnie indywidualne uczucie; to właśnie uczucie staje się jądrem, treścią lirycznej narracji".

W rozważaniach na temat tego, co w liryce jest najważniejsze, Sołowiow powołuje się na wypowiedź Bielińskiego ze Spojrzenia na literaturę rosyjską 1837 roku: „Poeta powinien wyrażać nie rzeczy wyjątkowe i przypadkowe, lecz owe powszechne i nieodzowne, jakie nadają koloryt i sens całej jego epoce". Dając wyraz temu, co „powszechne i nieodzowne", a więc — prawdzie życiowej, poeta nie może nie wyrazić własnej indywidualności, własnego stosunku do opisywanego przedmiotu.

Polemizując z twierdzeniem niektórych poetów i krytyków o szczególnej odpowiedzialności poety za swojego lirycznego bohatera, Sołowiow wypowiada się przeciwko przecenianiu w liryce znaczenia lirycznego bohatera. Właśnie problemowi lirycznego bohatera prasa literacka udziela nadal dużo uwagi w dyskusji o poezji. O lirycznym bohaterze pisał w maju na łamach Litieraturnej Gaziety (nr 58, w rubryce Omawiamy sprawy kunsztu pisarskiego) poeta D. Maksimow, polemizując z niejasnym sformułowaniem pojęcia lirycznego bohatera przez krytyka W. Nazarenkę w jego artykule O tak zwanym „lirycznym bohaterze"*). Przyznając słuszność często powtarzającego się w dyskusji o poezji zarzutu zubożenia lirycznego wewnętrznego świata niektórych poetów Maksimow wysuwa do przedyskutowania problem samej treści zawartej w obrazie autora utworu lirycznego, sprawę ustalenia, na jakiej drodze lirykom najłatwiej szukać i znajdować wizerunek żywej postaci obywatela godnego swojej epoki.

*) O artykule Olgi Bergholc Rozmowa o liryce, z którym głównie polemizuje Sołowiow, pisaliśmy przy sposobności omawiania dyskusji o liryce radzieckiej w nrze 9/53 Twórczości. Na marginesie tej sprawy dodam, że przeciwko przecenianiu „samowypowiedzi" poety w liryce i poglądom Olgi Bergholc na to zagadnienie wystąpił niedawno (na otwartym zebraniu partyjnym pisarzy moskiewskich w czerwcu br.) Eugeniusz Dolmatowski.

*) Bliższe szczegóły o poglądach Nazarenki znajdzie czytelnik w nrze 4/54 Twórczości.

W tej sprawie nieocenioną pomoc znajdą lirycy w dorobku poezji klasycznej - rosyjskiej i radzieckiej, w twórczości Majakowskiego, w doświadczeniu wybitnych liryków współczesnych. Dużą pomoc może i powinna okazać teoria poezji.

Drogi konstruowania postaci lirycznego bohatera, jego artystycznego wcielenia — są różnorodne i skomplikowane. Zdaniem Maksimowa, który jest raczej zwolennikiem teorii jedności biograficznej i literackiej osobowości poety, z grubsza biorąc, biegną one w dwóch kierunkach: już to bezpośredniej „samocharakterystyki" poety (malowanie autoportretu), już to pośredniego odsłonięcia, odtworzenia osobowości poety. Bezpośrednie odtworzenie postaci autora w utworze może mieć większe lub mniejsze znaczenie w twórczości każdego liryka. U niektórych liryków (Maksimow wymienia Lermontowa, Majakowskiego) stanowi zasadniczą cechę ich twórczości. „Postać autora — wywodzi Maksimow — która w ich (Lermontowa, Majakowskiego — J. S.) poetyckim świecie panuje i — jako centralna figura poety, jako ideowy i artystyczny punkt środkowy ich twórczości — nad nimi się unosi, ściśle ich poszczególne wiersze zespala."

Drugi sposób tworzenia postaci lirycznego bohatera uniemożliwia jego bezpośrednią charakterystykę. Lirycznego bohatera charakteryzuje wówczas dobór lirycznych myśli, nastrojów, przedmiotów lirycznego opisu. Treścią liryczną można nasycić obrazy świata zewnętrznego, bytu, postacie historyczne, folklorystyczne, „książkowe". Wcielając się w różne postacie, w „obce życia" — wywodzi Maksimow — przemawiając rozmaitymi głosami (w chórze tych różnych, niekiedy zgodnych, uzupełniających się — niekiedy jednak wzajemnie zwalczających się głosów, dominuje przewodni głos autora, jak pisze w innym miejscu) liryk nie zatraca własnej indywidualności, ale ją wzbogaca; niejako rozsuwa, przekracza granice własnego ja. Liryczny świat poety staje się światem złożonym, zaludnionym przez wielu bohaterów.

Metody twórczości lirycznej, o ile sprzyjają typizowaniu i krystalizowaniu treści lirycznej, umożliwiają poecie przejawienie w całej pełni własnej indywidualności. Oczywiście — indywidualności socjalistycznej. Istota indywidualności socjalistycznej — cytuję sformułowanie Maksimowa — tkwi w zasobach ideowych i intelektualnych, w głębokości i sile przeżyć, w rozległości nasycającego osobowość świata (przede wszystkim — świata społecznego), w przyświecającym jej ideale socjalistycznym. W poezji radzieckiej oryginalność oznacza, że poeta w swoim rozwoju ogarnął wielkość świata w indywidualnych, niepowtarzalnych, dla jego osobowości właściwych przymiotach. W walce ze schematyzmem i płytkością w liryce jednym z głównych środków jest wzbogacenie indywidualności i osobowości poety.

Podobne myśli przyświecały autorowi wypowiedzi czytelniczej B o h a t e r l i r y c z n y w p o e z j i (w kolumnie C z y t e l n i c y o p o e z j i, Litieraturnaja Gazeta nr 69, z czerwca) W. Zarieckiemu, nauczycielowi szkoły średniej na ukraińskiej wsi. „W ostatnich latach — pisze Zariecki — coraz częściej i więcej pisze się o tym, że zbyt wiele ukazuje się wierszy bezbarwnych, bez wyrazu, nic czytelnikowi nie dających i nie wzbudzających w nim zainteresowania. To prawda. Wydaje mi się, że jedna z przyczyn tak smutnego zjawiska tkwi w tym, iż wielu naszych poetów, zwłaszcza młodych poetów, nie posiada własnego oblicza." W poezji — jak w życiu — wysuwa postulat czytelniczy Zariecki — chciałoby się spotykać ludzi różnorodnych,

w każdym wierszu pragnie się widzieć osobowość poety o odrębnej, jemu tylko właściwej, bogatej indywidualności. Zdaniem Zarieckiego poezja daje słabe odbicie bogatych zasobów duszy ludzi radzieckich, rozwijających w ustroju socjalistycznym własną indywidualność.

Szukając przyczyn tego zjawiska Zariecki, wiejski nauczyciel języka rosyjskiego i literatury, dochodzi do wniosku, że winę za to ponosi „w setkach wierszy pojawiający się jeden i ten sam «liryczny bohater» — pozbawiony wyrazu, niefrasobliwie kontemplujący rzeczywistość". Czytelnik pragnie, by liryczny bohater swoimi myślami i uczuciami wzbogacał jego myśli i uczucia, by mu przekazywał swoją umiejętność widzenia świata. Takimi nauczycielami czytelników byli liryczni bohaterowie wielkich klasyków, takim nauczycielem jest liryczny bohater Majakowskiego. „Ale — zapytuje Zariecki — czego może nauczyć czytelnika bohater, skoro sam jest od niego o wiele uboższy duchem?"

Tak więc w trosce o podniesienie poziomu poezji radzieckiej łączą się i poeci, i krytycy, i czytelnicy.

W Trybunie przedzjazdowej Litieraturnej Gaziety (nr 89 z 29.VII) opublikowano artykuł krytyka W. Nazarenki Ideowość obrazu poetyckiego, w którym autor zanalizował kilka ostatnio ogłoszonych, najnowszych utworów lirycznych Simonowa, Prokofiewa, Lifszyca i in. pod kątem nasycenia ideowością nie tylko postaci, ale i wszelkich obrazów poetyckich. Jeżeli sztuka jest myśleniem obrazowym — konkluduje Nazarenko — to układ obrazów w utworze poetyckim jest pewnego rodzaju łańcuchem argumentów. Moc, trafność doboru barw w poszczególnych ogniwach i w układzie całości zależy od ideowej dążności poety.

O bojowości i dynamice ideowej, o narastaniu w utworze lirycznym rozwiązań ideowych pisał Konstanty Simonow w artykule O sprawach podlegających i nie podlegających dyskusji (Znamia nr 7/54). „Poeta radziecki powinien dochodzić w poezji do słusznych rozstrzygnięć ideowych w najbardziej skomplikowanych sytuacjach; sercu czytelnika bliskie jest to, w jaki sposób poeta do tych rezultatów i rozwiązań doszedł. Trzeba więc, by czytelnik wyczuwał sam bieg myśli, walkę duchową, gdy toczy się w duszy poety; trzeba, by rozstrzygnięcie — prawdziwe i wzniosłe, ludzkie — nie było podsuwane czytelnikowi już gotowe, lecz by rodziło się ono w jego oczach. Na tym, moim zdaniem — pisze Simonow — polega właśnie jedna z odrębnych właściwości konfliktu w liryce."

Józef Spinc

DNI CZECHOWOWSKIE W ZWIĄZKU RADZIECKIM

50-lecie śmierci Antoniego Czechowa obchodzi cała postępowa ludzkość. Ten klasyk rosyjskiej literatury realizmu krytycznego jest jednym z najpopularniejszych pisarzy świata.

Utwory Czechowa zaczęto przekładać na języki obce już z końcem ubiegłego stulecia: według niepełnych danych przekłady Czechowa ukazały się w druku w 34 krajach, utwory Czechowa grają teatry wielu krajów. W Rosji carskiej w ciągu blisko 30 lat wydano dzieła Czechowa w łącznym nakładzie 642 tys. egz.; po Październiku natomiast łączny nakład utworów Czechowa osiągnął 40 milionów egz. w 68 językach narodów ZSRR, ponadto — w 10 innych językach.

W Dniach Czechowowskich urządzono w Związku Radzieckim wiele wystaw poświęconych pamięci wielkiego pisarza. Szczególnie bogate materiały ze-

brano na wystawie we Wszechzwiązkowej Bibliotece Literatury Zagranicznej w Moskwie. W stolicy Związku Radzieckiego otwarto też nowy dom-muzeum Czechowa; rozszerzono i uzupełniono zbiory muzealne w domach-muzeach Czechowa w Jałcie i Mielichowie. Osiemdziesiąt teatrów radzieckich przygotowało na Dni Czechowowskie sztuki autora Wiśniowego sadu. *Nota bene* uczyniło to wiele teatrów zagranicznych: w Pekinie grają Wujaszka Wanię, w Szanghaju — Niedźwiedzia, w Holandii — Trzy siostry, w Paryżu — Mewę, w Czechosłowacji — trzy sztuki Czechowa; w robotniczym teatrze w San Francisco wystawiono Niedźwiedzia.

Centralna akademia ku czci Czechowa odbyła się 15 lipca w sali kolumnowej Domu Związków w Moskwie. Po prelekcji prof. W. Jermiłowa pt. Wielki pisarz rosyjski Antoni Czechow przemówienie o dramatopisarskiej twórczości Czechowa i jego wpływie na rozwój Moskiewskiego Akademickiego Teatru Artystycznego (MCHAT) wygłosił reżyser tego teatru, M. Kiedrow. W przemówieniu wygłoszonym w imieniu Światowej Rady Pokoju Belgijka, Izabela Blume, powiedziała m. in.: „Wielki pisarz rosyjski, Czechow, należy do nas wszystkich. I nie tylko dlatego, że jego utwory już dawno zostały przełożone na wiele języków narodów świata. Czechow stworzył postacie ludzi prostych, takich, jakich można spotkać wszędzie, w każdym kraju. Czechow kochał ludzi, marzył o takich czasach, kiedy zniknie ciemnota, ignorancja, trywialność, kiedy zapanuje szczęśliwe życie". Na akademii przemawiali pisarze różnych narodów: Chińczyk Ba-Tsiń, Niemiec Willi Bredel, Bułgar Ludmił Stojanow, Rumun Michał Beniuk, a także przedstawiciel japońskiego komitetu obrońców pokoju, prof. Hirano.

W Dniach Czechowowskich ukazało się w prasie radzieckiej wiele artykułów o wpływie Czechowa na rozwój literatur innych narodów, autorami tych artykułów są zagraniczni pisarze, reżyserzy, działacze kulturalni, jak André Wurmser, Czang Tjang-i, Chun-Szeń, John Fernaud, Irżi Marek, Montegue Slater, Jose Mansisidor. Oczywiście w prasie radzieckiej opublikowano w dniach obchodu 50-lecia śmierci Czechowa wiele artykułów o wielkim pisarzu — pióra radzieckich literatów, reżyserów, artystów, działaczy kulturalnych. Trudno by było w tej notatce nawet je wymienić. Wspomnę więc o większych artykułach i pracach opartych na studiach o Czechowie.

Autor monografii o dramaturgii Czechowa, W. Jermiłow, zamieścił artykuły o całokształcie twórczości Czechowa, o jej znaczeniu dla literatury współczesnej — radzieckiej i światowej, dla myśli postępowej, dla walki o pokój — w Prawdzie (z 15.VII) i czasopiśmie Kommunist (nr 10/54). K. Czukowski opublikował urywki z nowej monografii Czechow i jego kunszt pisarski w n-rze 84 Litieraturnej Gaziety (z 15.VII), w tygodniku Ogoniok (nr 28). Badacz literatury, A. Jegolin, opublikował artykuł o drodze twórczej Czechowa (w Izwiestiach z 15.VII).

Wspomnienia o Czechowie opublikowała wdowa po wielkim pisarzu, Olga Knipper-Czechowa, a także siostra jego, A. Czechowa. W n-rze 7/54 Nowego Mira opublikowała wspomnienia przyjaciółka rodziny pisarza — M. Drozdowa. Ze wspomnień tych wyłania się żywa postać wielkiego człowieka i wielkiego humanisty. O humanizmie i optymizmie Czechowa pisze Czukowski we wspomnianych urywkach monografii o Czechowie. W urywkach tych, podobnie jak w autentycznych wspomnieniach, zarysowuje się wyraziście portret duchowy

Czechowa: jego umiłowanie życia i optymizm, jego miłość i szacunek dla prostych ludzi, dla ludzi pracy, jego szczerość i prostota w obejściu, jego niewyczerpany humor i błyskotliwy dowcip.

O Czechowie-dramaturgu również opublikowano wiele artykułów. W n-rze 7/54 Teatru ukazał się artykuł G. Białoja Dramaturgiczny kunszt Czechowa. W n-rze 84 Sowietskiej Kultury na ten temat pisali: B. Ławrieniew, B. Romaszow, M. Strojewa, E. Smiglis. Wiele artykułów i essayów w Dniach Czechowowskich poświęcono klasycznej nowelistyce Czechowa. Miniaturowa trylogia — to tytuł wnikliwego syntetyczno-krytycznego artykułu Z. Papiernego o trzech opowiadaniach Czechowa — Człowieku w futerale, Agreście i O miłości. Papierny twierdzi, że motyw życia „futerałowego", tematyka, której zalążki można odszukać i w Nauczycielu rosyjskiego (1894), której echa brzmią w wielu późniejszych nowelach Czechowa — jest motywem stałym, centralnym w twórczości Czechowa. Jakkolwiek autor nie wspomina nigdzie wprost o rewolucji, nie propaguje jej, to jednak negowanie współczesnego pisarzowi ustroju społecznego tkwi już w samym postawieniu tematu. „Malując życie najrozmaitszych ludzi, uwięzionych w «futerale» — pisze Papierny — zamkniętych w skorupie, miotających się jak mucha w ukropie, Czechow nawoływał do tego, ażeby rozsadzić «futerał», skończyć z życiem-więzieniem i wyrwać się z «majętności z agrestem» na wolną przestrzeń, tam, gdzie człowiek mógłby rozwinąć wszystkie cechy swojego wyzwolonego ducha." Papierny jest także autorem essayu O miłości (Znamia Nr 7/54), w którym zanalizował problem miłości w nowelistyce Czechowa. Również o liryzmie Czechowa pisze m. in. Iwan Nowikow (w n-rze 28 Ogońka), w szczególności daje rozbiór opowieści Step.

Ze sprawą nowelistyki Czechowa wiąże się ściśle satyryczny, demaskatorski charakter jego twórczości. Piszą o tym J. Elsberg i S. Boczarow w artykule Satyra Czechowa (Litieraturnaja Gazieta j. w.). „U Czechowa — czytamy w artykule Elsberga i Boczarowa — uczymy się sztuki odnajdywania typowych przeżytków przeszłości w psychice, w bycie i obyczajach, obnażania ich korzeni społecznych. Dorobek, doświadczenie Czechowa może satyrze radzieckiej okazać znaczną pomoc i — w szczególności — dopomaga w zaobserwowaniu, skąd i w jaki sposób do naszej teraźniejszości przenikają przeżytki kapitalizmu, różnego rodzaju obce nam myśli i nastroje."

Skrupulatna praca Czechowa nad stylem i językiem utworów, umiłowanie pracy literackiej pogłębiają jeszcze znaczenie i wpływ wychowawczy wielkiego realisty na pisarzy radzieckich. „Przykład Czechowa — pisała Prawda w artykule wstępnym z dnia 15.VII — który stawiał na piedestale obowiązki pisarza, jego odpowiedzialność wobec narodu, przykład znakomitego artysty słowa zawsze będzie natchnieniem literatury radzieckiej..."

Józef Spinc

KOWALE WOJNY

Jak wiadomo, w rządzie Adenauera istnieje resort „spraw ogólno-niemieckich", którym kieruje Jakob Kaiser, nieoficjalny szef dywersji przeciwko NRD i krajom demokracji ludowej, a przede wszystkim Polsce i Czechosłowacji. Zadaniem tego ministerstwa jest koordynacja rewizjonistycznych i odwetowych akcji — głównie drogą pseudo-historycznych i „naukowych" roszczeń teryto-

rialnych — jak również kierowanie remilitaryzacją psychologiczną, a więc propagandą wojny i rewanżu. Jeden z departamentów tego ministerstwa odwetu zajmuje się wydawaniem książek i broszur wybitnych hakatystów i rewizjonistów oraz finansowaniem wyższych uczelni i specjalnych instytutów, których zadaniem jest „obrona" niemieckiego *Lebensraumu* (w hitlerowskim wydaniu).

Miliony marek wydaje się corocznie na finansowanie owych kuźni rewanżu i krucjat przeciwko Polsce i ZSRR, jakimi są wszystkie „Wschodnie Instytuty" przy uniwersytetach niemieckich Trizonii, a zwłaszcza w Getyndze i Heidelbergu, gdzie usadowili się wykładowcy dawnych uniwersytetów niemieckich z b. Królewca (Kaliningrad), z Pragi Czeskiej, Wrocławia czy Szczecina. Oni to stworzyli w królestwie Adenauera tzw. niemieckie uniwersytety na emigracji, opracowując problematykę Europy wschodniej i niemieckich interesów imperialistycznych na wschodzie — dla potrzeb rządu bońskiego i jego wojennego programu.

Podczas gdy brak jest odpowiednich funduszów na zasiłki lub pomoc dla przesiedleńców ze wschodu, gdy dzieci niemieckie siedzą w domu, bo brak jest szkół, gdy poważni publicyści, poeci, malarze czy aktorzy głodują niemal na skutek braku zainteresowania ze strony Bonn dla prawdziwej kultury narodowej, pan Kaiser i jego poplecznicy otrzymują dziesiątki milionów marek na propagandę nienawiści i wojny. Podczas gdy wydawcy w zachodnich Niemczech borykają się z coraz większymi trudnościami, jeśli chodzi o edycję arcydzieł literatury pięknej, poezji czy książek dla dzieci, rozmaite instytuty powstałe z łaski Adenauera, gdzie pracuje śmietanka hitlerowskich „uczonych", wydają najprzeróżniejsze brechty polityczne i ociekające jadem nienawiści dysertacje „historyczne", u podstaw których leży podburzanie do nowej wojny.

Np. w serii *Die Deutschen Ostgebiete* albo w cyklu pism Instytutu dla spraw kultury i badań społecznych w Monachium ukazują się wydawnictwa, które w niczym nie odbiegają od hitlerowskich wypocin, wydawanych przez Franz Eher-Verlag, oficjalne wydawnictwo NSDAP. W kierowanym przez znanego polakożercę, prof. Hansa Seraphima, Instytucie Wschodnim w Getyndze ukazują się zbiory oszczerczych prac dokumentacyjnych, których nie powstydziłby się ani Ribbentrop, ani Goebbels. W rydwan odwetowych roszczeń Adenauera wprzęgło się wielu reakcyjnych uczonych, m. in. prof. prof. Krause, Hanika, Lemberg, Ritz lub Bolko von Richthofen, którzy nie kryją swoich „wielkoniemieckich" ideałów.

Ci to właśnie neohitlerowscy historycy i pseudonaukowcy z Bonn, nie gardzący fałszem, apokryfem i zwykłym kłamstwem, postanowili we właściwy sobie sposób „uczcić" przypadającą 1 września br. piętnastą rocznicę hitlerowskiego najazdu na Polskę. W serii publikacji rewizjonistycznych *Die Deutschen Ostgebiete* pogrobowcy Hitlera na bońskich uniwersytetach postanowili nie tylko „zrehabilitować terytorialne roszczenia Trzeciej Rzeszy, lecz również udokumentować bońską odmianę *Drang nach Osten*...

Jedną z takich obszernych, choć nie pierwszych, publikacji „historycznych" jest właśnie książka zasłużonego rewizjonisty, Wolfganga Wagnera, pt. Powstanie linii Odra — Nysa w świetle rokowań dyplomatycznych podczas II wojny światowej. Praca ta, która na łamach prasy reakcyjnej i przesiedleńczej w zachodnich Niemczech znalazła zrozumiałe i entuzjastyczne uznanie, jest niejako podsumowaniem wszyst-

kich dotychczasowych rewizjonistycznych tez. Ma ona służyć za podręcznik politycznych wiadomości z zakresu historii stosunków między wielkimi mocarstwami w sprawie granicy niemiecko-polskiej. Napisana jest popularnie, aby w obliczu toczącej się walki o Niemcy dotrzeć do świadomości przeciętnego czytelnika i urobić jego opinię.

Autor tej książki stara się przede wszystkim wykazać, że główną przyczyną drugiej wojny światowej były ustalone w Wersalu zachodnie granice Polski. Zgodnie z tezą weimarskich rewizjonistów pokroju osławionego ministra Treviranusa (w 1930 roku domagał się on zwrotu Poznania i Bydgoszczy), dawny zabór pruski, nie mówiąc już zupełnie o Górnym Śląsku, jako „prastare ziemie niemieckie" zostały „niesłusznie" przyznane Polsce i stąd — zdaniem Wagnera — narastanie rewizjonistycznych prądów w przedwojennych Niemczech.

Dla tak pojmującego dzieje stosunków niemiecko-polskich „historyka" nie pozostało nic innego, jak wygłosić apologię zagranicznej polityki Hitlera. *Herr* Wagner czyni to zresztą z wielkim zamiłowaniem. Oto jak określa on zaborcze plany Trzeciej Rzeszy w przededniu wybuchu drugiej wojny światowej:

„Ostatnia oferta załatwienia problemu korytarza, którą na początku 1939 roku sformułował Hitler z zadziwiającą wstrzemięźliwością *(das Hitler... erstaunlich zurückhaltend formulierte)*..." (str. 13-14).

Owa „zadziwiająca wstrzemięźliwość" — to było ultimatum domagające się zwrotu b. zaboru pruskiego i przekształcenia reszty ziem polskich w niemiecki protektorat; w konsekwencji — bezkrwawa aneksja Polski.

Pan Wagner jako niemiecki historyk znał oczywiście, ogłoszone na procesie norymberskim (i później w wielu publikacjach i książkach), teksty tajnych przemówień Hitlera do generałów i gauleiterów tuż przed najazdem na Polskę. O rzeczywistych planach Hitlera, których „wstrzemięźliwość" poznali na własnej skórze nie tylko Polacy, ale cała bez mała Europa, rewizjonista boński w profesorskim birecie woli nie wspominać. Zepsułoby mu to całą koncepcję książki, u której źródła leży przecież nic innego, jak tylko „naukowe" przygotowanie czytelnika niemieckiego do nowej hecy wojennej, znieczulenie go na logikę argumentacji drugiej strony walczącej o pokojowe załatwienie problemu Niemiec.

Ale właśnie w piętnastą rocznicę napadu Hitlera na Polskę, napadu, który przekształcił się wkrótce w najokrutniejszą z wojen, należy przypomnieć, co mówił Hitler do generałów, kiedy zaprosił ich do swojej siedziby na Obersalzberg. Wedle obecnego na tym przyjęciu generała Haldera, późniejszego szefa sztabu generalnego, Hitler w ten sposób wyjaśnił przyczyny i cele „kampanii polskiej":

„Było dla mnie jasne, że wcześniej czy później musi dojść do konfliktu z Polską. Powziąłem decyzję ataku już na wiosnę... Dla nas powzięcie takiej decyzji jest rzeczą prostą. Nie mamy nic do stracenia — możemy tylko wygrać. Nasza sytuacja ekonomiczna jest taka, że nie możemy dłużej wytrzymać niż kilka lat. Goering może to potwierdzić. Nie mamy innego wyjścia, musimy działać... Nie mamy czego obawiać się Zachodu. Nasi wrogowie są małymi robakami: widziałem ich w Monachium. Nic nam nie zrobią. Jeżeli się czegoś boję, to tylko tego, aby w ostatniej chwili jakiś Schweinehund nie zjawił się ze swoim planem mediacji..."

Po krótkiej przerwie, poświęconej na cygara (w obecności Hitlera nie wolno było palić), dyktator Trzeciej Rzeszy ciągnął dalej swój wywód:

„Zniszczenie Polski — oto cel najbliższy... Ze względu na porę roku rozstrzygnięcie musi nastąpić szybko. Dam wam propagandowy pretekst do rozpoczęcia wojny. Nie troszczcie się o to, czy będzie on brzmiał wiarygodnie czy nie. Nikt nie będzie pytał zwycięzcy, czy mówił prawdę, czy kłamał. W wojnie decyduje nie słuszność, lecz zwycięstwo. Nie miejcie litości. Bądźcie brutalni. Słuszność jest po stronie silniejszego. Działajcie z największym okrucieństwem. Całkowite zniszczenie Polski jest naszym celem wojskowym. Szybkość — oto naczelne zadanie. Ścigajcie wroga aż do całkowitego unicestwienia".

Wiemy wszyscy, jaki był skutek tego wystąpienia. Również dla Niemiec.

Ale pan Wagner i jemu podobni „historycy" nie chcą o tym pamiętać.

*

W dalszym rozdziale książka Wagnera usiłuje wybielić politykę eksterminacji stosowaną przez żołdaków Wehrmachtu i SS, nawracając do propagandowego repertuaru arcykłamcy Goebbelsa. Wagner powiada z niemałą dozą cynizmu i zakłamania, że dla wyjaśnienia hitlerowskiej polityki okupacyjnej wobec Polaków — „należy w imię prawdy historycznej stwierdzić, iż na początku wojny Polacy wymordowali 12 500 cywilnych Niemców..."

Nie wiadomo, skąd autor wziął cyfrę rzekomych ofiar „polskiego terroru". Ale znamy za to źródła, z których czerpał swoją historyczną wiedzę z okresu kampanii wrześniowej. Po prostu z arsenału Goebbelsa. Galwanizując hitlerowskie bajdy o polskich okrucieństwach, Wagner stwarza od razu przesłanki do bońskiej hecy antypolskiej, której ukoronowaniem była wydana przed rokiem przez ówczesnego ministra przesiedleńców, polakożercę Lukaschka (wsławił się podczas walk o Górny Śląsk) — sławetna „Biała Księga" o „znęcaniu się" Polaków nad niemieckimi przesiedleńcami ze wschodu. Zarówno u Wagnera, jak i u Lukaschka kłamstwa te powtarzane są systematycznie od wielu lat z ową premedytacją fałszerzy historii, którzy w adenauerowskiej propagandzie stosują wskazania mistrza Goebbelsa: „Kłamcie tak długo, dopóki wasze kłamstwo nie stanie się prawdą..."

Oczywiście, Wagner nabiera wody do ust, kiedy idzie o prowokację Heydricha, późniejszego „protektora Rzeszy dla Czech i Moraw" (zabitego w 1942 roku przez czeskich patriotów), w postaci sfingowanego napadu „Polaków" na radiostację w Gliwicach, która posłużyła jako pretekst do wkroczenia wojsk hitlerowskich do Polski; Wagner nie przypomina sobie owej krwawej niedzieli w Bydgoszczy, kiedy mordowano cywilną ludność polską, nie pamięta o rozstrzelaniu 102 Polaków w Wawrze i innych okrucieństwach, które były wstępem do zakrojonej na szeroką skalę akcji eksterminacyjnej Polaków. Ale z całym spokojem rozpisuje się o „polskim terrorze", podając wyssaną z palca cyfrę — 12,5 tysiąca rzekomo zamordowanych Niemców. Pobudki tego taniego kłamstwa nie wymagają komentarzy. Są zbyt jasne.

*

Biorąc za punkt wyjścia tezę o „nieżyciowości i niesprawiedliwości granicy wersalskiej", boński krzyżowiec w następnych ośmiu rozdziałach swojej książki staje na głowie, aby z kolei udowodnić, iż granica na Odrze i Nysie nigdy nie była faktycznie uznaną granicą i że jedynie ówczesny, „swoisty" interes mocarstw zachodnich zaważył na załatwieniu sprawy niemiecko-polskiej granicy, tak jak to się stało w Poczdamie.

Ale — jak wiadomo — stać na głowie

długo nie można. Dostaje się bowiem zawrotu głowy. Już w połowie swojej książki Wagner wpada we własną pułapkę. Mąci mu się w głowie od tak wymownych faktów, jak podpisy trzech mocarstw pod deklaracją poczdamską, jak list lorda Cadogana w sprawie naszych granic, jak zgoda zachodnich mocarstw na ewakuację milionów Niemców z naszych ziem zachodnich itd., itd. Tych spraw nie mógł przecież zataić nawet tak doświadczony apologeta Hitlera, jak Wagner! Jakżeby zresztą mógł, kiedy cały świat wie o tym dobrze!!

Ponieważ fakty te są bezsporne, historyk Wagner wyskoczył pod koniec swojej książki z tezą, która choć nie jest ani nowa, ani oryginalna, przecież w oficjalnej bońskiej publikacji nabiera specjalnej wymowy.

W jaki sposób pragnie Wagner zrewidować postanowienia poczdamskie?

Centralna teza książki jego głosi, że przy wytyczaniu granicy niemiecko-polskiej w Poczdamie — „intencje (uczestników konferencji) różniły się znacznie od siebie. Stalin zaproponował granicę Odry dla Polski komunistycznej... Churchill zaakceptował ją dla Polski demokratycznej..."

O jakiego rodzaju „demokrację" tutaj chodzi, dowiadujemy się z dalszych wywodów pana Wagnera. „Demokracja" ta to po prostu marionetkowy rząd polski, który by szedł na pasku wojennych planów Wall Street.

Oto bowiem co powiada autor w konkluzji swoich wywodów:

„Jeżeli mocarstwa zachodnie z taką gotowością chciały stworzyć wyrównanie strat dla Polski — to znowu nie zaważył tu jedynie tylko wzgląd na naród polski... Decyzja mocarstw zachodnich przyznania Polsce szerokiego odszkodowania terytorialnego na północy i na zachodzie nie znajdowała się w próżni. Miała ona ważność tylko dla Polski demokratycznej, ale nawet nie dla każdego demokratycznego państwa polskiego; miała ona ważność dla takiej Polski, która... (miałaby) zatrzymać ZSRR na swojej granicy wschodniej" (str. 159).

A więc mówiąc krótko i jasno:

Churchill i Truman pragnęli stworzyć na obszarach polskich swój antyradziecki bastion, ten sam zresztą, który tworzą obecnie na ziemiach rządzonych przez Adenauera. „Demokratyczna Polska — miała być po prostu krajem wojującej soldateski dla potrzeb anglo-amerykańskich interesów imperialistycznych. Co więcej, jak wiemy z „układów" p. Czapskiego i Cat-Mackiewicza w Bonn, owa „demokratyczna" Polska łatwo dałaby się skłonić do „polubownej korektury" granic w myśl życzeń *Herr* Wagnera. W objęciach amerykańskich takie „akty przyjaźni" nie byłyby zresztą trudne.

A ponieważ plany te rozbiły się jak bańka mydlana już nazajutrz po Poczdamie, rewizjoniści pokroju Wagnera rozumują na swój sposób „logicznie". Powiadają oni, jak czyni to autor cytowanej książki, pod adresem zachodnich mocarstw: „odnośne" warunki „zgody" Zachodu na nowe granice polski nie zostały „dotrzymane", *ergo* — granica na Odrze i Nysie musi ulec „rewizji". Nie mogąc inaczej uporać się z historycznym faktem uroczystego wytyczenia granic polskich w Poczdamie, rewizjoniści niemieccy z Bonn wysuwają „argumenty" polityczne, które przypominają darowanie Niderlandów przez Zagłobę...

*

Piętnastą rocznicę najazdu na Polskę, który przerodził się w światową pożogę wojenną, setki milionów ludzi na całym świecie odbchodzić będą wzmożoną akcją na rzecz utrwalenia pokoju. Również wiele milinów Niemców po obu stronach Łaby dzień 1 września 1939 roku uważać będzie za najtragiczniejszy

chyba w swoich dziejach. Ale nie należy zapominać, że w kuźni bońskiej nie ustaje praca wroga pokojowi, która usiłuje przetopić hitlerowskie koncepcje „lebensraumu" w adenauerowskie plany odwetu pod szyldem „zjednoczonej Europy". Zjednoczonej — pod butem pruskiej soldateski!

Marian Podkowiński

PODPALACZE NA MIELIŹNIE

Ponętne widoki i twarda rzeczywistość

„Ileż tu możliwości! Ile wspaniałych interesów jest do zrobienia! Co za oszałamiające widoki na przyszłość! Wprost oprzeć się im nie można! Tonkin jest bogaty, niebywale bogaty. Żaden kraj na świecie nie ma takich zasobów. Ludność łagodna, nieszkodliwa. Będziemy tam mieć kolonię do eksploatowania przy pomocy elementów miejscowych. Ale trzeba się spieszyć. W tych czasach zaciekłej konkurencji przyszłość należy do krajów, które potrafią zapewnić sobie póki czas liczne tereny i rynki..."

Takie to perspektywy malowała kapitalistom francuskim broszura wydana w r. 1885 pod uwodzicielskim tytułem Bogactwa Tonkinu. A wydały ją koła bardzo miarodajne, o czym świadczy choćby przedmowa pióra potężnego podówczas ministra, Jules Ferry. Broszura podkreślała, że „robociznę w Tonkinie można mieć w nieograniczonych ilościach i za bezcen". Lecz równocześnie dodawała, że „drobny przemysł nie ma tam nic do roboty, ludzie bez pieniędzy powinni wystrzegać się próbowania tam szczęścia. Świetną i pewną przyszłość widzimy w Tonkinie tylko dla wielkich, bardzo wielkich przedsiębiorstw".

Sprawa była więc od początku postawiona wyraźnie. W tym czasie zakończono właśnie podbój półwyspu zwanego indochińskim, a stało się to z wyłącznej niemal inicjatywy Banku Indochin, jednego z najpotężniejszych bastionów francuskiego kolonializmu i francuskiego kapitału. Bank Indochin powstał w r. 1875. Założyła go magnateria pieniądza: Comptoir d'Escompte, Société Générale oraz Banque de Paris et des Pays-Bas. Za pośrednictwem tego ostatniego poważne udziały dzierżył także Watykan. „Wynagrodzenie włożonych kapitałów — pisze urzędowy historyk Banku Indochin — wynosiło do r. 1884 przeciętnie 10—11%. W r. 1887 (po dokonanym podboju) wzrosło na 24 a nawet 28%". Stopniowo zyski — zwane łagodnie „wynagrodzeniem" — rosły coraz bardziej, aż przed samym wybuchem pierwszej wojny światowej doszły do blisko 100%.

Nie bez powodu jednak już dziewiętnastowieczna broszura ostrzegała kapitalistów francuskich przed „zaciekłością rywali". Rywal wprawdzie zjawił się nie tak prędko, ale za to próbuje pochwycić niedoścignią dotychczas zdobycz z pasją oślepionego żarłocznością wilka. Oślepionego tak bardzo, że nie widzi, jak dalece zmieniła się rzeczywistość między Mekongiem i Rzeką Czerwoną i w całej zresztą Azji.

Wbrew bowiem naiwnym zapewnieniom kapitalistycznego prospektu ludność Wietnamu, Khmeru i Patet-Lao nigdy nie była tak znowu potulna wobec swoich miejscowych czy zagranicznych panów. Ustrój kraju od wieków opierał się na feudalizmie z domieszką niewolnictwa. I od wieków ziemie indochińskiego półwyspu były widownią buntów chłopskich, przy całej różnicy rozwoju socjalnego i cywilizacyjnego, żywo przypominających bunty chłopów średniowiecza.

A z drugiej strony istnieją tam równie stare tradycje walki z obcym zaborcą. Nie bez powodu nazywano ten

kraj „Ogrodem Południa". Klimat pozwala na dwukrotne zbiory w roku, a urodzajność niezwykła gleby sprawia, że są one zawrotnie obfite. Toteż historia polityczna Indochin jest głównie historią walk, z powtarzającymi się ciągle najazdami i walk o niepodległość.

Tradycja przechowała imiona sióstr Trung — na Daleki Wschód i w głąb I stulecia przeniesionej Dziewicy Orleańskiej — Le Loi, słynnego wodza powstańczej partyzantki u schyłku średniowiecza, Trang Hung Dao, dowódcy oporu przeciw Mongołom, i wielu innych.

Ginęły w tych wojnach wspaniałe cywilizacje, dżungla zarosła i pokryła nieprzeniknionym gąszczem zwaliska całych miast. Rodziły się legendy o skarbcach dawnych królów, o całych skrzyniach drogocennych kamieni, zakopanych czy zamurowanych wśród ruin. W epoce kolonizacji powstała na ten temat we Francji cała literatura, pełna fantastycznych przygód i tajemnic strzeżonych przez bogów Wschodu.

Pierwsi przybysze z Europy zjawili się w połowie XVI w. Byli to Portugalczycy. Jeszcze i teraz w niejednej rodzinie wietnamskiej przechowują wspomnienie o tych zamorskich przodkach. W ślad za nimi podążyli Hiszpanie, a na początku XVII stulecia Holendrzy założyli swoje faktorie handlowe w delcie Mekongu. Wreszcie w 1858 r. przybyła pierwsza ekspedycja faancuska i w przeciągu ćwierćwiecza podbój całego półwyspu (z wyjątkiem Syjámu) był faktem dokonanym.

W r. 1941 przyszła okupacja japońska. Wyzyskiwaczy było teraz trzech: miejscowi feudali, koloniści francuscy i Japończycy, ale były to czasy, kiedy ruch wyzwoleńczy doszedł już do pełni uświadomienia. Na jego czele stanęła rozwijająca się szybko klasa robotnicza, kierowana przez Ho Szi Minha, przyłączyły się do niej wszystkie zdrowe warstwy narodu. W sierpniu 1945 r. siły wolności i rewolucji odniosły zwycięstwo nad okupantem i jego popleczni-kami, 2 września 1945 r. proklamowano Republikę Wietnamu. „Francja uznała Republikę Wietnamu nacjonalistów annamskich 1 marca 1946 r. jako wolne państwo w ramach Indochińskiej Federacji i Unii Francuskiej. Ruch nacjonalistyczny powstał w 1941 r. i w czasie II Wojny Światowej nabrał rozmachu." Przytoczone zdanie pochodzi z Małego Almanachu Świata wydawanego przez ultra-reakcyjny dziennik nowojorski, World Telegram. Almanach pochodzi z 1948 r. i świadczy, że jeszcze kilka lat temu prasa Wall Street przyznawała ruchowi charakter ogólno-narodowy. Dopiero później wprowadzono „kryterium Dullesa", w myśl którego sam Jerzy Waszyngton zostałby bez wahania uznany za jednego z wodzów „międzynarodowego spisku komunistycznego".

Wtedy jednak osłabły imperializm francuski próbował o własnych siłach odzyskać stracony teren. A w Waszyngtonie czekano z nietajoną radością, by sam się wykrwawił i ustąpił miejsca silniejszym; za „silniejszego", wbrew przestrogom historii, uważano tam siebie.

Dzieje wysiłków Banku Indochin i jego rządowych agentów podczas „brudnej wojny" są zbyt dobrze znane, by je tu powtarzać. Przypomnijmy tylko, że były to dzieje bezustannego łamania uroczystych traktatów i zobowiązań, że zamknęły się saldem 7 miliardów dolarów utopionych pieniędzy i kosztowały życie dziesiątków tysięcy żołnierzy. A jeśli nie zakończyły się ostateczną klęską, to tylko dlatego, że wolne republiki Wietnamu, Khmeru i Patet-Lao poszły na wielkie ustępstwa dla uniknięcia dalszego rozlewu krwi i zniszczenia kraju.

„Diabły Wschodu" i „Nienaruszalne prawa człowieka"

I jedno jeszcze warto przypomnieć: sam wybuch wojny osiem lat temu. Stanowi bowiem memento dla Mr. Dullesa, który twierdzi, że od dziś za rok gotów będzie do „skutecznej" inwazji Wietnamu. Kolonialiści francuscy zdawali się mieć wówczas wszystkie atuty w ręku. Po oficjalnym uznaniu niepodległości Wietnamu przegrupowali i wzmocnili swe siły i korzystając z pełnego zaskoczenia, rozpoczęli wszechstronne działania wojenne w nadziei błyskawicznego zwycięstwa. Sygnałem było bombardowanie Hajfongu 21 listopada 1946 r. z rozkazu dowódcy korpusu ekspedycyjnego, gen. Thierry d'Argenlieu. Wśród ludności cywilnej padło wtedy 6.000 zabitych i dwakroć tyle rannych. Napastnik przemawiał językiem siły, gdyż tylko ten język rozumiał. Wówczas to prezydent Ho Szi Minh wydał pamiętną odezwę:

„Raczej wszystko poświęcić, niż przyjąć niewolę! Powstańcie! Naprzód, rodacy! Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, jakiejkolwiek jesteście religii, jakiejkolwiek narodowości, powstańcie. Wietnamczycy, do walki z kolonializmem, do obrony, dla ocalenia ojczyzny! Niech ten, kto ma strzelbę, walczy ze strzelbą w ręku; kto ma miecz, niech mieczem walczy; kto zaś nie ma strzelby ani miecza, niech walczy łopatą, motyką czy kijem; niech nikt nie pozostanie poza walką patriotów z kolonialistami. Choć walczyć musimy w warunkach ciężkich i trudnych, nasza wola, zdecydowanie i gotowość do największych ofiar zapewnią nam ostateczne zwycięstwo".

Jakby dalekie echo tej odezwy brzmiały słowa inauguracyjnej mowy prezydenta Eisenhowera 20 stycznia 1953 r.: „W Azji przebudziły się masy i zrzucają okowy przeszłości... Amerykanie i wraz z nimi zaiste wszyscy ludzie wolni wiedzą, że w końcowym rachunku tornister żołnierski nie jest tak ciężki jak łańcuchy niewoli... Szanując odrębność i dziedzictwo każdego narodu świata, nigdy nie użyjemy naszej siły dla próby narzucenia innemu ludowi naszych instytucji politycznych i gospodarczych... Mamy jednakowy szacunek dla wszystkich kontynentów i wszystkich narodów. Odrzucamy wszelkie twierdzenia, że jakiekolwiek rasy czy ludy są w jakimbądź względzie niższe i gorsze... W takiej chwili w historii obwieszczamy na nowo wiarę naszych ojców, wiarę w nieśmiertelną godność człowieka, którego Stwórca obdarzył nienaruszalnym prawem równości powszechnej."

Lecz wzniosłe tezy krzyczane do głośników przez majordoma Wall Street udrapowanego na anioła pokoju nie wygnały z sali Kongresu ducha tej polityki, której istotę ujął najlapidarniej stary Herbert Hoover pisząc do przyjaciela: „Jedyny sposób, jaki znam na te diabły Wschodu, to bat i uwiązanie do słupa na prażącym słońcu do czasu aż skruszeją". Ów anioł, zmotoryzowany w stalowniach Morgana, skropiony nie tyle hozopem, co naftą Rockefellera, i pachnący prochem i napalmem Du Ponta, już nazajutrz wygłosił pamiętne zdanie: „Walczmy z Azjatami rękoma Azjatów". A w cieniu jego opiekuńczych skrzydeł stoi admirał Radford z bombą atomową pod pachą i John Foster Dulles z coraz to nowymi projektami wojny.

Tylko że właśnie między tymi dwoma zachodzi pewna rozbieżność zdań. Pomówimy o niej za chwilę.

Monachium à rebours

„Dien Bien Fu jest odpowiednikiem zajęcia Nadrenii przez Hitlera. Podział Indochin byłby zatem dalekowschodnim Monachium. Czyli że niebawem trzeba

będzie pomówić o odpowiedniku gwarancji udzielonych Polsce, które wyznaczyły początek II Wojny Światowej".

Osobliwa ta analogia wyszła spod pióra znanej spółki publicystów amerykańskich, braci Alsop, znanej także i z tego, że jej głos jest wyrazem pragnień i dążeń Pentagonu, a przynajmniej tego, co Pentagon chce rozgłosić w opinii. Wypowiedź ta ukazała się w początkowym okresie konferencji genewskiej. W tym samym artykule bracia Alsop „wygadali się" z planem admirała Radforda — szefa sztabu generalnego USA — zrzucenia bomb atomowych na Dien Bien Fu i zaskoczenia ludzkości atakiem, który miał być początkiem III wojny światowej.

Wywód cały był oczywiście tak dziecinnie naiwny, że nawet wielce naiwna opinia amerykańska — na którą był obliczony — nie chwyciła tak prymitywnego haczyka. Co gorsza, wywód ten raz jeszcze nasunął zestawienia faktów tak bardzo wymowne, porównanie dwóch chwil dziejowych tak nieodparte, że wniosek sam się narzucił, a był dla Pentagonu i Wall Street drugcący. Sformułował go w klubie prasy Palais des Nations nad Lemanem jakiś przygodny dziennikarz amerykański. Tym razem — powiedział — mamy w Genewie Monachium *à rebours*. Było to jakby dyplomatyczne jajko Kolumba. Przypomina wiele, wyjaśnia jeszcze więcej.

Czechosłowacja Benesza poddała się bez wystrzału, a „mocarstwowa" sanacyjna Polska już po tygodniu nie była zdolna do zorganizowanych działań wojennych. I dopiero upadek burżuazyjnego państwa wyzwolił prawdziwy, zwycięski opór narodu. Dzisiaj natomiast, mimo złudzeń Dullesa, nie ma takiej siły w kapitalistycznym świecie, która zdołałaby narzucić swą władzę wzgardzonym „diabłom Wschodu". Sześć lat i Wielka Wojna zaległy pomiędzy wrześniem „polskim" a „wietnamskim", upadkiem Rzeczypospolitej neoszlacheckiej i narodzinami republiki ludowej. Tych sześciu lat nic już nie cofnie i nic nie przywróci młodości zetlałym imperializmom.

Stanów Zjednoczonych nie było w Monachium, a ich wojska nie brały bezpośredniego udziału w kampanii wrześniowej. Ale Monachium i rozpętanie wojny doszło do skutku ich głównym staraniem, gdy rząd i Kongres zapewniły Hitlera o swej neutralności. Życzliwej neutralności — jak stwierdzały poufne noty słane Fuehrerowi — pod warunkiem marszu na Wschód i „otwarcia bezmiarów rosyjskich błogosławionym wpływom cywilizacji Zachodu", innymi słowy otwarcia bram dolarowi. Nie było wojsk USA na równinach Polski, lecz samoloty i czołgi Hitlera były zbudowane z amerykańskich kredytów, poruszała je amerykańska benzyna, popędzały amerykańskie pieniądze. Pentagon był całkowicie po stronie Wehrmachtu, czemu dał uroczysty wyraz szef sztabu Stanów Zjednoczonych, generał Marshall, w urzędowej depeszy składając gorące gratulacje „z powodu świetnego rozegrania tak znakomicie pomyślanej i przeprowadzonej kampanii".

„Równowaga na kontynencie Europy została przywrócona" — oświadczył gen. Marshall na wieść o wkroczeniu wojsk hitlerowskich do jeszcze dymiącej Warszawy. Opinie generała całą duszą podzielał nieznany jeszcze nikomu jego podwładny, podpułkownik Dwight C. Eisenhower. Wielbiciel Clausewitza, pilnie studiował metody i taktykę Wehrmachtu, zdjęty podziwem usiłował nawet wprowadzić je w czyn podczas wielkich manewrów armii USA w Luizjanie w 1941 r. Żarliwy entuzjazm dla wzniosłych nauczycieli nie omieszkał zwrócić uwagi dostojnego

zwierzchnika i zdecydował o szybkiej karierze skromnego, lecz pojętnego oficera — notował jeden z licznych dzisiaj biografów. Tyle zawdzięczając ich szkole późniejszy dowódca SHAEF zachował w serdecznej pamięci generałów Hitlera i przy żadnej okazji nie zaniedbał podkreślać z dumą, że uważa ich za swych kolegów. To koleżeństwo i zapatrzenie we wzory miało z czasem aż zbyt dobitnie wcielić się w życie.

Z Kapitolu nie widać Cheronei. Na Kapitolu Stanów Zjednoczonych, na Wall Street i w Pentagonie dotąd jeszcze upatrują w Monachium tylko wygodną dźwignię, z której pomocą wyważono z orbit imperializmy zachodniej Europy, a ją samą poddano władzy prokonsulów USA. Eisenhower i Radford, Dulles i multum kongresmenów, żywili przeświadczenie, że to, co stało się po Monachium, nie oddaliło ich, ale zbliżyło do tej radosnej chwili, gdy sąsiad — teraz już sąsiad — rosyjski będzie musiał złożyć dowody swej „dobrej woli": przyjąć ich protektorat usuwając ostatnią przeszkodę na drodze zglajchszaltowania świata. Toteż gdy niespodziewanie dla nich wyłoniła się nowa przeszkoda — chińska — trzeba było przestawić radykalnie tory polityki a zwłaszcza dyplomacji. Z początku rozbiło to koła miarodajne na dwie orientacje — europejską i azjatycką — by niebawem przerodzić się w fuzję i syntezę obydwu. Katalizatorem były rosnące ambicje i apetyty oraz — rosnące trudności wewnętrzne. Wyłuskana z otoczki frazesów ta amfibijna synteza stanowi obecną wersję polityki dwupartyjnej i kwintesencję rządów Eisenhowera.

Tak jak poprzednie, nowe Monachium miało być prologiem wojny. Ujęte w postać Europejskiej Wspólnoty Obronnej, EDC, po uprzednim, bezkrwawym podboju Francji, miało pchnąć neohitlerowskie Niemcy na Wschód, na Czechosłowację i Polskę i dalej — na ZSRR. Monachium azjatyckie, w kształcie „Paktu Obrony Azji Południowo-Wschodniej", SEATO, po „wykrwawieniu się wzajemnym Azjatów" powinno było zakończyć się tryumfalnym wkroczeniem wojsk USA do Pekinu. Skoro Południowa Korea nie spełniła pokładanych nadziei, Indochinom wyznaczono rolę zarazem Czechosłowacji i Polski.

Tu jednak zaczęły się powikłania, które i w artykule Alsopów odezwały się głuchym tonem okrytej sarkazmem złości. Złości nie tylko dwóch dziennikarzy, lecz i stojącej za nimi potężnej kamaryli wojskowej i politycznej.

„Ratowanie Azji przed Azjatami"

Pakt monachijski z Hitlerem stanął dnia 30 września 1938 r. Waszyngton w owej dacie miał sytuację niezmiernie prostą, grę jasną i łatwą do rozegrania. Na czele państwa stał „liberalny" Roosevelt, imperializm amerykański był dla oczu własnego społeczeństwa prawie niewidoczny, Japonia dławiła wyzwalające się Chiny, a w Europie dojrzewał śmiertelny zatarg pozostałych rywali USA. Przeciętny Amerykanin żywił do nich wszystkich odruchową niechęć, którą można było rozdmuchać w dowolnym kierunku. Szło więc tylko o podsycenie zapędów państw Osi, szło o to, by przed czasem nie ulękły się długiej wojny. Ten wynik, jak wiemy, osiągnął Cordell Hull, długoletni sekretarz stanu Roosevelta. I w grze z Niemcami, i — nieco później — z Japonią. Cordell Hull był tym właśnie bankierem, który tasował karty rozdane w bawarskiej szulerni. Genewa od początku nie dawała perspektyw przekształcenia jej w dalekowschodnie Monachium. Chęć storpedowania jej i osiągnięcia swych celów „innymi drogami" była więc zupełnie logicznym wnioskiem rządu waszyng-

tońskiego. Ale i najwięksi pesymiści nad Potomakiem nie przewidzieli rozmiarów klęski. Co prawda zwykle tak bywa, gdy „zimny kalkulator" — a za takiego uważa siebie John Foster Dulles — rachunek swój opiera na papierowych danych ignorując fakty.

Nie można zresztą zarzucić Dullesowi, by i tym razem nie docenił siły krajów obozu pokoju. Przeciwnie, jego niechęć zjawienia się w Genewie i z góry zapowiadany wyjazd były najlepszym dowodem, że brał je w rachubę. Nie docenił natomiast procesów we własnym obozie państw imperialistycznych, a także we własnym kraju.

Waszyngton zdążył się przyzwyczaić, że imperializm angielski i francuski posłusznie idą na jego pasku. Zapomniał jednak, że czynią to tylko z musu, czekają pierwszej okazji, by się wyłamać. Taką właśnie okazję nastręczyła Genewa.

Już pierwsze tygodnie obrad ujawniły, że delegacja amerykańska jest osamotniona. Mało tego, wkrótce wyszło na jaw, że pozbawiona jest także poparcia w USA i operuje w próżni, bez zaplecza. W kołach delegacji zapanował niepokój, by niebawem przejść w panikę. Jeden z najbardziej zaciekłych zwolenników wojny, specjalnie przybyły na konferencję korespondent New York Herald Tribune, David Lawrence, donosił swemu pismu: „Przejrzałem właśnie otrzymany telegraficznie wyciąg z nagłówków i artykułów ogłoszonych w tych dniach przez wielkie dzienniki amerykańskie i zadaję sobie pytanie, co ma robić amerykański delegat w obliczu tych krytyk na łamach prasy swojego kraju, które — kiedy zostaną przedrukowane w Europie — muszą zdyskredytować delegację Stanów i jej pozycję poważnie osłabić".

Lawrence tak ujął sprawę, jakby prasa amerykańska dopuściła się nagle dziwacznej złośliwości pod adresem Dullesa i Bedell-Smitha. Rzecz miała się jednak zupełnie inaczej. Reakcja prasy była bladym jedynie odbiciem rozbieżności w ocenach między departamentem stanu i sztabem oraz słabym odblaskiem burzy, jaką w całej opinii publicznej wywołał sztandarowy rzecznik polityki rządu, wiceprezydent Richard Nixon.

Przed udaniem się do Genewy Dulles dał wyraz swemu przekonaniu, że „rok 1955 będzie świadkiem klęski Czerwonych w Indochinach w myśl planów gen. Navarre". W Pentagonie natomiast przeważyło zdanie zupełnie odmienne. W formie nader oględnej stwierdził to znany rzeczoznawca wojskowy New York Timesa, Hanson W. Baldwin: „Przestudiowano pilnie plan Navarre i punkt widzenia Dullesa co do strategii w Indochinach uważany jest stanowczo za zbyt optymistyczny. Zarówno znawcy spraw indochińskich w departamencie stanu, jak i większość przedstawicieli Pentagonu nie podzielają tego optymizmu i są zdania, że pociągnięcia Dullesa, z których przebija pośpiech i poczucie, jak bardzo krytyczna jest sytuacja, pozostają w sprzeczności z jego własnymi słowami."

Nie trzeba przypominać, że tę rzeczową ocenę miała wkrótce potwierdzić w całej rozciągłości klęska korpusu interwencyjnego pod Dien Bien Fu, w której załamał się cały „plan Navarre". Lecz rzeczywiste opinie Pentagonu nie są przeznaczone na użytek masowy i Hanson Baldwin nie pisze dla szerokich rzesz. Głośnikiem Pentagonu są dziennikarze typu braci Alsop, którzy — jak to widzieliśmy — straszą społeczeństwo fałszywym porównaniem i groźbą najazdu „Czerwonych" *via* Sajgon na Kalifornię. Ten brak konsekwencji, pozorny zresztą, podyktowała konieczność udzielenia nagłej pomocy

politykom, którzy przedwcześnie i nieudolnie rozgadali plany ułożone wspólnie ze sztabem.

Już okrzyki Dullesa wywołały niepokojące echa w opinii. Ale prawdziwa lawina zaczęła się obsuwać po mowie Nixona. Tuż przed otwarciem konferencji genewskiej wiceprezydent zabrał głos na zebraniu wydawców dzienników i oświadczył wyraźnie, że „ujednolicona akcja", o jakiej mówił Dulles, oznacza po prostu decyzję USA wysłania swoich wojsk do Indochin. „Trzeba będzie wpakować w to naszych chłopców" — rzekł Nixon. A świetnie poinformowany Wall Street Journal podkreślił natychmiast, że mówił to jako członek Państwowej Rady Wojennej i mąż zaufania prezydenta Eisenhowera. „Jak jednak wyglądać będzie sytuacja — ciągnął naczelny organ monopoli — jeśli Francuzi nie zechcą się bić, jeśli nie zechcą tego również Indochińczycy na swojej własnej ziemi, jeśli będziemy to robić sami, zupełnie sami?" Stwierdzając, że to właśnie wynika niezbicie z mowy Nixona, pismo kończyło dramatycznym westchnieniem: „Wówczas będziemy samotnie ratować Azję przed Azjatami!"

Opadająca fala

Tu jednak stanęła okoniem nawet potulna zazwyczaj i łatwo dająca sobie wmówić wszelkie „konieczności" opinia amerykańska.

Na alarm uderzyła prasa. W Chicago Daily News ukazał się artykuł wstępny przedrukowany przez liczne inne pisma. Wielki nagłówek mówił sam za siebie: „Ike, Nixon i Dulles prowadzą USA do wojny jeszcze w tym roku! Zgodne echo rozległo się na całą szerokość Ameryki. „Nikt nie uwierzy krzykom, że wszystko jest winą Rosjan — pisał Michigan News Dispatch, a jest to przykład jeden z tysiąca. — Opinia francuska podobno jest jednomyślna w żądaniu skończenia wojny na warunkach, które w chwili obecnej są bardzo korzystne. I tylko w Pentagonie zwolennicy zimnej wojny nie chcą ustąpić na włos i chcą wysłać młodzież amerykańską do Indochin. Nie wolno jednak dopuścić, by nasi chłopcy ginęli w indochińskich bagnach!" Osławiony Pappy O'Donnell, pupil reakcyjnych brukowców, pisał w New York Daily News: „Na wzgórzu Kapitolu przeprowadzono tajne referendum. Wynikiem była poufna deklaracja dwupartyjna, zgodnie z którą w chwili obecnej w całym Kongresie tylko pięciu członków głosowałoby za wypowiedzeniem wojny i wysłaniem wojsk USA dokądkolwiek w Azji. Republikanie zawiadomili Biały Dom, że pod grozą klęski nie mogą popierać polityki wskazującej na najlżejszy zamiar rządu posłania wojsk do Indochin. Ta droga — oświadczyli Ike'owi — byłaby politycznym samobójstwem". Kropkę nad „i" postawił jeden z Republikanów: „Jeśli dojdzie do wojny w czasie trwania obecnej administracji, będzie to pewnie koniec Partii Republikańskiej". Rywale z Partii Demokratycznej przeszli do kontrofensywy: „Azja jest zbuntowana — oświadczył z trybuny Senatu Demokrata Johnson — zbuntowana przeciw kolonializmowi. Do rzędu wielu rewolucji przeciw kolonialnemu władztwu zaliczyć trzeba wojnę w Indochinach, która zaczęła się jeszcze trzydzieści lat temu. W jakiej więc chwili i w jakiej mierze ta wojna, której całe dzieje dowodzą, że jest wojną o wolność i niepodległość, stała się nagle komunistyczną agresją?"

Zawtórował mu kongresmen Burdick, Republikanin z Dakoty: „Nie jest naszą rzeczą mieszanie się do konfliktu, jaki toczy naród, który chce się wyzwolić z władzy kolonialistów, odbierających mu niepodległość i wolność,

grabiących jego bogactwa". Dodajmy na zakończenie jeszcze jeden charakterystyczny głos. W biegu do zbrojeniowych zamówień Forda i Chryslera zdystansowała General Motors Corporation, Ford i Chrysler z coraz większym trudem sprzedają samochody i chcieliby sprzedawać je w Chinach. I oto na łamach wpływowego organu przemysłu detroickiego, Detroit News, ukazał się artykuł żądający stanowczo uznania Chin Ludowych przez Stany Zjednoczone.

Taka to wiązanka wyrwała jęk skargi z piersi Davida Lawrence i podkopała doszczętnie pozycję delegacji amerykańskiej w Genewie.

Znamy ciąg dalszy: obalenie Bidault przez mocno reakcyjny parlament francuski pod naciskiem wzburzonej opinii; wyłamanie się Anglii spod kurateli Stanów i nawiązywanie przez nią coraz żywszych stosunków handlowych z Chinami; a wreszcie — zawarcie rozejmu w Indochinach. Dziś jesteśmy świadkami walenia się w gruzy SEATO pod naporem stanowczej postawy państw azjatyckich.

Mógłby ktoś powiedzieć, że antywojenna reakcja w Ameryce była koniunkturalna. Że Forda i Chryslera można przekupić dopuszczeniem do wojennych zamówień, a kongresmeni zapomną po wyborach o życzeniach wyborców. Ale ta koniunktura ma wszelkie cechy trwałości. Chiny Ludowe stanowią rynek coraz szerszy i bardziej atrakcyjny. Kongresmenom coraz trudniej przychodzi znaleźć taką chwilę, kiedy będą mogli bezkarnie zlekceważyć wyborców. A prowokacje departamentu stanu i sztabu coraz słabiej działają na społeczeństwo Ameryki, ich ciężar maleje z każdą nową próbą.

Powódź histerii wojennej w USA minęła już punkt szczytowy i fala zaczyna powoli opadać. Naród amerykański stopniowo wraca do równowagi. Podpalacze świata znaleźli się na mieliźnie.

Julian Stawiński

KSIĄŻKI NADESŁANE

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Dygasiński Adolf — Właściciele. Wstęp Jana Zygmunta Jakubowskiego. Posłowie Danuty Brzozowskiej. (Dzieła wybrane. W pięciu tomach). „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 215, 5 nl.

Fredro Aleksander — Pan Jowialski. Komedia w czterech aktach, prozą. Opracował Władysław Szyszkowski. Wydanie II. Okładkę projektował Stanisław Kobielski. (Nasza Biblioteka). Zakład im. Ossolińskich, Wrocław, 1954; str. 205, 5 nl.

Kraszewski Józef Ignacy — Adama Polanowskiego dworzanina króla imci Jana III notatki. Posłowiem opatrzył Stanisław Arnold. Okładkę projektował Andrzej Heidrich. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 218, 2 nl.

Lenartowicz Teofil — Poezje wybrane. Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył Paweł Hertz. Okładkę i kartę tytułową projektował Marian Stachurski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 486, 2 nl.

Orzeszkowa Eliza — Listy zebrane. Tom I. Do redaktorów i wydawców: Józefa Sikorskiego, Gebethnera i Wolffa, Franciszka Salezego Lewenthala, Wacława Makowskiego, Erazma Piltza, Stanisława Posnera. Do druku przygotował i komentarzem opatrzył Edmund Jankowski. Okładkę projektowała Irena Kozłowska. (Polska Akademia Nauk. Instytut Badań Literackich). Zakład im. Ossolińskich, Wrocław, 1954; str. X, 419, 1 nl., 1 knl. (portret).

Słowacki Juliusz — Beniowski. Opracował Eugeniusz Sawrymowicz. Wydanie trzecie uzupełnione. Okładkę projektował Stanisław Kobielski. (Nasza Biblioteka). Zakład im. Ossolińskich, Wrocław, 1954; str. 182, 2 nl.

— Fantazy. Opracował Stanisław Jerschina. Wydanie trzecie. Okładkę projektował Stanisław Kobielski. (Nasza Biblioteka). Zakład im. Ossolińskich, Wrocław, 1954; str. 158, 2 nl.

— Kordian. Część pierwsza trylogii. Spisek koronacyjny. Opracował Eugeniusz Sawrymowicz. Okładkę projektował Stanisław Kobielski. (Nasza Biblioteka). Zakład im. Ossolińskich, Wrocław, 1954; str. 188; 4 nl.

Klasycy literatury obcej

Balzak Honoriusz — Ojciec Goriot. Przełożył Tadeusz Żeleński (Boy). Wydanie drugie uzupełnione. Opracował Jan Nowakowski. Okładkę projektował Stanisław Kobielski. (Nasza Biblioteka). Zakład im. Ossolińskich, Wrocław, 1954; str. 307, 1 nl.

Czechow Antoni — Nie udało się! Tłumaczyli z rosyjskiego: Maria Dąbrowska, Jarosław Iwaszkiewicz, Zofia Kaczorowska, Jerzy Wyszomirski. Wybór, posłowie i przypisy Natalii Modzelewskiej. Ilustracje i rysunek na okładkę wykonał Tomasz Gleb. (Książka Nowego Czytelnika). „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 138, 2 nl.

Dickens Karol — Dzieje, przygody, doświadczenia i zapiski Dawida Copperfielda juniora rodem z Blunderstone (których nigdy ogłaszać drukiem nie zamierzał). Tom I i II. Przekład z angielskiego Wilhelminy Kościałkowskiej, z roku 1889, przejrzany i poprawiony. Przedmowa: Grzegorz Sinko. Ilustracje: Hablot K. Browne (Phiz). „Czytelnik", Warszawa, 1954; t. I str. 401, 3 nl.; t. II str. 392, 2 nl.

Radiszczew Aleksander — Podróż z Petersburga do Moskwy. Przełożył Seweryn Pollak. Opracował Wiktor Jakubowski. (Biblioteka Narodowa. Seria II, nr 87). Zakład im. Ossolińskich, Wrocław, 1954; str. CXIII, 1 nl., 288, 2 nl.

Poezja i dramat

Jastrun Mieczysław — Poezje. 1944—1954. Tłoczenia na oprawę projektował Jerzy Jaworowski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 364, 8 nl., 1 knl. (portret).

Karczewska Wanda — Wiersze i poematy. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 91, 3 nl.

Wygodzki Stanisław — Wybór wierszy. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 222, 2 nl., 1 kln. (portret).

Proza

Illyés Gyula — Lud puszty. Tłumaczyła z węgierskiego Ella Maria Sperling. Wyjątki z pieśni kuruckich i wiersza Petőfiego tłumaczył Aleksander Rymkiewicz. Poezje ludowe tłumaczyła Camilla Mondral. Przedmową i przypisami opatrzył Jan Reychman. Okładkę i kartę tytułową projektował Marian Stachurski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 278, 2 nl.

Łopalewski Tadeusz — Bezdomne gminy. Powieść o emigracji postyczniowej. Okładkę projektował Włodzimierz Stankiewicz. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 330, 2 nl.

Ma Feng i Si Żung — W górach Lüliangu. Z rosyjskiego tłumaczył Stanisław Tazbir. Okładkę i kartę tytułową projektował Jan S. Miklaszewski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 430, 2 nl.

Wardasówna Maria — Wyłom. Część I i II. Mrok. Wydanie drugie uzupełnione. Okładkę projektował Jan Kucharski. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1954; cz. I str. 262, 2 nl., cz. II str. 294, 2 nl.

Satyra

Baranowicz Jan — Na chłopski rozum. Ilustrował Mieczysław Piotrowski. Okładkę projektował Marian Stachurski. (Biblioteka Satyry). „Czytelnik", Warszawa 1954; str. 79, 1 nl.

Publicystyka

Bogusławski Andrzej — Słyszycie głos Ameryki. Mówią fakty i dokumenty. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 219, 1 nl.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Aleksandrzak Stanisław — Słoneczny świat. Ilustrował J. M. Szancer. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 28, 4 nl.

Borudzka Wanda — Szóste kaczę. Ilustrowała Zofia Fijałkowska, „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; 8 knl.

Broniewska Janina — Historia gałgankowej Balbisi. Ilustrował K. M. Sopoćko. Okładkę i kartę tytułową projektował K. M. Sopoćko. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 69, 3 nl.

Brzechwa Jan — Opowiedział dzięcioł sowie. Ilustrowali Ha-Ga i Eryk Lipiński. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 30, 2 nl.

Czaruszyn Eugeniusz — Jak wrona nauczyła Heniusia mówić „r". Opracowała Maria Górska. Ilustrował Stanisław Rozwadowski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 15, 1 nl.

Czukowski Korniej — Kurczątko. Przełożyła z jęz. rosyjskiego Maria Górska. Ilustrowała Maja Berezowska. Okładkę projektowała Maria Mackiewicz. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; 8 kln.

Dwa orły. Wybór radzieckich baśni ludowych o Leninie i Stalinie. Tłumaczyła z jęz. rosyjskiego Wiera Anisimow-Bieńkowska, Stanisław Furmanik, Janina Kaczmarkiewicz, Władysław Kozłowski, Czesława Sobierajska. Ilustrował Jerzy Karolak. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 34, 4 nl.

Grodzieńska Wanda — Kot Bazyli. Ilustrowała T. Tyszkiewiczowa. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; 8 knl.

Hamera Bogdan — Na styku. Ilustrował Bogdan Zieleniec. Ilustrację na okładkę wykonał Jarosław Kirilenko. „Nasza Księgarnia" Warszawa, 1954; str. 57, 3 nl.

Hen Józef — Waruga nie pojechał. Ilustrował Stanisław Rozwadowski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 54, 2 nl.

Hardel Lilo — Myszka i Hanka. Tłumaczyła z jęz. niemieckiego Janina Karczmarewicz. Ilustrował Heinz Rodewald. Okładkę projektował Mateusz Gawryś. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 108, 4 nl.

Januszewska H. — Wiórki. Ilustrowała H. Gutsche. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; 8 kln.

Kownacka Maria — Kajtkowe przygody. Ilustrował Konstanty M. Sopoćko. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 58. 2 nl.

Mamin-Sybiriak D. — Szara szyjka. Tłumaczył z jęz. rosyjskiego S. Flukowski. Ilustrował G. Nikolski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 29, 1 nl.

Osmańczyk E. J. — Nowa księga dżungli. Opowiadanie historyczne z początku drugiej połowy XX wieku. Ilustrował Stefan Styczyński. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 76, 2 nl.

Piekara Arkadiusz — O maszyniście Felusiu, który był mędrcem. Ilustrował Mateusz Gawryś. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 63, 1 nl.

Rudnicki Lucjan — Matka. Ilustrowała Anna Zieleniec. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 15, 1 nl.

Sielecka Zofia — Dwie minuty. Ilustrował Stanis aw Töpfer. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 15, 1 nl.

— O kłosiku, rębiszu, foremce i mielimące. Ilustrował Bogdan Zieleniec. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 15, 1 nl.

Sotnik J. — Człowiek bez nerwów. Tłumaczyła z jęz. rosyjskiego Janina Liderowa. Ilustrował Bogdan Zieleniec. Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 61, 3 nl.

Sumiński Michał — Znad jezior. Ilustrowała Halina Chrostowska-Piotrowicz. Okładkę i kartę tytułową projektował Marian Stachurski. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 187, 1 nl.

Szelburg-Zarembina Ewa — O warszawskiej syrenie. Ilustrowała Zofia Fijałkowska. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str 37, 3 nl.

Tajc J. — Jarzębinka. Przełożyła z jęz. rosyjskiego Maria Górska. Ilustrowała Anna Zieleniec. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; 8 kln.

— Niebieski koralik. Tłumaczyły z jęz. rosyjskiego: Natalia Jewdokimczyk i Maria Górska. Ilustrował Tadeusz Jodłowski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 31, 3 nl.

Tarasow N. — Morze żyje. Tłumaczył z rosyjskiego Stanisław Mioduszewski. Okładkę projektował Jan Marcin Szancer. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 304, 4 nl.

Tejchma Józef — Z notatnika aktywisty ZMP. Okładkę projektował Stanisław Töpfer. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 110, 2 nl.

Tropaczyńska-Ogarkowa W. — Żołnierze Kościuszki. Tom drugi. Ilustrował Ludwig Maciąg. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 522, 2 nl.

Tuwim Julian — Cuda i dziwy. Ilustrowała Ha-Ga. „Nasza Księgarnia", Warszawa. 1954; str. 22, 4 nl.

Walentinow S. — Opowiadania o Afryce. Tłumaczyła z jęz. rosyjskiego Maria Janina Majewska. Okładkę projektował Tadeusz Niemirski. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 172, 4 nl.

Wasilenko Iwan — Czarodziejska szkatułka. Przełożył z jęz. rosyjskiego Kazimierz A. Jaworski. Ilustrował J. Charkiewicz. Okładkę projektował Antoni Pucek. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1954; str. 35, 1 nl.

Wiśniowski Sygurd — W kraju Czarnych Stóp oraz inne nowele, obrazki i szkice podróżnicze. Do druku przygotowali, przedmową i przypisami opatrzyli Julian Tuwim i Bolesław Olszewicz. (Pisma wybrane). Kartę tytułową projektował Jerzy Jaworowski. Ilustracje w tekście zaczerpnięte z czasopism współczesnych opisom lub opowiadaniom Wiśniewskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 449, 3 nl.

Voynich L. E. — Szerszeń. Przełożyła Maria Kreczowska. Ilustrował Andrzej Jurkiewicz. Okładkę projektował Jan Hollender. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 277, 3 nl.

Żurkowski M. — Na Bałtyk. Ilustrował Witold Zacharewicz. Okładkę projektował Włodzimierz Lewiński. Mapki według projektu autora wykonali K. Mastalerz i W. Wyczółkowski. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 191, 1 nl.

JĘZYKOZNAWSTWO

Zwoliński Przemysław — Liczebniki zespołowe typu samotrzeć w języku polskim na tle słowiańskim i indoeuropejskim. (Polska Akademia Nauk. Komitet Językoznawczy). Zakład im. Ossolińskich, Wrocław, 1954; str. 91, 1 nl.

KRAJE DEMOKRACJI LUDOWEJ

Die deutsche demokratische Republik. Dokumente der Freundschaft. (Das Woiwodschafts-Komitee der nationalen Front in Wrocław). Zakład im. Ossolińskich, Wrocław, 1954; str. 204.

RÓŻNE

Aleksiejew A. — Wojenne finanse państw kapitalistycznych. Tłumaczył z rosyjskiego A. Czyż. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Przedmowę do wydania polskiego napisał I. Rzędowski. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 418, 2 nl.

Bilnik Jerzy — Niektóre zagadnienia pracy agitacyjnej. (Biblioteka Wojska Ludowego). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 74, 2 nl.

Józef Strzelczyk żołnierz wolności. Wstępem z przypisami opatrzył Mieczysław Szleyen. Okładkę projektował Stefan Rzepecki. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 98, 2 nl.

Kościuszko W. i Polak H. — Propaganda czytelnictwa książki i prasy. (Biblioteka Wojska Ludowego). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 80, 2 nl.

Ledwarowski Bronisław — Agitacja poglądowa w klubie i świetlicy. (Biblioteka Wojska Ludowego). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 171 3 nl.

Reperowicz St. — Zebranie ZMP-owskie podstawowa forma wychowania członków ZMP. (Biblioteka Wojska Ludowego). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 38, 2 nl.

Sawicki R. — O pracy agitatora w plutonie. (Biblioteka Wojska Ludowego). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 45, 3 nl.

Żyto Albin — O zebraniu partyjnym. (Biblioteka Wojska Ludowego). Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 51, 1 nl.

SPIS TREŚCI

Str.

Włodzimierz Majakowski: Kocham — przeł. Adam Ważyk 3
Andrzej Braun: Szkice epopei 11
Lucjan Wolanowski: Cichy front 73

SPRAWY PISARSKIEGO WARSZTATU: Stanisław Zieliński — Na marginesie napisanych książek 132

Adam Mauersberger: Ideologia polityczna Mickiewicza w 1848 i 1849 roku 139
Michał Lermontow: Demon — przeł. Zbigniew Bieńkowski 157
Maria Dąbrowska: Parę myśli o pracy przekładowej 173

WŚRÓD KSIĄŻEK: Jacek Trznadel — Tadeusz Nowak „Porównania"; Wojciech Natanson — Lope de Vega „Dziewczyna z dzbankiem", „Młyn" 184

TEATR: Jan Kott — Kilka uwag o warszawskim sezonie teatralnym . . . 191

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki, Józef Spinc, Marian Podkowiński, Julian Stawiński 195

KSIĄŻKI NADESŁANE 221

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaguje Zespół
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewnętrzny 54
Administracja: Wiejska 12, tel. 8-24-11
Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych P. P. K. „Ruch", Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.
Cena zeszytu zł 7.—. Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

0301903

Cena zł

DM 9.- aus